

Stefan Żeromski

Uroda życia

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA — CIEŃ.....	4
Rozdział I	4
Rozdział II	10
Rozdział III.....	13
Rozdział IV	23
Rozdział V	24
Rozdział VI	28
Rozdział VII	31
Rozdział VIII	36
Rozdział IX	38
Rozdział X	41
Rozdział XI	45
Rozdział XII.....	47
Rozdział XIII.....	49
Rozdział XIV	59
Rozdział XV	62
Rozdział XVI	66
Rozdział XVII	68
Rozdział XVIII.....	72
Rozdział XIX.....	73
Rozdział XX	78
Rozdział XXI.....	81
Rozdział XXII.....	84
Rozdział XXIII.....	88
Rozdział XXIV	89
Rozdział XXV	98
Rozdział XXVI	108
Rozdział XXVII.....	109
CZĘŚĆ DRUGA — ALIENATUS A SE	112
Rozdział I	112
Rozdział II	122

Rozdział III.....	145
Rozdział IV	159
Rozdział V	167
Rozdział VI	180
Rozdział VII	180
Rozdział VIII	191
CZĘŚĆ TRZECIA — ŁOSKOT ŚMIGŁA.....	193
Rozdział I	193
Rozdział II	200
Rozdział III.....	203
Rozdział IV	209
Rozdział V	212
Rozdział VI	218
Rozdział VII	221

CZĘŚĆ PIERWSZA — CIEŃ

Rozdział I

Zupełna cisza zaległa korytarze. Najłżejszy szmer nie dochodził z sal. Nie słyhać było turkotu, a jednak czuli to wszyscy, że w tej właśnie chwili zbliżają się karety, że zajeżdżają z Zabałkańskiego Prospektu przed przedsionek.

Pewien profesor, mało znany słuchaczom najstarszego półroczu, jeden z sześciu ober-oficerów, wykładający na kursie młodszym, junkierskim, pierwsze zasady fortyfikacji, wbiegł do sali na palcach i w istnym popłochu pozamykał własnoręcznie cztery jej okna. Uczynił to z pośpiechem i taką na obliczu bładością, jakby ta czynność zabezpieczyć miała zgromadzonych od jakiegoś groźnego niebezpieczeństwa. Przesunął się przed ławkami, wykonał ręką nieokreślony, niemal kaba listyczny znak.

Znikł jak cień. Przez chwilę słyhać było ostrożny podzwiek jego ostróg, najbardziej odpowiedni, specjalny środek do potrącenia naprężonych nerwów.

Długa, najzupełniejsza cisza...

Piotr Rozłucki siedział w swej ławce wyprostowany, znieruchomiał, zamieniony niemal na spiż, niby jedna ze składowych części nowoczesnej działobitni, którymi miał wyładowaną głowę. Oczy jego spoczywały na taflach posadzki, na deseni wywoskowanego drzewa. Kiedy wreszcie podniósł oczy, uczynił to niechętnie, prawie przemocą. Za przymkniętymi dopiero co oknami, w miękkiej wilgotności powietrza, wypowiedanego przez szept wiosennego deszczu z miejskich czadów, tkwiły dalekie, nie wiadomo z jakich pniów wyrosłe, wielolistne gałęzie kasztanów ze stożkowatymi kwiatami, jakby objęcia pachnące z tajemnic dalekiego świata ku tym oknom wyciągnięte.

Piotr Rozłucki powrócił co prędzej oczyma i myślą z tej krótkiej wyprawy za mury. Poczuł w sobie wstyd za tę słabość upadku wyłamania się z wojskowej dyscypliny. Wrócił do szeregu. Ujrzał się znowu pośród kolegów, wbity między nich należycie jak sztacheta w przęsło. Niezłomnością woli zapanował nad wszelkim wzruszeniem jakiejkolwiek natury.

Daleko — znajomy na dole gmachu szczęk wielkich drzwi. Głuche głosy. Odległe kroki na marmurowych schodach. Nieokreślony gwar w górnym korytarzu. Odgłos stąpania wielu osób.

Serca oficerów zamarły. Rozum przedzierzgnął się w jasną świadomość. Wola osadziła się w pełni. Mięśnie rąk i nóg u wszystkich wraz stały się jedną podwładną. Komendant baterii, sztab-oficer inspektor, w pełnej formie, z żelaznym na twarzy marsem, wszedł niepostrzeżenie do sali. Objął "kurs" błyskawicą żrenicy i wyprostowany, twarzą zwrócony w stronę korytarza stanął u drzwi. W mgnieniu oka zespół młodych podporuczników składający kurs najwyższy powstał z miejsc jak jeden człowiek.

Wszedł do sali powolnym, z lekka ociężałym krokiem wielki książę protektor. Bardzo wysoki, chudy, nieco już szpakowaty mężczyzna, o twarzy niewesołej, ściągłej. Niewielka klinowata broda jego siwiała, równie jak gładko przyczesane włosy. Pozdrowił młodzieńców z cicha znanym żołnierskim powitaniem. Odpowiedzieli jak jeden, skandując w sposób przepisany frazes z przepisany uniesieniem. Książę skierował kroki ku katedrze zasłanej wspaniałym dywanem. Z dyskretną elegancją zasiadł na krześle pod portretem panującego monarchy. Obok, z obudwu stron, jak gdyby wykonywując formułę skomplikowanego tańca, umieszcili się generałowie świty: generał-feldzeigmajster, generał inspektor artylerii, pomocnik, inspektorowie zarządu artylerii i inni. Cała ta pusta przed chwilą połać sali zajaśniała nagle od paradnych szlif, aksamitnych kołnierzyków, pąsowych lampasów, akselbantów, wielobarwnych szarf, orderów, gwiazd, wstęg, łysin i wypomadowanych czupryn.

Przyciszony dźwięk ustawianych szabel i umyślnie zagłuszany brzęk ostróg rozpląnął się znowu w milczenie. Surowe oczy generałów mierzyły niepobłaźliwie głęboką salę, w której zasiadło czterdziestu paru abiturientów. Młodzi oficerowie oczyma skamieniałymi z subordynacji mierzyli generałów. Nade wszystko jednak ośmielali się podnosić oczy na twarz wielkiego księcia doświadczając należytej radości.

Widzieli go po raz pierwszy. Na jego obliczu małowowało się znudzenie, zamaskowane przymusową uprzejmością. Cała postać była jakby okuta przez powszechną subordynację. Zwrócił głowę z ugłaskaną przez obowiązek i łaskawą odrazą w stronę inspektora Akademii Michajłowskiej i wśród głębokiej ciszy zapytał o stan egzaminów.

Sztab-oficer inspektor, wyprostowany niby struna jakowegoś wielkiego instrumentu, wyraźnie, jasno, z cicha wygrał ku czci jego cesarskiej wysokości pokorne recitativo, iż egzaminy na najwyższym, "praktycznym" kursie z hippologii, z wojennej i artyleryjskiej administracji, z teoretycznej i materialnej artylerii, z prawoznawstwa, chemii organicznej tudzież znawstwa

materiałów wybuchowych, z fortyfikacji, taktyki, fizyki i rachunku różniczkowego — już się odbyły. Pozostał właśnie egzamin zasadniczy z historii ojczystej. Wielki książę wyraził życzenie wysłuchania odpowiedzi tego i owego z wychowalców zakładu na pytania, które im sam zada. Inspektor podsunął mu natychmiast listę oficerów kończących akademię. Wielki książę schylił się nad tą listą i wśród tajnego łoskotu serc kilkudziesięciu młodzieńców deliberował. Nareszcie wypowiedział nazwisko: — Prochorow.

Ów Prochorow wstał i wyszedł z głębi sali na nogach, których dygotkę pokrywał nienaturalną sztywnością. Znalazł się niespodziewanie w obliczu wszystkich jak złoczyńca wyprowadzony na szafot. Tu z pociechą usłyszał banalne zapytanie o formułę prochu bezdymnego, wyrecytował ją wraz z przeciętnym objaśnieniem o właściwościach chemicznych, fizycznych i balistycznych tego prochu, wspomniawszy o jego taktycznych i ekonomicznych zaletach. Ośmielony łaskawym spojrzeniem dodał kilka uwag o rodzajach prochów nitroglicerynowych — i przedziwnie zadowolony wrócił na swe miejsce z wdzięczną radością w oczach, w ustach, w ruchach, a nawet, zdawało się, z radością w połysku butów.

W tym czasie i w ciągu posłuchania udzielonego następnemu koledze, Wasiliewowi, który mówił o teorii celowania pojedynczym działem tudzież działobitnią, o celowaniu według znaku odchylenia i krzywej Persena — Piotr Rozłucki stłumił zupełnie pewne zaniepokojenie poprzednie. Pracował nad sobą duchowo z niezwykłym opanowaniem wszelkiego wzruszenia. Wiedział dobrze, że wcześniej czy później zostanie powołany na środek. Z całej mocy duszy i ciała przygotowywał się do tego wystąpienia.

Był chlubą szkoły artylerii, złotym jej elewem. Nie darmo przecie jako piętnastoletni prymus przeszedł tutaj ze szkoły kadetów — odbył swój tryumfalny pochód z najwyższymi odznaczeniami przez cały dział junkierski jako feuerwerker i porte-épée junkier — zdał na teoretyczny i, zaliczony do pierwszej kategorii na egzaminie, w randze podporucznika przeszedł na kurs najwyższy, czyli praktyczny, i nie dał się nikomu pod żadnym względem prześcignąć... Teraz miał ukoronować pracę całego swego młodego życia efektywnym odznaczeniem, jakimś "pomysłem Suworowa".

Toteż patrząc z niezłym niepowstrzymaną uwagą na deski podłogi badał swą drogę do tej katedry i przewidywał wszystko, co się stać może. Mierzył tedy każdy swój krok, obmyślał każdy ruch, rozważał ukłon, przybrał w wyobraźni niezbędny i najbardziej celowy wyraz twarzy. Praca ta była szybka, stanowcza i nieodwołalnie trafna.

Podniósł nieulękły wzrok na wielkiego księcia i wpatrywał się w jego twarz długo i spokojnie. Zgłębiał w tej krótkiej chwili tego człowieka jak zagadnienie o jednej z owych tajemniczych sił wojny, o których tyle się w ciągu swego życia uczył i zawsze "matematycznie marzył". Ale zagadnienie oblicza wielkiego księcia było trudne, nad siły rozumu "genialnego" podporucznika, niepojęte. Rozłucki zarył się w nie całym dwudziestoczteroletnim objęciem, które forsowna ścisła nauka poddała tak wszechstronnemu ćwiczeniu, dyscyplinie i wyostrzyła tak dalece, że się zamieniło niemal na zuchwałą jasnowidztwo. Patrzył oczyma młodego matematyka, którego nauki wojskowe pchnęły na szczyt marzeń o sławie, w tego człowieka posiadającego już wszystko, którego posiadanie wszystkiego napawało jedynie wyniosłym, dyskretnie schowanym znudzeniem. Uwielbiał tę flegmę wielkoksiażącą, wobec której jego wewnętrzna praca: naprężenie surowych sił i świadomych władz duszy — wydawało mu się ordynarnym zapalem, ale jednocześnie wrzał od głębokiej a poskromionej pasji. W pewnej chwili ta właśnie surowa pasja dosięgła szczytu, podniosła się ponad wszystko niby lawa sięgająca wylotu krateru. Zdobyć i pokonać tego człowieka, stanąć nad nim i nakazać mu zachwyt dla siebie! Za wszelką cenę! To się stać musi!

Przymknął oczy i od jednego zamachu woli postanowił: "Jeżeli się potknę, jeżeli chybię — wówczas — co wówczas? co pocznę?"

Po chwili: "Z błałego powodu uderzę w twarz von Dahla, jutro stanę do pojedynku i dam się zabić".

Po czym był już spokojny, wesoły i prostodusznie naiwny. Czekał. Komedii egzaminowania poszczególnych oficerów przez poszczególnych generałów, którym rozwiązanie ściśle zadawanych pytań poniekąd już wyparowało z łysin i spod uczernionych fryzur — ciągnęła się jeszcze.

W pewnej chwili sztab-oficer inspektor nachylił się czołobitnie do wielkiego egzaminatora i wyjaśnił mu uniżenie jakiś szczegół. Wielki książę przyzwolił skinieniem powiek. Generałowie świty niepostrzeżenie odsapnęli. Generał dyrektor zaanonsował:

— Na polecenie jego cesarskiej wysokości przystępujemy do egzaminu z historii ojczystej.

Wielki książę pochylił znowu głowę nad listą i raczył czytać szereg nazwisk. Wymienił z nich jedno: — von Dahl.

Von Dahl wyszedł elastycznie jedwabnymi krokami i drżącą ze wzruszenia dłonią wyciągnął jedno z "pytań", rozrzuconych na małym stoliku przylegającym do ławek słuchaczy. Głos jego łamał się i zahaczał na rozmaitych szczegółach panowania Aleksandra Błogosławionego, a patriotyczne okresy jak rozpuszczone sztandary szumiąc pływały nad poprzekręcanymi datami, nad błędami zamaskowanymi uniesieniem.

Wielki książę spoglądał na von Dahla dobrotliwie jak na kafel pieca, co podporucznika doprowadzało do szału radości. Gdy młody adept sztuki artyleryjskiej wyczerpał już wszystkie batalie roku 1812 i miał w myślach tylko chaos okryty frazesami, które również były na wyczerpaniu — a w oczach iście baranią rozpacz, puszczo go na miejsce z wysoką aprobatą.

Niemal w tej samej chwili Rozłucki usłyszał wymówione swe nazwisko. W mgnieniu oka przygotował się wewnętrznie do wykonania planu. Przybrał na twarz dawniej obmyślony uśmiech, wyszedł sprężysto i stanął przed księciem. Teraz spotkały się ich oczy, a raczej wzrok ucznia wyszukał źrenice pana. Ta chwila trwała tak niewłaściwie długo, że inspektor uznał za konieczne wydać polecenie:

— Proszę wyciągnąć bilet...

Piotr sięgnął ręką i podał zwierzchnikowi pierwszą z brzegu kartkę papieru.

— Panowanie cesarzowej Katarzyny Drugiej...

Rozłucki doświadczył przez sekundę zawrotu głowy. Szum w uszach jak w gorączce albo po zażyciu chininy — wybuchł, lecz z wolna nacichał... W owej chwili, gdy generał czytał "pytanie" — uczeń stanął nad przepaścią. Zebrał się w sobie i w jednej chwili postanowił: "Tak! Próbuje."

Spojrzał znowu w oczy księcia. Nic! Nic dotąd nie osiągnął. Oczy te były nie do zdobycia. Patrzyły jakoś poprzez głowę "złotego" podporucznika, nie widziały go wpatrując się weń, jakby był powietrzem, wodą albo szkłem. Powziął się tedy w sobie na nowo, dźwignął, jakby wówczas kiedy się podnosi w pojedynku pistolet. Zaczął mówić głosem równym, nieswoim, jak gdyby zewnętrznie uprzejmym. Opowiedział panowanie Elżbiety Piotrówny kilkoma zwięzłymi okresami i przeszedł do chwili przybycia do Rosji pięknej księżniczki Zofii-Augusty Anhalt-Zerbstkiej, narzeczonej

młodocianego Piotra Trzeciego Teodorowicza. Wdał się w drobiazgową charakterystykę usposobień tego księcia i charakteryzował go z tak świadomym uporem, że aż wywołał iskrę zainteresowania w oczach wielkksiążęcego słuchacza. Mówił tedy o sympatiach Piotra Trzeciego dla Fryderyka Drugiego, przekraczających wszelką miarę, o jego przywiązaniu do Holsztynu i prawie nienawiści do Rosji, do religii prawosławnej, do duchowieństwa i ludu — z lekka dotknął braku umysłowych zdolności, nałogu pijaństwa i manii głośnego myślenia. Po czym przeszedł do charakterystyki Zofii-Augusty, późniejszej Katarzyny Drugiej, genialnej samotnicy na dworze Elżbiety Piotrówny, z nudów pochłaniającej stosy książek i z wolna, w ciągu kilkunastu lat wpatrującej się w sprawy publiczne, które w jej oczach płynęły bez końca. Rozłucki narysował zręcznie i ostrożnie poziomą bezmyślność i nudę dworu Elżbiety, wartość moralną Piotra Teodorowicza, ażeby niejako usprawiedliwić bliższy stosunek następczyni tronu z Sołtykowem, a gdy Sołtykow wysłany został na dożywotnie ambasadorstwo — bliższy stosunek ze Stanisławem Poniatowskim, przypadkowym członkiem poselstwa angielskiego w Petersburgu.

Kiedy Rozłucki podniósł w owej chwili oczy na swego słuchacza, ujrzał nareszcie w jego twarzy pożądaną a przewidzianą reakcję, zainteresowanie, ale tego rodzaju, że poczuł zimny dreszcz w ramionach. Wielki książę miał oczy zmrużone i uważnie wpatrywał się w młodego artylerzystę. Generałowie siedzieli na swych miejscach jak wmurowane w ścianę posągi. Tylko lodowate, niepostrzeżone uśmiechy błędzące po ich twarzach świadczyły, że to są ludzie, którzy pilnie czuwają nad swą i cudzą karierą lub karkołomną ruiną. Oczy ich patrzyły w młodego mówcę z wyrazem okrucieństwa i ciekawości. Inspektor, komendant Akademii, stał w głębi błady, ze spuszczonej oczyma wsłuchując się w słowa wychowanka, które nań spadały jak chłosta na grzbiet obnażony.

Rozłucki, utwierdziwszy się w postanowieniu, ciągnął dalej swą rzecz świadomie na szczyt. Przedstawił Stanisława Poniatowskiego jako wykwiintnego, wykształconego Europejczyka, pięknego poszukiwacza losu i przygód. Nadmieniał, że nic nie było dziwnego w tym zbliżeniu się dwu osób z Zachodu w dziwacznym świecie niskich intryg i poziomych plotek. Nie było w tym nic dziwnego, że następczyni tronu zapragnęła wywyżżyć Stanisława Poniatowskiego, podnieść go do stopni tego krzesła potęgi, na którym, obok Piotra Trzeciego, zasiąść miała. Tron w Polsce był obieralny, więc cóż dziwnego, że obydwójce marzyć poczęli o tym tronie dla pięknego Czartoryskich krewniaka. Ażeby tron polski osiąść, trzeba było poznać wszystkie gradusy, po których należało nań zmierzać. Toteż Stanisław Poniatowski w ciągu lat pobytu w Petersburgu, aż do swego przymusowego wyjazdu, w tajemnicy uświadamiał następczynię tronu, z pewnością sumiennie, gruntownie i ze znanstwem, o wszystkich słabych stronach, ranach, zmazach, grzechach, brakach, ułomnościach owoczesnej Polski, o jakości i wartości stronnictw, o stosunkach i mocy praw obyczajowych, o wszystkich wadach i przywarach ludzi rejs w tym kraju wodzących, o ich namiętnościach i tajonych ambicjach, o sile w każdym z nich żądzy złota, o każdego mocy charakteru, wielkopańskiej manii lub prosto-szlacheckiej głupocie. W ten to sposób Katarzyna Druga, która nigdy w Polsce nie była, która nigdy na tej ziemi nie postawiła nogi i bardzo niewiele widziała w swym życiu Polaków — wiedziała dokładnie, komu co dać, kogo przekupić, komu co przyobiecać, jak zdobyć — powzięła wyobrażenie najdoskonalsze, zupełną topografię upodlenia Polski, znajomość zgniłych jej miejsc, tych szlaków niepostrzeżonych, które później ze znanstwem mogła wejść w chwili właściwej, ażeby podtrzymać anarchię i zręcznie zdławić dzieło reformy tego narodu. Wówczas to pewnie nabrała przekonania, które często później głosiła, iż nie masz w wyższej polskiej sferze ani jednego człowieka, którego by do wszelkiej posługi nie można było nabyć za złoto.

Wypowiadając te tyrady Rozłucki nie zwracał już uwagi na to, jakie wywierają wrażenie. Wiedział, że około niego skupia się teraz sąd słuchających, wiedział też, że teraz waży się na "zdobywanie" wielkiego księcia. Przystąpił do skreślenia wypadków, które zaszły po śmierci Elżbiety i wstąpieniu

na tron Piotra Trzeciego. Mówił tedy ze swobodą i pozorną naiwnością myśli o tym, jak to młody monarcha nie zwracał uwagi na to, co się dzieje w Rosji, lecz wszystkie siły swej duszy miał zwrócone na wojnę Holsztynu z Danią. Rozłucki uskarżał się na postój wojsk holsztyńskich w okolicach Petersburga, żalił, iż młody cesarz ćwiczeniem ich jedynie był zajęty, wojska zaś rosyjskie, które wśród swego niemieckiego otoczenia stale zwał "die Russen", zaniedbywał zupełnie. Dochód państwowy nie pokrywał wydatków, gdyż deficyt szedł na pokrycie utrzymania armii zagranicznej; chan krymski gotował się do inwazji w granice rosyjskie; w całych okręgach i powiatach szerzyły się buntury chłopskie, a siła wojskowa komend prowincjonalnych nie była w stanie ich uśmierzyć. Wojska krajowe miały iść do Holsztynu. Cesarz Piotr Trzeci głośno wyjawiał zamiar aresztowania swej małżonki i osadzenia jej w klasztorze — wydawał ukazy najdziwaczniejsze, jak ów do Synodu, z wiosny 1762 roku, wprowadzający za jednym zamachem tolerancję religijną wszelkich wyznań oraz tolerancję cudzołóstwa — kasujący posty i zaliczający chłopów pańszczyźnianych klasztornych na rzecz prywatnej własności monarchy — uczestniczył w poświęceniu kaplicy luterńskiej w Oranienbaum i rozdawał wszystkim obecnym modlitewniki protestanckie. Pomimo — ciągnął Rozłucki — wprowadzenia dwu edyktów, jak zniesienie tajnej kancelarii i zezwolenie na wyjazd za granicę dla szlachty, Piotr Trzeci był znienawidzony przez ogół rosyjski.

Następnie skreślił dzieje siedmiu dni od chwili wyjazdu Aleksego Orłowa i Wasyla Bibikowa z Petersburga do Peterhofu, ażeby przywieźć Katarzynę do stolicy i ogłosić cesarzową — dzieje ucieczki Piotra Trzeciego do Kronsztadu, dzieje jego upadku na duchu — aż do szóstego lipca, czyli do dnia naglej śmierci cesarza w zamku Ropszy. Narrator miał zamiar przytoczyć osnowę listu Aleksego Orłowa do cesarzowej, listu zawiadamiającego o śmierci monarchy. W owej chwili był zupełnie spokojny. Miał w sobie zimną pewność i zwycięską nieustraszoną. Od niechcienia spojrzał na wielkiego księcia i powiódł oczyma po linii generałów. Palce suchych rąk księcia błędziły po papierze, oczy były złowieszczo mgliste. Generałowie, zdawało się, z zimną gotowością oczekiwali na jakiś rozkaz. Rozłucki uczył w tej minucie rozkosz szczególnie przejmującą. Osiągnął swój cel. Wiedział teraz, że naciągnął łuk do ostatniej linii. Należało teraz wypuścić strzałę. Był pewny, że jeśli w tejże chwili, natychmiast nie wypuści swego pocisku, łuk pęknie. Zebrał myśl, skupił ją i złożył wszystkie na cięciwie jakoby pierzastą strzałę.

— Proszę się streszczać... — rzekł nagle sztab-oficer głosem suchym, chrapliwym z rozpacz, usiłując ratować sytuację, siebie i tego szalonego wychowanka.

Rozłucki z głębokim uszanowaniem i posłuszeństwem zwrócił głowę w stronę "ukochanego zwierzchnika". Począł mówić natychmiast z entuzjazmem i brawurą, jakby wylewając ogrom wdzięczności i uniesienia — o wielkich pochodach i pracach Aleksandra Suworowa. Miał w sobie teraz łatwe uczucie, jakby z rozwianym włosiem, wielkimi krokami schodził z wysokiej góry. Umiał na pamięć jak pacierz wszystkie tytuły księcia Italijskiego, hrabiego Rzymskiego, generalissimusa wojsk rosyjskich, wielkiego Aleksandra Wasiliewicza. Wyliczył z pamięci wszystkie jego ordery, szarfy, wstęgi, brylantowe kity, złote szpady obsypane brylantami i wymieniał w lot, co za jaką sprawę przypadło. Zaczął opiewać epos suworowski od tegoż roku 1762, roku przewrotu, kiedy późniejszy feldmarszałek i generalissimus był dowódcą suzdalskiego pułku. Nad początkową jego działalnością nie rozwodził się zbyt. Szczegółowiej przedstawił wypadki, które nastąpiły w jakie sześć lat po wojnie siedmioletniej, gdy Suworow jako brygadier wyruszył w stronę Polski. Opisał tedy z należnym uniesieniem, jak to przez zamarzłe rzeki, przez błota, lasy, w ciągu miesiąca brygada suworowska przebyła tysiąc wiorst z Orszy do Mińska, z Mińska do Warszawy — jak to ją dowódca w marszu uczył strzelać, bić się na bagnety, zdobywać fortalicje. Z wojenną dokładnością uwiłocznł porażkę Pułaskich na Litwie, późniejsze czyny w Polsce po przejściu Wisły, a więc w roku 1770 rozpedzenie "szajek" Moszyńskiego pod Klimontowem i Opatowem, zdobycie Lanckorony, Kraśnika,

wreszcie obsadzenie zamku w Krakowie — porażkę Pułaskiego pod Zamościem, Nowickiego pod Krasnymstawem — w końcu bitwę pod Stołowiczami, gdzie pokonany został hetman Ogiński. Następnie zobrazowane zostało oblężenie Krakowa, zdobycie i wysadzenie w powietrze forteczki w Zatorze...

Wielki książę z uwagą, generałowie z namaszczeniem wsłuchiwali się w opowieść o czynach wielkiego wodza Rosji w Krymie, w Turcji, nad Wołgą czasu pojmania Pugaczowa. Wszystko opowiedziane było z niezwykłą precyzją i ścisłością wojskoznawczą.

Doprowadziwszy swą opowieść do Kościuszkowskiego "buntu", Rozłucki sprecyzował czynności Fersena i Suworowa, wystawił doskonale bitwę maciejowską, a po połączeniu się wojsk rosyjskich w Stanisławowie, okrutną polską porażkę pod Kobylką — wreszcie oblężenie Pragi.

Grzmiały w jego relacji działa — osiemdziesiąt sześć rosyjskich i sto cztery polskie w czasie tygodnia oblężniczego. Oto nastąpił szturm. Sześć tysięcy obrońców padło trupem. Oto ludność rzuciła się ku Wiśle, ażeby ją przebyć po moście pontonowym. Most się ugina pod ciężarem. Dwa tysiące ludzi idzie na dno. Osiem tysięcy w niewolę... Rozłucki opowiadał głosem, który drgał od tryumfu — jak wódz nazajutrz wjeżdżał na koniu w zwykłym mundurze, bez żadnej z tyłu swych ozdób. Na brzegu Wisły witają go przedstawiciele narodu chlebem i solą. Podają mu klucze od miasta — i od Polski. Suworow całuje ich, podnosi ręce do nieba i rzecze: — O Boże, dziękuję ci, że te klucze nie tak drogo mi się dostały, jak... Tu łzy przerywają jego mowę...

Sluchacze młodego artylerzysty zostali głęboko, surowo wzruszeni. On sam wzruszony był również, tym nade wszystko, że osiągnął swój cel. Tu doszedł, dokąd był zamierzył. Wielki książę przypatrywał mu się z głęboką uwagą, z zastanowieniem, a nawet z czymś w rodzaju podziwu.

Rozdział II

Obudził się ze snu, o którego twardości wnosili wagonowi sąsiedzi z chrapania istic artyleryjskiego, gdyż chrapał prawdziwie wszystkimi bateriami. Ocknąwszy się nareszcie, powiódł zdumionym okiem po lśniącym, z lekka wklęsłym suficie, przypomniał sobie, gdzie jest, i zachichotał wewnątrz. Był wyspany i silny jak koń pociągowy. Pochylił głowę i spojrzał ze swego łóżka na górnym, podniesionym siedzisku wagonu: przedział był pełen osób. Słońce świeciło prosto w okno. "Teraz się umyjemy — myślał podporucznik — a później trzeba będzie zjeść dużo, ale za to coś smacznego..."

Usiadł na posłaniu, o ile na to pozwalała bliskość wagonowego sufitu, wdział nowiuteńki mundur z nieposzlakowanym aksamitnym kołnierzem, z dziewiczymi szlifami i gwiazdą akademicką na lewym boku — wyprostował lakierowane, bajecznie szykowne buty z cholewami, przyglądał włosy...

— Pardon-s! — mruknął spuszczając nogi i zwinnie jak kot schodząc z podniesionego łóżka. Wyminął pokoszlawione figury drzemiące w zaduchu przedziału i udał się do umywalni — później do bufetu. Gdy stamtąd wrócił wyświeżony, wymyty, wyszczotkowany, pełen kawy i bułek z masłem, był tak szczęśliwy, że gotów był ścisnąć po kolei wszystkich towarzyszy podróży. Za jego idąc przykładem towarzysze podróży prostowali zdrożone gnaty i gnaciki, myli się, czesali i dysputowali o kawie oraz o wzmiankowanych bułkach z masłem. Rozmowa toczyła się w języku polskim, więc jej Piotr Rozłucki nie rozumiał. Coś tylko piąte przez dziesiąte, jakiś wyraz chwycił ze zrozumieniem.

Zażył siły rycerskiego ramienia do zgięcia sprężyn podtrzymujących górne siedzenie, które mu służyło za łóżko, i pomógł jednej z pań otworzyć okno.

Na dworze był poranek. Rosa lśniła na potrawach niedawno skoszonych łąk. Jak srebrzysty mat leżała blisko na ścierniskach, kędyś iskrzyła się brylantowo na kłosach jeszcze nie zżętych. Płaska ziemia słała się w niezmierną dal. Tam i sam las ją umaiał, dalekie łęgi przepasały. Tu i ówdzie wydmuch bezpłodnego piasku jak bolak nabrzmiały wśród uroczystej odzieży owsów i żyt zółkł pod sosnowym lasankiem. Brzozowe zagaja, niewielkie wszędy dąbrowy śniły wśród zbóż.

Rozłucki, znalazłszy wolne miejsce przy oknie, wpatrywał się w ten krajobraz. Nie widział jeszcze ani takich chat, ani podobnych wsi, ani strzelistych kościołów, ani alei topolowych, co w rozmaitych kierunkach szły w kraj. Ludzie żęli, wiązali snopki i podawali je widłami na wozy drabiniaste. Gdy pociąg mknął wśród tej roboty, zdawało się patrzącemu, że ci ludzie, rojnie tam zajęci, kłaniają się nisko. Szare były, spalone, ściągłe ich twarze, kościste postacie, białoszare odzienie. Barwniej nieco zaznaczały się chusteczki i spódnice kobiet, schylających się ku ziemi i z pięknym gestem odkładających na uboczu garście zżętego zboża.

"Jaki to inny naród... — myślał Rozłucki. — Szary jakiś naród... Twarze mężczyzn golone, ludzie szczupli".

Było mu bardzo miło patrzeć tak w tę przestrzeń zaciągniętą zbożami, w tę niską, szarą, piaszczystą ziemię zalaną słońcem i zasypaną rosą. Oto tam kędyś daleko mgiełka śniada jeszcze się ciągnęła nad wód. Stado cyranek pomknęło w dal...

"Polsza..." — myślał oficer.

Gniewne, surowe uczucie wzniosło się z tego wyrazu, lecz wnet upadło w zadumanie. Po raz pierwszy był oto na swobodzie. Ukończywszy z najwyższym odznaczeniem Michajłowską szkołę, jechał do wyznaczonej mu baterii konsystującej w mieście dalekim, o co wystarał się dziad i opiekun, generał w dymisji, mieszkający na wsi. Miesiąc poegzaminacyjny spędził u krewnych, synów drugiego stryja, również generała — którzy byli już szlachtą osiadłą w guberni penzeńskiej. Nareszcie zdjęto zeń wszelką opiekę po tylu latach korpusu kadetów i szkoły artyleryjskiej, gdzie był numerem, jednostką w wiekuistym szeregu. Nie czuł na sobie w tej chwili badawczego oka zwierzchników ani egzaminującego wzroku bogatych krewniaków — i ta okoliczność najbardziej go radowała.

Na przeciwległej ławce, również pod oknem, siedziała młoda osoba. Młoda osoba miała już na pewno siedemnaście lat, ale niewiele ponad to. Była bardzo urocza w swym niemal dzieciństwie a już kobiecości. Zdjęła była skromny, słomkowy kapelusz i ciemne jej włosy, w sposób wysoce oryginalny zaczesane na bok, lśniły w porannym słońcu. Twarz miała zaróżowioną, nos prosty, usta bardzo ładne. Oficer nie mógł zobaczyć barwy jej oczu, gdyż czytała książkę i nie odrywała się od niej.

Wsiadła, widać, do pociągu niedawno, gdyż nie znać było w jej postaci zmęczenia ponocnego. Jej prosta, jednostajna suknia liliowego koloru nie była zmięta ani zakurzona, a policzki jeszcze kwitły od ранnego powiewu w polach.

Rozłucki, który patrzył długo w te pola i dojrzał ich urodzaje, zdziwił się, jak panienska siedząca naprzeciwko podobna była do łanu zboża. Jej włosy i cera twarzy — to był łan dojrzałej pszenicy.

Czekał, żeby podniosła oczy, i zuchwale wlepił w nią swoje. Nadaremnie. Czytała angielską książkę i nie zwracała uwagi na jego ruchy, pobrząki ostrogami i wszelkie celowe szarmanterie. W pewnej chwili podniosła oczy o żrenicach złotych, niemal czarnych, lecz nie zobaczyła tego nowego

towarzysza podróży. Czuł, gdyż z niepostrzeżonych jej ruchów to spostrzegł — że zdaje sobie sprawę z jego tajnych manewrów, wie o wrażeniu, jakie wywarła, lecz nie chce go widzieć ani wiedzieć o jego obecności. Wprawilo go to w bezsilny gniew. Im bardziej jej się przyglądał, tym więcej spostrzegał w niej wdzięku pierwszej młodości, jakowejś tajnej, milczącej, trzeba by powiedzieć, wewnętrznej kultury. Każdy jej gest i każdy ruch był gestem i ruchem pełnym osobistego rozumu, ale i odziedziczonego taktu. Rozmyślał nad tym, że między nim i nią, oddaloną mniej niż o krok, przebiega linia jakiejs nieprzebytej granicy. Tego niezłomnego spokoju, który był powleczoney wesołym półuśmiechem grzeczności, nie złamie nic. Kiedy usilnie wpatrywał się w jej twarz wilczymi ślepiami oficera uwolnionego z murów szkoły, podniosła oczy z obojętnością i końcem palca przewróciła stronicę książki.

Ktoś z pasażerów wszedł mówiąc do współtowarzyszów po polsku, że w pociągu jest wagon restauracyjny. Piękna szatynka złożyła swą książkę na ławce i zapytała, czy daleko się idzie do wagonu restauracyjnego i w którą stronę.

Rozlucki myślał: "Prawdę się czytało o tych Polakach... Zimne to jak kamień. Nienawidzi to nas. Widać z każdego spojrzenia nienawiść..."

"Zimna i nienawidząca" Polka powstała z miejsca i włożyła na głowę kapelusz w sposób tak obojętny, jakby sama jedna była w przedziale.

Wyszła szeleszcząc sukniami i każdym ruchem stwierdzając prawdę formuły porucznika Rozluckiego. Zatopił oczy w przestwór i poświstywał.

Zepsuła mu humor. Do diabła! Była prześliczna... Gdy nie wracała, czuł jej nieobecność i z tego powodu złościł się wewnętrznie. Mruczał pod nosem "zdrowe" oficerskie, a może nawet żołdackie wyzwiska. W pewnej chwili rzucił okiem na książkę z rozłożonymi stronicami, leżącą na siedzeniu, wywróconą tytułem do góry. Przeczytał tytuł: *Laon and Cythna or The revolt of Islam* by Percy Bysshe Shelley...

Sam umiał nieźle język angielski, który w szkole artyleryjskiej był wymagany i modny — lubił czytać książki pisane po angielsku. Jakże chętnie zawiązałby rozmowę z młodziutką czytelniczką o przestudiowanych niegdyś pisarzach! Ale nie zechciałaby przecie rozmawiać z nim, z "Moskałem"! A mógłby ją zdziwić oświadczeniem, że jest z pochodzenia niejako — Polakiem, że miał matkę Polkę, choć unitkę, więc prawosławną, a ojca nawet buntownika, rozstrzelanego za polski bunt. To wspomnienie, którego nigdy nie dopuszczał do siebie, myśl, której nigdy nie pozwalał stanąć na progu swej świadomości, myśl o tej zmazie hańby — wróciła go na tor właściwy. Zebrał się w sobie i opancerzył przeciwko wszelkim wzruszeniom przypomnieniem, że jest oficerem i że ma w tym kraju w sposób bezwzględny strzec honoru swej armii. Nastawił się tedy w sposób niezdobyty, groźny niby najeżona od armat reduta, i czekał na nieprzyjaciela.

Ale gdy ów nieprzyjaciel, różowy, powiewny w swych sukniach jakby w płatkach irysa, woniejący od nieuchwytnych perfum, przesunął się obok jego kolan, znowu stracił należytą marsowość. Od niechcenia niby, spod oka patrzył na tę "kowarną Polkę". Prześliczne, uśmiechem zachwyty owiane były jej usta, gdy czytała nadziemski romans Laona i Cythny, duchów uciemiężonych, walczących aż do ostatniego westchnienia, bohaterów, co się w niebiosach dopiero pobierają. Wiecznie kwitnące myśli i wiecznie wonne uczucia najżywotniejszego z poetów świata upajały jej czoło gładkie i jak letni nieboskłon nieskałane.

Rozłucki doświadczał uczucia przyjemności z tego przynajmniej tytułu, że był w tym samym przedziale co nieznajoma. Wagon go unosił, myśli snuły się w sposób samowolny. Nieotamowany lot uczucia niósł dokądś, w gąszcz wspomnień wymykających się z pamięci, w cieśnię słów stłumionych, polotnych, luźnych, pradawnych dźwięków, będących w duszy tylko dzięki tonowi, który je ocalił. Tam, kędyś w głębi, na samym dnie uczucia tają się samotne, zapomniane polskie słowa, nikle i zatarte jak ślady stóp bosych na piasku morskiego wybrzeża. Deszcz nawalny je rozmył, wiatr srogi przysuś, fala morska zgładziła.

Miękkoszelestne słowa, zaświatowy szept, półrozumiałe dźwięki: "Piotruś, syneczku jedyny..."

Jakoby ciemny obłok, twarz łzami zalana, biała — usta spalone od gorączki — straszne, rozwarłe, szerokie, zastygłe, przerażone oczy. Włosy czarne i długie owionęły szlochom duszę. Ręce zebrzące w zastyganiu na atlasowej koldrze. Leżą załamane... Oficer otrząsnął się z przykrego marzenia.

Coraz więcej było zabudowań, parkanów, szop, bud, wreszcie ohydnych wielopiętrowych kamienic. Wkrótce zwielokrotniały szyny kolejowe. Poczęły wyrastać i grupować się rude i czerwone wagony towarowe, bez końca, aż zupełnie zasłoniły widnokrąg. Pociąg leciał tworząc łoskot nieznosny. Dym błękitnawy kominów fabrycznych i rudy lokomotyw zasłonił niebo. Kiedy niekiedy mignęła w dymie wysoka, szerniała ściana jakichś składów, remiz, hal fabrycznych ze złamanymi dachami.

— Otóż i Praga... — rzekł ktoś z podróżnych.

"To właśnie jest owa Praga..." — myślał Rozłucki ze szczególnym w sobie pomieszaniem wrażeń.

Oczy jego wlepiły się w ten widok zagmatwany, bezlicy, szerniała, chropawy, w te nieme znaki materialnego życia. Ucho chwyciło głuchy łoskot. Pociąg stanął. Piękna a "chytra" Polka zebrała swe skromne pakunki i nie czekając na tragarza pośpiesznie wyszła. Rozłucki ściagał przez chwilę wzrokiem jej postać. Nieznajoma wmieszała się w tłum — i znikła.

Rozdział III

Piotr Rozłucki przyjechał w nocy na podrzędną stację bocznej kolei. W Warszawie zabawił kilka dni nudząc się w hotelu i zwiedzając miasto. Zdumiewała go tam liczebna ilość Polaków i jakoś ich bytowania. Nie było z nimi tak, jak głosiły urzędowe podręczniki i jak podawały ustne wersje znawców. Gniewało to, że stanowili zwarty żywioł, zamknięty w sobie, którego ciemny od głębokości nurt niedostępny był dla postrzegacza. Postrzegacz życzył sobie, a żeby nie było w ogóle tej "polskiej kwestii". Nie mógł napawać się urokiem pięknych kobiet, oryginalnych przejawów kultury, sztuki, budownictwa, pamiątek, szczegółów życia, których nie znał. Wszystko to wpłątane było w "kwestię polską" i musiało być wrogiem dla człowieka uprawiającego w tym kraju "sprawę rosyjską". Podróżnik nie doznał w Warszawie ani jednego uczucia miłego. Wszystko tam było obłudne, czołobitne aż do nizoty, a zarazem zdradzieckie w tej uniżoności i albo wręcz wrogiem, i to wrogiem śmiertelnym. Widział wartość, dostojeństwo, piękno i szczególny wdzięk zupełnie nowych przejawów, widział to po raz pierwszy w swym życiu, lecz wszystko jakby za grubą szybą.

Błąkając się po obcym mieście, szukał nieznajomej z kolejowego przedziału. Jadąc w tramwaju, siedząc w teatrze, zwiedzając galerię obrazów, park w Łazienkach lub kościół Świętego Jana rozmyślał, że niespodziewanie ujrzy ją wychodzącą zza tej zasłony, gdzie była, utajona. Nadaremnie! Nie ukazała się. Była gdzieś w głębi tej Polski, schowana i zasłonięta jak wszystko.

Młody oficer jechał teraz do stryjecznego dziada, generała w dymisji, mieszkającego na wsi. Przybywszy na wskazaną mu stacyjkę kazał posługaczowi szukać koni z Oplakanego.

— Łoszaki czekają! — zaanonsował usługujący wyrostek. Przeprowadził też niezwłocznie poprzez mroczny dziedziniec stacyjny do czwórki koni w lejc zaprzężonych. Oficer wskoczył na bryczkę, gdy ulokowano mu rzeczy, i rzucił lakoniczny rozkaz:

— Trogaj! (Ruszaj!)

Powozący młokos liberyjny obejrzał się na rozkazodawcę i po pewnej dopiero chwili zrozumiał, że należy jechać.

Był jeszcze mrok, ale już z lekka szarzało. Stała w powietrzu wilgotna mgła po ulewnym deszczu, który niedawno nacichł. W powietrzu była cisza i rozkosz niewymowna. Mała, prosta bryczka bez resorów, z siedzeniem na pasach, niosła jak kolebka. Dawało się słyszeć ostre człapanie kopyt końskich po śliskich, rozmiękłych glinkach i kałużach. Wyjechawszy na szerszy gościniec, furman śmignął kilkakroć batem i wprawił w klus swą czwórkę. Rozłucki wychylił się, żeby popatrzeć, jakie też konie. Nie były to cuganty, lecz dobrze sprzężona czwórka koni drożnych, silnych, rośłych i ścigłych.

Wilgotny ranny chłodek przejął młodego oficera. Wypadło podnieść kołnierz nowej szyneli, zasunąć ręce w rękawy. Z prawej i lewej strony były ścierniska, działki owsa, kartofli i tatarki, dalekie rzędy chat, dwory utopione w gęstwinach drzew, kształty kościołów. Wszystko to wynurzało się z mroku, nieznane, senne, tajne. W pewnym miejscu bryczka pomknęła brzożową półaleją. Stare brzozy stały nad zjeżdżonym traktem, lamentując nad sprawami ludzkimi, co przez tyle lat ciągną się w błotach, piaskach i kolejach tej drogi... Dzień szarzał.

Rozłucki ocknął się z drzemania, objął oczyma smugę brzoż i upodobał sobie w tym widoku. Próbował zawiązać rozmowę z młodym furmanem, zapytywał go o nazwy ukazujących się dworów i kolonii, ale woźnica nie umiał mówić po rosyjsku; pokazywał znakami, że nie pojmuje, albo wypowiadał wyrazy zgoła dla barynia niezrozumiałe. Urwała się tedy rozmowa i baryń musiał poprzestać na przysłuchiwaniu się świergotowi skowronków, który był dlań zrozumialszy od mowy polskiej. Gdy się dzień wylaniać począł, rozblękitniały w dali pasma lesistych wzgórz. Rozłucki spróbował raz jeszcze dowiedzieć się od woźnicy, co to za lasy, i wydobył nareszcie z niego ich nazwę ogólną. Posłyszawszy tę nazwę zawinął się z niechęcią w szynel i drzemał aż do Oplakanego.

Przybył na miejsce rano, około siódmej. Wjechał na dziedziniec z długiej, starożytnej alei topolowej przez rozwaloną bramę. Konie stanęły przed gankiem dworu, murowanego przed jakimi kilkudziesięciami laty. Na spotkanie gościa wyszedł generał, starzec już zgrzybiały, lecz jeszcze wyprostowany, czupurny i srogi. Pomimo tak wczesnej pory był już wymyty, wyczesany i głośno stukający obcasami wysokich butów. Spodnie miał z szerokim czerwonym lampasem i półwojskową kurtkę. Witał przybysza bardzo serdecznie, ścisnął go wielokrotnie i przypatrywał mu się długo, osłaniając dłonią oczy od ранnego blasku słońca. Nareszcie młody artylerzysta mógł rozmówić się z kimś przyjaźnie w zrozumiałej dlań mowie. Toteż nie skąpił sobie uwag i wynurzeń. Starzec słuchał go pobłażliwie, choć nie wszystko — widać było — akceptował.

Po kawie, którą wypili we dwu w jadalni pełnej much i zapachu poziomek, stary generał odprowadził krewniaka do pokoju na końcu dworu, gdzie czekało posłane wygodne łóżko, a nawet zostawiony przez troskliwą rękę diduszki tom nowel Turgeniewa.

Piotr rozebrał się co tchu i w mgnieniu oka zasnął. Obudził go po upływie paru godzin turkot pod oknami, gwar i zajadłe szczekanie psów. Okno pokoju było zastawione siatką, ale muchy dostawały się wewnątrz i gryzły ze zdwojoną zajadłością. Artylerzysta umył się, wyczesał, ubrał starannie w swój kostium i sprężyste zmierzał przez szereg przyległych pokojów do największego, skąd słychać było echo rozmowy. Otworzył drzwi i wszedł do sali. Dziadek wstał na jego powitanie i zaznajomił z rodziną.

Piotr poznał swych stryjeczno-stryjecznych Rozłuckich, których było sporo w pokoju. Przybyli z tej racji, że był to dzień niedzielny. Siedząc po różnych folwarkach i dzierżawach w okolicy, na niedzielę zjeżdżali do Oplakanego, gdzie był kościół i gdzie czynili zadość sentymentom familijnym. Najstarszy z synów generała, podtatusiały kawaler, Hipolit, gospodarował w Oplakanem. Był to wysoki pan na czarno ufarbowany, z bokobrodami, jakie się widuje na dawniejszych litografiach — ponury i w ogóle nieprzychylnie względem wszystkich usposobiony. Ten ozięble powitał Piotra zwyczajnym uściskiem ręki — i zaraz począł sprzeczać się po polsku z generałem o jakieś kwestie gospodarskie. Drugi z kolei syn generalski — starszy już także człowiek, Michał, przybył właśnie z Cierniów, folwarku, który dzierżawił. Miał ze sobą córkę, pannę przeciętnej urody, opaloną, zadzierzystą i szczerze wesołą, oraz syna studenta, siedzącego na wsi od dłuższego czasu wskutek jakichś w jego uniwersytecie zajść i zaburzeń.

Wszyscy przypatrywali się Piotrowi ciekawie, ale bez wielkiej sympatii. Niektórzy nawet, jak student, wypalający wciąż istne dystrybucje papierosów, i młoda Kamila — czyli Kama — patrzyli uparcie i wręcz zimno. Piotr był wesoły i tak nastrojony, że gotów był wszystkie te nastroje wszystkich przebaczyć. Poprosił ich szczerze, żeby zechcieli mówić z nim po rosyjsku, gdyż on ani słowa po polsku nie rozumie. Mówił to przyjaźnie i otwarcie, z braterską prośbą o względność. Ale to zupełnie nie poskutkowało. Przeciwnie — nawet zaostrzyło wrogość spojrzeń. Kuzynka Kama zawiązała rozmowę, ale po francusku, a młody student zamknął się w sobie, wypuszczał z ust tylko nieprzyjemne kłęby dymu i nikotynizował się z podwójną zajadłością. Gospodarz Hipolit wyszedł z pokoju i słychać było wnet na gumnie jego donośny głos, dający służbie admonicje i rady w taki sposób, że trzeba było przerwać francuskie parlowanie.

Mówili o rzeczach banalnych i obojętnych, a kiedy Piotr usiłował zbliżyć się do jakiegoś żywotnego tematu, kuzynka zbywała go ironicznym półuśmiechem albo obłudną odpowiedzią. Tylko stary generał otaczał młodego pieczą i grzecznościami.

Wyjaśnił mu tedy w długim wywodzie, że sam jest plenipotentem szczerze obdarowanego kolegi, generała Siegela, który za udział w uśmierzeniu polskiego powstania otrzymał donację z kilkunastu folwarków. Jeden z nich, Oplakane, dzierżawił generał sam, inny folwark, Ciernie, dzierżawi jego syn młodszy, Michał. Na ogół jednak rodzina żyje niezbyt dostatnio, na sposób polskoszlachecki kołając się od dzierżawy do dzierżawy. Gdyby nie generalska emerytura i owo dzięki dawnym stosunkom uzyskane pełnomocnictwo w sprawie wydzierżawiania folwarków donacji — byt całej familii nie byłby zabezpieczony. W tonie mowy generała przebiegał się żal i ledwie poskramiany gniew. Starzec żuł go w drżących wargach i wstawionych szczękach. Wreszcie mruknął:

— Tak to, bracie. Polskie pochodzenie... Niemcy podostawali donacje... Siedzą w Petersburgu. A ty — ot — kołacz się jak szlachetka w tej dziurze. I to już kilkanaście lat. Tak to, bracie!

Machnął ręką. Kama i student Wiktor roześmieli się prawie głośno.

— A ty tam, śmieję się głośniej! — sarknął starzec w kierunku Wiktora. — Już mi o ciebie trzeci raz wytacza sprawę naczelnik straży ziemskiej. Głowę muszę sobie suszyć, jakim argumentem cię osłaniać. Śmieję się głośniej!

— Ja dziadka o opiekę nie prosiłem — mruknął tamten zuchwale i krótko. — Ma do mnie policjant interes — znajdzie drogę, nie ma strachu. Wie on dobrze, gdzie mnie szukać.

— Trafi sam... — dorzuciła Kama.

— Trafi... — syknął starzec. — Posiedzisz znowu rok...

— No, to posiedzę.

— Posiedzisz drugi i trzeci, to cię wreszcie oduczą pleść chłopom sma lone duby.

— Nie dziadek teraz w sądach zasiada, to może tam uszanują mój atlas i epistropheus... — z cicha mruknął Wiktor.

— Milcz! — głucho jęknął starzec.

— Nie zaczepiany zawsze milczę... — odburknął.

Piotr nie rozumiał tej rozmowy, ale odczuł jej nastrój. Stał oczywiście po stronie dziada generała, gdyż powziął był od razu dla niego sympatię. Swoją drogą rad by był wejść w rozmowę z tymi młodymi. Język go świerzbiał, żeby się z nimi zewrzeć w jakimś sporze zasadniczym, jak to bywało z kolegami, kiedy za mało było po temu dnia, nocy i następnej doby.

Tymczasem turkot przed gankiem dał znać, że zajechał pojazd mający zawieźć wszystkich do kościoła. Stary generał oddalił się do swego pokoju i wrócił wkrótce, przebrany w czarny strój cywilny bez żadnej zgoda oznaki wojskowej. Siadł do powozu z synem Michałem, cichym, ustępliwym człowiekiem. Na przednim siedzeniu umieszcila się Kama i Piotr. Proponowano Wiktorowi, żeby się wdrapał na kozioł, ale on z najzupełniej studencką fanfaronadą oświadczył, że w żadnych kościołach nie bywa, że dla niego oto tu jest kościół... Co mówiąc wskazał na niebo, lipy i zboża za bramą. Generał poczerwieniał ze złości jak ćwikła i począł mruczeć coś do siebie mieszając polskie i rosyjskie wyrazy o twardych brzmieniach. Wiktor uklonił się, skierował kroki swe w pole i znikł na zakręcie.

Do kościoła było ze dwie wiorsty wyboistej drogi. Świątynka stała na górcie, wśród lip i wiązów, w samym środku olbrzymiej wsi, która łańcuchem chat, stodół i ogrodów przepasywała szeroko rozsiadłe wzgórze. Ludzie szli na nabożeństwo — chłopci w brnatnych, ciężkich butach i nie lżejszych kapeluszach, kobiety i dziewczęta w chustkach i spódnicach tak barwnych, że aż oczy bolały. Całe ich kolorowe rojowisko z gwarem krążyło pod murowanymi furtami kościelnego cmentarza. Tamże stały bryczki, powozy i wołanty szlachty z sąsiedztwa. Pierre, który taki widok miał przed oczyma po raz pierwszy w życiu, nie mógł ich nim napaść. Ale też i on ścigał na siebie oczy wszystkich ludzi. Ponieważ prastary, ciasny kościółek zapchany był już tak szczelnie, że palca by tam nie wcisnął, więc całe oplakańskie towarzystwo zostało na cmentarzu pod lipami. Zresztą Piotr był prawosławny i wprost nie śmiał tłoczyć się do wnętrza, choć rad by był zobaczyć, jak też to tam jest w samym środku u tych sowraszczonnych w łatinstwo.

Na dworze było bardzo pięknie. Kolosalne lipy pijące od stuleci sok z prochu praszczurów tych, co się w ich cieniu teraz modlili, użyczały dalekiego i szczodrego cienia. Roje ptasząt świergotały w

gęstwinie koron — z głębi kościoła brzmiał ton organów, a czasem samotny głos "kanonika" wygłaszającego odwieczny tekst łaciński.

W pewnej chwili wielki tłum ludu wysypał się z kościoła na cmentarz i wolno sunął ławą. Za zwartą gromadą wysokich długosukmianiastych chłopów szły dziewczątka w bieli, z wianuszkami ordynarnych nagietek we włosach, sypiąc kwiaty. Za nimi pod baldachimem proboszcz w złocistej kapie podtrzymywany przez dwu co najgrubszych dziedziców z okolicy. Za baldachimem pchał się natłok "narodu" śpiewając co pary w grzesznych cielskach. Dzwonki gwałtownie bijące, potężny śpiew, zapach ziół — wszystko to odurzało Pierre'a. Stał zapatrzony w widowisko. Kiedy proboszcz, tęgi, zażywny moszterdziej, dźwigający ciężką, złotą monstrancję, mijał grupę oplakańską, rzucił okiem na umundurowanego oficera i długo mu się przypatrywał z pilną uwagą.

Podtrzymujący go obywatele — również, chłopci śpiewający z głębi duszy i z głębi ciała — również, dziewczęta sypiące kwiaty — również. Piotr poczuł, że jest tutaj zupełnie niepotrzebny. Miał chęć wynieść się co prędzej. Było mu nieprzyjemnie, a nawet przykro. Te widoki męczyły go i dusiły swą siłą. Kuzynka Kama szepnęła mu do ucha:

— Mundur twój, kuzynie, przypomina tutejszym ludziom rzeczy nieprzyjemne. On to czyni tak złe wrażenie...

Pierre doznał na pewien czas mdłej zresztą ulgi.

Po sumie towarzystwo wróciło do domu w Oplakanem, spożyto z apetytem obiad zgoła polski, wiejski, z półmiskami kurcząt, salaterkami sałaty, z jarzynami i kompotami, po których serce mięknie a myśl popada w optymizm. Po obiedzie spacerowano ociężale w starym i zapuszczonym ogrodzie, bawiono się, jak kto umiał. Kuzynka Kama zagrała na fortepianie w dużym salonie i towarzystwo zgromadziło się na tę ucztę. Przybył nawet z czworaków, zaułków i okólników szorstki Wiktor.

Stary generał wyraził życzenie, ażeby Kama zaśpiewała. Młoda panna wzbraniała się przez wzgląd na srogość krytyki petersburskiego kuzyna — ale wreszcie... Uderzyła w klawisze raz i drugi, przebiegła je. Przerwała i zwróciła się do towarzystwa z zaznaczeniem, że umie ledwo kilka pieśni, a te, które umie, mogą się nie podobać. Ojciec jej, pan Michał, machnął ręką na znak, że ten argument nie ma wartości. Kama zagrała po wtóre ten sam wstęp muzyczny. Zaśpiewała mocnym, pięknym, czystym, choć niewyrobionym głosem pieśń pewnego młodego muzyka do słów Juliusza Słowackiego:

Anioły stoją na rodzinnych polach

I chcąc powitać lecą w nasze strony,

Ludzie schyleni w nędzy i w niedolach

Cierniowymi się kłaniają korony.

Idą i szyki witają podrózne

I o miecz proszą tak jak o jałmużnę.

Znowu przebrzmiał burzliwy akompaniament, głos z głębi piersi, spod kamienia, co przyciska żywe serce. Zabrzmiały słowa:

Postój! o postój, hulanie czerwony,

Przez co to koń twój zapieniony skacze?

— To nic, to mojej matki grób zhańbiony.

Serce mi pęka, lecz oko nie płacze.

Koń dobył iskier na grobie z marmuru

I mściwa szabla wylazła z jaszczuru.

Stary generał siedział w fotelu i żuł wstawionymi szczękami jakowąś wewnętrzną sprawę czy pasję. Syn jego Michał wpatrywał się spod oka w córkę z wyrazem głębokiego wzruszenia. Wiktor nucił z cicha melodię, zachwycony i nią, i słowami. Pierre nie rozumiał słów, ale melodia wniosła te słowa do jego uszu. Melodia była czarująca jak zapach mokrej gałęzi bzu, z którym na całe nieraz życie zrośnie się jakieś wspomnienie... Ten język wydał mu się po raz pierwszy dość melodyjnym w swej szorstkości. Niezrozumiałe słowa nabrały koloru i połysku. Gdy przebrzmiała pieśń, oficer poprosił o wytłumaczenie treści piosenki. Kama z uśmiechem poprawiła fałdy swej sukni — i rzekła:

— Kiedy te słowa właściwie nic nie znaczą. Jak to w pieśniach... To jest taka sobie polska śpiewanka, może o wielkiej biedzie-niedoli, a może o wielkiej chwalewielkości. Ani w tym ładu, ani składu...

— Ale przecie... — prosił Piotr.

— Nie pojmiesz, kuzynku — wmieszał się Wiktor — bo to jest w samej rzeczy bez logicznego sensu, jak tutaj wszystko. Tak się to śpiewa, jakbyś lustro wszystkiego postawił sobie przed oczyma. Skoro się wpatrzysz, to może zobaczysz w tym lustrze wszystko, co ci potrzeba.

— Ty tam na pewno widzisz wszystko, czego ci potrzeba — zgrzytnął generał, który z Wiktorem stałe toczył batalie.

— A ja tam w samej rzeczy widzę... — roześmiał się tamten wyszczerzając zdrowe zęby.

Kama po namyśle zbliżyła się do Piotra mówiąc:

— Czy nie chciałbyś, kuzynie, pojechać teraz konno do nas, do Cierniów? Tam może ci zdołam wytłumaczyć, co ta piosenka znaczy.

— Jadę! Oczywiście.

— Ja z wami — wmieszał się Wiktor. — Staruszek, jedziesz do domu? — skierował pytanie do ojca, "cichego" pana Michała.

— Jadę. Każ zaprzęgać nasze szkapiny.

— Dziadek mi da kasztankę pod siodło? — poprosiła Kama kokieteryjnie starego generała. — Kuzynek Piotr odprowadzi ją z powrotem na uździenicy obok "Grzywacza", na którym pojedzie teraz z nami.

— Już nie tylko kasztankę, ale i "Grzywacza" zabierasz, Kama... — mruknął Hipolit.

— Jeszcze pewnie i ten konia nie ma — dorzucił generał.

— Ten ma swą szkapę — rzekł Wiktor zapalając nowego papierosa. — Ten nigdy nie liczył i nie liczy na pstrego konia waszej wielkopańskiej łaski.

— Wiktor! — obruszył się pan Michał ze smutną surowością — jesteś niedostatecznie grzeczny względem dziadka.

Syn wahał się przez chwilę, a później, patrząc ojcu prosto w oczy z okrucieństwem i ironią, rzekł z cicha:

— Słuszaju's!

To słowo dziwnie wszystkich ubodło i wzburzyło. Nawet Kama rzuciła na brata gorzkie spojrzenie. Ale student miał wyraz twarzy nieubłagany. Oczy mu się skryły pod zsuniętymi brwiami i nie ukazywały nawet swego złowrogiego blasku. Hipolit wyszedł wielkimi krokami i za chwilę słychać było jego krzyk na gumnie obstalowujący wałacha pod "gapę" i kasztankę pod to "utrapione damskie siodło".

Słychać było nadto:

— A spróbuj mi, spuchnięty pysku, ciasno pozapinać popręgi, to ja ci zapnę tę gębę na obie strony, żebyś był przez dwa ruskie miesiące tłusty...

I tym podobne, nie nadające się do utrwalenia za pośrednictwem druku, lokucje z zakresu słownictwa folwarcznego w stronach tamecznych.

Wkrótce osiodłane i zaprzężone konie stały pod gankiem.

Ojciec Michał usadowił się w małej bryczce bez resorów, ze zwykłymi siedzeniami, Wiktor wdrapał na swego "fornała", Karna dosiadła kasztanki, a Piotr owego "Grzywacza", który od pierwszej chwili począł pod nim stękać jak rataj przeciążony pracą.

Wprost ze starej topolowej alei prowadził w pola trakt szeroki, zjeżdżony w różnych kierunkach. Tu i ówdzie siedział nad tym szlakiem bajor tudzież szarolotnej kurzawy — obłamany jarząb albo pyłem przydęta kępa tarek. Daleko schylała się staraprastara brzoza. Droga owa mijała folwark należący do Oplakanego, który sam, indywidualnie, miał postać oplakaną i wszelkie tytuły do tejże nazwy — później dźwigała się w górę, okrytą już rolami, ale jeszcze tam i sam zaciągniętą nie wykarczowanymi chrustami i pniami po dawnym lesie.

Ze szczytu góry roztaczał się widok na rozległą międzyleśną dolinę. Pośrodku błyszczała rzeka i szeroko rozlany staw. Kama pokazała Piotrowi ów staw, kępy nad nim drzew i oświadczyła, że to są Ciernie. Bryczka pana Michała pomknęła górską drożyną. Jeźdźcy popędzili za nią. Wkrótce znaleźli się na terytorium Cierniów. Miejscowość ta miała charakter podgórski. Jeszcze tam stały kopy suchego siana. Dwukolejowa drożyna krążąc wśród jałowców dobiegła nad staw i zanurzyła się poza jego groblę w urocze, ale karkołomne wąwoziki, "dołki", wyrwy i dość zdradzieckie jeziora. Jechało się tam wprost przez wodę albo wprost przez błoto w pas. Wy tłumaczono Piotrowi, że w tej lokomocji, ściśle miejscowej, nie ma nic zgoła niebezpiecznego, albowiem odwaga zawsze człowieka od wszelkiego wypadku ratuje. Ptaki tam za to w olchach śpiewały piękniej niż gdziekolwiek, pachniały tameczne zioła i kwiaty, szemrały liczne strumienie.

Kiedy bryczka starszego pana za ostatnią rzeczka i czarnym, przyziemnym młynem pięła się pod górka ku dworowi, Piotr spostrzegł tłum wielobarwny młodzieży wiejskiej, który obsiadł na wzgórku grobli figurę świątka pod wielkimi olchami. Oficer rozglądał się na prawo i na lewo po zbożach,

krzewach i ludziach, gdy nagle spostrzegł, że owa gromada dzieci, wyrostków i młodzieży rozpiechła się jak stado spłoszonych ptaków. Tu dziewczyna w wielobarwnej "szmatce" na głowie, w białej koszuli i kolorowej spódnicy dopadła zboża i zginęła w nim jak kuropatwa — tam chłopak, wszystek zgrzebny, biegł bruzdą między owsami. Zza pniów drzew i z głębi krzaków wyglądały głowy dzikusów, z kęp łopianów za parkanami widać było słomiane kapelusze albo płowe czupryny. Wiktor śmiał się do rozpuku patrząc na to widowisko. W pewnej chwili stanął w strzemionach swego podjezdka i począł wołać na wsze strony:

— Bywaj!

Po czym ruszył w górę ku dworowi. Kama wytłumaczyła Piotrowi, o co to chodzi. Pojechali w górę. Dworek w Cierniach mały był, bielony, nieforemny, złamany w sobie. Ściany jego śnieżnie widniały pod nawisłym czarnym dachem. Dzikie wino obrastało ganek. W tyle dworu rosły cztery lipy prastare, z boku grusza olbrzymia rozpościerała nad dachem konary. Całe obejście było wyгородzone płotem-pleciakiem z jodłowych splawin, co nadawało miejscu charakter porządku i czystości. Przed oknami i w tyle domu było mnóstwo kwiatów, nagietek, bratków, balsaminów, lewkonii. Wielkie krzaki klematisów na białych ścianach pięknie się odznaczały. Wygracowane ścieżki biegły w różnych kierunkach i prowadziły do furtek, w ogród na zboczu góry. W głębi ogrodu, na dole, stał samotny, wielki modrzew.

— Kuzynie! — wołała Kama — czy jesteś głodny?

— Nie! — odpowiedział — jestem zachwycony.

— Jeżeli nie jesteś jeszcze bardzo głodny i jesteś zachwycony, to spaceruj sobie tutaj, pomnażaj swój zachwyt, a my z Wiktorem załatwimy lekcję.

— Lekcję? Co za lekcję?

— Taką sobie lekcję, o której nie będziesz mówił nikomu, szczególnie w Oplakanem.

— Dlaczego? Nie rozumiem.

— Możesz sobie nie rozumieć. To tutaj wolno. Idź do ogrodu, patrz na kwiaty, na modrzew, gawędź z naszym papusiem, a na inne rzeczy zamknij twoje oczy rosyjskie i rosyjskie uszy.

Odeszła. Piotr zapuścił się w ścieżki ogrodowe. Ale ogród był niewielki, mało interesujący, zwykły ogród folwarczny — więc wypadło powrócić do domu. Tu czekał pan Michał i wprowadził pod dach. Mieszkanie było małe, złożone z paru izb zupełnie prostych, wapnem bielonych. Dziwiły pod tą niską powalą wykwintniejsze meble i sprzęty, które się tam znalazły. Bosa dziewczyna podała posiłek: dzieżę kwaśnego mleka, razowy chleb, żółte, świeże masło. Po tym spartańskim podwieczorku, który Piotr spożył w towarzystwie stryja Michała, obadwaj wyszli na groblę. Miejsce było nad wyraz piękne — obraz cichości i spokoju. Stryj łamanym rosyjskim językiem rozpytywał o krewnych w Rosji. Piotr szeroko opowiadał wszelkie szczegóły.

— Jak stryjowi wiadomo — mówił — Piotr w randze sztabs-kapitana umarł na Kaukazie. Był bezzenny. Po zmarłym w powstaniu polskim młodszym jego bracie, Janie, zostałem ja jeden oraz młodsza od tamtych dwu braci ich siostra a moja ciotka, Natalia. Wyszła za męża za bogatego obywatela Nietymkina. Mieszkają w penzeńskiej guberni. Po śmierci mojego ojca dar dla dziada za węgierską kampanię, majątek również w penzeńskiej guberni, został cofnięty. Na szczęście ciotka po mężu, który już nie żyje, odziedziczyła duży majątek. Dzieci tam mnóstwo u Nietymkinów...

— Dzieci wychowane po rusku?

— No, oczywiście! To iście rosyjscy ludzie.

— Majątek, mówisz, duży?

— Majątek duży. Gospodaruje u ciotki Niemiec Ludwig...

— A bywałeś tam u nich?

— Jakże! Spędzałem każde wakacje przez cały czas pobytu w korpusie i w szkole artylerii.

— Cóż dzieci, dobre?

— Nie można powiedzieć. Jeden był ze mną w korpusie, tylko niżej, Borys. — Wiera Leontiewna w Maryjskim Instytucie, ładna dziewczyna.

— A ciotka? Jakież z nią twój stosunek?

— Ciotka była dla mnie dobra, choć to na ogół sroga dama. Kiedy się zjawia w Petersburgu, nie tylko krewnych trzyma w łapie. Wszyscy muszą tak chodzić, jak ona każe. A czy stryjasek nie zna ciotki Natalii?

— Nie znam — sucho odrzekł stryj Michał.

— Jak to? Zupełnie?

— Zupełnie.

Po chwili stryj Michał dorzucił:

— Widzisz, kochany kuzynie, my już należymy do innych narodów, nie tylko do innych gałęzi rodzinnych.

Strzepnął palcami i zamilkł.

Od strony folwarku doleciało echo chóralnego śpiewu. Piotr nastawił uszu. Pan Michał machnął ręką i ciągnął swego gościa dalej, za staw, na suche łąki, popod zboża. Ale śpiew był tak rozgłośny, że Piotr przystanął. Nie znał tej melodii, nie słyszał jej nigdy. Z miejsca, gdzie się zatrzymali, widać było w poprzek stawu i gumna rozwarłe wrótnie stodoły folwarcznej i skupiony wewnątrz tłum młodzieży.

— Co to oni tam robią? — spytał Piotr ciekawie, wskazując na ową stodołę.

— Tak, ot... Dobre obydwójce dzieci, uważasz... Uczą wiejską łobuzerię, wykładają różne pożyteczne wiadomości. Szkół u nas nie ma, więc tak, ot...

— A dlaczegoż szkół nie budują? — pyta Piotr.

— Dlatego, że nie wolno — dobrotliwie jak zawsze wytłumaczył stryj Michał.

Oddalili się znacznie od zabudowań. Weszli suchymi ścieżkami na łąki, potem w zagaja brzozowe nad strumykami, w poprzek łąk dążącymi ku rzece. Równe łąki były już pokoszone i ścięty potraw nowo już puszczał pióra. Stamtąd, z daleka, widać było dworek w Cierniach nad stawem, jak się

wszystek odbijał w gładkiej toni ze swymi wyniosłymi drzewami, które nad jego dachem chyliły się łagodnym kłębem koron.

Stali obadwaj w milczeniu, w bezwzględnej ciszy tego obszaru. Piotr spojrział na stryja Michała i poczuł doń głęboką sympatię. Chciałby mu to być jakoś wyrazić, jakoś tego dowieść, ale wstydził się podobnego afektu. Więc się tylko nastawił chmurnie i patrzył w dal. Leniwie wracali ku domowi. Wieczór się zbliżał. Lekka mgła występowała nad staw i przyległe doń zarośla. Kama i Wiktor wyszli na spotkanie "kuzyna".

— Stodołę mi kiedy spalisz tą twoją latarnią... — mruknął do syna stryj Michał.

— Wody tu Pan Jezus nie poskąpił, to się ogieniaszek za leje w nagłym razie. Potem można będzie wziąć pełną asekurację — i "partia"!

— Tak, tobie zawsze w głowie frazesy.

— Jako że się na adwokata "obuczam". A stodoła teraz pusta jak frazes — przednówek w niej widać nieuświadomionym okiem. Ani cebulki, ani w co wkrajać! Doskonale się w niej naukowe pewniki rozlegają. Już też, papuś dobrodziej, jesteś bogacz cwany — no!

— Kuzynko Kamo — mówił Piotr — muszę już jechać. Nie wytłumaczyłaś mi tej piosenki, coś ją śpiewała...

— A nie. I nie wytłumaczę.

— Tłumacz sobie sam... — mruknął Wiktor skracając w palcach grubego papierosa.

Piotr był trochę dotknięty tym, co mu ci obydwójce mówili. Trochę zresztą był zaniepokojony w sobie, jakiś jakby skompromitowany. Ci troje byli tacy spokojni, pewni każdego swego kroku na tym skrawku nieurodzaju, wyrw i dziur. I Piotr był pewien siebie, ale tych ludzi jakoś przez skórę polubił. Pośpieszył do dworu, zażądał, żeby mu osiedlano "Grzywacza", który z przebiegłym pośpiechem chrupał cudzą trawę. Przyprowadzono również i kasztankę. Piotr wskoczył na siodło "Grzywacza", a kasztankę poprowadził jako luzaka. Jechał pod górę popędzając konie. Na szczycie zatrzymał się i długo patrzył na tę okolicę. Wieczorem już przycwałował do Oplakanego.

Wchodząc na ganek ogrodowy zastał tam dziadka generała, starym obyczajem kurzącego fajkę na długim cybuchu. Światła nie było w tym ganku oszklonym, więc starca ledwo było widać. Wkrótce nastał mrok zupełny. Obadwaj siedzieli w milczeniu. Piotr widział tylko żar w fajce starego pana... Marzył o życiu, które tu zobaczył. W oczach miał korowód osób, gmatwaninę pospolitych zdarzeń, w której każdy szczegół wbił się w pamięć z nadzwyczajną wyrazistością. Miał zamiar wyjść do ogrodu i chodzić po alejach do późnej nocy. Przez uszanowanie dla dziadka nie ruszał się czekając, aż staruszek sam się oddali. Fajka starego generała zgasła. Milczenie trwało. Piotr sądził, że może dziad zasnął w fotelu. Generał Rozłucki nie spał. Rzekał po rosyjsku:

— Piotruś — a ty ojca pamiętasz?

— Nie... — odrzekł Piotr po namyśle. — Coś jak we mgle... Mam czasem w myśli jego oczy. Mgliste, niebieskie oczy.

— Niebieskie. A ty wiesz, jak to tam z nim było?

— Nie.

— Chcesz wiedzieć?

— Owszem.

Generał znowu umilkł. Zdawało się Piotrowi, że się rozmyślił i nic nie powie. W pewnej chwili starzec poruszył się w fotelu i począł wyraźnie, twardo, ze wszelkimi szczegółami opowiadać historię rozstrzelania Jana Rozłuckiego.

Rozdział IV

W kilka dni później Piotr wyruszył do miasta dla objęcia służby w baterii artyleryjskiej, do której był przeznaczony. Dziadek generał wybrał się z nim w celu załatwienia swych spraw prywatnych, ale również z zamiarem przedstawienia krewniaka generałowi dowodzącemu, którego znał z lat dawniejszych. Kiedy wyjeżdżali z bocznych, opłakańskich dróg i docierali do szerokiego traktu, stary pan wydał furmanowi polecenie, żeby jechał nie drogą zwykłą, czyli gościńcem, lecz inaczej. Na rozstaju dróg kazał skrócić w lasy i przedrzeć się wprost przez góry. Woźnica w głowę zachodził, co to za droga tak niezwykła, i jawnie mruczał pod nosem o niepotrzebnym zamęczaniu koni, o niebezpieczeństwie grożącym resorom starego pojazdu. Generał kazał mu milczeć i jechać według rozkazu. Sługa spełnił ten rozkaz. Gdy po przebyciu góry wyjechali z głuchych lasów, ukazały się przestwory nie zalesione i nieuprawne, pastwiska i mokradła na pół zarosłe. Piaszczysta droga, poprzerastana korzeniami drzew, których już dawno nie było, przecinała to pustkowie.

W pewnym miejscu starzec kazał stanąć. Wysiadł z powozu i Piotrowi dał niemy znak, żeby poszedł za jego przykładem. Służącemu polecił jechać dalej noga za nogą i zatrzymać się dopiero w opłotkach. Furman zdziwił się w sobie, ale wiedząc z doświadczenia, że ze starszym panem nie ma dyskusji, pojechał noga za nogą, zatopiony w rozmyślaniu, czego też ci panowie w tych pastwiskach szukać mogą. Bo że czegoś zamierzali szukać — był pewny.

"Kto go wie, czy stary nie schował skarbów w tym miejscu... Skarby tu musiał zakopać w powstanie, teraz se miejsce przypomina, a ten młody będzie kopał" — myślał człowieczyna czatując na chwilę, kiedy można będzie obejrzeć się niepostrzeżenie. Obejrzał się nareszcie ukradkiem na pierwszym zakręcie drogi, ale nic interesującego nie spostrzegł. Obadwaj jego panowie szli wolno drogą. Służący nabrał przekonania, że, widząc, gadają o czymś sekretnie — i na tym poprzestał.

Tymczasem generał trafnie prowadził Piotra do miejsca. Po długich namysłach rozpoznał się w okolicy, odnalazł jej dawną postać i odtworzył ją sobie na nowo w oczach. Aczkolwiek stary las ścięto i wytrzebiono, figura miejsca została ta sama. Oto droga, stara pewnie jak świat — oto jej zakręt, aż wreszcie i sam cel — krzyżowe rozstaje.

Przyszli na miejsce. Ze starej karczmy nie zostało nic. Widocznie pożar ją zniszczył, a komin i piecowiska ludzie okoliczni rozebrali i rozciągnęli po wsiach. Tylko olbrzymie kępy chwastów i czworokątny kształt wzmoczonego porostu pokrzyw wskazywał na ślad dawnej budowli. Po drugiej stronie wygonu naprzeciwko starej karczmy rosła brzoza nachylona, wyniosła, zaiste płacząca. Długie jej różańce sięgały niemal do ziemi, odziemek u wydmy piasku czarny, zbrudzony od szwów i rowów, biegł wyżej białym, potężnym i polotnym pnem i rozwidlał się w liczne i grube konary, rozpadał wysoko w gibkie gałęzie i wici.

Na tej brzozie wisiał krzyż w dziwny sposób o nią zaczepiony. Jego podstawa, niegdyś w ziemię wkopana, ugniła zupełnie i spróchniała bardzo wysoko, że został z niej nad ziemią jeno kolec ku dołowi zwrócony i próchnem ciemnym syjący. Z podpór, które ręka z dwu stron przybiła przed laty, ślad tylko został potrzaskany. Krzyż ów runął był dawno, lecz ręce ludzkie podniosły go, widać, z drogi i ramionami poprzeczniczy zaczepiły o rozwidlające się z pnia dwa konary brzozowe. W taki sposób krzyż się w drzewo wtulił, z jego pniem i gałęziami zjednoczył. Wici go brzozowe okręciły. Na białym odzienku wisiał czarny, znieważony ni to sama postać Chrystusa na drzewcu. Dolny jego kół jak cios boleści nastawił się przeciwko nagiej ziemi. Spękane próchno ostrym kształtem bezzałosnego gniewu zarysowywało się z dała niby nogi jedna na drugą założone i wraz gwoździemi przebite. Pod tym to krzyżem była wydma zapomniana, dzikim zieleń porośla.

Stary Rozłucki przyszedłszy do tego miejsca, rozejrział się jeszcze raz. — Zdjął czapkę. Piotr uczynił to samo. Przypatrywał się temu miejscu, temu drzewu i tym tak przedziwnym zwłokom krzyża. Obadwaj mieli twarze zimne, głuche, surowe. Oczy ich widziały wszystko — każdy badył, każdą gałązkę, każdą okruszynę próchna. Piotr zwrócił się twarzą w stronę mogiły i schylając się nisko, w milczeniu trzykroć złożył na piersiach trzy znaki krzyżowe swej prawosławnej wiary.

Rozdział V

Szefem pułku piechoty oraz baterii artyleryjskiej w mieście był generał Polenow-Czernowratski. Do niego nazajutrz po przyjeździe udał się generał Rozłucki wraz ze swym pupilem, pragnąc ostatniego osobiście przedstawić i polecić zwierzchnikowi.

Generał Polenow, aczkolwiek znacznie młodszy, był ongi kolegą Rozłuckiego w jakimś gdzieś pułku. Później spotykali się również służbowo, gdy Polenow pełnił ważne funkcje w czasie polskiego powstania, "bez pobłażania" uśmierając i karząc. Po przybyciu do domu generała, głównej wojskowej figury w mieście, obadwaj krewniacy musieli po zameldowaniu się przez pewną chwilę czekać. Polenow lubił porządek nawet w świadczeniu grzeczności. Skoro jednak kazał prosić, przyjął gości swych kordialnie. Sam był artylerzystą z wykształcenia, toteż do młodego adepta armatniego rzemiosła, do adepta, o którym w nadsyłanych dawniej papierach czytał nadzwyczajne pochwały i którego atestacje musiał wprost podziwiać — zwrócił się nie z surową, mikołajewską manierą i gwałtownością pozorów, lecz raczej z zaciekawieniem i serdecznie. Starego emeryta Rozłuckiego witał w sposób łaskawie dobrotliwy, głośno serdeczny, jako po prostu dawny mundur bez znaczenia i wartości, rzadko z szafy wydobywany i tracący naftaliną.

Generał Polenow był suchym, wysokim mężczyzną. Łysinę zamaskowywał wichrem z włosów wychodzących pieczołowicie na lewym flanku czaszki. Nosił krótko przystrzyżone bokobrody na modłę późnomikołajowską, które zbiegały do szczętu. Głowę — na przekór, zdaje się, jej dążeniom poufnym — trzymał zadartą do góry. Marsowo również nastraszal wąsy oraz nastawiał oczy w sposób srogo-bestialski. Robił Arakcejewą, jak mówili podwładni, świadomi rzeczy.

Obadwaj Rozłuccy zaproszeni zostali na obiad i aż, do obiadu bawili w salonie. Dom generała stał w obszernym ogrodzie, niemal już zamiejskim. Ogród otoczony był ze wszech stron wysokim ongi murem, rozsypanym już i podniszczonym. Na granicy tego ogrodu rosły olbrzymie lipy i niezmierniej wielkości nadwiślańskie topole. Wśród ich korzeni sączyła się podmiejska rzeczka. W samym środku ogrodu stał dom parterowy, pałacowaty, z mansardowym dachem, niegdyś wielkopańska rezydencja jednej z arystokratycznych rodzin polskich, a obecnie generalska "kwatery". Z salonu prowadziły

wielkie, oszklone drzwi do alei, na której końcu stała nowa altana w czysto rosyjskim stylu, nie pasująca do tego domu ani do niczego w ogóle, jaskrawa i nadzwyczajnie brzydka.

Generał był wdowcem od lat wielu. Mieszkał w tym mieście od dawna i żył się z nim najzupełniej. Po załatwieniu oficjalnego przyjęcia przedstawiającego się młodzieńca gawędził w sposób przyjacielski, a nawet, można by powiedzieć, prowincjonalny i parafiański, o nowościach petersburskich i chętnym uchem łowił nowinki stołeczne, o których Piotr Rozłucki niedbale i sucho wspominał. Na jakie pół godziny przed podaniem obiadu generał polecił staremu lokajowi poprosić do salonu Tatianę Iwanownę. Wkrótce weszła do salonu córka generała, Tatiana.

Zaledwie ukazała się w sali, Piotr Rozłucki doznał szczególniejszego zduszenia w piersiach, jakby przerwania tchu. Tatiana Iwanowna była skończenie piękna. Po matce, gruzińskiej szlachciance, odziedziczyła rysy z lekka kaukaskie, kształt twarzy, formę oczu, zarys brwi i ust, połyskliwą nie tylko czarność, lecz głęboką kruczość włosów. Włosy te były długie, ledwo trzymały się na głowie rozsypującym się, poskręcanym zwojem. Nade wszystko jednak uderzały w tej twarzy — oczy. Oczy te były aksamitnie czarne, o jasnej powłoce, która niekiedy aż w szafirowy przechodziła połysk. Tajne i niewysłowione jak nokturn, uchylały się przed cudzym spojrzeniem, a same w sobie stanowiły wszechświat piękności. Barwa dolnej wargi prześlicznie wykrojonych ust, sama ta barwa, gdyby wszystką urodę twarzy pominąć, stanowiła jedyny na ziemi objaw, który oczarowywał od pierwszego spojrzenia i od pierwszego spojrzenia pogrążał w nieokreślony smutek. Tatiana Iwanowna była wysmukła i wysoka, ale z tego typu pięknych i zdrowych dziewcząt, który rozwija się z czasem w rozrosłe i tęgie kobiety.

Kiedy po przedstawieniu jej przez ojca nieznanym oficerów usiadła nie zażenowana, lecz raczej świadomie ich nie widząca, Piotr Rozłucki spostrzegł przypadkowo, wśród innych wrażeń, jej rękę na zielonej sukni i znowu doznał w sobie ściskającego piersi, ssącego wraz wszystkie trzewia uczucia zachwyty. Ręka ta była piękna jak ziszczony prawzór, jak pierwszy prototyp dłoni tych posągów, które przed wiekami wykuwali ze śnieżnego marmuru greccy artyści. Niedawno w Petersburgu po ukończeniu swej szkoły Piotr samotnie zwiedzał po raz pierwszy galerie Ermitażu. Zdarzyło mu się wówczas marzyć o szczęściu przy posągu greckiej tancerki, doskonałej kopii sławnego dzieła Watykanu z sali delle maschere. Oto teraz zobaczył żywą, białą rękę z palcami alabastrowej przezroczystości, okrągłymi i zwężającymi się ku różowym paznokciom — i po wtóre doznał owego zamraczającego zdumienia, młodocianej niewiary w możliwość istnienia objawów takiej piękności.

Tatiana Iwanowna była ubrana skromnie. Sama była nie to, że nieśmiała, lecz jakoś sennie, marząco pogrążona w sobie. Wewnętrzne wesele, wyniosła i niepobłażliwa ironia, własny świat ufundowany na śmiechu — przeziarał przez ową zewnętrzną mgłę jak promień. Słońce padając z wielkich drzwi szklanych ozłociło jej policzki i przebiło zwój włosów nad czołem przeczystej białości. Piotr zapatrzył się w ów blask, zapomniał się w kontemplacji. Oczy Tatiany przez promień słoneczny odnalezione zamigotały w owej chwili niemal brylantowym połyskiem, załśniły ową turkusową przemianą swoją. Po chwili były to znowu oczy czarne, nieprzejrzane, ciemne. Ich barwa głęboka jednoczyła się czy sprzeczała z białością policzków, tak jak czarodziejski ton muzyczny jednoczy się czy sprzecza z ciszą, która jest przed nim i po nim. Barwa policzków była jak śnieg świeżo spadły. Były w niej wszystkie tajemnice kolorów, gdy słońce śnieg przenika: — nieposzlakowana białość, błękit ledwie poczęty z białości i zachwycający róż odbłasku wieczornej zorzy. Dookoła powiek błąkały się wątle cienie, padające od długich rzęs. Tam to w tych cieniach kryła się płochliwa wiedza młodzieńcza. Ukazywały się niepostrzeżenie sny duszy nie wiedzącej, przeczuwającej, żadnej poznania — i znikwały płoszone jak niebiańscy aniołowie przez zewnętrzne brutalstwo, okrucieństwo i nizotę poziomą codzienności.

Ale w tej pannie nie było nic z przybranego sentymentu, nic z nastrajania się na nutę znaną i modną, nic z jakiegokolwiek snobizmu. Była wciąż sobą. Obojętnie patrzyła, mówiła, śmiała się, zabawiała gości rozmową. W całym jej zachowaniu się była odrobina jakowejś pogardy, wyższości i grzecznością zamaskowanego znudzenia, wskutek tego, że dusza jej i jej piękność była tak nieskończenie odmienna od wszystkiego i tak gdzie indziej. Piotr czuł, że tu nie jest "za szybko" jak wobec Polek, które zdarzyło mu się spotkać — mógł rozmawiać, porozumiewać się, zgadzać na wiele pojęć, a przeciw niektórym protestować, lecz czuł zarazem, że to tylko zewnętrzne obcowanie i przymusowy objaw duchowego współżycia.

"Ona już jest zakochana" — zdecydował.

Ten zaś sylogizm, wypadający z niewiadomych a niewątpliwych przesłanek, napełnił go jakąś rozpaczliwą i ponurą pociechą. Zawarł się w sobie i postanowił nie uchylać drzwi duszy. Nie myślał zebrać o łaskawość, o znížanie się aż do jego poziomu! Miał mocne postanowienie śmiać się cynicznie. Tatiana Iwanowna zdawała się nic nie wiedzieć o tych jego nagłych a niespodziewanych przeżyciach, a nawet o jego fizycznej obecności, chociaż z nim grzecznie rozmawiała. Opowiadała o mieście, o stosunkach, zabawach, przykrościach pobytu w takim zakątku — później o rodzinie gubernatorskiej, wicegubernatorskiej, prezesowskiej, prokuratorskiej, pułkownikowskiej... Wszystko to było wesołe, okraszone dowcipem, nadzwyczaj miłe, lecz miało charakter informacyjny, przewodnikowy i stereotypowy jak jakaś lekcja. Nudziło skrycie informatorkę już na samym początku i w samym założeniu. Piotr doskonale pojmował, że mówi się to i w taki sposób, bo jest to w danych warunkach najwłaściwszy rodzaj rozmowy, skoro już należy koniecznie bawić gości w salonie. Wiedział, że gdyby wyszedł z pokoju, doznałaby znacznej ulgi, usiadła wygodnie z założonymi rękami i wróciła do swych własnych, do tych osobnych, do jej myśli. Odpoczęłaby po tym dyskursie, co się tak niby wesoło i gładko toczył, ziewnęła z zadowoleniem...

Znowu to zduszenie w piersiach...

Generał komendant zwrócił się do córki:

— Tatiano Iwanowna, a toż pokaż Piotrowi Iwanowiczowi ogród. Przecie to zupełny jeszcze cudzoziemiec.

— Pan życzy sobie zobaczyć ogród? — zapytała z ociężałą uprzejmością.

— Jeżeli można... — odpowiedział z tajnym ukontentowaniem, ukrytym w pozorach obojętności.

Tatiana otworzyła wielkie drzwi i wyszła na taras, ułożony z wielkich głazów granitowych. Po schodach zstąpili obydwójce do tego ogrodu. Aleja nie była długa. Wzrok uderzał się o mur i ową jaskrawą altanę. Idąc w cieniu drzew Tatiana obróciła się w kierunku domu i wskazała nań ręką, ze słowami:

— Prawda, jaki dziwny dom...

W istocie — dom był dosyć niezwykły, budowa z końca XVIII wieku, pokryta starą, szerniałą, różową niegdyś dachówką w karby. Ponad parterem o wielkich szybach okien wznosiło się od strony ogrodu piętro z okienkami czteroszybowymi. Taras był imponujący, a całość miała wdzięk rzeczy z lat dawnych.

— Czy pan jest Polak? — zapytała od niechcienia a niespodziewanie Tatiana Iwanowna.

— Pochodzę "z Polaków" — rzekł z wolna Rozłucki — lecz jestem prawosławny i "ruski".

— Tak... — zgodziła się. — Będzie pan miał tutaj nieprzyjemne życie. Bo tu pełno jest tych Polaków. Ja, przyznam się panu, bardzo ich nie lubię.

— Dokuczyli pani?

— Mnie nie dokuczyli, lecz to plemię szczególne. Nas, Rosjan, nienawidzą, a boją się. Toteż wielu płaszczy się. Znałam tak podłych... Inni, nie mogąc się mścić, ze strachu patrzą tylko wciąż złymi oczami. Śmieją się z każdego naszego nieszczęścia, z każdego kroku. Och, nie cierpię!

Gdy to mówiła, rozchmurzyło się jej oblicze i z mgły rzęs wyszły oczy. Powiedziała tych kilka słów szczerze, ale wnet wycofała się z tej szczerości. Doszli do drzwi altany i Piotr Rozłucki wstąpił do środka. Był tam stół okrągły, drewniane ławki, okryte poduszkami z czerwonego aksamitu. Na stole leżała jakaś książka. Oficer dotknął jej ręką, lecz poczuł nagle jakiś nieopisany lęk... To miejsce było szczególnie niemiłe, złe, odrażające. Piotr wszedł niepostrzeżenie w stan rozzuchwalenia właściwego jego naturze, jak wówczas, gdy "kusił" księcia. Zwrócił się wprost do Tatiany Iwanowny i rzekł:

— Nieprawdą? — pani kochała się nieszczęśliwie w jakimś pięknym Polaku...

Wysłuchiwała tego zdania z obojętnością. Później uśmiechnęła się...

— W Polaku?... Nie. Zachowaj Boże!

— A są i piękni. Widziałem jadąc przez Warszawę.

— Nie rozumiem, jak można rozmawiać o rzeczach przyjemnych i subtelnych ich szeszczącym językiem. Coś tylko wciąż świszczę albo zgrzyta i szczeka w tej mowie.

— Nie zawsze. Słyszałem jedną poezję, w której były bardzo piękne dźwięki.

— Pan to wszystko rozumie?

— Nie, prawie ani jednego wyrazu.

— Tu się pan pewnie prędko nauczy, bo tu nie tylko mężczyźni są piękni, lecz i "panny". Widziałam piękne na balach tutejszych. Pamiętam jedną ze wsi, szatynkę, młodziutką. Poprosiłam ją na chwilę o wachlarz, gdyż swój zarzuciłam w tańcu. Spojrzała na mnie tak dzikimi oczami, jakbym była jej wrogiem od urodzenia, a przecież nie widziałyśmy się przedtem nigdy.

— Pani także ich nienawidzi. To niedobrze.

— Czemu to "niedobrze"? Oni umieją nienawidzić, to i ja. Ile razy idę przez tutejszy park miejski, ile razy jadę powozem, czuję ze wszech stron złe spojrzenia, czytam we wszystkich oczach odrazę. Gdziekolwiek spojrzeć, w którąkolwiek stronę, zawsze się spotka jakieś paskudnie patrzące oczy. Tworzy to jakby chmurę nienawiści...

— Czyżby oni mogli nienawidzić pani? — zapytał Piotr z namysłem, niemal bezwiednie i nie jej, lecz raczej siebie.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się bardzo powabnie, zupełnie inaczej, kusząco w sposób szatański, zalotnie i prawie bezczelnie. Rzekła cicho:

— A jednak, widzi pan — nienawidzą.

— Gdy tu pomieszkam, to zobaczę, czy istotnie ci ludzie mają względem pani tak złe uczucia. Może to tylko niesprawiedliwe uprzedzenie. A czy pani na ogół biorąc jest sprawiedliwa?

— O, nie.

— Niesprawiedliwa?

— Tak.

— Zawsze?

— Zawsze.

— I to już taka zasada i metoda?

— A tak. Sędzia pokoju czy okręgowy niech sobie będzie sprawiedliwy, bo mu za to płacą pensję, dają gratyfikacje, dodatki różne, na mieszkanie, na kształcenie dzieci. A ja z jakiej racji mam być sprawiedliwa? Ja jestem osobno. Żyję po swojemu i myślę tak, jak mnie samej wypada.

— A jakże to po swojemu?

— A to jest właśnie sekret, którego się nie mówi.

— I to już taka zasada i metoda?

— Już trzeba iść na obiad — rzekła wymijająco i zawróciła ku domowi.

Piotr rozejrzał się po tym ogrodzie, rozejrzał się ciekawie i pilnie, pilnie...

Rozdział VI

Piotr Rozłucki otrzymał na "kwaterę" mieszkanie w pewnym domu, już przedmiejskim, sąsiadującym z koszarami baterii artyleryjskiej i polem jej ćwiczeń. Dom ów należał do kategorii budynków, jakie widzieć można jedynie w miastach gubernatorskich, daleko od linii kolejowych położonych. Front jego od podmiejskiej uliczki miał postać dworku dawnej formacji. Był to niby-rodzimy dworek murowany, wilgotny, z tynkiem obłupanym, przegniłym ganeczkiem i szeroko rozsiadłym dachem ze szerniałych gontów; od strony podwórza wyglądał natomiast jak załotna piętrowa kamieniczka zdobiąca rynek gdzieś w powiatowej Stopnicy lub Pińczowie. Na piętrze, a właściwie na pięterku, mieściła się właśnie "kwatery" młodego podporucznika.

Do "kwatery" wchodziło się po schodach przystawionych do ściany, z zewnątrz obitych spróchniałymi deskami i osłoniętych specjalnym daszkiem. Całe to wejście z pewnej odległości podobne było do potwornej zielonkawej liszki, pełzającej po chropawej ścianie z błotnistej podwórka na dach strupieszkały.

Za to sam lokal ogromnie przypadł do smaku nowemu jego posiadaczowi. Składał się z dwu pokojów — ściśle mówiąc, z dwu izdebek, wymalowanych w guście tamtejszym. Do środka wchodziło się przez misternie wąską sionkę, która sąsiadowała z dziedziną szczególnie obszernych strychów. Lokal zaopatrzony był w spiżarnię i różne składziki, zbite z desek niezbyt szczelnie przystających jedna do drugiej. Okna wychodziły na wielki dziedziniec artyleryjski, na szopy, w

których mieściły się armaty, na stajnie, gdzie rżały konie baterii, i na murowane potworności z zielonymi dachami, gdzie spali żołnierze. Piotr urządził sobie mieszkanie w sposób staranny. Nie chcąc nikogo mieć obok siebie i cieszyć się zupełną samotnością, której zażywał po raz pierwszy w życiu, kazał dieńszczykowi nocować w koszarach i jedynie w oznaczonych godzinach zjawiać się dla załatwiania porządków.

Cały dół tej kamienicy zajmował niejaki pan Kozdrój, utrzymujący stancję uczniowską — jakiś renomowany nauczyciel, pedagog i wychowawca, do którego oddawano najbardziej zaawansowanych w karciarstwie i niewzruszonych w próżniactwie elewów gimnazjalnych dla poprawy i wyćwiczenia się w obowiązkach. Rozłucki nie zwracał początkowo żadnej uwagi na sąsiadów z dołu. Zajęty swym mieszkaniem, swą posadą i pracami, nie wiedział o ich istnieniu, choć na nich patrzył. Z czasem jednak musiał z konieczności zwrócić uwagę.

Pupile Kozdroja byli wszędzie: — wrzeszczeli na podwórzu, gromadzili się i łazili po brudnych dylach poza okropnymi kloakami żołnierskimi, gdzie było ich ulubione miejsce zebrań — załatwiali tam w skrytości jakieś czynności papierosiarskie, grali w tajemnicze hazardy — darli się tam nie ludzkimi głosami, dokuczali wszystkim, kto tylko miał nieszczęście bytować w tej dzielnicy — niszczyli wszystko, co się tylko nawinęło pod rękę — wyśmiewali potwornymi swymi drwinami wszystko, co istniało — znęcali się nad słabszymi pomiędzy sobą — bili się wciąż, wykonywali bezlitosne samosądy, mafie i akty najdzikszej niesprawiedliwości — słowem, zatruli jak żółta febra życie tego cuchnącego zacisza.

Chcąc nie chcąc, podporucznik zauważył, że starsi wychowawcy p. Kozdroja mają tajne konszachty z artylerzystami spoza spróchniałego parkanu, że nabywają od soł — datów razowy, żołnierski chleb, tytoń-machorkę i wódkę-siwuchę. Pewien szeregowiec dostarczał codziennie pod parkan obstalowane produkty. Kładł w umówionym miejscu paczuski tytoniu, umieszczał flaszki z wódką, owinięte w stare gazety. Niepostrzeżenie któryś z uczniów ściągał później tę kontrabandę przez proste wsunięcie ręki w szczelinę parkanu z pozostawieniem na miejscu waluty, owiniętej również w strzępek druku. Wracając częstokroć późno w nocy, Piotr spostrzegł, że kiedy na lewej stronie, w mieszkaniu wybitnego pedagoga, było już ciemno i przykładnie cicho, to na prawej, w lokalu umoralnianych, palił się jeszcze ogarek świecy wprawiony w szyję butelki i młodzieńcy z cicha i ostrożnie, lecz w miarę sił i środków jak najhazardowniej zgrywali się w "stukulkę".

Poza dalszym parkanem, oddzielającym teren wojskowo-artyleryjski od cywilnego przedmieścia, istniał pewien zgoła odosobniony dziedzińczyk i długa w nim chałupa — ohydna z wierzchu i niepowabna z żadnej strony — a w niej mieściła się pewna instytucja miejska, której byt finansowy oparty był na skutkach wynikających z beżenności żołnierzy, a poniekąd i na sile młodocianych afektów duchowej czeladki pana Kozdroja. Czerwona firanka wisząca w oknie powołanej instytucji ożywiała monotonię nawozów i śmietników, odrapanych murów i zgniłych parkanów w tej dzielnicy miasta.

Wszystko to niezmiernie Rozłuckiego bawiło. Zaczai podpatrywać to bujne życie młodzieży gimnazjalnej. Niektórzy z dryblasów pana Kozdroja byli już w wieku "popisowym", a co było najzabawniejsze, że obok takich wyrostków pod wąsem podlegali umoralnieniu i naprawie obyczajów chłopcy nieletni. Wszyscy ci pensjonarze bez różnicy wieku toczyli zażarty, nie przebiegający w środkach, nie ustający nigdy bój z pedagogiem Kozdrojem. Ponieważ trzymano ich na tej stancji niemal pod kluczem, pozwalano wychodzić jedynie na podwórze "za potrzebą", nie wypuszczając owo zgoła za bramę domu, na miasto — który to środek stanowił jedną z podwalin umiętynie

obmyślanej i celowo stosowanej pedagogiki — a traktowano jak więźniów, więc i ów bój miał charakter więzienny, grubiański i ponury. Strawę dawano nieosobliwą.

Pewnego popołudnia Piotr spostrzegł przybity bretnalem w bramie domu na ścianie zewnętrznej jakiś przedmiot szczególny. Zainteresowany, poprosił o wyjaśnienie jednego ze swych młodocianych sąsiadów. Objaśniono go w języku rosyjskim, że przedmiot przybity jest to potrawa zwana "prażuchą". Dodano, iż potrawa ta źle jest przyrządzona, nie smakuje nikomu, a zbyt często jest podawana, ażeby jej w taki sposób nie zademonstrować szerszemu kołu przechodniów i obywateli miasta.

Tysiączne dowody mściwości młodzieniaszków uderzały Piotra na każdym kroku. Niektórzy z nich pochodzili widocznie z rodzin zamożniejszych, ze sfery ziemiańskiej, więc stawiali się wychowawcy hardo, a ten traktował ich jak zbrodniarzy. Wywiązywały się awantury na całe podwórze, a nawet na całą połą przedmieścia. Piotr począł odróżniać jednych kozdrojowców od innych, jakoś związał się sympatią z jednymi, a antypatią z innymi, choć żadnego z nich nie znał osobiście. Patrzył niemal na wszystko, co wyprawiali, i bawił się wybornie, nie postrzeżony wcale, obserwując ich życie. Codziennie, nieraz w różnych godzinach, oprócz samego p. Kozdroja, zwiedzali ten zakład specjaliści rewidenci gimnazjalni, pomocnicy gospodarzy poszczególnych klas. Rewizje były bezskuteczne, gdyż dowody winy niweczyła ostrożność młodzieńców, znaki ostrzegawcze, tajemnicze świeszczenia, sygnały alarmujące i hieroglify kredą pisane na słupach.

Własne swe życie Piotr urządził sobie w sposób wygodniejszy wprawdzie od kozdrojowskiego, czym się nadzwyczajnie cieszył i świadomie napawał — ale dosyć jednostajny. Rano siedł na musztrze, do czynności zawodowych w koszarach i przy baterii — później na obiad — później drzemał. Po drzemce wychodził na miasto, do cukierni — spacerował... Żył w gronie kolegów, pędzących tu już od dłuższego czasu ustalone w swych formach życie oficerskie. Co kilka dni wypadała u któregoś ze starszych kolegów zabawa, tak zwana popojka, czyli wielkie picie wódki w różnych jej postaciach — po czym śpiewy, różne zabawy — a wreszcie nieprzystojne z osobami innej płci obcowanie. Nazajutrz znowu następowała musztra, obiad, drzemka, spacer, wieczór w domu albo u któregoś z kolegów popojka. Kiedy niekiedy przerywała ten normalny tryb życia jakaś wydatniejsza co do ilości i jakości alkoholu eskapada w restauracji, w liczniejszym gronie osób innej płci, zabawa z orkiestrą, tłuczeniem próżnych butelek, których szeregi szczerwany restaurator ustawiał na ekranie jako okazy likierów i win najdostojniejszych swego zakładu. Czasami znowu wypadała urzędowa wizyta, imieniny, dzień recepcji u kogoś z wielkich figur miasta. Do najpożądanych należała zawsze wizyta u generała. Oficerowie kochali się skrycie w Tatianie Iwanownie całymi plutonami, lecz, dziwna rzecz, nie lubili o niej rozmawiać.

Twierdzili, że patrzy zawsze w przestrzeń albo w okno. Piotr również nie lubił jej za dziwny sposób zachowania się, lecz tęsknił za dziwactwami Tatiany Iwanowny. Tłumaczył sobie, że tęskni tak z nudy życia w tej monotonnej, cichej, gubernialnej miejscinie.

Nic w tym grodzie nie było interesującego. Wiedziało się, że nazajutrz będzie najzupełniej to samo, co było dziś, co wczoraj, co w zeszłym tygodniu. Nade wszystko nużyła nieznajomość i obcość tamecznego życia oraz nieznajomość miejscowego języka.

Piotr szybko przyswajał sobie mowę polską, choć jej się wcale nie uczył. Studiowanie specjalne tego języka uważałby za czynność po prostu nieprzyzwoitą, banalną, nie uchodzącą w dobrym i dobranym towarzystwie zwierchników i kolegów. Lecz język ów wciskał się do świadomości i

przylegał do pamięci wszystkimi szczelinami, porami, czepiał się myśli i osaczał ze wszystkich stron. Chcąc czy nie chcąc, z nudy życia wchłaniało go się jak zapach roślin, przyswajało sobie nie wiedząc o tym. Narzucała się ta mowa zewsząd — z szyldów, z rozmów przechodniów na ulicy, z okrzyków nocnych, biła z pracy jak opar potu, pełna groźnego, niepojętego uroku, dumy i wzniosłości, wypływała odgłosem nieznanej pieśni z tajemniczych naw gotyckiego kościoła, tryskała jak woda zdrojowa z gwaru i ulicznej zabawy łobuzów szkolnych — jak dziwnie wesoły symbol zjawisk nieznanych ukazywała się i przywierała do słuchu na zawsze — z ust sprzedajnej dziewczyny.

Z wolna, niepostrzeżenie Rozłucki wdrażał się w język polski i spoufalił z nim w sposób szczególny. Poczęły go wkrótce gniewać wyrazy, których nie rozumiał, niepokoić słowa stare jak plemię polskie, tajemnicze jak przeszłość i bolesne jak los. Złościły go rozmowy, których w cukierni nie rozumiał. Nade wszystko nękały krótkie, urwane półsłówka, metafory, lotne przenośnie, piękne jak motyle określenia sfruwające w wesołej rozmowie, albo niepostrzeżone i chybkie jak spojrzenie ucinki i przymówki padające z ust kobiecych. Jeżeli jednak od kogo nauczył się najwięcej, to właśnie od kozdrojowców. Tu każda przenośnia była naocznie demonstrowana przez odpowiedni przykład z życia — każdy najbardziej zagmatwany dowcip tłumaczyła dokładna znajomość tła, z którego wypływał. Toteż Piotr miał na swym podwórzu jakby nieustającą lekcję tego języka, zepchniętego na podwórza i śmietniki. Podobnie jak podpatrywał ze swego okna życie i czyny elewów p. Kozdroja — dla rozrywki — tak samo, ażeby dokładnie rozumieć cały sens tej rozrywki, wiedzieć, o co chodzi — podsłuchiwał język, przyswajał go sobie i zagłębiał się coraz bardziej w jego tajniki.

Rozdział VII

W końcu listopada skorzystał z pięknej, jesiennej pogody i wyruszył konno, w towarzystwie służącego, w odwiedzinach do dziadka. Zabawił tam dzień jeden, a następnego wpadł do Cierniów, do stryja Michała, którego bardzo, już za pierwszej bytności, polubił. Stryj Michał był na swym folwarku sam jeden, gdyż dzieci pracowały — jak mówił — na świecie. Kama była nauczycielką na jakiejś pensji w Warszawie, a student siedział na kondycji w Suwalszczyźnie. Rodzaj życia stryjaszka Michała w samotności nie odbiegał w tej porze od poziomu żywota chłopów. Izdebki dworu wydały się Piotrowi nad miarę niskie i małe, pożywienie nadzwyczaj proste, usługa najpierwotniejsza.

Zaskoczony wizytą stryjaszek nie bardzo czym miał poczęstować strojnego oficera. Skazano tedy gorącym prawem na pieczone sędziwego koguta i Piotr musiał wypróbować mocy jego konsystencji w rosole, potrawce i na półmisku. Po tej uczcie, którą we dwu spożyli, stryj zaproponował gościowi małą wycieczkę w pole. Ponieważ przechowywał dubeltówczyńę Wiktora, więc ją sam naoliwił, oczyścił, nabił i wręczył Piotrowi. Sam ze swoją dość starożytną kapiszonówką na ramieniu poprowadził w pole. Dwa ogary biegły przodem, radośnie skomląc. Obadwaj myśliwi wyszli przez groblę za staw, na wzgórze okryte jałowcem, stamtąd po moście z okrągłaków przeprawili się za rzekę na sąsiednie wyniosłe płaszczyny, porośnięte również jałowcem, brzoza i sośniną. Wygon zadarniowany żółtą trawą wiódł ich między kępami zarośli w głąb gajów. Psy trafiły na trop zajęczy i melodyjnie poszczekując pognały w sąsiedni las głęboki, senny, wielobarwny od jesiennego słońca. Dzień był suchy i łagodnie ciepły. Przygrzewało, ale pomimo to chłodek przenikał czyste powietrze. Nieruchome krzewy jałowcu pachniały, czerwony liść sypał się z brzozy, a ostatni lekko kołysał się od niepostrzeżonego powiewu.

Niezbym udawało się to zaimprovizowane polowanie. Myśliwi znaleźli wykrot starej jodły, uschły przed wieloma laty, i usiedli na nim dla wypalenia papierosów.

Stryjaszek Michał kręcił swego w palcach, z grubego dosyć tytoniu, zawijał go w bibulkę wydartą z ordynarnej książeczki. Odziany w krótką kurtkę z szarego sukna, grubą i podszarzaną, w sukienną czapkę i grube buty, pasował do tego otoczenia, do spłowiałych ściernisk i do drzew o zwiedłym liściu. Twarz jego była piękna, pogodna, o rysach regularnych, istic polskich, koścista i ściągła. Siwe, przejrzyste oczy, wypełzłe już, były wesole i spokojne, a cera twarzy czerstwa i zdrowa jak ów słoneczny dzień jesieni. Piotr sprawdzał w sobie niejako sympatię dla stryja i znajdował spotęgowany jej stopień.

Pragnąc mu sprawić przyjemność nachylił się niepostrzeżenie i zaczął mówić po polsku. Przemawiał na głos w tym języku, jak mu się zdawało, po raz pierwszy w swym życiu. Po raz pierwszy wyraził głośno myśli, które już nieraz po cichu, niejako w sekrecie, dla siebie tylko, ubierał w słowa polskie. Był to eksperyment dla niego samego tak niezwykle, że się cały oblał rumieńcem jakiegoś szczególniejszego wstydu.

Oczy stryja Michała poweselały w dwójnasób, gdy usłyszał zdania nieźle wypowiedziane przez Piotra. Nic nie rzekł, tylko się poważnie zaciągnął dymem swego papierosa.

— Kaleczę język i nic więcej... — mruknął Piotr, zmieszany i zły na siebie, że to zrobił.

— Niechaj-no... — z najłagodniejszym pobłażaniem rzekł Michał.

— Trudny język.

— Może on i trudny — kto go wie? Jak nim mówić, to łatwy. Ani się spostrzeżesz, gdy będziesz mówił tak samo jak i my.

Piotr zamierzał stwierdzić, że to jest jeden z języków obcych, którego się chce nauczyć, skoro tu mieszka — ale z obawy, że stryjowi może sprawić przykrość, zmilczał. Nasepił się tylko jak jastrząb. Niezgrabnie, dla zamaskowania rozterki, ćmił papierosa i nasłuchiwał, czy ogary nie grają. Była cisza zupełna. Małeńka ptaszyna jesienna, buroczerwona, przegowata zięba poświstywała beztrwożnie, samotna, leśną piosneckę swoją na gałęzi osiczyny. Piotr poczuł w sobie przekorność, która była cechą jego natury — żądzę ryzyka, pasję, żeby wszystko postawić na ostrzu noża. Popchnęła go do tego niejasność położenia, która się wytworzyła między nim a stryjem po tym polskim przemówieniu. Przez chwilę namyślał się głęboko, ciągnąc silnie dyni z papierosa, ważył to, co ma powiedzieć. Odezwał się dobitnie po rosyjsku:

— Chciałbym stryjaszka zapytać szczerze i z serca o jedną rzecz...

— Prawdę ci powiem... — rzekł zagadnięty.

— Do czegoż może prowadzić to rozdwojenie, ten upór, ta cała cierniańska polskość? Nie rozumiem tego zupełnie. Jestem tu obcy i nie mogę się ani rusz zorientować. Przecie dziadek — to człowiek ruski z wychowania, ducha i czynów całego życia. A wy — któż wy jesteście, co wy jesteście?

— My jesteśmy Polacy — rzekł stryj.

— Po cóż wam to rozdwojenie? Do czego może prowadzić zatwardziały upór, żeby być czymś, czym się być nie może? To chyba jakieś spory rodzinne i działanie na przekór, jak to w familiach...

— Czymże się to być nie może — powiadasz?

— Przecież byliby wam wszystkim lepiej, serdeczniej, prościej, gdybyście byli jedną zgodną rodziną, gdybyście odrzucili dziwny polski upór. Polski nie ma.

— Tak to niby. Polski na mapie nie ma. Jużci tak. Masz rację... — rzekł rozważnie stryj Michał. Po chwili podniósł głowę i dobrotliwe, mądre, przejrzyste oczy skierował na Piotra.

— Chciałeś — rzekł — żebym ci mówił szczerą prawdę. Dobrze. Otóż — to nie są zatargi rodzinne. My tu w Cierniach jesteśmy sobie Polacy, choć Polski nie ma. Bo widzisz, bracie, Polski tu niby nie ma, ale i Rosji nigdy tu nie było i nie będzie.

— Rosja tu jest! I zostanie! Rosja jest niezmierzoną potęgą, o tym ja wiem najlepiej z doświadczenia i studiów. To, co było Polską niegdyś, dziś jest znikome ilością i bezwzględną słabizną.

— I to prawda. Może nawet być, że to, co było Polską niegdyś, już nigdy tą dawną nie będzie. Każde złudzenie co do tego siła niszczy tak do szczytu, że się trudno łudzić. Ale powtarzam swoje: tu, gdzie teraz jesteś, Rosji wcale nie ma. I wierz mi — nigdy, przenigdy, do końca świata jej tu nie będzie.

— Jak to? — Nie ma władz, wojsk, nie ma administracji, nie ma urzędów społecznych, zaprowadzonych i wdrożonych w ciągu dziesiątków lat, całego porządku i trybu życia, który stał się prawem niepisanym dla całych pokoleń tego ludu?

— Owszem, to wszystko jest, ale jak ta oto kapota, którą mam na sobie. Noszę ją z musu, bom w biedzie, a nawet do niej w ciągu szarego porządku dni — przywykłem. Cóż byś powiedział, gdyby kto przy tobie utrzymywał, że ta kapota to jestem ja sam, człowiek żyjący? Jak to odzienie mogę zrzucić z ramion...

— Stryjaszku, to są przenośnie, podobieństwa, które mogą być efektowne, ale nie oddają istoty rzeczy. Rosja w Polsce — to nie kapota na ramieniu żywego człowieka!

— Mieszkam tu nie od dziś. Urodziłem się i wychowałem w domu na poły rosyjskim. Patrzałem na tyle spraw, które tobie ani przez myśl nie przeszły... Nie jestem łatwowiernym jak Kama ani entuzjastą jak Wiktor. Uważasz — ci, co tu są na tej ziemi i co zostaną tutaj na wieki, bo ich nic stąd nie usunie — chybaby trzęsienie ziemi albo kataklizm geologiczny — chłopci — są tacy sami jak za polskich królów, o których nikt już nic nie wie i nie słyszał.

— Królów! Och — wy — Polacy! Zawsze ci sami!

— Nie śmiej się z istoty rzeczy. To, co mówię, nie jest ani brawurą, ani frazesem, lecz szczerą prawdą. Siła nie istniejących polskich królów jest taka sama, jak była przed wiekami. Leży niezmienna i niezniszczalna w masie polskiego chłopstwa.

— Gdyby nawet tak było, to i cóż z takiej martwej, biernej siły? Należałoby raczej poddać tę masę działaniu kultury. I ja sądzę, że gdy rząd pocznie energicznie szerzyć tutaj kulturę rosyjską za pomocą szkół, stowarzyszeń, instytucji, odczytów, zgromadzeń...

— Rząd tu nigdy żadnej kultury szerzyć nie zacznie... Odczytów, zgromadzeń... — uśmiechnął się stryj Michał. — A no, próbujcie łupić tu rosyjskie swoje odczyty... Rosja zniszczyła wszystko to, co przez dziesiątki lat mógł ze sobą zrobić naród polski. Przez półwiecza całe leżała na nim martwym

ciężarem, jakby kto tę oto brzozę nagiął aż do samej ziemi i na koronę jej świadomie nawalił setkę fur gliny. Nie dała tu nic, ani, jak mówisz, kultury, bo jej przecie sama za grosz nie ma, a tutejszą starą nie kulturę — bo i tu aż cuchnie od dziczy — lecz żywy narodowy rozpęd do europejskiego życia — dławiała wszystkimi siłami i sposobami. I oto jest, jak było przed wieki — szczerą ziemią i chłop ciemny, zabobonny, nieufny, zamknięty w sobie a w zamknięciu swym tający, mówię, wieczną polską siłę. Dziwnym ci się wyda, co powiem: nie pragnę ja nawet waszej oświaty dla tych ciemnych wioszczyn. Niech już ludzie lepiej żyją, jak żyli. Przynajmniej sobą zostaną. Trzeba czekać.

— Ale czyż to jest ideał: zostać sobą — czekać? Czyż nie wyższy to jest ideał poddać się działaniu takiej kultury, jaka jedynie wdrożona tu być może, bo ją będzie popychać wielka siła rosyjskiego mocarstwa? Trzeba tylko, żeby to państwo weszło na drogę, żeby ludzie kierujący przejrzieli...

— A tak — ludzie kierujący... Znam się już na tej śpiewce. Pomieszkasz tu, to zobaczysz...

— Gniewasz się na mnie?

— Broń Boże! Chcę ci powiedzieć, że ten naród tak rozbity, zniszczony, odarty ze wszystkiego, wyzuty z każdego prawa, niemal unicestwiony, istny żebrak — godzien jest władać i rządzić sam sobą. Byłby to jeden z najpiękniejszych narodów Europy, byłoby to jedno z najzdolniejszych, najszlachetniejszych kulturalnych plemion — gdyby nie Rosja. Skoro sobie myślę, co by tu było w tym kraju, gdyby nie Rosja — jakie by tu trzeba na gwałt podjąć i wykonać prace, chociażby w tej okolicy, gdzie mieszkam... Ileż tu jest do zrobienia — na gwałt, dniem i nocą, za całe zmarnowane dziesiątki lat! Ale cóż to gadać na próżno! Mieszkam tu już tyle czasy, całe niemal życie, i nie widziałem jednego ździebła zmiany na lepsze. Nic! Wszystko, jak było złe, tak jest. Złe doznaje poparcia. Szerzą złe i głupie dla złego. W tym celu wyętzają swe siły, żeby złe wiecznie trwało.

— To czemuż sami nie zmieniacie złego na dobre?

Stryj Michał uśmiechnął się pobłażliwie.

— Słyszałeś może, kiedyś tu przyjechał w lecie, jak to mój ojciec groził memu znowu synowi, Wiktorowi, że naczelnik straży ziemskiej dopytuje się o jego sprawki. Zdawałoby się, że Wiktor — to jaki włóczęga albo koniokrad. Dzieci moje nie robią nic złego. Uczą w ciągu lata, oświecają po trosze, żyją z ludem w przyjaźni, radzą, tworzą, co się da, jakiś sklepik, spółkę, szkołkę. Wszystko to jest "dobre", najniezbędniejsze, najzbawienniejsze, konieczne jak powietrze, chleb, woda i mydło. Widzisz, że w tych stronach za takie rzeczy "nie gładzą po główce". Rząd sam nic literalnie nie robi w tym kierunku i nikomu zrobić nie da.

Piotr był nieprzyjemnie dotknięty tym, co słyszał. Nie umiał zaprzeczyć, a nie chciało mu się potakiwać. Toteż zamilkł. W przemówieniu stryja uderzył go jeden szczegół — wzmianka o tym, czym mógłby zostać naród polski, gdyby się sam dziś rządził. To mu się wydało prawdziwym. Powiedział tę myśl stryjowi:

— Na to się zgadzam, że może dzisiejsi Polacy byliby zgoła inni niż ci, co zasłużyli przez swój nierząd na obce jarzmo.

— Tam z tym "nierządem"! — mruknął Michał machnąwszy ręką. — "Nierząd"! Kiedy Polska upadała — trwał sejm, który uchwalił znaną Konstytucję Trzeciego Maja. Gdyby ta konstytucja weszła była w życie, gdyby w ciągu stulecia ubiegłego była ulepszana i rozszerzana, to czy ten kraj tak by teraz wyglądał, jak wygląda? Jeszcze nie wiadomo, gdzie był większy "nierząd" wówczas, gdy Polska upadała...

— No, no — protestował Piotr — stryjasek popadnie w szowinizm i nie będziemy mogli skończyć dyskusji. .

— I ten "szowinizm" — to tylko w Polsce widzą. Co prawda, to tyle jest dziur w łachmanie, którym jest okryta, że go łatwo dostrzegają oczy... cudzoziemców. Wszystko jedno zresztą. Nie jestem historykiem i nie o przeszłość tu idzie, lecz o przyszłość właśnie. Za winy, a raczej za poślizgnięcia się, za błędy prapradziadów nie dają praprawnukom polepszyć doli swojej i pracować dla biednego ludu. Taka to jest mocna i dobra, "słowiańska" historyczna metoda.

Stryj Michał skrzył nowego papierosa, umieścił go w przepalanej papierošnicy. Rozmowa ustała. Obadwaj niezręcznie zacięli się w milczeniu. Udawali, że nasłuchują, czy nie słyhać szczekania psów. Lecz znowu tylko miły świergot ptaszka leśnego przerywał głęboką ciszę.

— Czy wiesz — rzekł stryj Michał — lepiej nie rozmawiajmy o tych tematach politycznych, bo moglibyśmy się poróżnić. Uśmiechnął się bardzo przyjaźnie, życzliwie mówiąc:

— Nie może być między nami zgody ani nawet porozumienia. Ty będziesz myślał po swojemu, a ja i my tutaj — po swojemu. Zgoda?

— No — cóż mam robić? Zgoda.

Zamilkli. Łagodne łśnienie słońca przesycalo widnokrąg daleki. Obadwaj zatonełi w ciszy i własnych myślach. Tak nasłuchując nie tyle może głošów zewnętrznych, ile wewnętrznych, przetrwali znaczny przeciąg czasu. Niebo na zachodzie poczerwieniało.

Piotr ocknął się i oświadczył, że musi jechać. Wracać do miasta. Stryj Michał chciał go na noc zatrzymać, lecz to się nie udało. Wrócili do domu nie doczekawszy się powrotu ogarów. Zaraz po wstąpieniu na ganek Piotr kazał ordynansowi podać konie, które się podpały zdrowo i setnie wypoczęły. Uściskał stryja i wskoczył na siodło. Ruszył z miejsca ostrym klusem.

Gošciniec prowadził w tę samą stronę, którą był przemierzył jadąc z dziadem Rozłuckim po raz pierwszy. Za dnia, sadząc wyciągniętym skokiem, dopadł samowtór lasów rządowych. Droę pamiętał bardzo dokładnie. Wziął się przez las i góry na lewo od nachylonego wiorstowego słupca i przebył je, ale już o zmroku. Jechał noga za nogą, potykając się na korzeniach. Konie chrapały i szły miękko, płochliwie. Żołnierz jadący za Piotrem ośmielił się wyrazić obawę, czy nie poblądzą. Oficer uspokoił go w sposób właściwie szorstki. Dla dodania odwagi jemu i sobie wydobyl wie lostrzałowy rewolwer, nabił go i opatrzył.

Noc zaskoczyła ich jeszcze w boru. Była to noc cicha, łagodna, jak gdyby miękkie echo pogodnego dnia. Księżyc nie było, lecz jaśnienie gwiazd wskazywało oczom do ciemności przywykłym kształty przedmiotów. Baczyli obadwaj, żeby się trzymać drogi i nie zmylić jej w miękkich pastwiskach. Pomagały im jakoweś przyleśne resztki zmurszałych opłotków, stare rowy zarosłe trawą i krzakami. Jechali tak długo w nocy i ciszy. Piotr stracił pewność orientacji, lecz nie żałował, że tę wybrał drogę. Rozmyślał o tym wszystkim, co z taką prostotą mówił stryj Michał — zagłębiał się w te pozycje i polemizował z nimi w duchu — układał nieodparte odpowiedzi — budował doskonale sylogizmy dla obalenia sofizmatów tetryka stryjaska.

Gdzieś na tej drodze w nikłym jaśnieniu górnego nieba spostrzegł samotne brzozowe drzewo. Poznał je od razu. Po wtóre i po trzecie sprawdzał miejscowość i przekonał się, że nie błądzi. Brzoza stała w nocy bez ruchu, koroną ogołoconą z liści zwieszona z wysoka ku ziemi. Konie mijały ją z wolna, chrzęszcząc żelastwem i rzemieniem siodel, puślisk i uzd. Piotr zdjął czapkę i ostre oczy

trzymał utkwione w drzewo. Gdy je już mijał jadąc nogą za nogą, wykręcił się w siodle i ogarnięty przez wewnętrzną konieczność wciąż patrzył. Gdy był już po drugiej stronie, sylweta drzewa przybrała kształt odmienny. Stała na tle nocnej śreżogi plamą czarną, niemal płaską. Stała się niejako olbrzymią głową ze zwichrzonymi włosami, która schyliła się bezwładnie z ramion i patrzy w czarną ziemię.

Lodowaty dreszcz przeszył plecy i ramiona młodego jeźdźcy. Strach cmentarny chwycił go za piersi i wstrzymał w drodze. Ręce, bez wiedzy o tym, zdarły lejce konia. Koń stanął. Piotr nie mógł oderwać oczu. Serce w nim zamarło, dech ustał w piersiach, myśli spłoszone ze swoich miejsc, oszalałe od razów przerażenia, leciały przez zmartwiałą głowę. Nagły żal, żal tak mocny, że wszystko w duszy wytracił, uderzył w serce jak gdyby zewnętrzny puginał. Ażeby sobą opanować, siebie samego pokonać, sobie samemu moc swoją udowodnić, zdławić fizycznie ów niemęski, zewnętrzny, narzucony strach-żal, Piotr zsiadł z konia, rzucił wodze żołnierzowi i wielkimi krokami poszedł ku drzewu. Wstąpił na niską, rozmytą, rozwianą mogiłę.

Namacał rękami suche próchno krzyża. Męską dłonią usiłował pochwycić i zdusić widziadło. Pełne miał dłonie sypkiego, szorstkiego mialu. Zastygł tak z rękoma opartymi na kolcu krzyża wiszącego nad ziemią, głęboko nędzą próchna porażony. Nierychło opamiętał się — westchnął... Odszedł, wskoczył na siodło. Począł orać boki końskie ostrogą i popędził w noc wielkimi, huczącymi skokami.

Rozdział VIII

W zimie ustaliło się życie jak najbardziej oficerskie. Przyjechał do miasta teatr wędrowny z aktorkami, ogromnie chętnymi na oficerskie pensje, z kolekcją wesołych dziewcząt, lubiących ubierać się i rozbierać, pić w gabinetach i brać udział w wesołych chryjach. Odbyło się kilka balów w rosyjskich sferach miasta. Jeden z tych balów u generała komendanta został w pamięci synów Marsa. Tatiana Iwanowna występowała na nim po raz pierwszy jako panna na wydaniu. Piotr tańczył z nią kilkanaście razy, ale nie mógł się pochłubić, żeby choć przez sekundę zwróciła na niego uwagę. Była taka sama jak z każdym innym osobnikiem noszącym epolety.

W tymże czasie Piotr wplątany został w przygodę. Od pewnego czasu spostrzegł nowe koncepty w postępowaniu wychowawców pana Kozdroja. Podczas drzemek poobiednich w mieszkaniu słyszał częstokroć tajemnicze stapania po schodach, które służyły do jego tylko użytku. Stapania były gromadne, lecz tak ciche i ostrożne, że musiały zwrócić uwagę. Zrazu Piotr sądził, że to może służba z bielizną tak skrycie wdiera się na strych, że kominiarze czy rzemieślnicy... Gdy jednak te szelesty powtarzały się zbyt systematycznie i zawsze w ten sam sposób, postanowił rzecz zbadać. Zaczął się pewnego popołudnia w spiżarni, zbitej z desek i wpuszczonej w obręb strychu. Siadł tam na jakieś pace, owinał nogi pledem i czekał. Wkrótce posłyszał odgłosy na schodach, znane mu skrzypnięcie drzwi z sieni na strych...

Przez szparę między tarcicami ujrzał swych sąsiadów z dołu. Na przedzie szli trzej kozdrojowcy: brunet z rozczesaną głowiną, dryblas wiecznie śmiejący się, czy był powód, czy nie — wreszcie przysadkowaty, ospał zeszpecony siódmoklasista, którego powszechnie a poufale zwano "Gnypem". Za tymi, czając się z nadzwyczajnymi ostrożnościami wsunęli się jeszcze czterej gimnazjaliści, nie znani Piotrowi. Zaciekawilo go to niepomału, co też oni tam zamierzają robić. Przewidywał, że nastąpi ekstraordynaryjne karciarstwo, masowe picie gorzałki, czy w ogóle fenomenalna jakaś rozpusta.

Goście strychu zajęli miejsca w pobliżu komina szerzącego ciepło, rozsiedli się na pakach, połamanych gratach oraz na belkach i skarpach — owinęli od zimna, czym i jak kto mógł, więc jedni w stare płaszcze, inni w firanki przeznaczone na strych, w worki i pokrowce. Wyglądali w tym wszystkim nader interesująco. Jedni nie tracąc czasu kopcili papierosy, inni siedzieli po prostu cierpliwie, wtuleni w swe szynele, z podwiniętymi nogami.

Lecz oto jeden z przybyszów nie znanych Piotrowi wydobył z zanadru książkę i zaczął półgłosem czytać. Był to jakiś traktat zakazanie ekonomiczny. Uczeń czytał ów elaborat z przejęciem a nawet z pasją, od której nos mu poczerwieniał. Słuchacze zdawali się przykładać szczególniejszą wagę do zawiłych zdań rozprawy, które Piotr z trudem pojmował. Gdy lektor przerwał wreszcie czytanie, inny z przybyszów wydobył zeszyt i wygłosił rodzaj wypracowania historycznego o upadku Polski. Tu już Piotr orientował się lepiej i ciekawie słuchał. Po odczycie, który zawierał wyliczenie znanych wypadków historycznych, ozdobione silnie brzmiącymi inwektywami przeciwko "Moskałom" i "zdrajcom", nastąpiła dyskusja, umajona inwektywami przeważnie skierowanymi przeciwko "belfrom", w szczególności przeciwko jakiemuś "Tapirowi".

Cały ten seans zakończony został przez wygłoszenie wiersza polskiego. Wysmukły brunecik z niebieskimi oczyma, piękny jak panienka przebrana za ucznia, wypowiedział z pamięci poemat Słowackiego pt. Grób Agamemnona. Mówił z konieczności półgłosem, nieco afektacyjnie i czułościowo, ale z niezwykłym powodzeniem. Słuchacze nagrodzili go rześystym, choć zupełnie cichym oklaskiem. Komunistyczne zaciąganie się jednym na wszystkich papierosem zamknęło to tajne posiedzenie.

Piotr był zadowolony. Sprawiała mu szczególną przyjemność ta okoliczność, że owe spiskowe lekcje odbywają się na jego strychu. Nadto — dawały mu możliwość kształcenia się w języku polskim.

Obserwując podwórze spostrzegł, że kozdrojowcy nie komunikują się już z żołdatem przez szparę w parkanie i że stosunki ich z sąsiednią posesją jakoś się przerwały. Znał z doświadczenia szybkość zmian zachodzących w usposobieniu młodzieży dwudziestoletniej, toteż nie zdziwił się wcale. Począł teraz wysiadywać tajemnie w swej spiżarni i pilnie wsłuchiwać się w utwory i rozprawki odczytywane na strychu. Koło, widocznie, zwiększało się, gdyż coraz to inne figury bywały w sąsiedztwie komina. Czytano szczególnie dużo poezji i Piotr z konieczności zagłębiał się w literaturę. Niektóre utwory polubił ze słuchu i padły one na zawsze w jego pamięć od pierwszego razu jako żywe i twórcze formy czucia. Nade wszystko jednak lubił sekretność zjawiska. Nikt nie wiedział... Przez szpary wciskała się do jego kryjówek mowa, poezja, historia, łatwowieczne i łatwo wnioskujące młodzieńcze filozofowanie...

Pewnego dnia nie mógł być w swej spiżarni na podsłuchach, gdyż o tej porze wypadła mu czynność urzędowa w koszarach. Wracał do domu później niż zwykle, kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa spiskowe kółko powinno było być pod dachem. Wbiegając szybko na swe schody artylerzysta zetknął się z jakimś panem przyzwoicie odzianym, który właśnie zdawał się zstępować z góry. Pan był w bobrowym futrze, z laseczką w rękę i modnym kapeluszem na głowie. Piotr zdziwił się i z pytaniem w oczach zwrócił się do gościa.

— Pan do mnie? — spytał po rosyjsku.

— Proszę o przebaczenie... — rzekł przychodzień. — Jestem nauczycielem gimnazjalnym, szukam tutaj stancji profesora Kozdroja.

— Stancja profesora Kozdroja mieści się na dole. Tu na górze ja tylko mieszkam.

Jegomość uchylił kapelusza i wolno zstąpił ze schodów. Piotr po chwili dopiero zorientował się, że wykwinny pan tropi spiskowców czytających poezję i historię Polski. Zrozumiał, że przychodnie z miasta, pozakozdrojowcy, naprowadzili na ślad. Postanowił ostrzec swych nieznanych oświecicieli. Ale jakim sposobem? Miałże dać im znać, że od dawna wie o ich schadzkach? Miałże wydać się niejako ze swą wiedzą o ich tajemnicy? Nie starczyło po temu chęci i po prostu wstydził się współki z żakami.

Postanowił raczej obserwować tropiciela. Przez chwilę tedy zabawił w mieszkaniu i wyszedł. Zauważył, że pan w bobrach, zanotowawszy w księdze stancyjnej lokalu p. Kozdroja nieobecność trzech starszych uczniów, wyszedł na ulicę i przechadzał się w oddali, rysując od niechcienia laseczką znaki na śniegu. Piotr postawił sobie zadanie wyprowadzenia go z tej ulicy niejako siłą sugestii. Przeszedł tedy na chodnik, po którym defilował pedagog, i nie śpiesząc się postępował za nim w pewnej odległości.

W istocie, nauczyciel czując wciąż poza sobą natręta wydalil się ociężałe z tej ulicy i z wolna ruszył w miasto... Opiekun spiskowców zadowolony był ze swej metody.

Ale oto w parę dni później siedząc na "lekcji" w swej skrytce usłyszał charakterystyczne skrzypnięcie schodów i pierwiej domyślił się, raczej przeczuł, niż zobaczył pedagoga. Przez szpary we drzwiach spiżarki dojrzał go po chwili. Profesor wszedł cichaczem, skradając się kocim stąpaniem, z największą ostrożnością na szczyt schodów i tu strzygł na wsze strony uszami, oczami — badał miejscowość. Przypuszczał, widocznie, że zbiegowiska uczniów gimnazjalnych odbywają się w samym lokalu oficerka artylerii, bo ku jego drzwiom bezszelestnie skierował kroki. Przyłożył ucho do dziury od klucza... Lecz wtedy Piotr podniósł się z miejsca momentalnie, otwarł drzwi i stanął przed zdumionym.

— A to co? — krzyknął — pedagoga odgrywasz rolę, a do cudzych drzwi się dobierasz — ach, ty złodzieju w bobrowym futrze!...

Zatulił go lepiej w futro bobrowe pod oniemiałą brodę, aż pedagog zsiniał z emocji, wykręcił z żołnierską ścisłością i przyspieszył jego zejście ze schodów pomagając sobie wielokrotnie kolaniem.

Spłoszeni krzykiem i szamotaniem się wielbiciele sztuk pięknych uchylili drzwiczki strychu i jak szczury z nory wyjrzeni na schody. Rozwarte ich oczy ujrzały tę scenę z uwielbieniem nieopisanym, a serca zapamiętały ją z pociechą na całe życie. Piotr wracał właśnie na górę, kiedy ich spostrzegł stojących rzędem. Groźnie spojrzał po tym froncie i z rozkazującym gestem zakomenderował jak na pluton żołnierzy:

— Precz stąd! I żeby mi tu noga wasza, do kroćset!...

Rozdział IX

Pod koniec stycznia Piotr Rozłucki otrzymał z poczty list nie podpisany, wzywający go do stawienia się w godzinach rannych na pewne miejsce sąsiadujące z parkiem miejskim. List był pisany stylem niemal urzędowym, suchym, lecz tak stanowczym i zdecydowanym, jakby to był jeden z etapów dawnej i zażyłej korespondencji. Czytając ową kartkę papieru Piotr nie domyślał się, bo żadnych po temu danych nie było, lecz nieomylnie uczuł, kto go wzywa. Wionął mu na twarz nikły zapach perfum ulatujący z tego arkusika. W oczach zamajaczył przez chwilę zarys twarzy w

uśmiechu... W ciągu nocy artylerzysta nie mógł spać. Wielokroć zapalał świecę i czytał tajemnicze pismo, ażeby przekonać się, że ono rzeczywiście istnieje.

Następnego dnia poszedł na miejsce wskazane. Był to duży, pusty, brukowany plac, przy którym stały ślepe i nieme budowle, magazyny wojskowe prawie bez okien. Niemy szyldwach, jedyna żywa istota w tym miejscu, kołatał się ruchem wahadła pod ślepym murem. Był wiatr podniecający wewnętrzne wzburzenie. Piotr zapalał papierosa po papierosie. Wiatr gasił mu raz wraz płomyk zapalki. Zdawało się, że ta czynność zapalania papierosa na wietrze były jedyną i ważną i że po to w to miejsce przyszedł. Co chwila nasuwało się zwątpienie, obawa śmieszności, przewidywanie jakiegoś podstępu ze strony kolegów. Chodził w pobliżu bramy parku. Liczył, mnożył, odtwarzał w myśli formuły matematyczne, marzył — i ordynarnie podrwiwał ze siebie. Gdzieś daleko, na kościelnych wieżach miasta były kwadransy.

Nagle — na drugim krańcu owego wybrukowanego placu ukazała się Tatiana Iwanowna. Szła z wolna w stronę bramy ogrodu — wszystka ciemna a połyskliwa, mieniąca się od pluszu paltocika i obfitych, czarnych strusich piór na dużym kapeluszu. Przed wiatrem, widać, zasłaniała twarz wielką, puszystą, skunksową mufką. Między rondem kapelusza i czarnym puchem owej mufki widać było jej oczy. Ruchem pośpiesznym, jedynym, sobie właściwym odwracała głowę unikając spotkania z oczyma oficera. Lecz oczy te powracały do poprzedniego kierunku. Piotr stał na miejscu zdumiony, niemy ze szczęścia.

Tatiana zbliżyła się do niego i podała rękę. Uśmiech pełen rozkoszy był na jej twarzy. Nie znać w nim było ani cienia kokieterii. Było to szczere szczęście, szczęście dziecięce, szczęście dziewczynki, która popełniła szaleństwo, czyn karygodny, lecz ma nadzieję, że jej wyrok złagodzią wskutek wielkiego mnóstwa okoliczności łagodzących. Oczy jej i różane usta śmiały się z radości, śmiały się z pomysłu napisania listu i z tego, że list wywołał doskonały skutek.

Nie wiedząc o tym, gdzie są, dokąd zmierzają, co czynią, poszli szybko. Minęli bramę ogrodu.

Widzieli pod nogami bruk drewniany, mokry od szronu, to znowu ułożony z kostek kamiennych, konary i gałęzie drzew poruszanych od wiatru...

— Czy się pan bardzo zdziwił?

— W pierwszej chwili...

— Czy dobrze zrobiłam?

— Och, dobrze!

Idąc szybko w swych wykwinnych, szelestnych sukniach, Tatiana niepostrzeżenie zbliżyła się do Piotra, wyprzedziła go o jedno pochylenie ciała i oparła się ramieniem o jego ramię. Znowu zakryła twarz puszystą, czarną, długowłosą mufką. Z głębi tej mufki zabrzmiał jej śmiech, najczarowniejsze wesele. Piotr czuł w sercu rozkosz...

Śpiewał pieśń szczęścia ostry, zimowy wiatr. Weseliła się od niej martwa ziemia. Lecz jakież było jego uczucie radości, gdy Tatiana szybko wysunęła lewą rękę z mufki i śmiejąc się ciągle prawą jego rękę przemocą niemal wciągnęła do ciepłego wnętrza, do puchowego raju, gdzie się kryły prześliczne jej dłonie.

— Zimno teraz, jeszcze zimno? — pytała.

— Nie...

— Piotruś szczęśliwy?

— Bardzo szczęśliwy...

Pusta była aleja. Posąg półnagi, przedziwny w tym wietrze, dumał o swojej zagasłej sprawie, którą przez wieki przystało mu wyobrażać. Życzliwie, dyskretnie został w pustce z tą swoją sprawą. Usiedli na kamiennej ławce. Bez słowa utonęli oczyma w oczach. Piotr patrzył z bliska, ze szczęśliwej bliskości na jej policzki, zabarwione różanym pięknem zdrowia, na brwi, co się lekkimi zarysowywały łuki, a u końców swych stawały smugami śniadymi — w głąb oczu nadobnych jak nocne wiosenne niebios, na usta — zaiste piękniejsze niż poranna zorza. Pozwalała mu tak patrzeć bezkarnie, długo, bez końca — z radością w tych oczach, na uchylonych ustach... Ręka jego dostępowała w głębi mufki łaskawej pieszczoty jej obydwu rąk. A im dłużej, im bardziej oszalałym wzrokiem patrzył, tym pieszczota rąk stawała się wymowniejszą. Serce, bijące samowładnie, zamierało w szczęśliwej niewiedzy... Tatiana zarumieniała się, jeszcze bardziej łaskawie uśmiechnęła. Rozejrzała się het precz po pustym parku i pod same mu usta przybliżyła policzek. Złożył na nim czysty, niewinny, wzniosły całunek.

— A no — dobrze zrobiłam? — zapytała topiąc w jego oczach swe boskie, smoliste, pełne mroku i arcyłobuzerskie oczy.

— Bardzo dobrze... — odpowiedział z pokorą.

Znowu podejrzliwie rozejrzała się po całym parku i rzekła cicho, ściskając w swych obydwu jego rękę:

— A chcesz, żebym była twoja, twoja własna?

Piotr siedział wyprostowany, oszalały, czując w piersiach mróz bezgranicznego zdumienia czy upał szczęścia. Ramiona jego były podniesione, oczy chowały się pod powieki. Uśmiech radosny skostniał na wargach.

— Taniu! — wyszeptał.

— Tylko twoja będę... — powiedziały mu prawdomównie i nieodwołalnie te najśliczniejsze na ziemi różane usta. Słowa potwierdziło najbardziej wiarogodne spojrzenie, a jako najprawomocniejsza kontrasygnata stwierdził ten akt uścisk obydwu dłoni mocny jak śmierć.

Piotr patrzył na nią w zachwyceniu, nie myśląc o niczym, nawet o wielkości losu szczęśliwego, który nań spadł tak nieoczekiwanie. Ona, po załatwieniu tej najpilniejszej sprawy, poczęła mu tłumaczyć, że powinien często teraz przychodzić. Mówiła, że na pięterku domu jest korytarz prowadzący do jej pokoju. Wąski korytarz, który mija jedno drzwi, drugie, aż doprowadzi do trzecich, od pokoju, gdzie ona właśnie przebywa. Ona sama, Tatiana. Taki to jest korytarz. Okna w tamtym pokoju są od ciemnego podwórza, a w sąsiedztwie mieszka Francuzeczka, mademoiselle Mathilde. Cały ten wywód zakończony został zapytaniem, naśladującym głos wróżącej Cyganki:

— Rozumiecie mnie?

Zapytanie było tak dowcipnie powiedziane, tak dobrze naśladowało Cygankę i takie miłe, że Piotr zanosił się od śmiechu. Tatiana spytała:

— A może nie zechce przyjść do mnie?

— Kto?

— On. Ten Piotr Iwanycz.

— Przyjdzie! Przyjdzie, choćby miał w tym korytarzu zginąć.

— Na dole jest lustro, od lustra w górę kręcone schodki... Rozumiecie mnie?...

Wstali z tej ławki radosnej i szli znowu pośpiesznie w głąb parku szeroką jego aleją. Tatiana milczała. Wiatr szorstki rozwiewał strusie pióra jej kapelusza, odsłaniał białą, atłasową podszewkę pluszowego pałtota, okręcał suknie dokoła nóg uwydatniając ich powabne zarysy. Buciki jej szybko migały na ceglanych żwirach alei... Gdzieś, w jakimś miejscu tego parku, w miejscu, które się stało z nagłą bolesne, bezlice, nie do zapamiętania, pożegnała go uściśnięciem ręki. — Szybko odeszła nie obejrzawszy się poza siebie.

Został sam i szedł boleśnie sam poprzez ten park-sen, nie widząc nic wcale. Oczy jego tonęły jeszcze w głębinach oczu, zawisały na barwie ust. Uszy jeszcze słyszały szelest sukien i nozdrza szukały zapachu perfum. W pewnej chwili dźwignął z łona szczęśliwości głowę i zadał sobie męczeńskie pytanie: "Czyżby była zepsuta? Czyżby zepsucie mówiło te przeczyste słowa prawdy miłosnej?" Zaprzeczył sobie samemu w swym sercu. Gdyby przyszło przekonać się, że zepsucie mówiło przez te różane usta — nie byłoby innego wyjścia — tylko zginąć. Poczuł, jak wielka stała się w nim przemiana tego poranka, i poszedł unikając ludzi za miasto, w pola.

Rozdział X

Częściej teraz począł bywać w domu generała-komendanta. Był tam bardzo dobrze widziany. Miał wrażenie, ilekroć te progi przekraczał, że tajna siła otwiera przed nim każde drzwi, a przyjazna atmosfera otacza go we wszystkich miejscach tego domu. Wszystkie jego życzenia, wszystkie marzenia spełniały się, ledwie je wyrazić zdołał — każda myśl znajdowała posłuch i uznanie nawet u srogiego generała. Z początku Rozłucki doświadczał formalnej trwogi od nawału tego dobra, które go w pałacyku generalskim spotykało. Z czasem przywykł doń, przyzwyczył się dziwnie szybko, wchłonał to wszystko dobro i uczynił zeń swą własność, bez której nie byłby już w stanie obywać się po dawnemu. Sprawa wynalezienia powodów ciągłego bywania "u dworu" ułożyła się w jego myślach w zawiły systemat dyplomatyczny, pełen wybiegów, tajemnic, podstępów, niewinnych kłamstw i wynalazków, dziwnie trafnie zbudowanych.

Generał bezwiednie pomagał w tym wszystkim, wymyśliwszy dlań zajęcie kancelaryjne, niby to służbowe, a jednak wykraczające poza obręb obowiązków normalnych oficera artylerii.

Rozłucki pracował wspólnie z generałem nad pewnymi ulepszeniami w budowie niszy i "kamer" krzyżowych w galeriach podziemnych. Drobne ulepszenia w zakresie układu skrzyń do piroksyliny, które się umieszcza w "hornie" galerii podziemnych, stanowiły tak zwany wynalazek generała Polenowa-Czernowratskiego, jego dumę, tytuł do chwały, temat wielu raportów tudzież motyw wielu odznaczeń. Młody artylerzysta wyliczał, wymierzał, rysował, malował akwarelą ogromne tablice wyobrażające owe podwójne skrzynki ze wszystkimi ich okuciami, spoidłami, gwoździemi, i sposoby zabezpieczenia od wilgoci. Z drobiazgową szczegółowością, według pomysłu i wskazówek generała,

przedstawiał w rysunkach metodę i procedurę przenoszenia ze składów i lokowania w owych ulepszonych skrzynkach wilgotnej piroksyliny — całkowity sposób pakowania jej zbitymi gruzłami — umieszczania centralnej szklanki zapalnej — wpuszczania przez pokrywę przewodników itd.

Po pracy bywał zapraszany na obiady i kolacje, co dawało mu możliwość spotkań z Tatianą. Tym sposobem stał się w domu zwierzchnika gościem niemal codziennym, człowiekiem bliskim, lubianym i jak gdyby należącym do rodziny. Generał zdawał się nie pamiętać o tym, że ma w domu dorosłą córkę. Bardzo często nie było go wcale w ciągu dnia, gdyż nie tylko wydać się musiał dla spełniania obowiązków służbowych w mieście, ale nadto musiał wyjeżdżać w głąb guberni dla dopełnienia rozmaitych inspekcji, rewizji, marszów i obozów. W ciągu takich dni Piotr, o ile chciał, mógł pracować w pokoju przylegającym do gabinetu komendanta zupełnie samotnie. Miał tam stół, rajzbrety, przybory miernicze i rysunkowe oraz szkice i notaty generała, z których wyłonił się ów (dość zresztą wątpliwy) "wynałazek".

Gdy tak pewnego dnia pracował w owym pokoju, pełnęła go z miejsca wrodzona pasja do szukania niebezpieczeństw. Nie wystarczało już szczęście przebywania w tym samym co Tatiana domu, nadzieja zobaczenia jej przy obiedzie i marzenie o rozmowie w salonie. Serce biło i ten jego przyspieszony takt stał się jak rozkaz wewnętrznej siły. Piotr wsłuchiwał się długo w to bicie serca i wynioskował, że nie da mu rady. Złożył rysunkowe przybory, oczyścił i wyrównał na sobie mundur...

Cicho wyszedł drzwiami, których progu jeszcze nigdy nie przekroczył. Znalazł się na małym, wewnętrznym podwórku, wyłożonym marmurem. Minąwszy je wszedł do sieni i ujrzał swą postać odbitą w lustrze. Poznał, że idzie dobrą drogą. Z lewej strony były wąskie, zakręcające się schody. Na pierwszym piętrze drzwi na pół oszklone. Starożytna, brązowa rączka od dzwonka w kształcie strzemięcia znajdowała się z boku. Pociągnął za nią. Usłyszał metaliczny głos, uderzenie raczej w piersiach niż w przestrzeni zewnętrznej. Drzwi się otwały. Stała w nich mademoiselle Mathilde, towarzyszą, wychowawczyni, powiernica i garderobiana Tatiany. Przystojna Francuzka spojrzała na niego głębokimi, mądrymi oczyma, uśmiechnęła się łaskawie...

— Tatiana jest dziś trochę słaba... Nie wychodzi...

— Ach, Tatiana Iwanowna jest słaba... — zmartwił się Piotr szczerze i poczc iwie.

— Teraz podniosła się. Może pan wejdzie do niej, rozweseli, porozmawia, to jej może przejdzie ból głowy. Ostatnie drzwi...

Piotr uklonił się z wdzięcznością tej furtiance, która ustąpiła mu z drogi — wszedł w ciemny i wąski korytarz. Łokciami dotykał ścian. Szedł cicho, starając się umiejętnym stąpieniem zdławić brzęk ostróg, które miał u nóg. Minął jedne drzwi i stanął przed następnymi. Zastukał. Szelest — i drzwi uchyliły się, prawdziwie jak furta raję. Wszedł do pokoju małego jak pieścidełko, w którym nowoczesne tapety i piękne firanki nie zatuszowały stylu osiemnastego wieku. Pokój był dość niski, na modłę francuską. Posadzka wysłana dywanem, okno przyćmione ciężką zasłoną. Mało było mebli, lecz wszystko wykwasne: wąska kanapka w rogu, gotownia pod oknem, lustrzana szafa i zwierciadło nad marmurowym kominkiem. W rogu stało łóżko zasłane atlasem, batystem i koronkami. Tatiana była w długiej, wolnej sukni.

— Nareszcie pan raczył przyjść... — rzekła wskazując mu miejsce na kanapce.

— Nie miałem odwagi tu wejść...

— Odwagi?...

— Doprawdy?

— Ależ tak!

— O tym nikt nie będzie wiedział, więc może pan mieć odwagę. Mathilde jest pewna, nie powie nikomu ani jednego słowa.

— To być może, ale ja nie miałem odwagi wejść tutaj do pokoju pani.

— I dlaczegoż to?

— Nie trzeba przekraczać granic szczęścia. Szczęście nie znosi za sobą pościgu. Napastowane — odwraca się i zaczyna prześladować napastnika.

— Patrzcie, co to za filozof!...

— Ależ tak — już nad tym myślałem niemało.

— I to ma być artylerzysta, wojak, zdobywca...

Usiadł na owej wskazanej kanapce i łakomie rozglądał się po pokoju. Spływała zeń wszelka troska, wszelka myśl o zewnętrznym świecie, a szczęście jak zapach napępniało całe jestestwo. Oczy, usta, twarze obojga stały się jednym uśmiechem. Tatiana siedziała z dala, przy gotowalni. Pod pozorem, że chce obejrzyć cacka toaletowe, zbliżył się do niej. Ale odsunęła go groźnym skinieniem ręki, obnażającej się wskutek tego skinienia z szerokiego rękawa. Więc przeglądał piękne flakony z perfumami Rimmela i Lenthérica, pudełeczka na wonne kosmetyki, skrzyneczki na biżuterię, jakoweś pomadki, pasty do paznokci, pilniczki i rozmaite rodzaje szczotek. Wydzierała mu to wszystko z rąk rozkazując wrócić do kąta, na dawne miejsce. Ażeby zaś nie mógł już się stamtąd wydostać, sama usiadła na owej kanapce.

Niepostrzeżenie przytulił ją do siebie, pachnącą, cielesnie dostępną przez miękki jedwab i cienkie batysty, dziewczyną w drzeniu i lęku przy każdym dotknięciu jego rąk, wobec każdego pocałunku. Ale pocałunki były nieuniknione, tworzyły się same w sposób konieczny i nieodwołalny. Pieszczota ust przez usta stawała się coraz głębsza, cichsza, subtelniejsza, aż się przeobraziła w zapomnianą rozkosz, w głuchą na wszystko radość, w szczęśliwy sen na jawie.

Jedna dawna troska jak złowieszczy nietoperz latała nad tymi czystymi pocałunkami. Piotr musiał zapytać:

— Nikt nie całował tych ust?

Spojrzała na niego z niejasnym zdumieniem. Nagle podniosła się, czarująca od płomieni wewnętrznego wybuchu, i zadrżała mu groźnie w oczy. Nic nie odpowiedziała. Musiał pytać po wtóre.

— Nie wierzysz? — spytała.

— Wierzę, skoro ty mówisz... Lecz trudno mi było uwierzyć w takie szczęście.

— Cóż trzeba zrobić, żebyś uwierzył?

Patrzył na nią z dołu, podejrzliwie, nieufnie. Wreszcie mruknął z cicha:

— Przysięgnij...

— A na co?

— Na coś, co masz świętego...

Przysięgła na pamięć zmarłej matki, na pamięć siostry, na miłość ojca, na Boga...

Jeszcze przez chwilę namyślała się, na co by przysiąc. Była wówczas bosko piękna, w głębokim zamyśleniu się o świętej sile, która był potwierdziła prawdę o jej niewinności. Piotr uwierzył. Nie tylko uwierzył, lecz sam stanął w obronie jej honoru przeciwko własnym podejrzeniom. Przytulił jej serce do swego, przygarnął ją do swej duszy bardziej niż do ciała i śnił o niej tak ją tuląc do siebie. Mademoiselle Mathilde w sąsiednim pokoju za zamkniętymi drzwiami przesunęła z hałasem jakieś ciężkie przedmioty.

— Trzeba rozmawiać głośno, bo myszka się niepokoi — rzekła ze śmiechem Tatiana. — Jesteś niebezpieczny, mój wielki inkwizytorze! Dopiero byłeś tchórzliwym filozofem, który zmyka przed szczęściem w obawie, żeby ono nie zaczęło go ścigać, a oto nabrałeś zanadto wiele odwagi. Widzisz, jaki jesteś niestały... I to taki każe mi tu przysięgać jak w sądzie... A ty?

— Co ja?

— A ty? Domyśl się...

Mówiła pół po rosyjsku, pół po francusku, widocznie żeby "myszka" mogła słyszeć nie tylko echo, lecz i treść rozmowy. Ale rozmowa urywała się co chwila, zahaczała o konieczność kontemplacji, nie mogła zresztą wydobyć się z ust co moment zamykanych przez pocałunki. Przypadkowo rzuciwszy okiem w lustro Piotr zobaczył swą twarz, odbijającą od czarodziejstwa głowy Tatiany. Zapytał:

— Dlaczego mnie pierwszemu pozwoliłaś pocałować te usta?

Odpowiedziała z powagą, z głęboką szczerością, na jaką człowiek zdobyć się może:

— Widzisz — tego nie wiem. Dawno to sobie postanowiłam. Jeszcze za pierwszej twojej bytności. Pamiętasz? w ogrodzie? Miałam zamiar na balu, ale nie udało się. Czyhałam na taką chwilę, czyhałam, ale nie udało się... Musiałam wreszcie napisać, bo co było robić?

Wypowiadała te słowa jak człowiek, który miał ciężkie strapienie, ale je szczęśliwie pokonał. Piotr przypomniał sobie, ile razy od tej chwili w ogrodzie, kiedy raz pierwszy Tatianę zobaczył, najmował do rozpusty za pieniądze publiczne dziewczuchy — i zmierzył teraz całą otchłań krzywdy, jaką przez to sobie i Tatianie wyrządził.

Twarcz jego własna wydała mu się ohydą, jakąś czarną i godną pogardy. Powiedział o tym Tatianie. Ale wtedy zaprzeczyła najsłodszyimi protestami, dobrotliwymi pieszczotami, zagładaniem w oczy aż do samego ich dna, a przez nie aż do skrytości serca.

— Ta kanapka jest dziwnie nieprzytulna... — stwierdziła niespodziewanie z ubolewaniem.

— Nie? A prawda, że nieprzytulna jakaś...

— Innej tu nie mam. Tymczasem wnosić tu teraz inną kanapkę — byłoby nieprzezornie. Zrozumiano by to w sposób niewłaściwy, a może nawet opaczny. Nieprawdaż?

— Rzeczywiście. Cóż tu począć?

— Ja nie wiem. Od czegoż pan jesteś tym filozofem?

— A tam?— spytał w opresji z zakłopotaniem nie patrząc w pewną stronę pokoju jakby dla złagodzenia okropnej bezwzględności pomysłu.

Wydęła wargi w sposób szczególnie urągający, obrażony i nieoczekiwanie rzekła:

— A Mathilde co powie? A "myszka"? Pan myśli może, że ona nie wie, gdzie stoi moje łóżko, że się nie orientuje? Ona wie wszystko...

Rozdział XI

Nadmiernie pilnym pracownikiem w kancelarii generała stał się porucznik Rozłucki. Bywał tam stale, a pracował z niesłychaną, ze zbyteczną i szkodliwą dla zdrowia pilnością. Każdy szczegół wyrysowywał i wymalowywał w dwójnasób starannie i po dziesięć razy. Przy tej okazji poznał obyczaje domu, godziny jego i minuty, szmery i szelesty, przyzwyczajenia i nałogi osób, mowę zegarów, dźwięki i echa kroków, odgłosy drzwi i zgrzyty schodów. Wszystka ta umiejętność zmierzała do jednego celu, do szczęścia duszy i ciała, kiedy tajemnie biegł po krętych schodkach na piętro. Stopy jego tęskniły do dywanu jej pokoju, nozdrza do zapachu jej perfum, ręce do niewymownej gładkości jej dłoni, a oczy do jej oczu, do dwu czarnych aniołów, osłoniętych subtelnością cieniów niby dwojgiem płochliwych skrzydeł.

Tatiana tęsknotą swoją powiększała jego tęsknotę. Wiedział, że czeka za matowym szkłem drzwi. Mówiła mu nieraz, że w nocy częstokroć bardzo długo płacze, jeśli minął bezpłodny dzień, w którego ciągu go nie widziała. Nie mogła wytłumaczyć, czego płacze, gdyż nie był kobietą, a więc nie był w stanie jej zrozumieć. Była nieraz skryta, podejrzliwa, nie wiedzieć o kogo zazdrosna. Wypytywała go o każdą najdawniejszą znajomość w Rosji, podchwytowała każdą wzmiankę o kobietach, które w mieście widywał. Nieraz zadawała mu umyślnie katusze rozpoviadaniem mniemanych swoich sympatii, znajomości, tryumfów, wspomnień o dawniejszych zalotnikach, których w rzeczywistości lekceważyła albo których wcale nie było. Często wśród śmiechu dokuczliwego oczy jej zachodziły niestrzymanymi łzami, usta kurczyły się i zaciskały od cierpienia. Sztuczny chłód rozpryskiwał się nagle, bezsilne ręce stawały się łagodnymi podwójnie, oczy po tysiącokroć przypadały do oczu. Uczucie szczęścia, ufności, dziwnie subtelnej wiary przeistaczało się w obojętne przy najlżejszej zmianie zewnętrznych zdarzeń w szarpaninę tęsknoty tak natarczywej, że godziny pod jej wpływem stawały się wieloletnimi okresami, a całe dnie były ponure, najeżone kamieniami nieszczęść, pełne niepokoju i upadku.

Po spotkaniu, obfitującym w ufność, we wzajemną bezgraniczną otwartość dusz miłujących w sobie anielstwo, w szczerość serc aż do ich dna — następował dzień zionący okrucieństwem, doba jak mroczna przepaść, w której głębi, ni to chichot szalonego na dnie potoku, zdrada dawała znać o sobie. Snuły się sekretne karteczki, gdzie atrament w rzędach wierszy przyćmił się, a litery rozgniotły i rozpełzły od pocałunków głuchych, w szaleństwie bólu wyciśniętych. Pewna książka do czytania, leżąca pod poduszką i zmięta od wielokrotnych przytuleń serca, stała się książką miłości, tekstem jej i wykładem. Bywały sny całonocne nie o osobie materialnej, lecz o niematerialnym uśmiechu, o niebiańskim wejrzeniu oczu czarnych jak noc, a lśniących jak słońce własnym połyskiem. Tęsknota

rodziła się z nagle i znikąd, stawała w pełni swej bez powodu, przesycając wnętrze wszechrzeczy, ziemię i niebo, unicestwiając radość życia — a uciszała się i bez śladu ginęła od jednego uśmiechu...

Tatiana lubiła zbytek. Ona sama była jakby wyrazem przepychu, symbolem jego wdzięku. Suknie jej były strojne, cudnie zawsze dobrane, harmonizujące z jej piękną cieleśną. Jasnozielone albo srebrnoszare pończochy, lakierowane buciki, wymyślny sposób czesania bogatych włosów, od którego głowa stawała się odmienną, wciąż inną, nieznanymi owianą tonami ciemności — rękawiczki, perfumy — a nade wszystko tajne piękno haftów obłokiem ją przesłaniających, które jak baśń fantastyczną w radosnych momentach miał szczęście poznawać — wszystek ów nieznan świat narzucił Piotrowi niepokonaną swoją władzę. W duszy jego zakiełkowało nie dające się zdeptać i samo przez się rosnące uwielbienie piękna, subtelności, wykwintu, który się sący ze zbytku jak zapach z pięknie zdobionego flakonu. Nie umiałby sobie wyobrazić Tatiany bez szelestów jedwabiu, bez zapachu, połysku i przejrzystości. Zdarzało mu się widzieć ją na poły ubraną, otuloną niby jutrzienką tylko we mgły i gazy, na tle śnieżnych poduszek — i taką pozostała w jego tajemnym śnie, jakby w falach subtelnej muzyki.

Pewnego dnia, w końcu marca, sama mu otworzyła drzwi. Skoro tylko wszedł, rzekła z uśmiechem:

— Matyldy nie ma.

— Wyszła?

— Wyszła na całe popołudnie.

Ujęła jego rękę swą śliczną dłonią i poprowadziła go ciemnym korytarzykiem. W tej drodze szczęśliwej nagle przycisnęła gorące wargi do jego ręki i wysiłkiem nie dała jej oderwać. Gdy byli już w pokoju, wspięła się na palce, objęła jego głowę rękami, szyję ramionami. Powieki jej były spuszczone, usta pąsowe i gorące. Wyszepiała:

— Nie bój się...

— A ty?

— Ja tego chcę...

— Cóż to będzie?

— Chcę mieć małą córeczkę, śliczną, z czarnymi oczami. Będę ją karmiła, będę chowała...

— Tatiana!

Ale za chwilę trwoga przed zupełnym obnażeniem zmusiła ją do odpychania natarczywych rąk. Obejmowała jego głowę, owinęła ją rękoma jakby pasmami płomieni.

Deszcz dudnił w rynnach i ściekał długimi strugi po dużych szybach, wiatr wył i skowyczał między topolami ogrodu. Zmierzch zapadał, lecz nie mógł pochłonąć bladej twarzy, na którym tkwił zastygły, jakby zamarty uśmiech szczęścia. Twarz jej zwrócona była w stronę ściany. Martwe oczy znieruchomiały między powiekami bezsilnie półrozwartymi...

Piotr wymknął się, zanim Matylda wróciła. Zbiegł ze schodów i zdążył do siebie pustymi ulicami, z sercem przeszytym mieczem obosiecznym, którego ostrze miało dwie płaszczyzny — jedną szczęścia,

drugą rozpaczy. Osiągnął wszystko. Czuł, że wstąpił na ścieżkę wysoką... Obojętne domy, mury, parkany, ludzie obcy, pierwszy raz widziani, idący do swego pracowitego celu — zdawało mu się — zwrócili ku niemu spojrzenia z pytaniem: — cóż teraz? Usiłował odepchnąć to wszystko zdumiewającym i strasznym wspomnieniem. I tak się stało. Lecz za chwilę szczególniejsza, przerażająca sensacja szorstkiego zimna i pustki w sercu poczęła go napastować...

Rozdział XII

Po zrzućeniu ze schodów rewidującego pedagoga Piotr stał się bożyszczem uczniów p. Kozdroja. Gdy przechodził, usuwano mu się z drogi, nieznajomi chłopcy kłaniali się na ulicy, a zawsze i wszędzie witały go wesole uśmiechy uwielbienia i oczy roziskrzzone od wdzięczności. Piotra gniewała ta sława przedmiejska, ale gniewała powierzchownie. W głębi polubił ją i przyzwyczyił się do swej wielkości.

W pierwszych dniach kwietnia, gdy był wieczorem sam w mieszkaniu, ktoś zastukał do drzwi. Po chwili wszedł jeden ze "spiskowców", wysoki, szczupły blondyn z niebieskimi oczami. Był to główny winowajca, o ile można było wywnioskować z rozmaitych szczegółów. Wśród niezgrabnych ukłonów, czerwienień się i poblednięć, jękając się i bełkocąc nieumiejętnie rosyjskie wyrazy, uczeń ów wyluszczał jakąś prośbę. Piotr poprosił go do swego "salonu", czyli do drugiej izdebki, usadowił na krześle i poczęstował papierosami. Uczeń tłumaczył szeroko i długo, coraz bardziej zawile, a nawet — w miarę jak się uspokajał — ze świadomą i umyślną zawilnością, jakąś rzecz o książkach. Piotr tyle mógł zrozumieć, że "pewne kółko" gimnazjalne miało "pewną biblioteczkę" — że wskutek zrzućenia ze schodów "Tapira" odbywają się istne orgie rewizyjne w poszukiwaniu owej biblioteczki, gdyż "jeden podły" — wyspał. Ponieważ zaś całe kółko może być wyspane, jeśli złapią biblioteczkę, a zniszczyć jej niepodobna, więc "kółko" ośmiela się prosić, czyby pan porucznik nie raczył przechować owej biblioteczki w swej spiżarni.

Propozycja taka nie była wcale przyjemna. "Pan porucznik" nie miał zamiaru wchodzić w spółkę z tymi młokosami. Nie znał ich wcale, nie rozumiał, nie wiedział, czego chcą... Jednakże żał mu było "biblioteczki" i wstyd odmówić podobnym frantom rzeczy tak drobnej. Po chwili wahania zgodził się na warunkach następujących: skrzynka będzie postawiona w otwartej spiżarni bez jego woli i wiedzy — sam spiżarnię zamknie — o fakcie przyniesienia skrzynki będzie wiedziała jedna tylko osoba, to jest sam petent.

Nazajutrz rano zajrzawszy do spiżarni Piotr dostrzegł w jej rogu odrapaną walizę, związaną szpagatem. Przez ciekawość i dla powzięcia wiadomości, co też to za skarby mieszczą się w tej ściganej księżnicy, rozwiązał szpagat i, zamknąwszy się w komórce, przejrzał zawartość.

Była to najbezwzględniejsza zbieranina druków. Rzeczy cenne leżały obok ramot, nowe studia filozoficzne i prace z zakresu historii obok starych śmieci i strzępów, poezje Mickiewicza, Słowackiego i inne obok dodatków powieściowych do jakiejś gazety, przekłady z obcych języków obok starych, pożółkłych broszur politycznych. Niektóre z tych książek zastanawiały rozmaitością swego druku. Tytuły i pierwsze stronicie ich pochodziły skądinąd niż zawartość środkowa. Jakaś, na przykład, wnosząc z tytułu powieść angielska bezimiennej autorki, a wewnątrz dzieje powstania listopadowego spisane przez Mochnackiego — albo — z wierzchu niby to jakieś nieplodne Ziarnka i szczerze Plewy, wydane najcenzuralniej, a w środku poezje gorzkie i smutne, drukowane za dawnych lat w Lipsku, zaiste dla wnuków...

Piotr zrazu przez ciekawość, a później z rosnącą pasją począł czytać te tomy i świstki — bezsilne, omdlałe poezje i szorstkie, krzykliwe, jakby z twardych patyków, gwoździ i drutów kolczastych ukłębione broszurki społeczne. Przejścia swe miłosne, troski, bóle, złamanie się i zatoczenia, od których niejednokrotnie dolatywał aż do brzegu przepaści, spędzał teraz w towarzystwie tych ściganych druków. Pocieszał się nimi, rozrywał, nieraz upajał. Ogień miłości zapalał ognie zawarte w wierszach dawnych poetów. Płonęły nie znane dotąd wyrazy i jak żywa muzyka ozwały się przecudne, dawne rymy. W dziwnych, na poły dostępnych słowach ledwie poznanego języka znalazł się wyraz dla tajnych kurczów, szlochów, westchnień i radosnych łez duszy.

Zdarzało się teraz Piotrowi późno w noc albo w rosyjskim towarzystwie powtarzać na pamięć dla ucieszenia serca jakąś prawdziwą strofę niewiadomego dlań poety, wmyślać się, wwiadywać i wczuwać w skojarzenia dźwięków, które zdawały się wszystko wiedzieć, wszystko rozumieć aż do najtajniejszej głęбини. Pisarze, o których istnieniu nie wiedział nic zgoła, stawali się towarzyszami czującymi, rzeszą braterską, co jak chór westchnieniem odpowiadał na każde westchnienie.

Niejasne wyrażenia mowy posiadały urok podwójny, wżerały się w serce rozplamione od miłości, zahaczały o nie i nitowały z nim na zawsze. Z drugiej strony najróżnorodniejsze dziedziny myśli polskiej, uwiecznione w szpargałach uczniowskiego kuferka, przemówiły do czytelnika nowego tysiącem ust. Piotr począł wgryzać się nocami w zagmatwane sploty umysławiania polskiego w dziewiętnastym stuleciu — w dziwaczne narośla i przerosty, w czucia, które się stały myślami plemiennymi, w samoobludy, które były i są najoczywistszymi lekarstwami od śmierci ducha. Zatapiał się w historii błędzeń ponad przepaściami Sza łonego Orlanda Polski, w bohaterstwo i tęsknotę anielskich duchów — i w żywot martwego jej kadłuba, wężącego, gdzie jest żer i spokój — w dzieje dwu potęg i motorów najgłębszych wszystkiego — pieniędzy i katolicyzmu.

Po upływie pewnego czasu wytworzył się od tego czytania w jego pojęciach jako stan stały — chaos, w uczuciach — popłoch. Pragnąc znaleźć wyraźne dyrektywy czytał coraz systematyczniej i uważniej książkę po książce. Kupił sobie szczegółowy i obszerny słownik polsko-rosyjski i nad niektórymi szpargałami prowadził formalne studia.

Wychowanie w sferze rosyjskiej, żołnierska od najwcześniejszego dzieciństwa prostolinijność dyscypliny i tresury, matematyczne podstawy rozumowania, rosyjska "pryncypialność" w sposobie ujmowania zjawisk zewnętrznego i wewnętrznego świata — wszystko to nie pozwalało znieść, strawić i wchłonąć zakresu rozbieżności i rozpylenia polskiej myśli, błędzącej jak żywe srebro między biegunami ekstazy i abnegacji — myśli bez steru i kompasu... Ileż to razy Piotr Rozłucki tłukł w jakąś książkę pięściami i rugał ją ostatnim, sobaczym, moskiewskim wyzwiskiem, patrząc, jak się łamie, chwieje, błąka linia jej kierunku, jak siła jej pęka i leci — sam szatan wie dokąd!... Jedno w tych książkach polubił — to wieść o nie istniejącym, zapomnianym wojsku polskim — legendę o wodzach, co w wieczność odeszli z rozpaczą, "ręce załamawszy na pancerz", sprawy swej nie dosięgnąwszy włócznią, przegrawszy wszystek swój zamysł wojenny. Polubił połamanych mieczów polskich szczęk o zardzewiałe pochwy, rozbitych ostrołęckich armat hurgot i łoskot — konnicy zbieganej pod Grochowem tętent... Począł wmyślać się cierpliwie w kłęski dalekie — dalekie — głęboki dla nich poczuł szacunek — i żal...

Rozdział XIII

W pierwszych dniach kwietnia, powróciwszy z Warszawy, generał Polenow przywiózł pomyślne wiadomości: dla siebie znaczne odznaczenia, podwyższenie pensji i kilkomiesięczny urlop — a nawet dla swego pomocnika w przyszykowaniu wynalazku również awans i urlop z prawem wyjazdu za granicę. Generał niezwłocznie wybierał się w świat wraz z córką i jej towarzyszką, mademoiselle Mathilde. Zaraz po powrocie, podczas pierwszego obiadu zaproponował od niechcenia Piotrowi, czyby nie warto odbyć wycieczki zagranicznej wspólnie. Piotr był zachwycony tym pomysłem...

W tym samym tygodniu wyruszono w podróż — przez Berlin do Paryża. Berlin sprawił na Piotrze nieoczekiwanie silne wrażenie swą nowożytną kulturą wielkomiejską — widokiem tysiąca naocznych przejawów niezłomności rządzącej woli — właściwościami postępowego wytwarzania — mnóstwem dowodów nowoniemieckiego industrializmu, który ogarnia i wchłania w siebie, a zarazem siłami swego umiejętnego porządku urabia w szeregi niemal wojskowe żywioły dalekie i rozbite.

Ale w Berlinie towarzystwo generalskie zatrzymało się bardzo krótko, uchodząc co żywiej do zaprzyjaźnionej rzeczypospolitej. Tatiana była już raz poprzednio — bardzo krótko zresztą — we Francji — Piotr nie znał jej wcale, generał bardzo pobieżnie. Toteż mademoiselle Mathilde i Tatiana stały się przewodniczkami. Piotr zamieszkał na lewym brzegu Sekwany w pewnym skromnym pensjonacie — generał z córką w pierwszorzędnym hotelu na bulwarach, a Matylda umieściła się daleko u krewniaczki w okolicach placu Clichy.

Na samym początku pobytu Paryż uderzył Piotra barwą i formą anarchii ulicznej, która się stała rutyną i skutecznie walczy z usiłowaniami wdrożenia nowoczesnego porządku. Zdziwiała i bawiło wszystko: stare wehikuły konne z woźnicą w lakierowanym kardynalskim kapelusiku jak za czasów Balzaka — bezładne krążenie powozów — handel uliczny na chodnikach, w budach nad ściekami obok najwykwintniejszych na świecie witryn na bulwarach — niewiarogodne zaśmiecenie ulicy — krzyk kamelotów i nastawanie przekupniów o zdecydowanym spojrzeniu... Poza tym zewnętrznym przejawem nęciło miasto bezdennej i nieskończonej pracy, wrzącej i wiecznej... Niewymowną rozkosz sprawiało wpatrywanie się w to rojowisko, jedyne na ziemi. Piotr błąkał się zrazu po ulicach we dnie i późno w noc, jeździł, wsłuchiwał się w rozmowy, chodził do wykwintnych restauracji i nocnych kabaretów, zwiedzał muzea, biblioteki, galerie, kościoły, sale uniwersyteckie i koncertowe, teatry, więzienia, sądy i grobowiska. Po upływie pewnego czasu chaos wrażeń pierwiastkowych nie zginął, oczywiście, lecz jął układać się w luźne, lecz upodabniające się grupy i niejasna, senna mgławica syntezy wyłaniać się w myśli poczęła.

Zupełnie inne wrażenia przeżywała Tatiana — inny widziała i poznawała Paryż.

Spotkawszy się, zwierza li sobie zdobyte spostrzeżenia i formułowali zabawne syntezy.

Uogólnienia Piotrowe nie trafiały do przekonania Tatiany. To, co ona zauważyła, co jej się przedstawiło jako urok życia i kwiat jego, jedynie godny w tym mieście poznania, nie było dla Piotra obojętne. Przeciwnie — z opowiadań, a raczej z wykrzyków, z dowcipnie sformułowanych jej aforyzmów uśmiechało się nieznane życie, radość istnienia, wesele zewsząd wytryskające. Mówiła mu o cudach kapeluszy, z których najtańszy kosztuje kilkaset franków, o "kreacjach" balowych i wieczorowych, o arcydziełach Wortha i Douceta, o paltocikach i bluzkach, biżuteriach, "na których widok oczy ślepną", o perfumach, przyborach, drobiazgach. Ciągnęła go na rue de la Paix, gdy tam nad wieczorem ruch największy, gdy automobile wielkie jak lokomotywy stoją dwoma rzędami wzdłuż całej ulicy po obu stronach, a środkiem przeciskają się spóźnione, dymiąc benzyną. Lubiła

wałesać się przed wystawami, wzdychać przez nimi i głośno marzyć — raz wraz spozierać na kamienicę Paquina, całą ozdobioną kwiatami, na tajemnicze siedlisko Douceta. Zachwycalo ją tam wszystko — śliczne kobiety, wykwinłni panowie, armia lokajów bogactwa snująca się wokół, wielobarwny blask biżuterii, elektryczne światło, a nawet podniecający nerwy dym benzyny.

Widywali się codziennie w różnych miejscach i o rozmaitej godzinie. Tatiana nominalnie była pod opieką Matyldy, lecz ta opieka była czysto nominalna. Matylda wciąż spóźniała się albo za wcześnie wychodziła dążąc do "krewnych", do "kuzynek" albo znowu do "ciotki". Generał zwiedzał rzeczy wojskowe, urządzenia społeczne, czynił zaprzyjaźnione notaty w sposób wysoce dyplomatyczny i bajecznie ostrożny, co mu zabierało bardzo dużo czasu. Wobec tego Tatiana, pozostawiana w tym Paryżu tak bezliźnie samej sobie, musiała szukać jakiejś opieki, a Piotr z konieczności poczuwał się do jej udzielania.

Spotkawszy się o umówionej godzinie i w miejscu wiadomym, szli w to miasto czarodziejskie, znikali w nim jak dwie małe krople w wielkim oceanie. Miłościwe i dobrotliwe nad wszelką pochwałą były dla nich dzielnice, place, bulwary i tłum nieznany, wśród którego się błakali. Prastare, wąskie uliczki kędyś w okolicach Beaux— Arts, koło Odeonu albo cmentarza Montparnasse — ileż ich szczęścia widziały! Czasem z mroku nocnego wysunął ze swego piedestału Voltaire szyderczo przekrzywioną głowę albo na szczęśliwym szlaku miłości zastąpił Danton, ryczący w zgiełkliwe ulice swe pozwy tytaniczne... Te monstra ku innym jakowymś rzeczom unosiły myśli. Dumali tedy przed ich kadłubami wyniesionymi tak nadzwyczajnie, wspominając, czego to od nich chcą — czego się zawsze smuci biały Musset albo nad czym się tak głęboko zamyśla umazana od deszczu pani Sand, siedząc między tulipanami ogrodu... Po chwili jednak szli dalej, ażeby pośmiać się z przygody generała Ney'a, najwaleczniejszego z walecznych, co zginął od kuli rodaków, rozstrzelany przez francuskich żołnierzy w tym mieście, którego sławę roznosił po ładach dalekich i w stu z wrogami ocalał bitwach... Cieszyli się na widok budowli wzniesionych przed wiekami, ze wszystkich rzeczy i zjawisk, radowali ze wszystkich spraw dawnych i teraźniejszych, groźnie nastroszonych i zabawnie obdartych z powagi, a mówili istotnie tylko o sprawie własnej, wielkiej jak Paryż, a nawet — sumiennie rzeczy biorąc — jak świat.

Zdarzyło się, że tak wędrując swoimi światami zabrnęli na bardzo odległą uliczkę Gracieuse i znienacka spostrzegli zjawiska niewiarogodne, widoki przerażające: czarne sienie, skąd wybuchał zgniły zaduch, izby za oknami zakratowanymi pełne nędzy i wstrętnego brudu, mężczyzn o groźnym i złowieszczym spojrzeniu, kobiety półnagie i straszne, wychudłe dzieci. — Uchodzili stamtąd w weselsze strony, w bardziej słoneczne okolice swej miłości. Tatiana chwyciła rękę towarzysza wędrowni i przyciskała ją do serca, ażeby prędzej mógł o nieprzyjemnych widokach zapomnieć...

Zdarzyło się, że przyszedł spóźniony pod okna hotelu, w którym czekała. Ujrzał ją w ciemności daleką jak nieuchwytny cień. Wstrząsnęło nim niemal bolesne uszczęśliwienie. Zeszła pośpiesznie. Pomknęli przytuleni do siebie w zgiełkliwe bulwary, na oślep. Jakimiś śpieszyli ulicami i zaułkami, mówiąc o swoich sprawach. Zeszli na szerszą przestrzeń w szczęściu głębokim i świadomym siebie, w najzupełniejszym zbliżeniu dusz i wśród najdoskonalszej wzajemnej spowiedzi. Kamienne bariery Sekwany zatarasowały drogę. Oparci o nie, patrzyli na czarną wodę, w której seciny czerwonych, zielonych, złotych i wielobarwnych świateł odbijały się ruchomo długimi zwojami. Nad tą migotliwą, ciemną wodą tkwiła wspaniale sylweta Luwru. Nad nim rozpostarła się luna ceglasta głębokiego wnętrza Paryża, a jego nie milknący pomruk warczał od potężnego gniewu pracy, jak gdyby koło ogniste, z miliona głosów utworzone, obracało się w groźnej łunie. Posępny statek niby milczące widmo — przepłynął po głuchych falach. W głębi ziemi huczały pędzące elektryczne koleje. Czasem doleciał do uszu łoskot ich biegu. Piotr i Tatiana zatopili się w kontemplację jedną we dwu osobach

tego cudu na cudy — wielkiego, strasznego i okrutnego piękna, jakie stwarza zbiorowe życie olbrzymiej, nowoczesnej metropolii. Mówili o tym półsłowem, wyrażali to półgestem, jak wspaniałe mieli przez oczyma widowisko. Wspominali o ludziach bezsennie pracujących na statkach, łodziach, w kolejach, fabrykach, warsztatach, sklepach.

Rozważanie czarodziejskiej nocy, w której łonie wre straszliwy trud, pogrążyło ich w milczeniu. Usiedli na samotnej ławce, w cieniu liści płatanu i głęboko wdzięcznymi oczyma przypatrywali się ogromnej łunie, świadkowi o potęgę żywota miasta Paryża.

Kiedy indziej wyruszyli na daleką wyprawę, aż na cmentarz Pere-Lachaise. Błąkali się długo po wzgórzu śmierci, słuchając, jak szumią olbrzymie jego drzewa. Odczytywali na kamieniach napisy, wielkie imiona Francji... Ciasnymi uliczkami wspinając się półkołem w górę wśród tego miasta zbudowanego z mogił, dotarli do grobowczyka Chopina. Na próżno Piotr mówił towarzysze o tej sławie polskiej, o tym jedynym gońcu, który przyniósł światu najdokładniejszą i nigdy nie zapomnianą wieść o piękności i nieszczęściu swej ziemi. Tatiana słuchała z litością, ponieważ on to jej mówił, zgadzała się z nim uczuciowo, bo tak chciał.

Wkroczyli na najwyższe wzgórze. Objąwszy się wpół w tej samotni, gdzie nie było nikogo z żywych, a wokół spał niezliczony zastęp zgasłych, który — o, dziwne wrażenie! — zdawał się przez sen uśmiechać do ich miłości — szeptali pod błogoustym szumem drzew o czarodziejstwie szczęścia bytu, który jest w nich, o dziecku jeszcze nie poczętym, które już ponad wszystko kochali. Wśród tego bezmiaru wielkości zgnilej, sławy straconej, bogactwa pożartego przez robactwo nieśli uśmiech swój, bezmyślne swe szczęście, radość kwitnącej urody — najwyżej, skąd widać Paryż w dymach i mgłach. Usiadłszy tam, spoglądali na te dwa niezmierne w przestrzeni mrowiska — jedno martwe, drugie żyjące. Tam, kolumna Bastylli — czegoś symbol, tam dalej, na wzgórzu — Panteon. Uśmiech ich unosił się ponad tymi znakami jak gołąbek niosący gałązkę oliwną wszystkiemu, co oczy objąć mogły, co myśl mogła ogarnąć.

Najchętniej wszakże wymykali się za miasto małym stateczkiem — w górę rzeki do Charenton albo z prądem cichej Sekwany do Saint-Cloud. Statek przebiegał między nawałą domów, sunął niepostrzeżenie pod mostami, dając możność napatrzenia się do syta pracy ludzkiej. Siedząc obok siebie, jak na dziwowisko spoglądali na czarnych ludzi niby w tańcu cudacznym biegających około wind, potwornych gzygzaków, co jak znaki pytające z ulic miasta wykręcały się profilem ponad spracowaną rzeką — na morza beczek, składy towarów, tworzące nowe wybrzeża, i na mrowie pracujące. Ale wydostawszy się z dymów i kurzów na błonia i między drzewa chętnie zapominali o mieście. Szli, objąwszy się rękoma i duszami, w świat zieleni, kwiatów i traw. Otwierały się na ich przyjęcie tajne, w półokrąg idące alejki, gdzie młode drzewa, nawisłe w sklepienia, zasłaniały od świata, ażeby można było na śmierć się zaciłowywać w usta i w oczy.

Opar łagodny wstawał po deszczu w lesie Vincennes, sztuczny potok szumiał wśród kamieni, a łaskawa aleja wiodła dalej, wciąż dalej od świata i przechodniów, od odgłosów automobilów i poryku bicykli. Rzecz dziwna — i w Saint-Cloud były podobnie uwodzicielskie aleje. Prastare, uśmiechnięte drzewa stały bez ruchu nad drogami zarośniętymi trawą — pnie ich odbijały się w ciemnej wodzie basenów. Rumiana zorza pozłacała obłoczki płynące ze ślicznych pól nad miasto zadymione. Była tam pewna samotna ławka jakby zapomniana przez ludzi, jakby darowana przez Opatrzność, która przewidziała ich wielkie szczęście i tę w jego dziejach chwilę. Szli w głuchym parku sami jedni na górę, która była górą miłości, przez ciemniejszy las, który się stał lasem świętym.

Znaleźli na bulwarach pewną cukierenkę, gdzie były najsmakowitsze neapolitańskie lody, gdzie można było widzieć sławy literackie oraz najszykowniejsze kokoty. Gdy zanosila się kawiarniana

muzyka, a wesoły i rozbawiony tłum przesuwiał się nie tylko po chodniku ulicy, lecz i przez sale kawiarni, Tatiana stawiała się przepiękna jak sen, lecz zarazem niezrozumiała jak sen. Twarz jej przenikał wyraz szczególniejszy, lubieżny, jakby na nią padał urok zadany przez wykwintne kokoty z umalowanymi na karminowo ustami... Oczy jej płonęły jak bezcenne brylanty, ruchy były podniecone — niewiarogodne słowa padały z tych ust tak jeszcze skromnych — myśli wyuzdane rodziły się z niczego, powstawały znikąd wśród spokojnych dotąd poglądów. Lubiała wtedy strzelać na wsze strony oczyma i zbierać ku sobie, jakby zgarniać na kupę spojrzeń wszystkich, nie wyłączając grajków kawiarnianych — ażeby natychmiast z szalonym śmiechem ofiarować owe łupy w prezencie Piotrowi — a zarazem nieznacznie, niepostrzeżenie, pod największym sekretem w ekstazie miłości pochwycić tajnym podejściem jego rękę, wpić się w nią wargami na nienasyconą chwilę, z upojenia przymykając powieki. Nie mógł jej się wtedy oprzeć. Cokolwiek by chciała zrobić, godził się na wszystko. Co więcej, lubił sam podsuwać jej myśl o tej kawiarni — namawiał, ażeby w tajemnicy przed Matyldą i generałem wymknąć się z domu i gnać do ulubionej skrytki.

Pewnego popołudnia byli na koncercie Colonne'a. Generał siedział na przodzie łoża, Tatiana obok niego. Piotr w głębi. Orkiestra grała "Heroiczną symfonię" Beethovena. Stary generał poczuwał się do obowiązku słuchania w skupieniu ze względu na osobę wojownika, Bonapartego, który czynami swymi natchnął pono twórcę do podjęcia i wykonania nieśmiertelnego dzieła. Tatiana była roztargniona. Rzucała oczyma po wielkiej sali Châtelet, natłoczonej zadumanymi głowami. Ale oto po części pierwszej — jakby po rozległych i szalonych dziejach czynu — wśród ciszy dała się słyszeć druga — dzieło boskie — w którym materialne instrumenty przemawiają nie materialnymi głosami, lecz elementami duszy człowieka — o śmierci. Wielekroć powtarzająca się melodia kroków zmierzających ku wrotom wieczności rozwarła ich połowice i ukazała sprawę śmierci — dzieło jej niszczycielskie. Zachwiała się melodia jak gdyby człowiek ogarnięty przerażeniem, spadła z piedestału mocy swej i jęła tarzać się w boleści u nieubłaganego progu. Słychać w niej było, jak szął ręce zapuszcza we włosy, jak jęk zamiera, jak serce wzdyga się i pęka od widoku bezlitości. Z dała pochodem nadeszły kroki nowe, idące w tę samą drogę. Zbliżyły się i zdeptały ból jednego człowieka. Przeszły po nim.

Tatiana z wolna poczęła przysłuchiwać się tej muzyce. Głowa jej pochyliła się nieco na bok jak u nasłuchującego zwierzątka, oczy zagasły. Uśmiech nieznajomy osiadł na wargach. Jednolita błądź powlekła czoło i lica. Nozdrza zeszytywniały w trudnym oddechu. Niepostrzeżenie wyciągnęła w stronę Piotra rękę. Gdy ujął jej dłoń, ścisnęła go z całej siły i przywarła palcami do jego palców na cały czas trwania wzniesłego dramatu drugiej części "Bohaterskiej symfonii". Gdy ta muzyka — "do diabła!" — ucichła, Tatiana, nie podnosząc wzroku i nie tracąc tego samego uśmiechu, rzekła cicho do Piotra:

— Mam ci coś powiedzieć...

— Słucham.

— A kiedy przestałbyś mię kochać...

— Czy tak?

— Na pewno.

— To powiedz! Zrobimy próbę.

— Niebezpieczna to byłaby próba.

— Cóż to takiego?

— Nie śmieję się!

— Nie można się śmiać po tej muzyce.

— Przekłeta jakaś muzyka! Jakby kto ścisnął za gardło.

— Taniu, czy tak? A ja marzę, żeby się jeszcze raz ozwały te chóry skrzypiec i ten po nich marsz! To jakby wszystkie wojska ziemi niosły na ramionach zwłoki bohatera...

— Dla mnie to nie tak. To było, jakby ohydny kat zdierał ze mnie suknię i krwawą garścią chwycił mnie za włosy. Tu kat, a tam w tej muzyce, za żelaznymi drzwiami siedział car Iwan Groźny. Drzwi się miały lada moment otworzyć... I nagle ta cisza. Wtedy to ów nieopisany dźwięk. Te skrzypce... I znowu cisza. O, Boże!

— Ale teraz już przeszło nieprzyjemne wrażenie?

— Kiedy to jest co innego! Nic nie wiesz. Nie rozumiesz wcale, co ja mówię. Możesz wyobrazić sobie cara Iwana Groźnego, jak siedzi na złotym krześle za żelaznymi drzwiami?...

— Powiedz!

— Później... — szepnęła.

Po wyjściu z koncertu śpieszyli przez zatłoczoną ulicę Rivoli, szarpani i popychani na wsze strony. Piotr znalazł się obok Tatiany. Zapytał:

— Powiesz mi teraz?

Znowu ten osobliwy uśmiech przemienił się w bladeść i zastygł na wargach. Już podniosła oczy i, zda się, zebrała myśl, żeby powiedzieć... Nagle rzuciła ostro i z gwałtownością:

— Ależ nie! Głupstwo. Nie warto mówić. To tam było jedno takie.

— Nie powiesz?

— Nie. Nie powiem. To nic ciekawego. Było, minęło i nie ma.

— Kogo kochałaś?

Roześmiała się nieprzyjemnie i z góry, jakoś pogardliwie spojrzała na Piotra. Urażony zamilkł.

Zdarzało się, że zmuszała towarzysza do opowiadania wszystkiego o przeszłości, a szczególnie do wyjawienia marzeń o kobietach i opisu stosunków z nimi. Wysłuchawszy zaś wszystkiego z pozornym spokojem, a nawet z łobuzerskim śmiechem, naraz popadała w płacz, w szlochy pełne jęków z dna duszy, długich i niepokieszonych. Zazdrościła o każdy dawny uścisk, o każdy pocałunek oddany przez Piotra owym nieznanym "łotrzycom". Z płaczu wylaniała się później zabójcza pogarda, gniew, pasja, furia. Potraçała go ze wstrętem i odrzucała od siebie, biła weń insynuacjami i podejrzeniami, umyślnie zaznaczając, że jest niemiły, brutalny, ordynarny, brzydki. Mijały godziny, nim się uspokoiła i nim ucichło w niej to groźne morze duszy.

Ale i on znał dobrze szpony zazdrości. Często wałęsał się w ulicach pod jej oknami, czyhając na urojonego rywala, choć w głębi duszy wiedział, że takiego nie ma na świecie. Często mierzył piędź po

piędzi tęskniącą zazdrość, rozpiętą na dźwiękach długich godzin oddalenia, zaiste wplecioną w koło doby dzielącej oczy od widoku ukochanego oblicza, usta od ust i zakochane słowo od jego echa w ustach różanych.

Zmiany niepojęte i tajemnice kryły się w usposobieniach jej i w natężeniu jego tęsknoty. Lubili badać w sobie owe zmiany, wpatrywać się w te jak gdyby krajobrazy swych uczuć tajemnych.

Nieraz po nocy bolesnej, pełnej strzyg zazdrości i zmor tęsknoty, kiedy zmija wewnętrzna wysysała wszystką krew serca, przyszedłszy rano znajdował ją stęsknioną i jak gdyby jaśnie-wiedzącą o tym, co z nim w nocy było. Kiedy indziej cisza i pogoda serca trafiała na jej ponury gniew, niby na nieubłaganą karę za godziny wewnętrznej cichości. Uczucia były tak wszechwładne, że twarze stawały się od nich uroczyste, jasne, pogodne — lub ciemne, pożółkłe, okrutne jak twarze widm z niewiadomej tragedii. Zawsze jednak, wśród wszelkich uczuciowych zmian, miał uroczyste nie wrażenie, lecz ugruntowaną pewność, że jest obok niego potęga, siła z życia wytryskająca, istota zdrowa, niezwalczona, sama przez się i dla siebie. W duszy Tatiany, w jej umyśle, postępowaniu, w dziwacznych zmianach jej woli, w jej chęciach, pożądaniach, marzeniach dokonywało się jak gdyby zrealizowanie potężnego zamysłu.

Wszystko w niej było dokądś dążące, samo dla siebie i świadome swego celu, który osiągnięty być musi — wszystko było jej własne, jej znane, idące w drogę wiadomą. Piotr zdumiewał się użyczeniu losu, że on jest wybranym tej kobiety, jej, która jest siłą najbezwzględniejszą i najsubtelniejszym pięknem życia. W tym, co ona lubiła, malowała się zawsze istotna wartość i przydatność zjawiska — to było właśnie faktem i prawdą, siłą i wdziękiem. Jeżeli spojrzała na dzieło sztuki lub przedmiot jakiegokolwiek porządku — oceniała go zawsze istotnie i z niewymuszoną trafnością.

Lecz nie lubiła dzieł sztuki, a właściwie nie przykładła do nich należytej wagi. W Luwrze podobał jej się Tycjana "Młodzieniec w rękawiczce" i podobał w sposób tak wyjątkowy, że Piotr był o niego zazdrosny. Lubiała rysunki ryte na etruskich zwierciadłach, Fragonarda i "Salonie" Bernardina Luiniego...

Żadne zjawisko znane, żadne dzieło sztuki ani najstarszy przejaw pracy wieków — jej nie imponował. Wszystko, cokolwiek spotykała na drodze — instytucje, pomniki, rzeczy czczone jako skarby — były nie to obojętne, lecz służyły do odebrania własnego jedynie wrażenia. Paryż z jego przeszłością, z gmachami i muzeami, siedzisko nauk, postępu i sztuk, był czasem zabawką jej myśli, czasem w chwilach łaski i wzruszenia przedmiotem kontemplacji. Ona nie była dla żadnego z tych ludzkich dzieł.

Jedyny i istotny zachwyt czuła dla modnych "kreacji". Uwielbiała żywe życie. Kiedy nad wieczorem znaleźli się we wrzaskliwym kotle bulwarów — czuła się najlepiej. Idee, uogólnienia, spostrzeżenia Piotra nużyły ją, a nawet sprawiały szczególniejszą przykrość. Nie mogła pojąć jego stanu duszy, rozterki i targaniny wewnętrznej. Nachylała się siłą woli, patrzyła w jego świat wyęzając słuch, ale nie mogła tej jego dziedziny uczynić własną. Czasem zadawała pytania albo, co gorsza, głosiła opinie, które go doprowadzały do głębokiego smutku.

Wybuchały wtedy sprzeczki i scysje. Umiała być niewzruszenie twarda, nieubłagana i nieugięta — gryzła wargi i miotała groźne spojrzenia. Wiedział dobrze, że gdyby nawet skonał u jej stóp, pewnych w niej usposobień nie wytepi, chociaż przez bezgraniczną miłość robiła wszystko, co było w jej mocy, i niemal uczuwała wszystko, czego chciał, co czuć kazał. Pojmował dobrze, że tego w niej nie ma, a co jest, przezeń jest stworzone. Nie mógł zupełnie zwalczyć jej oporu. Siłą uczucia mierzył twardość opoki, na której wyrosło wszystko, co nią było.

Toteż pewnego dnia, kiedy nie mógł jej widzieć, poszedł sam do Notre Dame i długie tam przepędził godziny. Obok posągu Opiekunki miasta ustawiono podówczas posąg Joanny d'Arc. Posązek był ordynarny, wcale nie artystyczny, zwykły, z białego marmuru. Piotr wpatrzył się w ten posąg, wmyślił w dzieje Joanny — i oto z jego serca wybuchnęło błaganie do bohaterki, ażeby jej dusza ocknęła się w duszy Tatiany. Nie wiedział, czego chce, co czyni, nie przypuszczał nawet, że się modli. Nie zdawał sobie sprawy, do jakich dzieł chce Tatianę podźwignąć, zagrzać i popchnąć — ani o co mu chodzi. Był jak niemowa, usiłujący wymówić całe zdanie, albo jak idiota, który by chciał zbudować nieskazitelny sylogizm. Wpatrywał się gorejącymi oczyma w postać dziewicy, zakutej w pancerną stal, i błagał usilnie o przemienienie duszy Tatiany w duszę Joanny d'Arc. Nikogo nie było w olbrzymim kościele. Panował mrok, w którym sączyło się fioletowe światło z kolistego witrażu. Piotr czuł, jak gdyby był wrośnięty w kamienną posadzkę, a pragnął podnieść się, podźwignąć w górę. W chwili tej nieobecna Tatianę miał na swej piersi i obejmował ją rękoma ducha. Długo tak nadaremnie płonął przed kamiennym posązkiem.

Chwila ta zginęła zresztą bez śladu w powodzi innych, wśród momentów radości krótkich jak błyskawica i długich mroków smutku. Widywali się w dalekim mieszkaniu mademoiselle Mathilde. Jednego dnia, przyszedłszy na miejsce o naznaczonej godzinie, zastał pokój pusty. Cekał... Był już mrok. Świeca płonęła na stoliku zarzuconym książkami i drobiazgami. Ruchomy blask odbijał się w lustrze kominka i szafy niecąc wokoło jakby widomy, drgający obraz bezsilnej tęsknoty, co narywała w sercu. Huczało wielkie miasto. I ten huk zdawał się być w sercu, w duszy targanej od niepokoju. Ręce czepiały się ulubionych sprzętów, w których miłość była utajona. Każdy szczeł drzwi, odgłos na schodach wprawiał we wzmożony stan męki czekania. Minęła jedna i druga godzina. Nareszcie rozległ się łoskot otwieranych drzwi i odgłos ukochanych kroków.

Wróciła. Jak strzała puszczonej z cięciwy, tęsknota uderzyła w jej piersi. Skargi, szyderstwo, podejrzliwość, nagle, twarde postanowienia i jeszcze bardziej nagle upadki do nóg... Tatiana była milcząca, nie chciała oddać pocałunku, drwiła i raz wraz cisnęła opryskliwe zdanie. Po długich prośbach na klęczkach dowiedział się, że była w sklepach. Nie wierzył. Sztylet podejrzenia wrzynał się w serce. Szczególnie uśmiechnięta, półobrócona, drwiąca wyznała wreszcie, że poszła do kościoła Saint— Germain-des-Prés. Nabywszy świecę, postawiła ją przed posązkiem Matki Boskiej w bocznej nawie z modlitwą za Piotra, za jego zdrowie i za wszelkie dobro — z prośbami pokornymi o pewne łaski miłości, iżby się stało to, czego pragnęła w tajemnicy dusza. Klęcząc przed Tatianą Piotr ujrzał w niej jakimś widzeniu szerniały posązek i rzędy świec płonących przed nim. Tatiana była prawosławna, on nijaki, niewierzący. A oto teraz ujrzeli oboje, schyliwszy ku sobie głowy i stykając się czołami, siłę kamienia, który wszystko zdawał się wiedzieć w tej niewiadomej, ciemnej jak głęboka noc, zagmatwanej sprawie miłości. Był tedy ktoś, kto mógł pomóc w męce dusznej, poradzić w obłąkaniu, popchnąć na drogę niewidoczną zgoła w tej niezgłębionej nocy miłości.

Piotr podniósł oczy na posąg daleki i pragnął sam doznać wskazania, doznać tego, co prosty lud od tyłu wieków nazywa "nieustającą pomocą". Zdumiewał się zarazem nad koncepcją tego złudzenia, że mogłaby być siła, która by miała powszechną świadomość nie tylko tego, jak jest — małe zawile wewnętrzne szarpania, słodkie aż do śmierci omdlenia, nad którymi nie panuje rozum ni wolna wola — męczarnie i radości ekstatyczne, okrutne, zabójcze — lecz nadto mogła wiedzieć, jak trzeba... Tatiana mówiła cicho:

— Słuchaj mnie... Modliłam się na kolanach, żeby Ona dała mnie, niegodnej, ażebyś ty wreszcie polubił samo życie, ażebyś przecie spostrzegł miękkość, radość i piękność. Prosiłam się Jej, żeby ci dała przejrzeć i widzieć świat dla nas stworzony, radosny — żeby twoją duszę raczyła zdjąć z tych okrutnych haków, na których ją rozpinasz.

— Taniu! — wyszeptał wspomniawszy swoją modlitwę.

Tulił ją w ramionach usiłując pochłonąć w pocałunkach, wcielić w swe serce, zmieścić w sobie, pokonać duchem i zamknąć w swych piersiach.

— Prosiłam się, żeby twoja polska ponurość i twardość zelżała, żeby się uśmiech w tobie narodził, żeby na ciebie pierwszy powiew wiosny przyleciał, żeby ci słońce zaświeciło w duszy...

Innego dnia biegł po zachylających się schodach nie jak człowiek żywy, lecz raczej chmura niesiona od wichru i wichrowi jedynie posłuszna. Pociągnął za dzwonek... Skoro otwarto, minął korytarz i trafił do drzwi ukrytych w ścianie. Stojąc przed nimi doświadczał uczucia, jakby się wcielał w głąb swego jestestwa. Ściana oddzielająca pokój Tatiany od korytarza była cienka, oklejona bładoniebieskim papierem. Dalej był już ślepy mur sąsiedniego gmachu. Piotr miłował ten pokój, świątynkę na ziemskim globie, gdzie przebywała bogini. Kochane były tam wszystkie sprzęty: szafa na suknie, stół, krzesła, a nade wszystko wielkie lustro nad kominkiem, które w tafli swej miało obraz precudnych kształtów i niebiańskich zdarzeń, a zatopilo te widoki w sobie, w lśniącej, uśmiechniętej tajemnicy. Nieme lustro, jak natura, nie znało wspomnienia, litości i marzeń — jak niezbadany los gotowe było na nowo ukazać w całym jej przepychu rozkosz albo zapomnieć o niej, nie odtworzyć już nigdy i milczeć o jej istnieniu aż do skończenia świata... Gdy Piotr wsunął się, a raczej wkraśl do pokoju, Tatiana nie wybiegła, jak zawsze, na powitanie jego ust i ramion. Stała wśród pokoju bezradnie, blada i ociężała. Skoro się zbliżył przełknięty, szeptem wyjawila mu, że nie spała przez całą noc, że usnęła dopiero o siódmej rano, i to na krótko. Na tysiączne pytania o przyczynę odpowiadała milczeniem albo monosylabami, które nic nie tłumaczyły. Wreszcie na gorące prośby, które zanosil klęcząc u jej kolan, wyznała, że o północy przełękła się i w drzeniu okropnym przetrwała noc.

— Czegóż przełękłaś się, Taniu? — dopraszał się po tysiąc razy.

— Ktoś się dobijał do mnie.

— Tutaj? O północy? Ależ przecie obok śpi generał...

— Tak, śpi. Ale cóż z tego?

— Może jakaś pomyłka?

— Nie. Ten, co się dobijał, nie pomylił się, wiedział, gdzie mnie szukać — rzekła z tak męczeńskim uśmiechem, że Piotr zdrętwiał w sobie.

— Któż to więc był?

— Nie wiem.

— A skądże wiesz, że to ktoś taki, co się nie pomylił?

— Bo wiem.

— Więc wiesz i nie wiesz?

— Tak, wiem i nie wiem.

Schyliła się, zwinęła w sobie i siedziała na łóżku z głową ukrytą w dłoniach. Włosy jej były roz kudłane, gruba chustka okrywała ramiona. Było coś nad wyraz bolesnego w tej nieziennej

postawie. Nie mógł posadzić jej na krześle, ocucić, dźwignąć. Wracła wciąż do swej dziwacznej pozy. Gdy podniósł jej głowę i zajął w oczy, zobaczył twarz bladą, bez wyrazu żadnego, a oczy martwe i zimne. Nic nie mówiła — a jeśli wyrzekła jakie zdanie, było obłudne albo bezmyślne. W pewnej chwili zza włosów, które jej twarz zasłaniały, rzekła w pełni rozumu, tonem, który zdradzał głęboki namysł:

— Jeśli mi dasz dziecko, to się już nie będę bała.

— A czy to nie pierwszy raz tak się boisz?

— Nie pierwszy.

— A kogo się ty boisz, kogo?

— Jednego.

— Wyznaj mi!

— Nie mogę.

— Przysięgnę ci, że ja potrafię wyrwać z ciebie tę obawę!

— Nie potrafisz.

— Ja nie potrafię?!

— Daj mi dziecko...

— Nie rozumiem cię...

Chwył ją za ręce, objął ramionami jak skarb swój — i prosił się:

— Powiedz, kogo się boisz!...

Milczała po dawnemu. Milczała długo, okrutnie, złowieszczo dla siebie i dla niego. Wreszcie nie proszona rzekła sama:

— Jeden tu do mnie przychodzi.

— Kto? — szeptał Piotr.

— Jeden.

— Jakże wiesz, że przychodzi?

Podniosła znenacka głowę i rzekła wskazując na drzwi:

— Wczoraj te drzwi zaczął szarpać. Z dziesięć razy szarpał. Cała ta ściana trzęsła się, gdy tak targał... Boże! — jęknęła w bólu, rozglądając się zgasłymi oczyma i z wolna, bez sił opadając na posłanie.

— Ależ to przeciąg, wiatr ruszał te drzwi!

Milczała.

— Mówże, Taniu!

— Czego ty chcesz?

— Skąd ci to przyszło do głowy, że ktoś mógł się do ciebie dobijać? Dlaczego?

— Ja wiem dlaczego, i on wie dlaczego.

— Któż to taki? Na Boga, któż to? Powiedz!

— Nie powiem tego nigdy, nikomu, nikomu!

— Ani mnie?

Podniosła ramiona ociężałym ruchem, pełnym miłości, opłótła mu szyję i głowę jego przytuliła do piersi kochającej, w której gwałtownie biło wzburzone serce. Prosiła błagalnie:

— Nie żądam tego wyznania. Nie mów o tym do mnie. Proszę o to przez naszą miłość...

— Dobrze, już nie powiem ani jednego słowa. Ale uczyn tak, gdy cię ogarnie obawa, a mnie przy tobie nie będzie: Przytul się, jak teraz do mnie, do mojej duszy. Przyciśnij mię do swego serca jak teraz. Ja będę z tobą na zawsze, aż do mej śmierci. Zasłonię cię! Ja jestem mężny, za ciebie potrafię umrzeć i każdego wroga zwyciężę!

— Tego wroga nie zwyciężysz... — rzekła z bolesną pewnością, kiwając ciężką głową.

— A czy nie mogłabyś powiedzieć mi przynajmniej, czego on od ciebie chce?

Zadrżała wszystka jak młoda brzoza u samego odzienia uderzona ostrą siekierą. Zęby jej szczykały, palce były jak sople lodu. Z oczu spadły strugi obfitych łez i z nagłą obeschły. W źrenicach została szklista suchość tchórzostwa. Mówiła przyciszonym głosem szczerzej prostracji:

— Nie wiem, czego on chce. To tylko wiem, że szarpał drzwi. Tak szarpał, że zasuwka wyginała się, a cała ta cienka ściana... Między futryną i drzwiami już była szpara! Gruz się sypał za tapetami, suche pacyny spadały koło łóżka...

Skurczyła się, znowu przywarła całym ciałem do Piotra z tak bezdenną boleścią i tak wstrząsającym jękiem, że przeniknęło go zimno boleści jakby mróz z zewnątrz, z jej ciała wypływający. Uczuł jej boleść w sobie i zimno jej serca z wolna przenikające do swego serca. Podniosła głowę i zapytała z cicha:

— Czy ty lubisz tych Polaków?

— Skąd to pytanie? Na co ci taka odpowiedź, Taniu?

— Tak — pytanie...

Zamilkła i, zdało się, w objęciu jego usnęła. Ale po westchnieniu znać było, że nieszczęście w niej czuwa i działa.

— A może to jest jaki umarły — ten, co do ciebie przychodzi... — rzekł Piotr z bezmyślną ironią.

Nie odrzekła nic. Westchnęła.

— Przynajmniej mi to wytłumacz...

Rzuciła z nakazem:

— Nie mów!

Po długiej, długiej chwili znowu podniosła głowę i zaczęła prosić się w głębi serca szeptem miłosnym, zwierzeniem najszczerzym, ujętym w bezmyślne słowa:

— Daj dzieciątko... Daj córeczkę czarnobrewkę, czarnowłosą... Daj dzieciątko... Będę ją po nocach trzymała przy piersi, będę ją tuliła na sercu. Serce ucichnie... Ja już słyszę jej płacz... Daj dzieciątko.

Na ogół biorąc, Tatiana była uparta i skryta. Jeśli nie mogła pojąć chaosu duszy Piotra i wyrwywających się zeń słów i zdań, nosiła w sobie podejrzenia albo ból i nie mogąc im dać rady wymierzała na winowajcy jakby zemstę. Zaprzeczała dawno ofiarowanej łasce, cofała przyrzeczenia, które już od dawna były skarbem obojga. Dopiero w chwilach najwyższej ekstazy łaska wracała i wynurzało się wyjaśnienie, komentarz do tajnego źródła niełaski. Odsłaniała się znowu prawda, a odbłask wewnętrznego jestestwa duszy pokazywał się w promieniach radości. Podówczas stawała się znowu dobrą i nagradzała zadany ból w sposób królewski, ze wzniosłą szczodrobliwością. Szczęście stawało się coraz bardziej ciche, bezsłowne, oniemiałe, zastygłe w jakowymś kwiatku uwiedłym, w szczególnym pocałunku, w nazwie imienia wynalezionej genialnie, w uśmiechu. Wówczas podnosili się wzajem ku sobie i stawali duchowo bliscy. Tatiana wpatrywała się w jego oczy i wyczytywała w nich myśli, jakby były za pomocą liter i słów utrwalone, spostrzegała w nich piękno i wzniosłość...

Rozdział XIV

Podczas drugiego miesiąca pobytu generała Polenowa w Paryżu przez jego salon przewijać się począł korowód Francuzów. Byli to przeważnie majsterkowie interesu, dziennikarze polujący na materiał do plotek o Rosji. Bywali jednak i artyści, literaci, muzycy. Niemal każdy z nich zostawiał u stóp Tatiany daninę spojrzeń, cichych westchnień i wykwinie zamaskowanych wyznań. Jej to pochlebiało. Lubiała te francuskie hołdy. Ten i ów z przygodnych wielbicieli otrzymał jej powłóczyście spojrzenie, inny chwilę dłuższej rozmowy. Pewien redaktor artystycznego pisma wyjechał nagle do Szwajcarii w obawie o losy swego serca. Pewien komediopisarz obdarował ją swymi dziełami, zбогаconymi kwiecistą dedykacją. Pewien młody artysta zaczął malować jej portret. Chodziła sama do jego pracowni pozować. Piotr odprowadzał ją do drzwi pawilonu w ogrodzie i czekał. Serce ścisnęło się w nim i dusza zamierała na rogach ulicy, gdy się tłukł jak ptak z wykręconymi skrzydłami, nagle złapany z wolnego powietrza miłości i z przestworów szczęścia w ciemność zdradzieckiego potrzasku.

We wzroku upadłym na ziemię sniły się przeraźliwe widziadła. Cóż by za to dał, żeby wzrokiem tym przebić ogromne ściany i ujrzeć, czy prawdą jest, co podsuwała wyobraźnia — i jeżeli to prawda, zadać duszy własnej ostatni i nieomylny cios. I oto nagle Tatiana wychodziła wesół, rozbawiona, pustująca, pełna jakby nowego blasku i zapachu. Wszystko zniknęło jak mrok wobec światła. Jej wonne ręce, radosne oczy odpędzały wszelki smutek. Zanosila się od śmiechu, właśnie z Piotra. Piąte przez dziesiąte opowiadała, co to jej nawyznawał malarz. Raz zwracała uwagę Piotrową na redaktora, jako tego, który "rzeczywiście" mógł być uważany za "coś" — to znowu tajemniczo wspominała o komediopisarzu...

W trakcie tych zdarzeń jednej nocy Piotr długo nie mógł zasnąć. Postać malarza, którego zresztą nigdy na oczy nie widział, lecz wady i zalety znał z opowiadań Tatiany na pamięć, snuła się w mrokach snu jak doskonale wyraźne widziadło. Spostrzegł oto Tatianę rozmawiającą z człowiekiem nieznanym, który do niego, widza, tyłem był odwrócony. Widział miłosny wzrok Tatiany zwrócony na twarz tamtego człowieka.

Patrzył tak długo na jej oczy, które były jego własnymi, jego szczęściem, jego życiem — oddane cudzemu wzrokowi... Straszliwa siła snu zdawała się przebijać wielkie mury, wyważać zamknięte drzwi, otwierać okna i ukazywać, co się za nimi działo. Z tych bolesnych jasnowidzeń, od rozmów w sposób diabelski podsłuchanych, unosiła go siła łaskawsza i powracała w stan niewiedzy. W męce sennej podejrzliwości i na istnym ruszcie wyolbrzymiałych trwóg — smażył się do rana.

Gdy nagle, jak kamień, usnął, przyśnił mu się inny widok, pamiętny na całe życie. Zdało się, że po długim niewidzeniu i po dokuczliwej tęsknocie miał się spotkać z Tatianą. Kazała mu przyjść na brzeg morza, nad jakowyś brzeg, który gdzieś w życiu czy na malowidle widział. Były tam suche, kolczaste osty na szczerym piasku, kłującą trawą słabo porośnięte wądoły. Wokoło leżały górami białe wydmy. Suche stosy alg z morza wyrzuconych wydzielaly przykry zapach. Dalej ku morzu szczyrzyły się kamienie rudym mechem porośnięte, a u samej fali złościła się prześliczna, gładka plaża, jak dziecko przez matkę po milion razy wycalowana przez morze. Piotr szedł we śnie z pośpiechem, ażeby co prędzej ujrzeć Tatianę. Ale oto wypadło mu minąć dom kamienny, chałupę o niskich drzwiach i rozwartym oknie.

W tym oknie tłoczyli się jacyś ludzie, jakieś kobiety. Minął te drzwi i okno śpiesząc co żywo. Lecz niespodzianie usłyszał głos: Tatiana wychyliła się z rozwartego okna i zawołała go po imieniu. Znakami kazała mu iść dalej w tym samym kierunku, nad morze. Zeszedł między dwiema kępami twardej ziemi na wymytą plażę. Nadeszła. Twarz miała rozognioną. Śmiała się śmiechem nieznosnym, bolesnym, wyszydającym jego zazdrość. Gdy się zbliżyła, zapytał, czemu jest tak czerwona. Wtedy wyrecytowała:

— Wyobraź sobie... No ten... (wymieniła jakieś nazwisko, które usłyszał, lecz w sennej boleści natychmiast zgubił i zapomniał).

— Kto?

— No ten... (Znowu wymieniła nazwisko).

— Cóż takiego?

— Domyśl się, Piotruś — i przebac, no, przebac! Nie mogłam się obronić. Ach, jakis ty śmieszny, jaki śmieszny!

Straszliwe senne cierpienie rzuciło go na ziemię, do jej nóg. Objął rękami jej kolana, opasał je z rykiem nie jednego człowieka, lecz jakby z rykiem całego świata. Pękającymi od zduszenia płucami począł wniebogłosy wrzeszczeć, wzywać Boga na pomoc, na pomoc! Wzywał Boga, ażeby jej kazał zaprzeczyć, ażeby jej z gardła wydarł to słowo. Krzyk jego wzrastał się, rozpętywał, jakby w nim ryczała szalona nawałnica. Tatiana śmiała się nad tym jego krzykiem swym cichym, zażenowanym, zgłupiałym chichotkiem. Gdy się wreszcie ocknął zimnym potem zlany, dziękował Bogu, że to był tylko sen...

Jakby na zaprzeczenie tym snom bywali w tymże czasie bardzo długo razem. Tak długo, że czas zdawał się znikać, sama miłość niemieć z rozkoszy i w nicość się osuwać. Cudne, wolne już od

rozkoszy znużenie niby ręka mądrości rzucało na piękność zasłone. Mówili teraz szeptem bez uniesienia i bez żalu o tym, w jaki by sposób zapobiec rozłączeniu swemu teraz czy kiedykolwiek, czy w wieczności. Znajdowali, że ta chwila jest najstosowniejszą i najistotniejszą...

Pewna myśl jakby zapomniana na ziemi kazała Piotrowi zamilknąć. Powiedział jej o tej myśli. Uczuł natychmiast przebiegające jej ciało gwałtowne uczucie, zimny dreszcz. Nie mógł go z łona jej wycalaować, wyrwać z serca, wydobyć z myśli. To uczucie nie nazwane i nie wypowiedziane tkwiło w niej widomie jak żądło pszczoły w żywym ciele. Leżała bez ruchu, patrząc w ciemność otwartymi oczyma. Z ulicznych latarni wsączała się do pokoju nikła poświata i lśniła na tych czarnych, wypukłych źrenicach... Wtedy to za oknem, w głębi ciemnej ulicy rozległa się piosenka starego żebraka bez ręki. Znali tego trubadura od dawna, lubili jego basowy głos i jego tułacza pieśń:

Non, tu ne sauras jamais,

Oh, toi qu'aujourd'hui j'adore,

Si je t'aime, si je te hais,

Si je t'aime, si je raille encore...

Miłość dosięgła tej granicy, że myśl i uczucie malowało się jak czytelne pismo w blaskach, uśmiechach i połyskach. Czytał w tych oczach wpatrzonych w ciemność myśl wewnętrzną. Toteż począł mówić o wewnętrznym swym świecie, o straconym ojcu, polskim powstańcu, o jego mogile w pustce pod lasem, o spróchniałym krzyżu... Widział wciąż wypukłe, słabo lśniące źrenice. Całował żarliwe wargi i policzki pełne wieczornej słodyczy.

W pewnej chwili rzekła:

— Przestań już o tym mówić. Mam wstręt do tych twoich wszystkich historii. Nie mogę tego przed tobą ukrywać...

Zamilkł. Leżał bez żalu, bez smutku. Patrzył w ciemność jakby w wiadomy obraz swej samotności.

W pewnej chwili podniosła się, oparła na ręce, nachyliła twarz nad nim i zasłaniając ciemność sobą zapytała:

— Ty jesteś w duszy Polak? Taki sam jak twój ojciec?

— Tak.

Usta jej spoczęły na jego ustach, usta gorące jak płomień. Lecz oto wnet kurcz począł łamać, targać, wyginać, trząść drżeniem te śliczne — prześliczne usta. Och, ów tyle znany lament! Płacz wewnętrzny począł targać całe ciało, przechylać je tam i sam, jak chciał — i miotać po pościeli. Ciężka głowa, obciążona masą włosów, jak bryła kamienna zapadła się w poduszki i szloch niestrzymany począł rzucać tę bezsilną, nieszczęsną głowę, tacać ją jak ciężar materialny. Tatiana przekręciła się i zapadła na twarz w pościel. W płaczu bez końca skruszyła się jej wola zawsze żelazna i rozsypała na proch. Płacz ten był tak bolesny, tak rozdzierający, tak ostatni, że sam już był granicą.

Piotr czuł, że ani jedno już z mowy człowieczej słowo nie może go przerwać ani uciszyć. I cóż mogło uciszyć to zapamiętałe, ponure, śmiertelne łkanie? Ażeby podnieść i ukoić tę płaczącą głowę, trzeba by było przekreślić i wyrzucić z pamięci dzieje ojca, krwawe, leśne konanie pod kulami —

trzeba by było Rosji wolę najezdniczą, w śniegach bezmiaru na potęgę i posłannictwo wyhodowaną, w łagodne braterstwo odmienić...

Piotr zacisnął w sobie jęk, jakby udusił wyhodowanego ptaka. Przypadł ustami do burzy włosów, objął rękoma ukochane ciało i tulił je, targane od spazmów płaczu, w silne ramiona.

Rozdział XV

Pewnego dnia generał zawezwał Piotra depeszką pneumatyczną "na chwilę rozmowy". Przeczytawszy ów list, Piotr zrozumiał, że nadeszła chwila stanowcza i że trzeba będzie zdać rachunek. Nigdy o tej minucie nie myślał, nie był w stanie myśleć, a nawet mężnie i świadomie nie chciał myśleć. Teraz oczyścił ubranie, uporządkował papiery i rzeczy, ułożył wszystko — i poszedł. Wkraczając na schody wspianego hotelu marzył o Tatianie — to znaczy — składał na jej ustach żalosalny pocałunek.

Generał zajmował na drugim piętrze wielki salon, cały wysłany dywanem i zastawiony wykwiutnymi meblami. Z ulicy przez otwarte na balkon drzwi wdierał się nieznośny hałas. Toteż generał własnorecznie je pozamykał. Piotr spod oka obserwował jego ruchy i sennie przemierzał całą rozmowę, która nastąpić miała. Wiedza o tym, co mówić, jakie dawać odpowiedzi, układała się w krótkie, szybkie, bardzo proste zdania. Pomyślał: "Będę do upadłego bronił honoru Tatiany, a o sobie powiem prawdę". Generał odwrócił się od okna i rzekł zacierając ręce:

— No, Piotr Iwanowiczu, co sądzisz o tych wszystkich zjawiskach? Czas już zdać sobie sprawę!

— To jest — śmiem zapytać — z czego?

— Z tej ich całej Francji.

Piotr doznał zabawnego wrażenia: — coś jakby przed bitwą na szable, w chwili podniesienia broni, przeciwnik proponował zamiast ciosów w pałasze — uderzenie w kielichy.

— Francja — rzekł ociężale. — Śliczny naród! Najpiękniejszy naród na kuli ziemskiej, najbardziej wykwintony w rzeczach rozumu, najdzielniejszy... Każda niemal kobieta piękna, wszystkie wykwiutne, zgrabne, pełne wdzięku. Mężczyźni przystojni, a jakże często bajecznie piękni! A dzieci! Takich dzieci, jakie się tu widuje w Ogrodzie Luksemburskim, niepodobna zapomnieć. To ozdoby rodzaju ludzkiego.

— Ależ nie o tym! kobiety w istocie... — westchnął znacząco generał. — Prawdę powiedziałeś. Ale całość, całość, bracie. Ja ci wyznam: jestem rozczarowany, roz-czaro— wa-ny...

— Dlaczego?

— Toż popatrz, co to za naród! Piękna, ale wymierająca rasa. Wymierają! Co pół roku ubywa ich osiemnaście tysięcy. Za kilkadziesiąt lat będzie ich wszystkiego dziesięć milionów na świecie.

— Mają trzydzieści milionów ludzi pod swym panowaniem w koloniach. Mają już podobno armię kilkudziesięciotysięczną z Murzynów złożoną.

— Murzyni to nie Francuzi.

— Murzyn potrafi tak samo strzelać do Niemca z karabina maszynowego jak Tunguz albo Czeremis. A na oficerów wskazujących, do kogo strzelać, samych Francuzów wystarczy.

— I te kolonie ich rządzone są po barbarzyńsku. Rzeczpospolita operuje środkami Burbonów i Napoleonów. Nie idą śladem Anglików. Serca nie widzę.

— Serca... — zaśmiał się Piotr.

— Właśnie serca! Dziś, bracie, rozumiano nareszcie, że Francuz w Kanadzie może być najwinniejszym synem Anglii, jeżeli mu serce okażesz.

— Tak, być może — mruknął Piotr. — Choć to nie wszędzie jeszcze w zupełności rozumiano.

— Co powiadasz?

— Nic. Ja tak sobie... Często widuję tutaj elegancko wystrojonych Murzynów flirtujących z bardzo pięknymi pannami z najlepszych rodzin.

— A ja właśnie o tym chciałem z tobą powiedzieć...

— O czym, panie generale?

— O tym twoim złośliwym uśmiechu.

— O uśmiechu?

— Właśnie, o uśmiechu. Patrzę ja na ciebie spod oka, Piotrze Iwanowiczu, przypatruję ci się od dawna. Coś w tobie jest, coś ty w sobie przegryzasz — przebacz porównanie! — jak koń wędzidło.

— Nic niewart koń, który wędzidła nie gryzie — rzekł Piotr wykrętnie.

— Nie, nie! Chciej mię zrozumieć. Wejdź w moją myśl i idź za nią krok w krok aż do samego końca. Dlatego zacząłem rozmowę o Francji. I cóż Francja? Zjadła wszystkie studenckie hasła, połknęła wszelkie socjalizmy. "Towarzysze" zasiadają na fotelach ministrów.

— Tacy też to i "towarzysze"! Dlatego zasiadają, że najlepiej wiedzą, jak się do "towarzyszów" zabierać, jak ich tępić własną bronią.

— Wszystko to jedno. A w narodzie — co? Konserwatyzm, rutyna, rozdrobnienie własności na jednomorgowe gospodarstwa, rolnictwo w upadku, skąpstwo sklepikarzy...

— Najbogatszy to naród na ziemi.

— Zaraz, zaraz... — perorował generał — najbogatszy... Sto tysięcy apaszów w Paryżu, na wsiach brak nowoczesnych urządzeń, a nade wszystko szkół; w armii nieład, brak subordynacji, kradzieże broni i sprzedaż jej nieprzyjacielowi; w szkołach wyższych — rutyna, w szpitalach, na pocztach, w biurach przestarzałe, formalistyczne porządki; na kolejach przedpotopowe wagony, jakich już nigdzie na świecie nie ujrzysz, chyba w muzeach — grubiaństwo służby i humorystyczny bezład... Czytam ja tu w piśmie poważnym artykuł i za boki się trzymam. Roztrząsają pytanie, czy apasza tracić na gilotynie czy wysłać a la Nouvelle, czy dać prawo agentowi napadniętemu przez apasza, żeby mu bezkarnie w łeb palił. Agent policji zabity przez apasza kosztuje państwo pięćdziesiąt tysięcy franków. Skazanie apasza na deportację kosztuje osiemset franków rocznie. Skazanie go na śmierć kosztuje summa summarum wraz z sądem, z wydatkiem na jego królewską mość mr Deiblera — trzy tysiące

franków. Tymczasem dwa strzały agenta do apasza z rewolweru "nr 11" kosztują 20 centimów. Ponieważ zaś, jak z tego rachunku wynika, ça coutera moins cher, a więc nowoczesny citoyen nie ma wyboru. Do tego pytania, jakim sposobem najtaniej zadać można legalnie śmierć obywatelowi Rzeczypospolitej, sprowadziło się w rzeczywistości prawo człowieka i obywatela w tej nowoczesnej Francji.

— Mnie się zdaje, że nie jest tak znowu źle. Toż to ta nowoczesna Francja przeprowadziła rozdział Kościoła od państwa, postawiła nowoczesną, niezależną oświatę, z wolna, ale usilnie reformuje istotnie skandaliczną rutynę w rozmaitych dziedzinach życia społecznego — jest siedliskiem nauk, wynalazków...

— Mnie się wydaje, że się tu nic nie reformuje. To kraj po staremu zatopiony w sobkostwie życia, któremu to sobkostwu anarchia dodaje mocy. Rządzą krajem karierowicze. Każda ich grupa chcąc się u steru utrzymać musi schlebiać dusigroszom. Tu ciągle jeszcze trwa zamęt wielkiej rewolucji. Rządzące menery wciąż się gilotynują, tylko za pomocą innych, ale też i nędzniejszych, filisterskich i po adwokacku przebiegłych sposobów. Piotr Iwanycz, patrz dobrze na tę nowoczesną Francję!

— Dlaczegoż to ja właśnie, panie generale?

— A dlatego ty, a nie kto inny, że ty wędzidło gryziesz. Ja ci powiadam: ruskie wędzidło to mądry narząd!

Piotr milczał.

General dorwał się do właściwego prądu swych myśli. Oczy mu się paliły, na wygolonych policzkach zakwitły rumieńce. Chodził wielkimi krokami po dywanie salonu i nie patrząc już na swego gościa dowodził:

— Nowoczesna Francja, toż to argument najoczywistszy, do czego prowadzi dywagacja wielkich zasad w sztuce rządzenia. Ludzie zmieniać się mogą, pokolenia znikają po pokoleniach, lecz myśl musi być stała i jedna. Narody mają swe misje. Ludzie rządzący muszą rozumieć misję narodu pod karą straszliwej odpowiedzialności. Takim człowiekiem w Rosji był Mikołaj Pierwszy. Ten człowiek stworzył dusze ludzi rosyjskich. Miał zarówno rękę żelazną, jak miłujące serce ojca. Toteż to był twórca nowoczesnej Rosji, monarcha i człowiek. Pojmowali go ludzie. Pojmował go twój dziad i dziad stryjeczny. I ty powinieneś pojąć wielkość tej postaci, Piotr Iwanycz.

Rozłucki milczał.

— Milczysz? — zapytał generał natarczywie, stając naprzeciwko niego.

— Jestem oficerem niskiego stopnia. Niczym nie kieruję. Przeciwnie, mną kierują wszyscy... — rzekł łagodnie.

— Ale możesz zająć, dokąd zechcesz. Może nadejść chwila, że przyjdzie ci kierować. Cóż wtedy? Rozumiesz, co ja mówię? Cóż to za żołnierz, co nie nosi w tornistrze marszałkowskiej buławy!

— To nie zależy ode mnie, lecz od mnóstwa okoliczności.

— To zależy od ciebie! — krzyczał generał. — Tylko od ciebie!

— Jakimże to sposobem, panie generale?

— Krótko ci powiem. Jesteś na najlepszej drodze. Byłbym w tym, ażebyś zrobił karierę...

Rozlutki powstał ze swego miejsca.

— Ale — ciągnął generał kładąc rękę na jego ramieniu — muszę wiedzieć, czy jesteś ruskim człowiekiem do dna duszy, czy kochasz Rosję tak jak twój dziad, jak ja... Muszę wiedzieć, czy jesteś człowiekiem mikołajowskiego zastalenia duszy, o którym ci mówiłem przed chwilą. Tymczasem — niestety! — ja w tobie widzę jakąś wewnętrzną skazę.

— We mnie jest skaz bardzo wiele.

— Każdy z nas przeżywał młodość. Rozumiem. Burza w duszy, i tam to wszystko...

Ale — powiadam — patrz na Francję. Czy zgubność zasad nie doprowadziła jej do tego, że niech wejdą Niemcy...

Generał począł szeptać:

— Nie oparliby się aż w Pirenejach, aż w oceanie.

— To jeszcze kwestia...

— To dla mnie tak jest oczywiste, że nawet nie będę o tym mówił. Jestem oficerem i rozumiem rzecz. Czy wiesz, co robią ci czerwoni żołnierze w chwili najścia nieprzyjaciela? Rzuca karabiny albo skonfederują się przeciwko swej zwierzchności na podstawie zasady, która im przypadnie do smaku.

— Rosja poczytuje się za niezwalczoną potęgę, a czy tak jest w samej rzeczy? Czy tam wad nie ma?

— Wady są wszędzie, bo Rosja to ludzie. Lecz "z nami jest Bóg!"

— Dostojewski pisał w Dniewniku pisatela...

— Co mi tam Dostojewski! Władza, nie jakiś pisarz!

— A toż przecie jest piewca władzy, twórca mistyki państwowej rosyjskiej tego wieku! Można by powiedzieć: ojciec duchowy "czarnej seciny".

— Kogóż to przeżywasz "czarną seciną"?

— Cokolwiek prorokował ten wieszcz, spełniło się lub spełnia, ale wspan, na odwrót. Gdyby kto chciał utworzyć najzjadliwszą satyrę na Rosję nowoczesną, niech odczyta publicznie dytyramb mistyczny na jej cześć, proroczą wizję jej przyszłych dziejów w Dniewniku Dostojewskiego. Wielka jest w Rosji pycha.

— Cóż to nazywasz pychą naszej ojczyzny?

— Pychą nazywam żądzę krzywdy, którą ona nazywa swą misją.

— Oto jest nareszcie twoje słowo. Kogo gdzie Rosja skrzywdziła? Kogo? Mów!

Piotr milczał.

— Wiem, jaka myśl przenika cię teraz. Ale czyż Rosja nie jest ojcem i matką dla tego narodu? Czy nie uwolniła chłopów z pańskiej jego opresji? Czy nie dzięki nam powstał w tym kraju przemysł, miasta, nowoczesna industria, kopalnictwo, koleje, żywy ich handel z naszym Wschodem? Kto zresztą w Rosji prześladuje, krzywdzi albo nie lubi Polaków? Ja sam...

Generał zniżył głos:

— Ja sam głęboko ich lubię. Świetny i piękny naród. Wszystko u nich swoje i nadobne, miękkie jakoś, subtelne, niezrozumiałe. To tak. Lecz nasza państwowa racja stanu nie może się bawić w sentyment. Patrz pilnie dokoła siebie, Piotr Iwanycz. Ratuj swą duszę!

— Duszę? — uśmiechnął się Rozłucki.

— Tak, duszę! Rosja musi mieć synów wiernych. Kto jest z nią, ten musi być z nią nie połową, lecz całą duszą. Możesz stać się odszczepieńcem... jak... twój ojciec.

Piotr spojrzał mu w oczy surowo i śmiało.

— Każdy człowiek ma jedno przynajmniej prawo, które nie może mu być odjęte: prawo do swej duszy.

Generał ciężko dźwignął się z krzesła. Był chmurny, przybity. Mruknął trwożnie, niemal ze wstydem:

— Piotr Iwanycz... pamiętaj na Tatianę...

— Tatianę... — powtórzył Rozłucki czując, że błędnie.

— Nie rozmawiałbym ja tak z tobą, gdyby nie ona... — wycedził generał przez zęby.

Rozdział XVI

Urlop Piotra skończył się wcześniej od generalskiego. Tatiana nie chcąc dłużej zostawać w Paryżu wymogła na ojcu, ażeby na resztę czasu wyjechać nad morze, do Szwajcarii i Tyrolu. Ostatnie dni zeszły szybko, przeleciały jak na ptasich skrzydłach.

Rozstawali się. Było to tak proste i tak nie do wiary...

Ostatnimi czasy przez pustotę i kobiecą żądzę hołdów Tatiana pozawiazywała jakieś bliższe znajomości — z owym malarzem, który jej portret do nieskończoności "wykańczał", z redaktorem i jeszcze z innymi. Piotr przypadkowo przeczytał list malarza do Tatiany, list, którego tytuł brzmiał: "Chere Amie...", aczkolwiek treść była obojętna i przyzwoita. Ileż cierpień sprawiły mu te dwa wyrazy! Tatiana przysięgała na wszystko, że niczym nie upoważniła do nadawania jej takiego tytułu przez obcego mężczyznę, płakała tak rzewnie i tak szczerze, aż przekonała. Musiał sam w swym mniemaniu przystać, iż jest to zwyczaj francuski nadawania miłym znajomym tak poufnego w listach tytułu. Ale wkrótce wpadł Piotrowi w ręce inny list, zapraszający na seans portretowy, a zakończony przed nazwiskiem słówkiem: "Votre"... Znowu wybuch zazdrości i znowu strugi niewinnych łez. W kilka dni później Tatiana przyszła z miasta wzburzona i sama opowiedziała Piotrowi, że przypadkowo spotkała na ulicy owego malarza, szła z nim przez czas pewien i że wtedy "ten osioł" zaproponował jej

wspólne spożycie obiadu, i to gdzie? — W Saint-Cloud. Przysięgła, że mu dała ostrą odprawę, "zbyt nawet ostrą, jak na winę tego osła". Piotr już nie wierzył. Szałał z wściekłości. Tegoż dnia nadszedł list od malarza przepraszący za nietakt, jakiego się dopuścił, ale z zakończeniem, że pomimo tych wszystkich jego nietaktów "nie może się pogodzić z myślą, ażeby go już ani trochę nie lubiła". Rozłucki zażądał, ażeby do owego malarza napisała list z oświadczeniem, iż ma narzeczonego, który jest jej ukochanym i jedynym — iż z powodu nagłości wyjazdu żegna swego portrecistę, a nie mogąc go już więcej zobaczyć, dziękuje mu za swą piękną podobiznę itd.

Tatiana z radością i bez wahania napisała ten list. Ze śmiechem obydwójce odnieśli go na pocztę i sprawa została ubita.

Ale oto pewnego dnia na wyjeźdźnym, gdy weszli obydwójce do ulubionej kawiarni, ażeby może ostatni raz nasycić się dobrą chwilą, zbliżył się do Tatiany starszy garçon i wśród wielu ukłonów, przeproszeń i omówień oświadczył, że monsieur de Eagle polecił oświadczyć o swej obecności w tej cukierni...

Piotr wiedział, że takie jest nazwisko redaktora, ale nie znał go osobiście. Zdawało mu się, że omdleje z rozpacz. Chciał wyjść. Tatiana pochwyciła go niepostrzeżenie za rękę, a do garçona rzekła, że nie zna od tej chwili owego pana de Eagle.

Głuche podejrzenia nurtowały duszę Piotra. Męczył się, poniżał aż do śledzenia kroków ukochanej, aż do przeglądania jej pudełka z listami. Przeszukując owo pudełko trafił na ostatni list malarza po oświadczeniu Tatiany, że ma ukochanego narzeczonego.

Malarz pisał z zabawną wyniosłością o swej duszy łacińskiej, tak różnej od duszy słowiańskiej — nie zgadzał się, ażeby zasłużył na wyrok zanadto surowy, jaki go spotkał, i jako "latyn" wysypał istny kosz słów banalnie ugrzeczniionych... I oto wśród tych wszystkich trosk zazdrości i wśród dowodów miłosnego poświęcenia, które zazdrość niweczyła do ostatniego śladu, by za chwilę sama zniknąć bez śladu w ogniu jakiegoś nowego podejrzenia — nadleciał nagły i niespodziany dzień wyjazdu. Wszystkie troski miłosnego dnia jak olbrzymie góry zapadły się w ziemię.

Piotr znalazł się na Dworcu Północnym, odprowadzany przez Tatianę i mademoiselle Mathilde. Wielka hala pełna była dymu. Ukazała się oczom jak straszna baśń o tym, co się ma dokonać. Tatiana zanosila się od płaczu. Na nic nie pomnąc obejmowała Piotra i przytulała się do niego jakby w śmiertelnej przed czymś trwodze. Wskazówki wielkiego zegara posuwały się nieubłaganie, niemiłosiernie... Tatiana jeszcze raz pochwyciła ręce Piotra i wyciskając na nich bolesne pocałunki błagała o przebaczenie za to, co przez nią wycierpiał.

Pociąg drgnął, poruszył się — i Tatiana znikła. Rozłucki zamknął oczy. Boleść nieznośna rozdzierała jego serce. Ręką ścisnął sobie gardło, żeby zadusić w nim głośny szloch. Po chwili opanował się. Drogę z Paryża do Warszawy przebył w zimnym spokoju. Wysiłkiem woli zniweczył w sobie wspomnienia, odsunął wszystko, co mogło przemówić o Tatianie. Dobrowolnie wkroczył do jakiegoś świata, gdzie wszystko było wyzute z własności jego duszy. Otoczył się rzeczami i wyobrażeniami martwymi.

Po powrocie do miejsciny zabrał się co prędzej do swych robót. Ileż trzeba było siły, żeby uczęszczać do domu generała i pracować w pustych pokojach! Wola niweczyła wszystko, co tylko mogło być słabością, lecz nie była w stanie zniweczyć miłości samej. Oto wśród rozmowy osób nieznanomych nagły się ożywał śmiech Tatiany albo ton jej głosu zabrzmiał i zaraz przepadł. Nadaremnie było wsłuchiwać się w ciszę, ażeby jeszcze raz głos posłyszeć... Znikał i nie można było

przypomnieć sobie tej mowy jedynej, tak dalece zapadła się w otchłań. Zdawało się, że uszy ogłuchły i nigdy już nie posłyszają tamtego dźwięku. Kiedy indziej owal twarzy obcej jakiejś kobiety przypomniawszy linię i barwę policzka. Przypomniawszy tylko dla urągowności, bo nic na ziemi nie mogło uprzytomnić cudności jej twarzy. W ciągu długich godzin nie można było przypomnieć sobie ani kształtu, ani barwy, ani nawet zarysu czarującego zatoczenia skroni, gdzie milion razy spoczywały usta. Zdawało się, że oczy wypatrzyły już wszystek wzrok i nic już na ziemi zobaczyć nie mogą z tego, co było miłością serca.

W nocy ocknąwszy się Piotr zatapiał oczy w ciemność, bo stamtąd patrzyły prześliczne źrenice. Lecz gdy minęła krótka chwila złudzenia, nastroczała się tylko ciemność. W sercu powstawał krzyk żalu, którego woła nie mogła zagłuszyć. Nieraz zza ramion dawał się słyszeć szept spieszczący imię, wołanie pełne czułości, które jedyne usta umiały wydać. Częstość wśród pospolitej w gronie kolegów rozmowy pokazywały się przed oczyma różane usteczka. Tak pewnego razu, gdy byli razem, te usta ukazały mu się nagle, na nowo, jak zjawisko dające znać o swej piękności szczególnej. Teraz te usta za coś karały cofając się przed wzrokiem w ciemność, uciekając przed myślą i niby skutek nieprześlągany zostawiając po sobie nicość w wieczności.

W miarę jak przybywało dni oddalenia, wznagała się tęsknota. Żal stawał się coraz cichszy, coraz skrytszy i coraz głębszy. Wyszły z nicości i stanęły obok Tatiany wszystkie przeciwieństwa i załamania losu obojga. Ni żyć, ni umrzeć! Piotr wiedział, że jeśli ona wróci, musi się zdecydować na prawo albo na lewo — iść tu albo tam. Musi rozstać się z nią lub rozstać ze sobą. Patrzył w swoje nieszczęście i w niezgłębioną swą miłość. Nie mógł uczynić wyboru. I oto wówczas gdy stał na syrkim brzegu, przychodziły najbardziej czarodziejские wspomnienia...

Rozdział XVII

W jakiś tydzień po przyjeździe, wczesnym rankiem puścił się do Cierniów. Przybywszy na folwark, konia zostawił w stajni, a sam według wskazówek kucharki udał się na poszukiwanie stryja, który był w polu. Zastał go przy sianokosie. Z niskich łąk nad rzeką poszli ku domowi bliższą drogą, przez dolinkę między dwoma płaskowzgórzami, wcisniętą między ich strome stoki. Ukazała się oczom i rozwinęła przed nimi jak skarb schowany zazdrośnie między ramionami i ukryty na sercu.

Dróżką kamienistą, dwukolejką dostępną dla chłopskiego jeno wozu, twardą i stromą, obrośniętą przez paproć, dzikie jeżyny i chwiejne od wiatru skabiozy, weszli w ów wąwóz. Strumień z dała zagrał im w oczach, połyskując tam i sam między trawami. Płynął głęboko w glinie krętym korytem, które obrosło najeżone ciemne sitowie.

Barwne motyle i błękitne ważki migotały tam jak latające kwiaty nad szypułami głogów, wśród gałęzi rokic in i nieprzebytych zarośli młodej dębiny, brzózek i kalin. Dróżka zamieniła się na ścieżkę, miejscami twardą i białą, uginającą się jak tęgi rzemień, miejscami rozkisłą i zarzuconą płaskimi kamieniami. Wkrótce dróżka stała się tajnym chodnikiem w trawach dla pojedynczego człowieka. Nie skoszona łąka bujała za wolą wiatru, stając się to wskroś pochyle-płową od mietlicy, to z nagłą cudnie rumianą od centurii i koniczyń albo zbiełała od miodownika. Gdzieniegdzie tęgie polacie dostały trawy powaliły się od fali wiatru ni to ludy jakieś przeżyte, okwitłe i niechętne nowych dziejów, gardzące wyniosłym życiem. A wpośród nich stał wysmukły, precudny, błękitny kwiat i jak wyniosły wieszcz dumał nad tym poziomym światem, a sam jeden zań stał.

Czasami wszystek świat łąki zacichał. Ustawał wszelki w niej głos i ruch, zamierał ostatni powiew i tylko jedno jedyne błękitne kwiecie czuj-duch patrzyło z ziemi w niebiosy. Ale wnet wiatr, fruujący po zaroślach, wszczywał kędyś daleko muzykę poszeptną, wzniecał podzwonną. Zanosiły się na nowo pasikoniki — chwiały dalekie królestwa, państwa rozległe, uchylały tajnie głębokie i zachwycała wzrok odsłonięta barwa niezapominajek albo krasa konieczyn. Chybkie jaskółki z pokrzykiem życiuradym przeszywały powietrze, w gałęziach zanosiły się ptaki, osy i pszczoły wałęsały wokół, zatopione w sekretnych pracach o niezgłębionej mądrości. Piotr jakoś w drodze ustał. Siadł na przykopie w słońcu i zapachu. Patrzył po trawach i czujnie słuchał. Łąka ta zawierała wszystkie uczucia, zdawała się znać na wskroś serce człowieka. Każde jej źdźbło wyrastało nie z ziemi, nie z gliny, lecz z duszy, a każdy kwiat w głębi szczęścia serdecznego miał korzeń.

— Trawy mi schną... — z westchnieniem rzekł Michał.

— Czemuż, stryjasku, nie każesz kosić?

— Ba! Żeby kosić, trzeba nająć kosiarzy. A żeby chcieli kosić, trzeba mieć na sobotnią wypłatę.

— Nie masz?

— Zadłużyłem się na wszystkie strony. U ojca, u Hipolita ani się pokazać, u Żydów...

— mówił stryjasek z wypiekami wstydu na policzkach.

— Toż weź, ile mam! — zawołał Piotr otwierając pugilares i wciskając mu w rękę kilkadziesiąt rubli, które tam były.

— Ratujesz mię... — wyjęknał stryj Michał. — Widzisz, trawy schną... Ale, do diabła! gościnnie cię przyjmuję... Łyżki stawy chłopcu nie dałem, a ledwie przyjechał, wrywam z kieszeni ostatni pieniądz.

— No, no! Jeszcze mi oddasz... — mówił obejmując go za szyję.

— Po zniwach. Uważasz, pierwszy dług tobie. Jak mię widzisz żywego!

— Ej, czy aby oddasz?

Stryj podniósł palec do góry na znak pewności. Wiatr ciepły nawiał zapachu ze zbóż i od schnącego siana na niskich łąkach. Wraz — wiatr ten nawiał w duszę Piotra nowego uczucia.

Serce nie mogło się w piersiach pomieścić i uczucie nie mogło się zamknąć w żadnej formie. Spłynął na serce obraz Taniusi, na usta jej imię. Jak cichy, wonny pocałunek duszy dalekiej to imię spoczęło na jego wargach. Po chwili w tajnych łóżyskach uczuwania wywołał niejasne a przeboleśne wzruszenie niewiadomy jęk, niejasny czyjś szept. Bezlitosne, ostre, nieumilkłe wymawianie głuchej o coś skargi ciągnęło się przez całą duszę. Nie wiedzieć czemu i jakim sposobem Piotr uczuł nie wyobrażeniem, lecz ślepym afektem, że ojciec zabity w takiej oto ziemi sam leży. Sam jeden!

Ziemia — i on. Tak chciał. Zapomniało o nim wszystko plemię, zagasła o nim pamięć ludzka, pamięć ojczysta, pamięć braterska, pamięć synowska. Dzwoniły o nim jedynie świerszcze łąkowe, śpiewały ptaki w tarninach i wzdychał w ziołach wiatr. Nie umiały być nikomu powiedzieć, jak to jest, czemu to tak, ale przecie było, jak czuł.

— Stryjaszku — zapytał — czy znałeś mojego ojca?

— Znałem — odpowiedział tamten niechętnie i zimno.

— Czy ja jestem do niego podobny?

— To jest niby jak, z twarzy?

— Czy jestem do niego podobny — z postawy, z głosu, z ruchów?

— Jesteś podobny. Czasem nawet bardzo. Czasem, szczególnie w śmiechu, jesteś podobny tak, że aż coś ściska.

— Kiedyś go widział ostatni raz?

— Ostatni raz, bracie... w powstanie — rzekł stryj ze skrzywieniem twarzy i stękając.

— Tu mieszkałeś?

— Tutaj — rzekł cicho. — Jużem tu mieszkał..

— Jakże to było?

— Przyszedł do mnie w nocy, z partii. Była już jesień. Koniec. Obdarty, w łachmanach, buty sznurkami pozwiązywane, koszula na nim zgniła, gacie to samo. Wszy z niego kapąły jak z ostatniego parobka. Przespał u mnie noc na sofie.

— Na tej zielonej sofie, co u ciebie stoi?

— Na tej. Wdział koszulę, wziął, co tam było bielizny, zjadł, wypił...

— A co potem?

— A w tydzień potem była bitwa. No — i te...

— W tydzień potem dziad go rozstrzelał?

— No... tak.

— Stryjaszku, a ty sam w partii nie byłeś?,

— Nie.

— Czemuż to?

— Et — czemu...

— No, wyznaj!

— Nie ma tu co wyznawać. Nie byłem i kwita.

— Nie wierzyłeś w to ich powstanie?

— W "to ich powstanie" łatwo było nie wierzyć, niewielka to była sztuka siedzieć w domu, ale ja nie dlatego...

— Więc czemu?

— Daj no pokój tym indagacjom!

— Właśnie że nie dam!

— Nie byłem, bo sam-em jak to całe powstanie: pół tu, pół tam, mądre myśli i robaczywe serce, jedną nogą w wolności, a drugą dobrowolnie w dybach — typowy Polak. Co ty tam zresztą z tego wszystkiego rozumiesz, "Moskału"...

— Masz rację. Nie rozumiem cię — rzekł Piotr.

Po chwili zapytał:

— A on był człowiek wesoły czy smutny, miły czy niemiły — jaki?

— Jakby ci to powiedzieć? Walny był chłop; serio, ale wesoły.

— Więc jaki był, jaki?

— Widzisz... To był nietypowy Polak... To był w moskiewskiej służbie wyszkolony żołdak, który pokochał Polskę na śmierć, i to nie słowem, lecz po żołdacku, zębami i pazurami.

— Aha... — mruknął Piotr.

Po chwili znowu nastawał:

— A twarz jaką miał, jaką?

— Twarz miał pociągłą, jak u ciebie. Wąs piękny. Golił brodę.

— Oczy miał niebieskie — to ja pamiętam. Niby pamiętam, bo co przypomnę, to znowu zgaśnie. Smuga jakaś błękitna. Po polsku mówi się o tym bardzo prześlicznie — modra smuga... Ot teraz, jakem patrzył w te trawy — widzisz tam — taka się smuga z traw pokazała. To jego oczy stamtąd na mnie popatrzyły.

— No, no, romantyku! — uśmiechnął się Michał.

Piotr nie zwrócił na ten głos stryja na leżytej uwagi. Patrzył daleko w głąb traw, gdzie wiatr powiał znowu i niby zasłonę świętą odchylił — ukazując smugę niezapominajek.

Twarz Piotra stawała się z wolna żelazna, twarda, sroga. Oczy cofnęły się pod brwi i patrzyły w jakiś daleki cel — nos się wygiął. Uśmiech złowróżący okułał wargi. Twarz się powlokła błądzącością.

— No cóż — darmo... — rzekł stryj Michał. — Chodź, wojaku, na młode ziemniaki z barszczem. Co tam stara Jagna ugotowała, to zjesz, a za zbyt już skromny obiad przepraszam.

Wstali i poszli w górę. Wysuwały się naprzeciwko lśniące liście dąbków młodych, narzucające czucie o sile, albo wysmukłe i subtelne paprocie, rozniecające czucie o pięknie. Ruszyła ścieżka między zboża na ukos, po zagonach, między żytem. Szumna się zalecała, szelestna, przedziwnie strojna wśródkłosna pohulanka ledwie wykłoszonych źdźbieł, skrzypcowa pszena gra duszy. Lecz Piotr ją jak przez sen słyszał. Dusza jego zaniosła się w zaświat swój...

Rozdział XVIII

W kilka dni później wykonał plan. Wszystko, co przedsiębrał, ażeby go spełnić, działo się pod wpływem, a raczej pod naciskiem gwałtownego rozplomienienia uczuć. Już od kilku dni przygotował był wszystko: gracę saperską o krótkiej rękojeści, składany rydel, płaszcz. Nad wieczorem wyjechał konno — sam. Zrazu cwałował traktem, później zboczył w wygony pilnie wystudiowane na mapie, wreszcie na drożki leśne.

Wkrótce sadził w pustce najtęższym klusem, wzburzony, w stanie głuchego zatracenia się w uczuciu. Przed zachodem słońca przyjechał na miejsce. Konia rozsiodłał i przywiązał na uździenicy w gęstych zaroślach. Przeczekał zachód leżąc na ziemi w gruzach i chwastach spalonej karczmy. Nie było, jak okiem sięgnąć, żywego człowieka. Ostatnie echa nawoływań pastusich zacicły kędyś daleko w kierunku ludzkich siedlisk. Ćwierkał tylko samotny ptaszek żegnając słońce. Zorza płomienna rozpostarła się na bujnych wrzosach.

Nim słońce zupełnie zgasło, Piotr wyszedł ze swego miejsca, stanął na wydmie mogilnej i zaczął kopać. Zrazu odgarniał rydłem lekki piasek jak zboże szuflą. W miarę jak się wgłębiał w grób i ziemia stawała się twardsza, używał na przemian gracy i rydła. Uczucia rozpostarły się w nim jak światło zorzy nad światem. Stał się mechaniczną siłą, głuchą i ślepą od czynu. Spoglądał w ziemię z badawczą pasją, gdy rydel zapuszczał się pod jego stopą w miękki grunt i gdy graca miała czystą i płoną glebę. Były chwile, że cała legenda wydawała mu się być kłamstwem nikczemnym — zełżywym i naigrawającym się z jego duszy wymysłem, plotką podłych szyderców. Tak dziwne było to, tak nie do wiary, że mógł tu na własne oczy ujrzeć ojca-legendę.

Ale oto ostrze rydła zaskowyczało dźwiękiem jedynym. Od tego głosu skurczyło się serce i coś w nim pękło. Lita glinka pod piaskiem stała się smugą ciemnej i tłustej próchnicy. Piotr począł wybierać ziemię ostrożnie, czerpał ją gracą cienkimi warstwami. Szedł narzędziem wzdłuż kości. Poznał palce i gołenie nóg, miednicy, kręgosłupa. Ujrzał wrośnięte w czarną glinę żebra wyniosłe; jakby zastygły w ziemi krzyk. Kości rąk rzucone były od linii ciała w dwie strony świata. Stały w ścianach dołu wznosząc się ponad zwłokami. Syn począł odgarniać ziemię rękoma. Rozsuwał ją na prawo i na lewo ni to czarne zwoje i fałdy zasłony. Tkliwe jego palce wynurzyły, wyczarowały z ziemi czaszkę potrzaskaną w kawałki, szczękę rozwartą. W bezwiedzy, w szlochach przypadł do tych kości ustami. Wargi jego namacały usta, które się stały czarną ziemią. Głaskał po tysiąc razy miejsca złamań, gdzie były śmiertelne dziury od żołdackich kuł. Tysiącem pieścizliwych nazw przewiązywał każdą ranę, łzami zmywał każdy cios. Wcielał przedśmiertelny ojcowski ból w najczulsze słowa, w najtkliwsze dźwięki, jakie tylko znał w nowo pokochanym polskim języku. Znalazł zardzewiałe podkówki butów, sprzączkę pasa — i wziął te rzeczy w zanadrze.

O jakiejś porze wieczora wyszedł z mogiły.

Nisko świecił nad ziemią świeżo weszły księżyc. Piotr zasypał dół ziemią, zagarnął piaskiem. Wsiadł na koń. Rzuciwszy cugle na grzywę, jechał z bezwładnymi rękoma. Patrzył w tarczę księżycą stojącą w bezchmurnym niebie. Uczucia jego były radosne. Weszły w kraj poznania wysokiego i dosięgły dziedziny innego świata. Serce radowało się, że był na tej ziemi i tak umarł samotny rycerz polski, Jan Rozłucki — że rycerz ten — to ojciec. Koń, puszczonej samopas, szedł ostrożnie opłótkami, szerokim wygonem zrytym od kolein i bydlęcych tropów.

W pewnej chwili jakiś człowiek zbliżył się do jeźdźcy i szedł z nim równolegle szybkimi krokami. Był to parobczak wiejski, bosi, w słomianym kapełuszu i guńce zarzuconej na ramiona. Przyjrzał się

oficerskiemu strojowi Piotra — i nagle skulił się, zgarbił i znikł w jakichś rowach i kępach przydrożnych jak mgliste widziadło.

"Uciekaj przede mną, uciekaj!" — śmiał się jeździec do tego człowieka radosnym śmiechem swej duszy.

Wjechał w wieś rozległą, zabudowaną, pełną zapachu świeżo zwiezonego siana, którego wozy, jeszcze nie wtoczone do stodół, stały przed wrotami. Szczekanie psów go ścigało i tajne szepty w izbach i sadach — dudnienie bosych nóg po zapłociu — szelest łopianów... Puścił konia w tęgi cwał, wyjechał ze wsi i znalazł się na drogach nieznanych, przecinających strumień, który daleko lśnił w blasku księżyca. Dostał się w dolinę poprzeczną między wzgórzami. Wierzby tam stały nad wodą rzucając cień na skoszone łąki. Młode dąbrowy wieszały się po zboczach, czarne i nieruchome w tej cichej nocy. Kędyś daleko, w nizinach zalanych światłem księżyca i białą rosą, rzeka szeptała po kamieniach. Nieobjęta cisza napępiała tę błogosławioną dolinę.

Księżyc świecił tonąc raz wraz w za włokach przejrzystych chmurkach. Jednostajne światło spływało niby tajemna i niepojęta prawda ze swego źródła, pociągająca duszę ku sobie w jednym zawsze kierunku. Między czarnymi sosnami na wzgórzach, wśród koron skłębionych w głucho-kształtne zwały przesiewało się w parowy to obojętne, wiecznie piękne światło. Każdy jego połysk podniecał uczucie samotności, uwydatniał tęsknotę jestestwa, która nie mogła ostać się w ryzach. Rozpierzchły po obłokach dalekich prześwietny blask księżyca porywał, jakby zastygły w obojętną niepojętość, marzący tam wysoko uśmiech wiecznej radości w pustkowiu niebios. Dokądkolwiek poniosły się oczy, wszędzie świetlistość miesięczna dawała złudne życie martwym przestworom, zaczarowywała je i czyniła mniemanym siedliskiem nieznanego i przenigdy nie dającego się objąć wesela. Pozłocistymi przeguby, cicho i niepostrzeżenie oddzielały się jedne od drugich runa mgieł nocnych, przechodziły z miejsca na miejsce obłoki zwiewne niby czaty wiekuiste, trzymające straż nad świętymi snami rodu ludzkiego — niby wigilie zastępów, które wiedzą o bezsennych a pogniębionych westchnieniach, o skrępowanych mocach w duszy człowieka — i uśmiechają się do nich z niebiańskiej świątyni. Dzwonne, nocne świerszczyki tu i ówdzie skrzypiały w mroku. Jakieś kwiaty nad wodą strumienia zajaśniały sekretnym lśnieniem w wilgotnej ciemności. Westchnęły wonie niewidzialnych ziół...

Koń, puszczonej znowu, począł stapać ostrożnie po kamykach, rosach i cichym pyłe drogi. Poczuciwszy w sobie moc duszy, ziemię i niebiosą ogarniającą, jeździec wyciągnął ku niebu potężne ręce, swe własne, a jakby ojcowskie kości w nich były — rozwarł je ku pracy swej bezgranicznej. Wydarł się ze wszystkich powrozów, wydzwignął ponad siebie, ponad życie i śmierć, i uśmiech siły ducha utopił w niebiańskim uśmiechu wieczności.

Rozdział XIX

Restauracja, w której zazwyczaj gromadzili się oficerowie, mieściła się na pierwszym piętrze hotelu największego w tym niewielkim mieście, a najbardziej dbałego o cechę i opinię wielkomięską. Restaurator nie małą zbijał fortunę. Czyste zyski płynęły do jego kieszeni nie tylko z tłuszców i frytur, lecz również z ustawionego w głębi sali ekranu, na którym panoszyły się puste butelki po drogich likierach i zamorskich winach. Podochoćceni wojacy na znak najlepszego humoru obalali stale ekran i tłukli wielobarwne szkła obcasami, a płacili słone rachunki jakoby za rozlane wina. Sala była co się zowie po słowiańsku restauracyjna, ozdobiona oleodrukami, suchymi wiechciami farbowanych kwiatów, ogłoszeniami niemieckich zdrojowisk itd.

Piotr Rozłucki stołował się w tym zakładzie od przyjazdu z Paryża. Ostatnimi czasy z wolna i systematycznie unikał towarzystwa kolegów z baterii artyleryjskiej, niepostrzeżenie wysuwał się z zebrzań klubowych i grzecznie wymawiał od pohulanek w gabinetach restauracyjnych. Tłumaczono to pychą, wykwitłą z zażyłego stosunku z generałem Polenowem. Szeptano o narzeczeństwie z Tatianą. Jedni z kolegów byli wskutek tego zimni i nadęci, a inni aż za bardzo uprzejmi i pokorni.

W restauracji artylerzysta zajmował stale miejsce przy małym stoliczku w rogu obok okna. Kelnerzy szanowali go, jeżeli tak można powiedzieć, podstępnie, za spokój i grzeczność — może nawet odrobinę za to, że mówił z nimi po polsku.

Pewnego dnia w lecie, gdy cały pułk piechoty wrócił do miasta z manewrów w obozach i gdy w restauracji roilo się od szlif i szabel — wszedłszy do sali, Rozłucki spostrzegł przy jednym ze stołów twarz znajomą. W pierwszej chwili nie mógł sobie uprzytomnić, gdzie to ją widział. Gdy zebrął wspomnienia, uśmiechnął się przyjaźnie.

Była to szatynka, którą był spotkał w wagonie, gdy po raz pierwszy jechał z Petersburga do Warszawy. Piotr zajął swe miejsce, odpasał szablę jak zwykle, systematycznie zawiesił ją jak co dzień na poręczu krzesła. Spod oka przypatrywał się swej dawnej "znajomej".

Była w towarzystwie kilku osób, pań i panów, najoczywiście przybyłych ze wsi, bo panowie byli po brwi ogorzali, panie nie obeznane z restauracją w ogóle, a z tą w szczególności. Były to młode kobiety, dosyć ładne i wykwintne — mężczyźni należący do zamożniejszej sfery. Zajęli osobny stół, zachowywali się cicho, a nawet rozmawiali półgłosem. W ruchach młodej panny, w jej spojrzeniach, sposobie bycia i rozmowy było jak dawniej coś niemal dziecięcego. Jak dawniej też była piękna. Nie była to olśniewająca i oślepiająca piękność Tatiany, lecz wdzięk nieustannie i coraz usilniej w miarę obserwacji promieniujący, uroda na poły ukryta, nie krzykliwa, lecz i nie gasnąca nigdy. Młoda panna ubrana była w najprostsze letnie suknie, w zwykły słomkowy kapelusz, a przecie była w nich najzupełniej wykwintna. Ruchy jej były naturalne, lecz powstrzymane w sobie, otamowane wewnętrzną świadomością piękna.

Mówiła mało, śmiała się z lekka, choć twarz jej była prześwietlona uśmiechem. Piotr przypatrywał się jej niepostrzeżenie, myśląc: "Gdybyż to mieć taką siostrę! Gdyby to ta chciała być siostrą!"

W pewnej chwili ciemnowłosa panna dostrzegła jego spojrzenie. Od niechcienia przypatrzyła mu się uważnie. Twarz jej z wolna tężała i zakrywała się stopniowo jak — by maską. Rozłucki poczuł dla niej wdzięczność za tę właśnie wzgardliwość, za ten zimny wzrok odpychający jego, oficera. Szepnął do niej bez wydania głosu: "Tak dobrze, tak właśnie trzeba, siostro".

Tymczasem do sali napływało coraz więcej gości obiadowych. Osoby cywilne chętniej sadowiły się po kątach, podczas gdy ogorzali w obozach wojskowi z hałasem i bezceremonialnym podciąganiem hajdawerów zasiadali przy głównym stole środkowym.

Byli to oficerowie piechoty, ryfy rozmaitego kalibru i rozmiaru, przeważnie kudłate, brodate i kostropate. Naczelne wśród nich miejsce w końcu stołu zajął kapitan Sorokin, gruby opój, z twarzą jak rondel i sterczącymi kudłami wąsów. Obok rozsiadło się z piętnastu młodszych. Wszyscy głośno rozprawiali o rzeczach, które ich interesowały; poniewierali kelnerów rdzennymi wyrazami, zaczynali od "zwyklej", przechodzili do żytniówki z ogóreczkiem, znowu wracali do koniaku itd. Ów kapitan Sorokin basowym głosem swoim trąbił na całą salę wszelkie myśli, jakie tylko wyległy mu się w głowie. Opowiadał tedy o jakimś dialogu swym z fryzjerem, który go właśnie dopiero co golił — i do tego opowiadania mieszał wyrazy polskie, przekręcając je, wykrzywiając, wykpiwając i ośmieszając.

— Pytam go się — gadał — a ty, "pan", w Boga wierzysz? — Wierzę — mówi — u nas się wierzy w Boga. — Jeżeli w Boga wierzysz, to czemu u ciebie obrazu nie ma? — Nie ma — mówi — panie kapitanie, żadnego po temu przykazu ani też takiej znowu mody także nie ma. Każdy — mówi — taki obraz wiesz, jaki chce. — W rogu, jak u chrześcijanina, powinien być u ciebie obraz i basta. Na ścianie wieszaj sobie choć czorta ogoniastego czy tam gołą pannę, a w rogu obraz mi powieś! Ja do ciebie, ruski człowiek, golić się przychodzę, to ty dla mnie w swej budzie obraz powieś. Słyszałeś? — Słyszałem — mówi — panie kapitanie. — No, ty, mówię, słuchaj uchem, bo u mnie żartów nie ma. Drugi raz przyjdę, zobaczę, że obrazu nie ma — źle będzie! — Ja wiem, że z panem kapitanem żartów nie ma — mówi — toteż słucham uważnie. — A czemuż to słuchasz tak uważnie? — Bo pan kapitan po pierwsze jest osoba znaczna, a po drugie korpulentna...

Całe towarzystwo oficerskie zaryczało od śmiechu.

— Ty, Sorokin, w rzeczy samej jesteś osoba korpulentna? — pytał ktoś z tłumu.

— Co to takiego "korpulentna"? — chciał wiedzieć wojak obrosły kłakami, w niebieskich binoklach i obwisłych majtasach.

— W progimnazjum byłeś? — przerwał mu Sorokin.

— Byłem.

— Po łacinie uczyli cię?

— Uczyli.

— Pytali cię, co znaczy takie słowo corpus?

— Pytali.

— No, otóż masz i słowo "korpulentny". Tłumacz sam.

— Łaciński naród!

— Nie łaciński, tylko francuski.

— Nasi północni Francuzi...

— Pytam ja mojego golibrody — ryczał znowu Sorokin — a ty, "pan", co za jeden jesteś: żyd czy jaki? — Nie — mówi — panie kapitanie, ja nie jestem żyd, tylko chrześcijanin. — Chrześcijanin — patrzcie!... A jakież to ty jesteś chrześcijanin? — Rzymski katolik — powiada. — A skoro zostaniesz ze swoją "panną" bez świadków, to po jakiemu z nią rozmawiasz? — Po polsku — mówi. — No, to któż ty jesteś, co za jeden? — Ja jestem — mówi — warszawianin, bo z Warszawy — mówi — pochodzę i ojciec mój to samo był z Warszawy...

— Otóż i dogadaj się z takim!

— Z każdym z nich tak się dogadasz. Naprzód na prawo, potem na lewo, a w końcu nurka w jakieś łgarstwo.

— Francuski naród... ech! Ty do niego prosto, jasno, po słowiańsku, znaczy, z duszy — a on do ciebie na prawo, na lewo, w końcu nurka w jakieś swoje łacińskie łgarstwo!

— Toteż ich trzymać trzeba!

— Gładzić po skórze można, za włosiem i wspak, ale na swobodę popuszczać — aniani!

— Ty byś gładził za włosiem i wspak ot tę, co za tobą siedzi, skromną, tę w kapelusiku — obejrzyj się, Koleczkin!

— Dawno ja się, bracie, na nią oglądam...

Całe towarzystwo oficerskie obejrzało się w istocie na piękną szatynkę, i to w sposób tak niewątpliwy, że nie tylko ona, ale i towarzyszkę zaczerwieniły się po uszy.

Wojacy porozumiewali się pomiędzy sobą, nie szczędzili sobie nawzajem wrażeń czy podniet, za pomocą półśłów i pomrukiwań. Kąty sali za legła nieprzyjemna cisza.

— No, a ty, Iwanienko, którą byś — tę czupurną czy drugą? — odezwał się ktoś głośniejsze.

— Nie, ta druga na nie! "Okrągła, głupia jak ten głupi księżyc na tym głupim nieboskłonie" — zacytował tamten Puszkina.

— A więc szatynkę?

— Oczywiście.

— No, dobrze. Chcesz, to ja ją zaczepię.

— Dajcie pokój, panowie — mitygował ktoś z końca stołu.

— Co? Będę się może krępował tymi, co z nimi siedzą. Zaraz wam pokażę, jak ja to zrobię. Już ja tak nieraz w Warszawie...

Mówiący to zuch mundurowy wyjął z wazonu stojącego na stole różę i nieznacznie, ku serdecznej uciechu wszystkich kolegów, rzucił ją na sąsiedni stół, przed talerz pięknej szatynki. Spostrzegłszy to mężczyźni, towarzyszący ostatniej, zaniepokoiли się, zsunęli krzesła dokoła swych pań, groźnie spojrzeli w stronę aroganta, ale znać było, że są oszołomieni samą już ilością oficerów, którzy śmiechem akceptowali i utrzymywali w mocy czyn kolegi.

Ktoś się odezwał:

— Iwanienko! Strzeż się, wąsy ci oberwą ci szlachcice.

— Nie oberwą... — spokojnie rzekł ów Iwanienko. — Boją się. Popatrz na nich, jak się boją. Dawniej, jak chodzili do lasu, nie lubili "Moskalów", a teraz lubią. Poglaskasz — w rękę całują. Teraz już do lasu za nic chodzić nie chcą. Zmądrzeli i spokornieli... Poczekaj, zaraz ja drugą różę rzucę, czerwoną...

— Tamta była biała, a teraz trzeba czerwoną...

— Walka białej i czerwonej róży. Która zwycięży?

Szatynka, jedząc spokojnie jarzynę, obojętnym i doskonale pogardliwym ruchem strzepnęła na ziemię niby śmiecie z serwety ową różę oficerską.

— Nie! To niegrzecznie! — wołał zalotnik Iwanienko zwracając się wprost do nieznajomej panny.

— To po grubiańsku! — mówił inny.

— W samej rzeczy... tak nie uchodzi...

— Oficerskiej róży na ziemię rzucać nie można.

— Za taką hardość kara być powinna!

— Za taką zniewagę...

— Ot widzisz, Iwanienko, doigrałeś się... — chichotał kapitan Sorokin.

— Ot masz rezultat twojej grzeczności...

— Zobaczymy... — wołał za lotnik.

Towarzystwo szatynki szeptało w pomieszczeniu najoczywiściej o sposobie wydobywania się z tej sali. Jeden z mężczyzn usilnie dzwonił w szklankę przywołując kelnera. Ale kelnerzy przeczuwali zły wynik sprawy i nie zjawiali się na sygnały alarmujące. Schował się również gdzieś w głębi swych ostępów patron ich, zawsze połyskujący łysiną, pierścieniem, dewizką i brylantami kosztownych spinek za kosztownym szynkwase. Wielki stół oficerów zagradzał drogę do drzwi głównych i do bocznych. Dwaj tedy cywilni mężczyźni spoglądali na reprezentantów siły zbrojnej spode łba, gotując się w sposób bezradny do oczywistej już i nieuniknionej awantury.

Piotr Rozłucki siedział przy swym stoliku podparłszy głowę ręką i obojętnie patrząc na widowisko. Właśnie gdy nastąpiła chwila zupełnej ciszy, a młody junak Iwanienko miał rzucić nieznajomej zapowiedzianą czerwoną różę, Rozłucki, nie zmieniając postawy i nie usuwając ręki spod głowy, rzekł spokojnie a dobitnie na całą salę:

— Panowie, to co robicie, jest haniebane.

— Kto mówi? — krzyknął kapitan Sorokin nakładając binokle.

— Mówi oficer, który się wstydzi koleżeństwa z wami.

— Milczeć! — zawołał napastnik Iwanienko zrywając się ze swego miejsca.

Rozłucki, wciąż w tej samej siedząc pozycji z podpartą na ręce głową, cisnął w nich wszystkich jakby wspólny policzek, wymierzony wraz wszystkim w kupie, słowo nie do przetłumaczenia:

— Swołocz!

Jakby wybuch pocisku, wyraz ten wyrzucił naraz wszystkich z miejsca. Rumor przewracanych krzeseł, brzęk szkła, łoskot zwałonych wazonów, kłątwy, przenikliwy krzyk kobiet i świst metaliczny wy włoczonych szabel... Rozłucki ledwie zdołał wyrwać z pochwy swoją. Runęli nań wszyscy z gołymi klingami. Pchnął nogą między siebie i nich stół z nakryciem, sam uskoczył w kąt sali i piorunowym ruchem wziął pozycję. Ciął w pierwsze z brzegu szablą ze wszystkiej mocy. Jeden z pałaszów, wytracony z ręki napastnika, przeleciał nad głowami i rozwalił lustro na przeciwległej ścianie. Z zaciśniętymi zębami artylerzysta rąbał się z ramienia z całą gromadą. Ciął w głowy, w karki, w ramiona — wprost między szablą i na odlew. Krew rzygnęła. W pewnej chwili krzyknął:

— Wychodź z kupy jeden po drugim!

Śmiertelnie rozjuszeni nie słuchali. Natarli nań zbitą masą, jedni przez drugich. Stojący na przedzie nacierali, inni bili zza ramion towarzyszków, chcąc rozsiekać. Rąbiąc się ze wszystkimi naraz, cisnął im jeszcze raz tę samą zniewagę. Zarazem, fechtmistrz pierwszorzędny, płałał jednego i zwałł na ziemię — drugiego sztychem odrzucił na wznak i rozłożył na stole — trzeciemu przetrącił rękę. Miał oparcie w swym kącie, zabezpieczone plecy i ramiona. Mogli go dopadać bronią tylko z czoła. Tu się zastawiał siekąc ich w krzyż i z ramienia, rąbiąc piorunem z wysoka i przebijając na sztych. Ale wnet pałasz jego, sparowany raz i drugi, zachwiał się — opadnięty przez ciosy, potknął w ruchu, splątał — odbity, uderzył w próżnię. Nagle Piotr ujrzał niepojęty, fioletowy blask w oczach. Huk dzwonów posłyszał w głowie, huk jakowyś podniebny... Krew załała mu oczy, nos, usta. Począł ją chleptać zamiast tchu. Ściany kędyś runęły, jakby wyleciały z węglów. Zwałł się na twarz, przed siebie, z rozkrzyżowanymi rękami. Spostrzegł tafle wywoskowanej posadzki — nogi w lakierowanych butach, rozdeptujące po linoleum czerwone plamy — krew drugą strugą szybko lecącą w szpary podłogi. Pchnięty od świadomości, porwał się z ziemi, dźwignął głowę z rozpaczą. Jak przez mgłę ujrzał w rogu sali gromadkę owych osób cywilnych. Dwaj mężczyźni rozkrzyżowawszy ręce, piersiami zwróćeni do sali, zasłaniałi kobiety.

Ciemnowłosa panna z rękami załamanymi na piersiach, z ustami półotwartymi, w których sam krzyk zastygł i oniemiał od widoku, patrzyła na Piotra. Leżąc na twarz we krwi własnej, brocząc nią szczodrze, uśmiechnął się do niej radośnie i usiłował powiedzieć po polsku, że ją przeprasza za to, co ją spotkało. Patrzył na jej zsiniałe wargi, na nieruchome oczy... Mowa splątała się w bełkot. Jakieś posępne, czarne wieko z chropowatymi wrębami przygniotło go krajem swym, pchnęło i potraćilo w niezgłębione fale mroku.

Rozdział XX

Nie umarł zrąbany szablami, nie skonał we własnej krwi. W szpitalu wojskowym, gdzie się z ran leczył, podlegał pilnemu nadzorowi. Czekala go sprawa o wywołanie walki na szable w miejscu publicznym. Nadto wszyscy oficerowie piechoty, których w osobach ich kolegów sponiewierał, poczytywali go za wroga. Natomiast artylerzyści, ludzie o wykształceniu wyższym i kulturze subtelniejszej, nadali mu charakter przedstawiciela. Był przez kolegów odwiedzany, dozorowany po nocach i zaopatrzony we wszystko. Przyjaciele znosili mu książki i rozrywali wszelkimi sposoby.

Zaraz w ciągu pierwszych dni i nocy, gdy był jeszcze na pół przytomny, zapytywał nieustannie o listy. Listów nie było. Odwrócony twarzą do ściany, całymi godzinami wpatrywał się w jakąś skazę na obiciu, ażeby wreszcie powiedzieć zdanie niezrozumiałe, złożone z dziwacznych wyrazów.

Nie mógł udźwignąć głowy, szczelnie bandażami okręconej, ciężkiej jak kowadło rozsiadłe na ramionach. Dolegały bóle fizyczne, paliły ogniem rany, tu i tam rwały jak wrzody cięcia od szabli i w całym ciełe płoneła gorączka.

W głuchych półsnach, wśród łoskotu bijącego w uszy, gdy ręce zdały się być ogromne i ciężaru młyńskich kamieni, dręczyły powtarzające się koszmary. Szedł wciąż w nieznanach polach z kimś, czyjej twarzy nie mógł żadną miarą od czoła zobaczyć. Tamten stowarzyszał się — śpieszyli razem — lecz zawsze o pół kroku posunięty naprzód, uchodził przed natarczywością słowa.

Piotr pragnął dowiedzieć się prawdy, wejrzeć w sedno, poznać, jaka była tamtego wówczas wewnętrzna siła, co za myśl osiadła jego rozum, jaką była istota woli, skąd wyszło postanowienie i

splot uczucia. Prosił się i zaklinał towarzysza drogi, rzucał mu się do nóg — nadaremnie. Czarny cień szedł przedej, naprzód i naprzód... Tak dnie i noce w męce mijały.

W tym czasie odwiedził chorego stary weteran Rozlucki. Pragnąc, widocznie, za pomocą swego munduru podratować sytuację awanturniczego krewniaka, ubrał się w generalskie lampasy i przybył do szpitala. Piotr wówczas spał. Stary pan czekał długo i cierpliwie na jego przebudzenie. Ale gdy się chory ocknął, zaszła dziwaczna i przykra scena. Piotr długo wpatrywał się w dziada swym zdrowym, nie zasłoniętym okiem, naciągał na się kołdrę zdrową, nie porąbaną ręką. Nagle, co wszystkich zdziwiło, o własnej sile podniósł się na łóżku, siadł na pościeli i, przywoławszy starca ruchem ręki, kazał mu nastawić ucho pod swe usta. Tak siedząc coś mu długo szeptał po polsku. Twarz starego generała od tego szeptu stała się blada — później purpurowa, granatowa, wreszcie niemal czarna. W pewnej chwili starzec niespodziewanie pchnął chorego na wznak w pościel, wstał ze swego miejsca, obciągnął mundur, wyprostował szlify i nie oglądając się wyszedł ze szpitalnego pokoju. Trząsł się na całym ciele ze wzruszenia, gdy wdzwiewał płaszcz — bełkotał jakieś wyrazy zstępując ze schodów. Świadkowie przyszli do przekonania, że chory w gorączce musiał coś bardzo nieprzyjemnego powiedzieć krewnemu i głęboką sprawić mu przykrość.

Dopiero po upływie paru tygodni doszedł rąk Piotra cały szereg listów Tatiany. Listy te długo wędrowały, a później, gdy chory po awanturze zabrany został do szpitala, uległy rozmaitym perypetiom. Odsyłano je z powrotem Tatianie nad Ocean Atlantyc — ki i znowu cofnięto do miejsca przeznaczenia. W ten sposób Tatiana, która z ojcem jeździła z miejsca na miejsce, od długiego czasu nie miała żadnej wiadomości. Czytając te listy coraz bardziej smutne, pełne niecierpliwości, bojaźni, rozpacz, dyktowane przez lęk, obrażoną dumę i głuchą boleść — Piotr gorzko płakał. Nie wiedział, gdzie Tatiana jest, nie mógł sam do niej pisać — i cóż miał jej donieść? Trzymał te kartki, w najsprzecznijszych pisane nastrojach, pod poduszką, przytulał je do ust po nocach — i milczał.

Gdy zaczął z wolna przychodzić do siebie, a główne cięcie przez czoło, brew i policzek już nie ogniło się, lecz jęło podsychać — ból głowy od rąbanych ran w czaszkę zmniejszył się i ręka nie była już tak zdrętwiała, odwiedził go kilkakrotnie Andrzej, syn Eugeniusza, Roszow — ("André Rochoff", jak stało na biletach wizytowych, których od czasu awantury kilka złożono na stoliku szpitalnym). Był to młody kandydat do urzędów sądowych, niedawno przybyły z Petersburga, protegowany przez wybitne osobistości, przystojny i elegancki. — Andrzej Roszow bywał bardzo często u generała i w sposób widoczny dla wszystkich kochał się w Tatianie. Generał lubił go bardzo.

Był to człowiek jego świata, niewątpliwy człowiek czynu, prokurator na razie in partibus infidelium, ale czyhający na swą chwilę. Roszow był bardzo przystojnym mężczyzną. Ubierał się najwykwintniej w mieście; o wszystkim wiedział, wszystko umiał na pamięć, w każdej sprawie podał radę, jakiej potrzeba, i nic za to nie żądał. Szczęście Piotra zbyt było oczywiste, ażeby go Roszow nie spostrzegł. Wiedzieli o tym wszyscy, że piękny prawnik cierpi jak potępieniec. On, człowiek zrównoważony, roztropny, spokojny, idący swoją drogą do celu — na widok Tatiany i Piotra popadał w rozpacz dla wszystkich oczywistą, bladł, nie miał, upadał na duchu, nie panował nad sobą, a nawet przy świadkach płakał.

Odrącenie Roszowa nie było tak bezwzględne, jak sobie wyobrażał. — Tatiana, przed przyjazdem Piotra, dosyć lubiła pięknego prawnika. Raz w Paryżu przyznała, że się jej ten "André" dosyć podobał, a tylko przez wrodzoną przekorność swej natury nie dała tego poznać — owszem, czyniła wszystko, ażeby mu odebrać najłżejsze złudzenie. Gdyby jednak Piotr nie był się zjawił na horyzoncie, byłaby może nawet na dobre pokochała Roszowa.

Kiedy ten wytworny prawnik po raz pierwszy przyszedł do szpitala w odwiedzinach, Rozłucki zdumiał się. Nie oczekiwał Roszowa i nie liczył na jego współczucie. Toteż kamienne było spojrzenie chorego, gdy patrzył na czarne włosy gościa, rozczesane starannie z lewej strony głowy i gładko jak lśniący atlas przylegające do czaszki — na jego foremne czoło, równy nos, usta ocienione małym wąsem, na błądź jego cery i postawną figurę. Roszow ubrany był elegancko jak zawsze. W ręku trzymał kwiaty, które niepostrzeżenie złożył na kołdrze. Piotr ponuro milczał i z boleścią wpatrywał się w te kwiaty. Gdy Roszow począł przemawiać swym głosem miłym, równym, budzącym zaufanie — milczał także, składając wszystko na ciężki swój stan fizyczny.

Mnóstwo zdań wyrzeczonych przez Roszowa zmierzało do tego, ażeby udowodnić, że cała opinia w mieście stoi po stronie Piotra, że całe towarzystwo rosyjskie potępia haniebne, właśnie "haniebne" zachowanie się oficerów piechoty w restauracji, że cała ta société rosyjska nie ma dość słów współczucia dla pięknej panienki, tak brutalnie napadniętej, która, na szczęście! — znalazła obrońcę i mściciela. Roszow czynił nieuchwytnie i niepostrzeżone aluzje, że jest w posiadaniu wiadomości, jak nazywa się i gdzie mieszka heroina tej historii, wspominał o niej wciąż, wracał do tego tematu, wychwalał piękność młodej Polki, znowu potępiał oficerów piechoty — nie tylko jako dżentelmen, nie tylko jako Rosjanin w tym kraju, gdzie powinno się nieść wysoko sztandar itd., ale również jako prawnik, jako jurysta, prawo i prawo nade wszystko mający na oku wśród nędz tego padolu.

Piotr wciąż obojętnie zachowywał milczenie.

Gdy jurysta znowu począł wprowadzać go w bieg swych wywodów, popychać niejako ku pewnemu zamierzonemu celowi — chory przerwał mu nagle wykład prostym pytaniem:

— Pan już pisał o tym wszystkim do Tatiany Iwanowny?

Roszow zmieszał się.

— To jest o czym?

— O tym, że ja biłem się w obronie tej panny.

— Znając przywiązanie generała Polenowa do pana — mówił Roszow z wolna i z namaszczeniem — nadto znając przyjaźń pańską dla Tatiany Iwanowny, wiedząc, że pan w tej chwili pisać nie może, rzeczywiście pośpieszyłem uspokoić generała i jego córkę, którzy skądinąd mogli otrzymać wiadomość o wypadku — że właściwie sprawa jest drobna.

— A gdzie generał Polenow teraz przebywa?

— W Rapallo, pod Genuą.

— Wraz z córką?

— Tak.

— Dziękuję panu — rzekł Piotr twardo.

— Poczytywałem to sobie za obowiązek jako przyjaciel domu generała.

— Postąpił pan jak prawdziwy przyjaciel.

— Pragnąłem również uspokoić Tatianę Iwanowną.

— Tymi szczegółami o pięknej szatynce?

— Jak to? Czy Tatiana Iwanowna pisała cokolwiek w tej sprawie do pana?

— Nie.

— A — to cieszę się bardzo.

— Z czego?

— Bo w listach zawsze mogą znaleźć się niedokładności, nieścisłości, podczas gdy przy osobistym wyjaśnieniu prawda się objawi.

— Pan to wie dokładnie i lepiej ode mnie jako prawnik.

— Czy nie pozwoliłby pan, ażebym dla uspokojenia generała i jego córki pojechał na ich spotkanie do Warszawy i wyjaśnił detale sprawy, co by ich obydwójce pozbawiło zmartwienia z racji nieuniknionych plotek.

— Ależ oczywiście! — o ile moja zgoda lub niezgoda może mieć jakikolwiek wpływ na pańskie postanowienie.

— Piotrze Iwanowiczu — chciej pan wierzyć, że powoduję się tylko przyjaźnią dla pana, dla Tatiany Iwanowny...

— Ani na chwilę o tym nie wątpię!

Rozmowa już nie szła. Wątek jej urwał się na tym szczególe o wyjeździe Roszowa do Warszawy. Jeszcze przez chwilę gość siedział dopytując się o szczegóły zdrowia Piotra, ażeby wierny obraz jego stanu mógł zawieźć do Warszawy. Pogadał jeszcze bardzo przyjaźnie o tym i owym — i pożegnał chorego.

Piotr wciąż patrzył na jego interesującą twarz, na miłe i pełne wdzięku zachowanie się, na żywotną zwinność ruchów, świadczącą o wewnętrznym zdrowiu. Po wyjściu Roszowa zakrył twarz kapą i udając, że śpi, w sekrecie przed świadkami szlochał w rozpacz.

Rozdział XXI

Pewnego dnia, mniej więcej we dwa tygodnie po bytności Roszowa, dyżurny oficer dał Piotrowi znać, że przyszły go odwiedzić damy. Chory siedział na swym posłaniu i przez czas pewien nie dawał znaku zgody ani odmowy. Patrzył we drzwi. Ale oto te drzwi uchyliły się i szeleszcząc jedwabiem sukien Tatiana wsunęła się na palcach. Za nią szła Matylda — a za tą, nieco w głębi i z dala, stąpił Roszow.

Piotr podniósł oczy, a raczej oko, na Tatianę. Była wyjątkowo piękna w wielkim, modnym kapeluszu, w paryskiej zarzutce najnowszego typu, błękitna i woniejąca. Orle jej oczy z drapieżną gwałtownością rzuciły się na Piotra. Usta były jakby do wydania krzyku uchylone. Bładość z wolna pokrywała jej twarz. Piotr miał głowę ogoloną, zarost twarzy również, na policzkach plastry. Obwiązany bandażami wyglądał jak maskara, patrząca z powijków jednym posępnym okiem.

Tatiana usiadła na krześle nie podawszy mu nawet ręki. Bezsilnie opadła na to miejsce i bezsilnie patrzyła nie mogąc oderwać oczu. Bukiet kwiatów, który trzymała w ręce, upadł na ziemię, co dało Roszowowi możliwość umieszczenia go niepostrzeżenie na kółdrze chorego. Nagle Tatiana wybuchnęła niepowstrzymanym, wprost szalonym śmiechem. Usiłowała ten nieprzyzwoity śmiech powstrzymać, z całej siły gryząc wargi, usiłowała nawet zakryć twarz rękami, lecz znowu bezsilnie parsknęła na cały głos. Za jej przykładem poszła Matylda. Roszow pragnął nie śmiać się, wywracał białka oczu, pocierał czoło. Lecz i on nie mógł nakazać sobie powagi.

— Coś pan ze siebie zrobił! — krzyknęła Tatiana wśród chichotu. — Matylda, patrz, to jest Piotr Iwanycz.

— Rzeczywiście, biedny monsieur Pierre.

— Cóż pan mówił — rzuciła się Tatiana na Roszowa — że to są nieznaczne zadraśnięcia. Przecież on jest porąbany, posiekany na kawałki.

— Byłem i jestem przekonany — mówił Roszow — że nie będzie żadnego śladu. Takie zadraśnięcia od ostrych szabel goją się prześlicznie. Za parę tygodni będziemy mogli dostrzec na twarzy Piotra Iwanowicza tylko lekkie blizny, które go w naszych oczach ozdobią i upiększą.

— Ależ to nieprawda! — zawołała.

Nagły odgłos płaczu przebił się przez jej śmiech.

— Upewniam panią... — mówił Roszow.

— Pokaż pan drugie oko! — krzyknęła na Piotra. — Pewno wybite!

— Nie jest wybite, ale dotąd niepewne... — rzekł chory spokojnie.

— Szablą wybite czy wykłute? Jak to jest?

— Mam cię ostrzem szabli od połowy czoła przez brew, kość policzkową, cały policzek aż do dolnej szczęki. Nadrabane są kości. Czy oko będzie całe, tego nie wiem. W najlepszym razie — krzywe. Kiedyż pani powróciła?

— Wczoraj powróciłam... — rzekła patrząc na niego nieubłagany wzrokiem. Usiadła na krześle głębiej i poczęła żuć niecierpliwie wargami, co u niej oznaczało, jak o tym doskonale wiedział, wzrastającą pasję. Do oczu jej nabiegały łzy, ale je przemocą powstrzymywała. Zdjęła rękawiczki i bezwiednie upuściła je na ziemię. Widać było, jak przecudne, białe ręce drżą i same lecą, ażeby się na szyję Piotra zarzucić. On poznał, że kolana jej ściskają się z pragnienia, ażeby runąć przy łóżku. Usta kurczyły coraz szybciej wewnętrzny, w śmiechu zaciśnięty jęk.

Serce Piotra poczuło obecność serca Tani. O, jakże nieopisana ocknęła się w nim miłość!

Tatiana wybuchnęła:

— A cóż ta "panna", dla której wdałeś się pan w ten rycerski bój, odwiedzała już pana?

— Nie — odrzekł Piotr.

— Niewdzięczna?

— Nie znam jej wcale.

— Och, mnie to nie interesuje, czy się państwo znacie, czy nie.

— Nie znam jej. Powiedziałem prawdę.

— Za to ja ją znam. Monsieur Roszow opowiedział mi, która to jest. Widziałam ją tutaj kiedyś na balu w resursie, gdzie było towarzystwo polskie i rosyjskie. Ubrane to było pospolicie, po tutejszemu.

— Ale z wdziękiem, temu pani nie zaprzeczy — wmieszał się do rozmowy Roszow.

— Och, ta osoba pełna jest nie tylko wdzięku, lecz i mnóstwa innych przymiotów duszy... — cedziła Tatiana z jadowitą ironią.

— Nikt jej przecie bliżej nie zna, więc po cóż tyle o niej mówimy? — westchnął Piotr.

— Czy nie sądzi pan, że ja zniżam się aż do zazdrości o tę piękną nieznajomą? Proszę mi nie poniżać takimi przypuszczeniami... — miotła się w pasji.

— Pani zna tę osobę? — interesował się Roszow.

— Na owym balu zaznajomiono nas. Tańczyliśmy. W jednej figurze poprosiłam ją o wachlarz, gdyż swój gdzieś zarzuciłam w poprzednim walcu. Spojrzała na mnie co najmniej jak Maria Leszczyńska i po pewnej chwili podała mi ten wachlarz w taki sposób, że go wcale nie dotknęłam.

Mademoiselle Mathilde, prezornie i mądrze, nadzwyczaj ożywioną rozmową poczęła zabawiać jurystę Roszowa. Dla zwierzenia mu jakiejś nad wyraz interesującej myśli odprowadziła go na drugi koniec sali, a następnie, zaciekawiona niespodziewanie urządzeniem wewnętrznym szpitala, wyciągnęła pięknego kandydata do sąsiedniego korytarza.

Tatiana rozejrzała się po sali. Zdawała się czekać na ruch Piotra, na skinienie jego ręki, ażeby ją okryć pocałunkami. Ale obydwie ręce chorego, ciężkie i nieruchome, leżały na kołdrze. Spojrzenie oka nie podnosiło się z tego miejsca, na które padło. Łzy płynęły z oczu jak krew brocząca z rany. Bolesny uśmiech otoczył wargi. Tatiana zadrżała na widok tego uśmiechu. Znała go. Całe jej ciało drgnęło od naglej rozpaczy.

Gniew począł ją znowu szarpać. W jednej chwili gotowa była rzucić się na Piotra, zedrzeć mu z twarzy bandaż, a zamiast tego czynu poczęła go bezsilnie błagać oczami, ażeby raczył pierwszy wyciągnąć rękę. Gdy się ta ręka nie wyciągała, zniżyła się sama i śliczną, zakochaną dłoń położyła na zimnych jego palcach. Palce te drgnęły. Uśmiech twarzy, widzialnej spod bandażów, stał się jeszcze bardziej bolesny.

Ścisnęła mu rękę i potrząsnęła ją z całej siły.

— Ty! Cieniu! — zawołała nań szeptem a z dziką furją.

Podniósł powoli głowę ciężką jak kowadło i rzekł z nieopisaną męczarnią:

— Roszow z tobą.

— A tyś się bił za tę!

— Roszow z tobą.

— Piotruś... — wyszeptała śmiertelnie blada, drżąc na całym ciele.

Najczulsze to słowo wypłynęło z jej serca, najwierniejsze spojrzenie z oczu.

— Roszow... — rzekł bez miłosierdzia, kiwając głową.

— Cóż ty ze mną robisz? Coś ty tu nawyprawiał! Po coś to zaczął? Czemuś się w to wmieszał? Zabiłeś mnie i siebie.

— Tylko siebie.

— Papa nie chce cię widzieć...

— Dziwię się, że ty chciałaś mnie widzieć...

Tatiana wybuchnęła głośnym, bezsilnym płaczem zranionego dziecka. Wbiegła Matylda, za nią Roszow zaniepokojony, rzucając się tu i tam, pełen głębokiego współczucia. Tatiana nie kiwnąwszy głową w stronę Piotra wyszła. Za nią jej towarzysza i towarzysza.

Rozdział XXII

W jaki tydzień później oficer dyżurny zawiadomił chorych, że odbywa się lustracja szpitala i że sam generał-komendant za chwilę wejdzie do sali. W istocie generał Polenow— Czernowratski wkroczył. Był wyprostowany, srogi i tak sztywny, jakby połknął własną szpadę, którą ku przerażeniu śmiertelnych niósł przy boku. Miał na sobie mundur uroczysty, połyskiwał orderami, lampasami i szarfą. Surowy mars nie schodził z jego czoła, odkąd przestąpił próg pokoju. Piotr doznał wrażenia, że generał nie chce go widzieć, nie przywitał się i nie przywita — lecz pogodził się z tym losem. Siedział na swym łóżku obwiązany bandażami i czekał na rozwój wypadków. Generał rzucał okrutnym okiem po kątach, zaglądał tu i tam, jak przystało na lustratora, lecz po chwili zwrócił się wprost do Piotra ze swą gniewną i złowieszczą twarzą. Dał znak swej świcie, żeby go opuściła. Gdy lekarze, dozorczyńnię, felczerzy, oficerowie dyżurni i inni usunęli się z pokoju, generał siadł na krześle i dwakroć groźnie spoglądał na Piotra — może dla ukrycia braku słowa, od którego by zacząć. Rzekł wreszcie z należytą bezwzględnością i majestatem:

— Czy pan wiesz, że jesteś podsądnym?

— Wiem, panie generale.

— Czy pan wiesz, że za tak ohydłą sprawę, jaką tu wszcząłeś i skrociłeś, może cię czekać degradacja?

— Wiem, panie generale.

— Czy... tego... Czy takiego postępku mogła się po panu spodziewać pańska władza niższa i wyższa, ja, jako zwierzchnik bezpośredni, pańscy koledzy, całe społeczeństwo rosyjskie w tym kraju, wreszcie cała armia, sztandar... wreszcie... Co?

— Nie rozumiem, o co chodzi, panie generale.

— Jak to? Nie rozumiesz pan? Radzę, żebyś raczej milczał, kiedy do pana łaskawie przemawia pański naczelnik. Jak? A to co takiego znowu? Milcz pan! Łaskawość moja rozzuchwiała pana... Ale i wyczerpała się! Sądysz może, że zatuszuję tę sprawę i dlatego umyśliłeś sobie rozbijać się tutaj, broić, czynić, co ci się spodoba. Liczysz może na bezkarność — otóż wiedzę pan...

Piotr uśmiechnął się ironicznie.

— Śmiejesz się pan, kiedy generał mówi!

— Nie śmieję się, panie generale.

— Śmiejesz się! Do kroćset!...

— Jestem chory, panie generale.

— Jesteś chory, ale jesteś także podsądny!

— Sąd orzecze o mojej winie.

— Sąd!...

Generał stracił doskonały wątek dotychczasowy i nie wiedział naprawdę, jakim by argumentem zmiażdżyć krnąbrnego pyszałka. W istocie rzeczy powołanie się na sąd przecinało rozmowę. Generał czuł, że uniósł się niepotrzebnie i, co gorsza, niewłaściwie. Długo sapał, poprawiał szpadę i rzucał się na krzesło. Wreszcie, piniąc się wewnętrznie, dorzucił:

— A więc dobrze — sąd! Sąd wojenny, kiedy tak, i basta. Nauczą rozumu.

— Czekam ze spokojem na wyrok.

— "Ze spokojem". Bohater!

— Bohater czy nie bohater, lecz w każdym razie porządny i dobrze wychowany człowiek.

— Głowę przerałbali, z baterii wyrzuca, zdegradują. "Bohater"!

— Pan generał, gdyby był tam wówczas na moim miejscu i na moim niskim stanowisku, nie mając innego wyjścia z pewnością postąpiłby był tak samo jak ja.

— Co znowu? Co takiego? Co pan mówisz?

— Jak to? Czy mogę przypuścić coś innego? Czy pan generał pozwoliłby na to, ażeby w jego obecności w miejscu publicznym zgraja półpijanych oficerów grubiańsko zaczepiała cichych, przyzwoitych, cywilnych ludzi?

— Piękne panny...

— Tak jest, piękne panny obiadujące w towarzystwie spokojnych ludzi...

— W dodatku Polki...

— W dodatku Polki... — mówił Piotr dobitnie.

— Właśnie ten szczegół jest ciekawy!

— Właśnie ten szczegół. Więc wolno jest oficerskiej gromadzie postępować tak jak tamta dlatego, że to byli Polacy i Polki?

— Pan się zapominasz mówiąc do mnie!

— Nie, panie generale. Ja zapytuję o jego pogląd na tę sprawę.

— "Pogląd"! Pan wiesz, jaki jest mój pogląd... Pan wiesz, że ja Polaków... tego... Jak pan śmiesz przypisywać mi coś podobnego! Pan dobrze wiesz! Ale pan wówczas ośmieliłeś się rzucić w twarz kolegom oficerom zniewagę nie do zniesienia. Pan wypowiedziałeś wyraz...

— Ten sam wyraz powiem na sądzie. Tego wyrazu nie cofnę na sądzie i nigdy, i nigdzie! Czy wykonali jakikolwiek akt ekspiacji za swój postępek względem tych kobiet i mężczyzn? Żadnego! Każdy oficer powinien był postąpić tak jak ja. Rzucili się na mnie całą gromadą — porąbali mię. Toteż ja tego słowa nie cofnę nigdy!

Generał był niezdecydowany, co powiedzieć. Patrzył srogo, musztrował wąsy i poprawiał niesforną szpadę.

— Piotr Iwanycz — rzekł z innego tonu — uspokój się pan. Nie o to chodzi. Rozumiem... Obowiązek honoru — i tam dalej... Chodzi teraz o to, żeby sprawę zatuszować. Pojmujesz, Piotr Iwanycz?

— Nie. Tego nie pojmuję. Wyzdrowieję — będzie sąd. Umrę z ran — nie będzie sądu. Oto wszystko.

— Przestań, proszę cię, przestań! Tak się złożyło, że twoja opinia poprawia się. Nawet oficerowie piechoty dzielą się teraz na dwie partie. Jedna partia jest za tobą — nieliczna — druga jest przeciwko tobie — bardzo liczna. O cóż chodzi? O to, żeby ta liczba zmalała, a ta nieliczna wzrosła w siłę. Musisz zrobić jakieś ustępstwo, przeprosić, cofnąć słowo. Wtedy można będzie sprawę postawić na poziomie zatargu honorowego. Rozumiesz, co mówię? Zatargu honorowego...

— Nigdy tamtego słowa nie cofnę, panie generale. Każdemu stanę po kolei na placu. Niech cały ten pułk piechoty!

— No-no, no-no! Bohater!

Piotr schylił głowę i długo milczał. Wreszcie podniósł oczy i rzekł krótko:

— Pan generał rzuca mi raz po raz to słowo "bohater" jako przezwisko. Otóż, niech będzie, jestem bohaterem.

— Bajronowskim czy jakim innym?

— Jakimś innym... — rzekł Piotr patrząc mu głęboko w oczy.

Generał wykonał zdecydowany ruch władczą dłonią, jakby miał zamiar wtrącić Piotra na jakieś dno mamertyńskie, lecz się powstrzymał. Widać było, że jeszcze coś ma do powiedzenia. Przeszedł się po pokoju i rzekł z namysłem:

— Jakże te rany?

— Goją się.

— A lekarz mi mówił, że nie tak znowu szybko wstaniesz. Nie tak szybko!

— Skoro trzeba będzie leżeć, cóż robić...

— Właśnie. A czy... tego...

— Słucham, panie generale.

— A czy... tego... nie wolałbyś, Piotr Iwanycz, leżeć u mnie w domu? — pytał generał surowo i niby między innymi lokucjami, choć Piotr domyślił się, że po to został przez Tatianę przysłany.

— Dziękuję...

— Czegóż masz dziękować... Wiesz chyba, bracie, że.... tego...

— Nie wątpię. Wiem dobrze, jak pan generał łaskaw jest na mnie, lecz muszę leżeć tutaj. Gdybym skorzystał z łaskawego zaproszenia, oficerowie całego pułku piechoty mieliby prawo rzucać mi w oczy słusznym urąganiem, że jestem faworyzowany.

— Co mi tam oficerowie pułku piechoty!

— Gdyby przyszło do sądu, podano by w wątpliwość wyrok. Mogliby ludzie słuszenie twierdzić, że wyrok jest złagodzony na moją stronę dzięki poparciu pana generała.

— Cóż to ma jedno do drugiego?

— Proszę mię zostawić tutaj — prosił Piotr ze szczerością.

— Wiesz dobrze... — rzucał się generał — jaką przykrość, jaką straszną przykrość wyrządziłeś Tatianie. Dziecko szłocha po całych dniach, po całych nocach... Mówiła mi mademoiselle Mathilde, że nie je i nie pije, że się tylko ślania po sofach i płacze. Wymioty jakieś żółciowe... — ciągnął zupełnie bezradnie.

— Tak, zawiniłem — rzekł Piotr twardo.

— Nie może nawet odwiedzać cię tutaj, bo do czegoż to podobne? Tam pielęgnowałyby cię z mademoiselle Mathilde i szybko wróciłbyś do zdrowia.

Generał rozkleił się zupełnie. Surowa marsowość wypełzła z niego i zaczęła się chyba tylko w lampasach zeszywniałych kolan, w wysokości kołnierza i w srogiej szpadzie. Siedział zgarbiony, w postawie niemal petenta, naiwnie uśmiechnięty i bodaj na równi z córką zakochany w Piotrze.

— Toż całe miasto poczęłoby pleść tysiączne anegdoty, gdybym się stąd przeniósł do domu pana generała...

— Właśnie, właśnie... Wszyscy dziś mówią, że jesteś zakochany w tej Polce, że dlatego biłeś się za nią. Pomyśl!... Tatiana!... A ot, dałeś się porąbać za tamtą. Gdybyś się teraz przeniósł do mnie, Tania byłaby uszczęśliwiona, bo byłby to dowód, że tamto — było sprawą li tylko honorową, bez żadnej głębszej przymieszki. Szczerze z tobą mówię... Sam wiesz, jak Tania — sam wiesz, co w Paryżu... Tania — jakże to złota dziewczyna... Piotr Iwanycz...

W głosie starego oficera brzmiała głęboka, pokorna, niska prośba. Piotr uczył, że w tej minucie waży się coś w nim jak na szali. Porwał się w sobie samym i wzmógł na duszy. Rzekł:

— Tania mię zrozumie! Muszę tu zostać.

— Musisz... — westchnął generał.

— Muszę!

Zarazem podniósł na starca oczy pełne wewnętrznego blasku i pieszczotliwie pogładził ręką jego rękę.

Rozdział XXIII

Po upływie trzech dni zmienił plan i postanowił przenieść się do domu generała Polenowa. Mocowanie się wewnętrzne do tego go przywiodło. Poczul, stopniowo wgłębiając się w swój stan wewnętrzny, że jeśli odmówi sobie tego, co mu zaproponował generał, nie da sobie rady z zazdrością i tęsknotą i będzie przez nie pokonany.

Postanowił zbadać wszystko, co jest i co go czeka, poznać głębię swoją i zewrzeć się z nią. Wiedział sam wobec siebie, że popełnia jak gdyby cofnięcie się przed prawem swej duszy, że się zniża i odstępuje od ołtarza, ale tak musiał, ażeby duszę w ogniu rozpaść i zgąć w kształt, jaki obierze. Napisał list do generała niejako z prośbą o zabranie go do domu. Tegoż dnia wieczorem został przewieziony w zamkniętej karecie.

Otrzymał pokój na drugim piętrze, jeden z owych, których małe okna wychodziły na ogród. Pokój ten był w drugim skrzydle domu, z daleka od pokoju Tatiany, tak Piotrowi znanego.

Leżąc na łóżku miał przed oczyma korony wielkich drzew okalających sad, dalekie lasy i dalekie wzgórza. Ponieważ rany się goiły, mógł wstawać i całymi godzinami patrzeć w przestwór. Była to druga połowa sierpnia. Owoc ogrodu dojrzewał. Gdy upalne promienie padały w kręte uliczki, czerwieniły się ogromne jabłka, kiedy indziej ukryte, i wynurzały spod liści ciężkie grona żółtych, zwisających gruszek. Z górnego okna ogród ten wyglądał jak niedostępna, zaciszna świątynia, a tajemnica dojrzewania w niej owoców z dnia na dzień stawała się coraz głębiej odczuwanym przeżyciem duchowym. Upał letni istniał, zdawało się, dla tego sadu jedynie. Stwarzał i wydobywał zeń nieuchwytny zapach owoców, rozprowadzał ich barwę między jednolitymi liśćmi. Księżyc zakradał się po nocach w te tajne, wąskie uliczki. W jednych zostawiał cień, najczarniejszy, na jaki stać głęboką noc, a w innych rozpościerał czarodziejskie marzenie swego blasku, jakby uwidocznioną tajemnicę nocnego, miłosnego snu. Chłód wtedy i mrok, tający się pod ciężkimi gałęziami, spajał się z milczeniem. Trwały świątynne, bezszelestne godziny, podczas których tajemnica dokonywała się w mroku.

Sufit pokoiku był niski, meble najzupełniej skromne, okienko małe. Toteż Piotrowi śniło się wciąż, że jest w więzieniu. Siedział przy oknie długo nieraz w noc i śnił na jawie, że jest w więzieniu nie tylko materialnym u ludzi, u wypadków, u losu, ale w więzieniu u samego siebie. Patrzył w ogród jakby w oblicze milczącej wyroczni i chciał w nim wyczytać odpowiedź, czy kiedy wybije godzina wolności. Czuł, że w jego piersiach leży, czeka i wolno, równo, zdrowo bije serce nieustraszone, przed niczym nieulękłe, lecz wciąż jeszcze nieme i posłuszne rozkazowi milczenia.

Nawijało się wciąż wspomnienie ze szkolnej wojennej ławy o królu Anglii Ryszardzie, zwanym Coeur de Lion. Niezwalczony rycerz Lwie Serce siedzi oto zamknięty w ponurym zamczysku

Dürnstein, siłą przemocy ujarzmiony. Olbrzymie, przyszłe dzieje angielskiego plemienia, niezmiernie, myślą niezgruntowane czyny potomków na obszarach ziemskiego ładu i na morzach świata śpią w jego sercu, w jego woli, która go popycha do prac szalonych i wysiłków lwich. Ale rycerz jest sam.

Opuścili go wszyscy i zdradziło go wszystko. Czeką daleko królestwo jego potęgi, rumak bojowy za górami i za morzami, i złoty tron. Nie rozpacz przecie jest w sercu, nie boleść, nie niecierpliwość. To serce umie czekać. Ono w przedziwny sposób wie, że idzie zza gór, zza siedmiu rzek wierny przyjaciel, że krąży pod murami przybysz ze stron dalekich, wierny trubadur Blondel de Nesles. Nadejdzie dzień, gdy Blondel zaśpiewa wspólny ich utwór, prowansalską romancę. A kiedy pierwszą strofę tamten zaśpiewa, rycerz ujarzmiony odpowie mu strofą drugą. Tak się poznają.

Piotr wiedział, że nie ma na ziemi swego Blondela de Nesles. Niewola jego była sroższą niż w zamczysku Dürnstein — królestwo stokroć bardziej dalekie — samotność po tysiąc razy zupełniejsza. Królestwo jedynie w duszy istniało — nieobeszłe, olbrzymie, stokroć piękniejsze niż dziedzictwo Plantagenetów.

Patrząc tak co dnia w cichy ogród i cierpliwie mierząc swój czas dojrzewaniem owoców, zmianą barw na rumianych jabłkach i żółtych gruszkach, Piotr śnił swój tajny sen. Cierpliwość niewyczerpana, cierpliwość owocu, który się nie śpieszy w dojrzewaniu, cierpliwość — siła lwa — osiadła w jego sercu.

Rozdział XXIV

Przeniesienie się do domu generała po awanturze z oficerami i w takim stanie zdrowia było ze strony Piotra aktem męstwa. Domyślał się, jak zraniona musi być Tatiana. Gdy przychodziła odwiedzić go, zawsze w towarzystwie generała albo mademoiselle Mathilde, witała go i żegnała w milczeniu albo cichym, złośliwym uśmiechem. Wpatrywała się weń ciągle z uporem i natrętą pilnością... Znała jego uwielbienie dla swej cielesnej piękności posunięte aż do szału, toteż umiała je teraz wystawiać na próbę. Przyszedłszy z ojcem lub Matyldą, umiała tak zawsze usiąść, aby się, niby przypadkowo, odsłoniła jej prześliczna noga w lakierowanym pantofelku i przejrzystej pończosze. Umiała niepostrzeżenie musnąć wargami rękę chorego — tak uczesać włosy, jak to lubił, albo wymówić nie głosem, lecz ruchem ust dźwięki, które ich zawsze doprowadzały do szału i miłosnego oblędu.

Piotr mocował się z tym wszystkim. Prowadził dialektyczne dyskusje ze swą zaczajoną namiętnością, usiłował ugłaskać ją, pokonać, obalić, zdusić. Wmyślał się tedy w piękność Tatiany i w jej duszę — doprowadzał wyobrażenie do najwyższej granicy, okazywał sobie samemu siłę swej miłości, badał i mierzył władzę jej nad sobą, a później naprzeciwko tej piękności i rozbudzonym przez nią uczuciom wyprowadzał objawy pustki wewnętrznej w myślach Tatiany, zepsucia wychodowanego w niej przez otoczenie, obcości i wrogości jej względem swego ducha. Rozpoczął zacieklą walkę.

Zamykał oczy, gdyż nie miał odwagi wprost patrzeć na większość środków tej walki. Jeżeli nie pomagała broń jawna, dobywał broni zdradzieckiej, okrutnej, której nie chciał widzieć i nazywać... Szukał w sobie nie tylko duszy lwa, lecz natury tygrysa; mówił do siebie, że przecie zgwałcił już duszę i ciało tej dziewczyny, posiadał ją, nasycił się i powinien mieć dosyć. Nie dawały jednak pewności zwycięstwa te wszystkie sposoby. Niweczyły najlepszy oręż ślady cichych łez Tatiany. Gdy odchodziła z jego pokoju wyprostowana, zimna, niema, bez ostatniego spojrzenia, jakby stosująca się

do jego usiłowań, a na schodach, zstępująca ze zwieszoną głową, łkała głucho bez pocieszenia i nadziei — jak o tym wiedział wybornie, gdyż znał ją zbyt dobrze — upadał na łóżko z przekleństwem, rzucając wyzwiska i obelgi lwiemu sercu swemu.

Zaczynał na nowo zbierać szczegóły, jak średniowieczny prokurator gromadzący dowody przeciw czarownicy, piętrzyć w myśli objawy moralnego zepsucia Tatiany.

Patrzył, jak wyrosło ze zbytku. Genezę zbytku wyprowadzał z rabunku dóbr wypracowanych w pocie czoła przez nieszczęśliwe ludy. Chciwie i nieubłagane rozmyślał, jak łyzy i pot stwarzają, zastawiają i noszą srebrne półmiski, jak szyją, piorą i podają do wdziania miękkie jedwabie i łagodne atłasy. Obliczał w myśli wszystkie tyranie, podłości, zbrodnie, zdrady, pochlebstwa i służalstwa, z których wyrasta piękna, wojskowa ranga, salon, ogród, śliczne meble, pudełka biżuterii i flakony wonnych perfum...

Prowadziła z nim nie mniej zacieklą wojnę Tatiana. Pewnego dnia zostawiła obok łóżka w sposób niepostrzeżony, niewinny i naiwny paczkę listów pisanych do niej ostatnimi czasy przez rozmaitych wielbicieli. Jedni z nich byli Piotrowi znani, inni nie. Pewne wyrażenia w tych listach były doszczętnie pozamazywane ręką Tatiany w najoczywistszym celu pchnięcia go w rozpacz. Prócz tego stale i niezmiennie przebywała w towarzystwie Roszowa. Piękny prawnik był teraz nieodstępnym jej satelitą. W domu generała bawił ciągle. Zdawało się, że w nim na stałe zamieszkał. Ciągle coś przywoził, przynosił, odwoził do sklepów, załatwiał najrozmaitsze sprawy dla wszystkich, a szczególnie dla pań. Głos jego słyhać było w salonie, w ogrodzie, w kancelarii, a nawet w drugim skrzydle, gdzie mieszkała Tatiana z Matyldą i gdzie dawniej tylko jeden mężczyzna, i to tajemnie, bywał. Do pokoju Piotra Roszow nie przychodził. Czasem tylko z głębi ogrodu, dostrzegłszy chorego w oknie, kłaniał mu się z wyrazem nieklamanej życzliwości jak miłemu gościowi, w dodatku choremu, którego ze wszech miar należy obdarzać grzecznością. Dźwięk głosu Roszowa zawsze był wesoły, drgał śmiechem — i echo śmiechu mu odpowiadało. Stołeczne anegdoty, petersburska wymowa, nadzwyczajna elegancja, wiele wiadomości z najrozmaitszych dziedzin wiedzy ludzkiej, niemała bystrość i pamięć — wszystko to oczarowywało słuchaczy i widzów.

Coraz więcej osób bywało teraz w progach gościnnego generalskiego domu, w cieniach ogrodu, a szczególnie pod dachem altany oplecionej dzikim winem. Piotr słyszał to wszystko ze swego wysokiego okienka...

Pewnego dnia patrząc w ogród zauważył w jednej z krętych uliczek błysk niebieskiej sukni Tatiany. Błysk ten przesunął się w masie zieleni, jak gdyby wsiąkł w nią i doszczętnie zginął. Ale oczy Piotra były tak mocno wlepione w gęstwinę i tak już do niej przywykły, że dostrzegły za tą na pozór nieprzeniknioną zasłoną drugi kolor, biały kolor flanelowego kostiumu Roszowa. Ciężka głowa upadła na ręce. Myśli ustały — i ciemna noc spadła na duszę.

Wśród swego cierpienia Piotr usłyszał nieoczekiwanie odgłos kroków Tatiany i szelest jej sukni tuż za swymi drzwiami. Szelest był cichy, cichszy a piękniejszy niż śpiew sosen za oknem, niż sypki poszum liści lipowych. Tatiana uchyliła drzwi bez uprzedniego stukania i wsunęła się do pokoju. Boleśnie były uśmiechnięte jej usta, a oczy bezsilnie stęsknione. Piotr nie tylko ujrzał, lecz uczuł znowu jej piękność. Oczy jej były nie dość że kochające, lecz upadłe pod przymusem miłości, namiętne, żądne, czyhające na drogę spojrzenia. Miała na sobie lekki kostium błękitny, który byli razem wybierali w Paryżu. Szatka ta ledwie zasłaniała jej ciało. Głowę okryła włosami tak, jak to najbardziej lubił. Usiadła naprzeciwko, lecz za chwilę podniosła się i patrząc mu z wyzwaniem niewymownym w oczy, cichaczem podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz.

— Gdzie jest pan Roszow? — zapytał natychmiast z okrucieństwem i mniemaną obojętnością.

Pytanie to zatrzymało ją przy drzwiach i jak gdyby sparaliżowało jej ręce.

— Ciągłe się dopytujesz o tego Roszowa?

— Ciągłe jest z tobą, więc gdy go przy tobie nie widzę, dziwi mnie to. Dlatego się pytam...

— Nie, ty nie dlatego się pytasz, lecz chciałbyś mi go podsunąć.

— Ja ci chcę go podsunąć, Roszowa?

— Ty!

— Nic na świecie nie rozumiesz, nic cię nie obchodzi oprócz pieniędzy, zabawy i używania, więc i tego nie rozumiesz, coś powiedziała.

— Powiem ci prawdę, choć tak nic nie rozumiem. Ty byś może był nieszczęśliwy, gdybyś mnie z tamtym zobaczył, ale teraz chciałbyś, żeby tak było. Ty byś tego chciał i nie chciał. To jest nie to: chciałbyś, żebym ja uczyniła cię nieszczęśliwym, żebym ja wszystko podarła i zerwała, a ty żebyś mógł mną męczeńsko pogardzić.

— Bardzoś przewidująca!

— O, ja teraz jestem bardzo, strasznie przewidująca. A zaprzecz, że to, co powiedziałam, nie jest prawdą.

— Powiem ci prawdę, ale i ty mi ją powiedz.

— No!

— Całował cię już ten Roszow?

— Nie, jeszcze mnie nie całował, ale mi wciąż mówi o swej miłości, leży u moich nóg jak pies i błaga mnie o jeden uśmiech.

— Całował cię już ten Roszow?

— Raz mnie pocałował w rękę przy papie i Matyldzie. Więc, mówże mi, co mam robić.

— A zrób, co chcesz! Mnie czynisz powiernikiem jego amorów. Także pomysł!

— Słuchaj!

— Nie chcę słuchać!

— Piotruś... zlituj się nade mną. Jeśli tak będzie dłużej, zabijesz mnie, zabijesz mi duszę!

— Ja nie chcę zabić dla ciebie swojej duszy. Rozumiesz, co mówię? Prosiłem się Boga o przemienienie w tobie, tam w tym Notre Dame. Modliłem się do Joanny d'Arc, żeby się przyczyniła za tobą. Ale nic się w tobie nie stało. Dawałem ci książki, prowadziłem rozmowy. Po nocach się tutaj mocowałem... Cóż ty jesteś? Wystrojona panna, piękna generałówna. Byliśmy wciąż obcy. Ja szedłem na moją stromą górę, a ty w dolinę. Nie masz duszy.

— Piotruś, co się z tobą stało? Co się stało? Co teraz mówisz do mnie? Takie słodkie, pachnące, czarodziejskie słowa do mnie mówiłeś. Głaskałeś moje włosy, całowałeś w usta, w usta, pamiętasz nasze pocałunki — Piotruś, pamiętasz?... Byłeś mój i ja byłam twoja. Wszystko ci poświęciłam, co tylko powab stanowiło we mnie. A czego jeszcze chcesz? Ja wszystko zrobię, co tylko rozkażesz! Wszystko oddam, czego tylko zażadasz! Gotowa jestem być służącą w twoim domu, niańczyć twoje dziecko... Niech mi tylko wolno będzie być obok ciebie, w drugim pokoju czy w kuchni... Niech tylko słyszę, że ty tam jesteś, żeś przyszedł, mój kochany pan, mój kochaneczek, moje złote słoneczko... Piotruś, nie mogę zrozumieć...

— Nie rozumiesz...

— Będę się starała zrozumieć. Dołożę sił! Ja nie jestem zdolna, ale potrafię być uparta. Jestem inna — to prawda, nie umiem nic a nic, ale się zmuszę. Jeżeli to trzeba uczyć się czego, będę się uczyć. Jeśli trzeba...

Piotr zwiesił głowę i milczał.

— Dlaczego milczysz, Piotruś — dlaczego? — wyszeptała zrozpaczona, ślaniając się obok niego na kolanach po ziemi.

— Milczę — bo cóż ci mam powiedzieć? Jestem bezsilny głupiec.

— Nie! Jesteś mądry i wzniosły, i szlachetny. Jesteś dostojny rycerz, którego nikt nie rozumie i nikt zrozumieć nie chce. Jesteś mój nauczyciel i ja jedna pragnę cię zrozumieć. Tylko mi powiedz, czego chcesz. Powiedz!

Pochwyciła jego rękę i przycisnęła do ust rozpalonych.

— Kiedy ja nie wiem, co mam powiedzieć... — szeptał. — Jeżeli się teraz nachylę i zacznę całować twoje prześliczne usta, to zabiję swoją duszę na wieki i podepcę święty proch mojego ojca.

— Twojego ojca?... — spytała z przerażeniem.

— Mogłabyś być tylko moją kochanką. Duszy mojej nie mogę ci oddać.

Nachylił się niżej i powiedział jej prosto w oczy:

— Nie mogę ci nawet pokazać mojej duszy.

— Dlaczego? — spytała obejmując go skurczonymi palcami jak szponami.

— Dlatego, że tak. Tyś się urodziła jako córka rosyjskiego generała i tyle wiesz, ileś w tym generalskim świecie mogła zobaczyć. A ja się urodziłem między polskimi grobami.

— To są tylko piękne słowa, którymi się wciąż mordujesz i przebijasz.

— Ty nie jesteś niczemu winna, bo jesteś dziecko. Ale w tobie, w dziecku, streszcza się świat, który cię wydał. Narody się mordowały, zbrodnie pokrywały się zbrodniami, konały ludzie w kajdanach, a ich śmierć na nic się nie zdała — pomyśl! — marli po rowach dalekiej drogi, a nic im dotąd nie dało zadośćuczynienia. Marli po to, żebyś ty mogła być tak wesoła, jak jesteś, jak niedawno z tym Roszowem w ogrodzie. Ja nigdy nie roześmię się tak do ciebie, jak ty do Roszowa, a on do ciebie. Ja nie! Ty jesteś dziecko zbytku, a ja nie mam pieniędzy.

— Możesz je mieć, jeśli tylko zechcesz.

— A właśnie — to jest twoja jedyna odpowiedź na to, com przed chwilą powiedział. Otóż słuchaj: mogę, ale nie chcę. Nigdy nie zechcę!

— To ja będę z tobą bez pieniędzy — rzekła z prawdomównością najczystszej miłości. — Gdybyś nawet wcale nie awansował, będę z tobą we dwu pokojach szczęśliwa. Kupimy sobie ze wszystkiego tylko jedno: ładną lampę... Gdybyś był najprostszym oficerem przez całe życie!...

— A kiedy ja może wcale nie będę oficerem...

— Tylko czym?

— Niczym.

— Nie rozumiem cię, ale i tak pójdę z tobą.

— Nie byłabyś ze mną szczęśliwa. Umarłabyś bez zbytku jak ryba bez wody. Ty i pieniądze — to jedno. Bez pieniędzy...

— Chciej mię wypróbować! Każ mi złożyć dowód.

— Nie trzeba, bo ja to już wiem.

— A nasza dziewczynka?

Szarpnął się z miejsca, zacisnął pięści i jęknął:

— O, Boże!

— Cóż ja pocznę teraz?

— Roszow... — wymknęło mu się jadowite słowo.

Popatrzyła na niego zszarzałymi oczyma. Była blada i osłabiona. Usiadła z dala. Długo nie mogła ruszyć się z miejsca, aż wreszcie przysunęła krzesło do stolika. Machinalnie, bez wiedzy o tym, co czyni, odsunęła szufladę. Leżały tam książki polskie, które Piotr ukrywał przed ciekawymi oczyma. Były to poezje, dzieła filozoficzne i techniczne. Tatiana przerzucała je od niechcenia. Trafiła na tom poezji jednego z młodych pisarzy, oprawny w grubą, czarną skórę w taki sposób, że między kartkami były puste stronicie białego papieru i na nich poprzyklejane różne utwory, zdania, myśli, które Piotra szczególnie zajmowały, Tatiana wciąż machinalnie przerzucała kartki i czytała z mozołem to tu, to tam. W jednym miejscu naklejony był na czystej karcie wiersz Mickiewicza:

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,

Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,

I obojętna duma jak mgły szata

Wewnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;

I tylko w nocy, cicho, na Twe łono

Wylewam burzę, we łzy roztopioną.

Rzucała oczyma po stronicach, a ręce jej drżeć poczęły. Jęk wyrывał się z piersi. Krew to występowała na jej policzki, to z nich nagle ginęła. W pewnym momencie oczy jej padły na twarz Piotra i nieubłagane długo na niej leżały. Uśmiechnęła się z okrucieństwem. Po chwili cisnęła książkę na stół i patrzyła na nią strasznymi oczyma, podparwszy głowę rękami. Śliczne jej palce zapuszczone we włosy przebiegały ich pasma.

Nagle szalony gniew wybuchnął w jej oczach. Czarne źrenice stały się popielate. Porwała książeczkę, pełną poezji, i poczęła ją drzeć, targać, wyrywać karty, pluć między nie, pluć po trzy, cztery i pięć razy w to samo miejsce, w te wiersze. Cisnęła tom na ziemię i deptała go po dziesięćkroć nogami, a później precz odrzuciła od siebie końcem lakierowanego pantofla, aż upadł u stóp Piotrowych. Uczyniwszy to, domyśliła się, że znieważyla jego serce. Poznała to po spojrzeniu. Ale to budziło w niej, widać, żądzę ran jak w wilczycy. Patrzyła mu w oczy drwiąco, mściwie, zabójczo. Gdy wciąż milczał, poczęła miotać słowa:

— Głupcze! Bezsilny, bezmyślny, śmieszny głupcze! Gdybyś miał choć trochę rozumu, zostałbyś wkrótce dowódcą tej baterii, miałbyś otwartą drogę do wysokiej rangi. Zaszedłbyś, gdzie byś chciał. I zrobiłbyś wówczas, co byś chciał... Ty, głupcze!

Piotr ujrzał żywym spojrzeniem, że to prawda i że przepaść się u jego nóg otwarła, u nóg, gdzie ta niewielka leżała książeczka. Uśmiechnął się do tej książeczki. Na widok tego uśmiechu Tatiannę ogarnął szal. Podniosła się ze swego miejsca śmiertelnie biała i zmierzała ku drzwiom. Po drodze rzuciła mu słowo:

— To, o czym marzyłeś, dziś się spełni. Pójdę do Roszowa. Jeszcze dziś...

— Taniu! — wyjęknął trzęsąc się z zimna.

— Jeszcze dziś, żebyś mógł odkupić twoją polską duszyczkę, umyć ręce w mojej krwi i odejść w swoją stronę niosąc w czystych rękach proroka tę twoją polską banialukę...

— Taniu! — skamlał padając przed nią na kolana.

Stanęła w pół drogi między nim i drzwiami, odwróciła się do niego. Patrzyła przed siebie, na małą, potarganą polską książkę. Czoło jej przeorała prostopadła bruzda. Brwi skrzywiły się, usta zacięły. Po długim milczeniu podniosła oczy głębokie, suche, mądre.

— Powiem ci jedną historię — zaczęła innym zupełnie tonem — powiem ci teraz to, co to chciałam na koncercie Colonne'a — pamiętasz? — o tym, co to do mnie w nocy przychodził w Paryżu... Pamiętasz?

— Pamiętam — skinął.

— Zrozumiesz, coś ty teraz ze mną zrobił.

Milczał. Szybko wróciła, wzięła krzeselko i przysunęła je do jego krzesła. Usiadła naprzeciwko i podparwszy głowę na rękę patrzyła na niego uporczywie. Poczęła mówić po długim namyśle ze spokojem:

— Był tutaj pewien pan — Polak — pewien pan. Nie powiem nazwiska, bo i po co? To rzecz obojętna. Polak — to wystarczy. Pewien "icz" albo "ski". Ten pan był wysokim urzędnikiem w sądzie, powiedzmy, był członkiem sądu okręgowego. Zarazem — była to wielka świnia. Nie! nie świnia. Była to raczej odrażająca, nikczemna, jadowita żmija. Żył ze wszystkimi polskimi domami tutaj w mieście i

w okolicy — bywał wszędzie na polowaniach i zabawach — urządzał wszelkiego rodzaju pikniki, wycieczki, teatry amatorskie, koncerty i odczyty różnych polskich wielkoludów na cele filantropijne — uczestniczył w rozmaitych instytucjach, i to zarówno religijnych, jak świeckich. Był tylko było polskie, było polskie! Papa zawsze mówi o Polakach, że nigdy u nich nikt nic nie robi, tylko jeden jakiś biega w kole zaperzony i wszystkim trzęsie. Właśnie ten pan tak trząsł wszystkim w mieście, biegał, starał się, wszędzie był, wszystko załatwiał, przez wszystkich kochany i noszony na rękach, Polacy tutejsi uważali go za męża opatrznościowego, bo to z jednej strony stosunki w sferach rządzących, a z drugiej skryte głęboko serce polskie.

Kiedy przyszły owe czasy niespokojne, zanim tu przyjechałeś, papa został mianowany na naczelnika wojennego całej guberni. Wtedy u nas w domu wszystko się koncentrowało.

Do papy przychodził na narady gubernator i wicegubernator, radcowie wszelkich urzędów, prokurator i wyżsi wojskowi, słowem — wszyscy. Na tych naradach zawsze bywał bardzo tajemnie ów pan, Polak opatrznościowy. Narady odbywały się w gabinecie papy, który znasz. Stamtąd są cienkie drzwi do małego pasażu, co to, jak wiesz, prowadzi do pokoju dawniej nieboszczki mamy. Ja tam siadywałam i — wierz mi! — pomimo woli słyszałam wszystko, co mówiono, co mówił ten pan. To mię nade wszystko interesowało. Gdybym teraz wzięła tę polską skarbniczkę romantyzmu i przymierzała ją do słów tamtego pana! Cha-cha! Cóż by to był za portret!... Ten pan był tak przebiegły, że jeszcze dziś wszystko się we mnie wywraca z podziwu, gdy sobie przypomnę, co on mówił. Polak! — szepnęła z zacięłym chichotem.

— Według ciebie, oni wszyscy tacy?

— Nie. Ten mówił o wszystkich. Wtedy ich poznała. Opowiadał, kto, gdzie, co, jak, co myślał, jakie żywią zamiary, jakie marzenia, jakie piastują cele, jakie stosunki, pokrewieństwa, skąd gdzie są pieniądze, i na co, i ile, co ktokolwiek gdzieś powiedział, na kogo należy zwrócić uwagę, jak i ile czasu popuścić umyślnie, w której chwili niepostrzeżenie chwycić w pól drogi...

— Cóż mnie to obchodzi?

— Czekaj, czekaj, to cię zainteresuje. To cię nawet nauczy mądrości, jaką należy mierzyć tutejsze życie. Po sesjach zazwyczaj wszyscy zostawali na kolacji, gdzie mówiło się, oczywiście, tylko o sztukach pięknych, pogodzie, kwiatach... Przy zamkniętych okiennicach siadywaliśmy do późna w noc, czasem do rana. Ja grałam. Ów pan, obosieczny dobrodziej, choć już miał pewnie z pięćdziesiąt lat, począł do mnie przewracać oczy, mówić mi sekretnie półsłówka, później całe słowa. Przejęłam się jego metodą i popuszczałam mu umyślnie nadziei. Bileciki nieznacznie wsuwane w rękę, kwiaty, małe bukiety fiołków. Tak było długo. Zaczął mię prosić o różne chwileczki, minutki sam na sam, a wreszcie o całkowite spotkanie...

— Może mi oszczędzisz dalszego ciągu tego romansu.

— Nie! Zaraz skończę. To cię nie zmęczy. Nie godziłam się na żadne minutki sam na sam, ale przystałam na długotrwałą schadzke. Kazałam mu ustnie, żeby w oznaczonym dniu i oznaczonej godzinie przyszedł...

— A przecie kłamałaś mi dawniej, że ja byłem pierwszym twoim kochankiem, że ja pierwszy pocałowałem cię w usta, że oprócz mnie nikt...

— No — widzisz — teraz mówię ci szczerą prawdę... — rzuciła z uśmiechem.

— Nie chcę tego słyszeć!

— Kazałam, żeby przyszedł na jedną z okolicznych gór. Na szczyt tej góry... Była na tym szczycie, jak na wszystkich tutejszych górach przed niezliczonymi laty, w średniowieczu, kiedyś tam za legendarnych polskich królów kopalnia ołowiu, miedzi czy żelaza. Teraz te miejsca obrasta las głuchy, a na szczytach zostały tylko niezgłębione doły, tajne przepaście, zdradzieckie bezdna, obrośnięte starym i ze wszech stron zachodzącym borem. W dawnych sztolniach pną się krzaki jałowcu, jeżyny i głogi. Rudy albo siny żwir sypie się w czarną czeluść. Włożyłam czarną amazonkę i buciki z długimi cholewami. Stopy obwiązałam grubymi szmaty — od zimna, bo była jesień. Pojechałam sama. Pojechałam daleko, w inną stronę, polem, lasem, na przełaj. Jadąc marzyłam radośnie... Nieznanymi drożynami dostałam się na tamtą górę. Konia uwiązałam w gęstych krzakach na połowie wysokości góry. Poszłam na szczyt. Ten pan, mój kochaneczek, już tam niecierpliwie czekał. Niecierpliwie czekał... Czy jesteś ciekawy?

— To dlatego tak nie lubisz Polaków? — uderzył ją słowem i pogardliwym spojrzeniem. — I cóż, oddałaś mu się?

— O, jakżeś niecierpliwy! Najprzód przecie romans... Był błady ze szczęścia. Nie mógł głosu wydobyć, szeptał cicho, choć w lesie nie było nikogo. Tak było cicho! Jesień. Żółta, złota jesień. Jarzębiny wśród sosen, młode klony ze złotymi łapami. Słońce świeciło. Ani jednego ptaka, ani jednego głosu... Kazałam mu, żeby obszedł cały szczyt i niżej aż do połowy góry i żeby wypatrył, czy kogo nie ma.

— Tej samej metody wzywania na schadzkę trzymałaś się zawsze, prawda?

— A tak... Uczynił to posłusznie. Obszedł całe miejsce, wypatrył, wysłuchał, niemal wywąchał i wywnioskował, że nie ma tam nikogo. A on przecie umiał podpatrywać i podsłuchiwać. Już tam na pewno nie było nikogo, jeśli on rzecz zbadał i taką wyprowadził konkluzję. Nikogo! Gdy wrócił błady ze szczęścia, zbliżył się do mnie, wziął mnie za ręce i zaczął szeptać — ach! — szeptać piękne, literackie słowa, toczone okresy... Przewracał oczy, przymykał powieki z rozkoszy. I we mnie obudził się na nowo radosny śmiech. W istocie byłam szczęśliwa. Patrzyłam mu w oczy, i to śmiało, oko w oko. Przekomarzałam się, nie dałam pocałować się nawet w rękę, żeby go jak najbardziej rozkochać w sobie. Taka to już moja metoda... Toteż rozkochałam go do zupełnego szału.

W pewnej chwili, gdy się już w swych uczuciach zupełnie roztopił i zbyt był natarczywy, kazałam mu odwrócić się, gdyż musiałam coś poprawić pod amazonką — może pończoszkę, a może co innego. Miał tak odwrócony tyłem do mnie czekać, dopóki nie dam umówionego znaku. Musiał dać słowo, że się nie odwróci. Dał słowo i rzeczywiście, jak przystało na subtelного kochanka, cierpliwie czekał. Mogłam spokojnie przyszykować ów znak, nieomylnie wziąć na cel tył łysiny, a raczej fałdę czerwonej grubości palca, pokrytą przyszyżonymi włosami, między kołnierzykiem i brzegiem angielskiej czapeczki. Tę fałdę wzięłam za podstawę. Później podniosłam cel o jakie trzy milimetry. Co za precydną miał śmierć — nieprawdaż? Umarł nie wydawszy jęku, z uśmiechem szczęścia na ustach, z bijącym od rozkoszy sercem, czekając na pocałunek takich ust jak moje...

Piotr patrzył w jej twarz z zapartym nagle oddechem, ze zduszonym gardłem. Tchórzostwo odjęło mu mowę i zdolność ruchu. Po wyrazie twarzy Tatiany poznał, że słyszał opis prawdy. Nierychło wykrztusił:

— Cóżś ty zrobiła!

— Gdy po strzale zwałił się na twarz i nie ruszał zupełnie, nasłuchiwałam, czy kto nie idzie, czy nie słyhać jakiego głosu. Ze szczytu góry widziałam poprzez drzewa daleko w lesie. Rozglądałam się. Obeszłam oczami wszystkie niemal drzewa. Była cisza, ta sama co przedtem, pustka zupełna. Poczekalam jeszcze. Krew mu oblepiła szyję, kołnierzyk i, jak bujne źródło, wciąż napływała pod ową modną, angielską czapeczkę. Wzięłam stygnącego za nogi i pchnęłam przed siebie na brzeg starego szybu, który był tuż obok. Tak głową na dół zepchnęłam... Poleciał sam gdzieś w przepaść. Zawalił się własnym ciężarem w bezdenną jamę starej sztolni, razem z kamieniami, kępami traw i bryłami, które oberwał. Wchłonęła go ta przedwiekowa, polska, stara robota. Siedząc w kucki nad brzegiem słuchałam, czekałam. Gdy mi już nic nie przeszkadzało, powyrywałam starannie kępy borówek i żurawin, które był okrwawił, i rzuciłam za nim. Kwiaty na grób mego kochanka... Wytarłam ręce o mech drzewny. Zeszłam na dół do konia. Wskoczyłam na siodło i wyjechałam lasami na pewną drogę. Wymyłam jeszcze w rzece ręce. Odwiązałam z nóg szmaty, skręciłam je w węzeł i z kamieniem w środku cisnęłam w rzekę. Ślady moich nóg były nie do odcyfrowania.

— Nikt się nie dowiedział?

— Nikt.

— I nikt nie wie?

— Nikt, oprócz mnie i ciebie.

— Czyż nie szukali?

— Och, szukali — i bardzo. Ale on dobrze przecie umiał zatrzeć ślady naszej schadzki, zmylił cel, dokąd idzie. Śpiesząc na ową schadzkę oświadczył podobno w domu, że wyjeżdża koleją na polowanie. Koleją też wyjechał jedną stację za miasto, w inną stronę. On umiał zacierać ślady. Ja również. Nasza miłość została tajemnicą. Nienawidzę... tych Polaków... Cóż teraz o mnie powiesz?

— Nic.

— Możesz mię wydać i uwolnić się ode mnie, Polaku...

— Zamilcz!

— Jak ci się zdaje: dobrze zrobiłam czy źle? Jak ci się zdaje? Czy życie tego męża było świętością, którą szanować należało w jej czynach i uczuciach, czy to może było życie płaza, które należało skrócić, ażeby się nie płodziła na ziemi zaraza podłości. Co do mnie... Widzisz, Piotruś... Co do mnie... Dopóki był na zewnątrz, darzyłam go tylko wewnętrzną pogardą — ale gdy się zbliżył do mnie, gdy po mnie wyciągnął rękę, chciał złożyć swój pocałunek na moich ustach — zabiłam płaza. Powiedźże mi, ty jedyny...

— Ja nie wiem. Nie jestem prawnikiem. Niech ci na to odpowie Roszow.

— Roszow!

Piotr gorzko, gorzko zapłakał.

— Zraniłam ci duszę... — wycedziła z przejmującą ironią.

Suknie jej były tak przejrzyste, że widać było niemal całe ciało. Podniosła się, nachyliła z niskim ukłonem, szybko odemknęła drzwi i z podniesioną głową odeszła.

Rozdział XXV

Piotr niedługo przebywał w domu generała. Pobyt tam stał się dla niego nie do zniesienia. Rany przyschły, przecięta brew zrosła się dzięki umiejętnej opiece pułkowego lekarza, z policzka zdjęto bandaż i został na nim tylko plaster stały, pod którym goiła się pozeszywana szrama. Skoro pacjent miał możliwość wychodzić z mieszkania, zaraz wrócił do swej dawniejszej "kwatery" nad "Kozdrojownią". Początkowo, wydając się na ulicę, nosił przy sobie nabity rewolwer, a szablę kazał naostrzyć, ponieważ cała oficeria piesza z zemsty za porąbanych kolegów miała go na oku. Gdy był jeszcze słaby, rzadko się ukazywał na mieście. Za to odbywał coraz dalsze zamiejskie wycieczki. Obiady z restauracji przynoszono do domu.

Za pośrednictwem miejscowej księgarni polecił sprowadzić kilkadziesiąt kilo książek naukowych z zakresu swej specjalności i z zakresu nowej, przybranej, która go coraz silniej pociągać zaczęła, to jest z lotnictwa. Sprawę tę począł studiować gruntownie, zarówno teoretycznie, jak i historycznie, poczynając od Leonarda da Vinci.

Przysiadł nad poszczególnymi badaniami techniki lotniczej. Krok za krokiem, mozolnie przerabiał tablice doświadczeń i badań Langleya i Maxima z aerodynamiki, o oporze powietrza, o prądach i uderzeniu wiatru, o kierunkach i wewnętrznym jego składzie, o wszelkich fenomenach ptasiego lotu, o wszelkiego rodzaju skrzydłach aerodynamicznych, o całej statyce i dynamice nowożytnego lotnictwa.

Mieszkanie zapełniło się szkieletami albatrosów, kormoranów, nietoperzy, kondorów, orłów i bocianów. Praca nad tymi kwestiami poczęła dawać duszy wytchnienie. Uczył się od nowa jak abecadła albo angielskich słówek, poznając z wolna prawa rządzące niezmierzoną dziedziną ludzkiego czynu przyszłości, nieogarniętą jak niebiosą, w których się mają dokonywać jego dzieje. Uciszała cierpienie niezgruntowana w swej piękności rozkosz matematycznego poznania, prostota prawd jasnych i przejrzystych jak powietrze, których nie spostrzegają nieszczęśliwi ludzie, jak pijacy leżąc przy drogach życia i martwymi oczyma nie widząc zupełnie nieba.

Niektóre kwestie z zakresu tej techniki lotniczej były trudne i nie do zdobycia, gdyż zahaczały o dziedzinę matematyki, ledwie dotkniętą na ławie szkoły artyleryjskiej — albo już zapomnianą. Musiał tedy brać się z powrotem do zarzuconych podręczników i ślęczyć nad wyższym rachunkiem. Te problemy dawały możliwość egzystowania na ziemi obok najżywotniejszego z problemów, który o samym życiu stanowił.

Piotr wymógł na sobie, wydręczył ze swej duszy postanowienie przymusowego niewidywania Tatiany. Tak postanowił i tak się stało. Nie pozwolił sobie na współczucie, które go dręczyło po opowieści o czynie na leśnej górze. Wiedział dobrze, iż ono istnieje w nim jakoby owa zacieniona sztolnia — wiedział, że istnieje w nim niezgruntowana, podstępna i zdradziecka namiętność. Nie mógł się z Tatianą pogodzić, nie mógł jej darować Koszowa... Miał wewnątrz siebie głębsze i stokroć boleśniej rany niż na policzku. Próbował tedy wypowiedzieć scytyjską wojnę namiętności samej.

Nie pozwalał sobie na wspomnienie, na bezkarne marzenie, na sen o Tani. Kochał ją w głębinie swej, poza wolą i wiedzą. Ażeby wytepić fizyczną pamięć uroku, nie jadł prawie zupełnie mięsa, pił tylko mleko, często pościł, a wszelką reminiscencję usiłował wyszarpać z ciała forsownymi trudami, ćwiczeniem na musztrach, gimnastyką i dalekimi, pieszymi spacerami. Częstokroć w nocy, osaczony

od widzeń, wstawał z objęć tęsknoty, wyprowadzał konia i jechał w świat. Biała pawłoka szosy wapiennej uchodziła przed oczyma w noc, wsiąkała w nią i ginęła w niewidnej, ociemniałej pustce, gdy jechał mrocznie zamyślony. Wbrew woli, nie wiedząc o tym, śnił przecie wciąż o jednym. Roztapiający się w ciemności szlak drogi był jako zagadnienie ziemskiego bytu, niejasne już o krok, a niezgłębione o dwa...

Tajemnica uczynku Tatiany jak kruk siedziała na głowie — zagmatwana jej dusza stowarzyszała się z jeźdźcem i długie z nim toczyła rozmowy. Postać jej wieszała się u jego szyi, białe ręce opasywały ramiona, ciemne oczy zatapiały się w oczy, a usta przemawiały: "Więceś mnie już zapomniał..."

Dźwigał się wtedy na swym siodle jak tyran, potężnym aktem woli przeobrażał ją, Tatianę, śliczną kochankę, w wyobrażenie, w symbol — niweczył ją w swej pamięci i usuwał ze swego pola. Jechał sam, wlepiając oczy w śniadą smugę swej drogi. Nie wiedział też nic o Tatianie w ciągu czterech tygodni, gdyż do domu generała nie chodził, a wszelkie wiadomości stamtąd pochodzące wprost unicestwiał, zanim do jego wrażenia dostęp znaleźć mogły. Cieszył się kryształową czystością atmosfery swej woli, której, jak sądził, nic zmącić nie mogło. Ale — jakże się łudził! Zdarzały się w tym jego państwie chwile wybuchające jakby za wolą, przyczynieniem się i rozporządzeniem szatana.

Pewnego dnia, gdy odbywał jeden ze swoich milowych spacerów szosą przez lasy i wzgórza i był od miasta o jakie dziesięć wiorst, usłyszał nagle za sobą poryk automobilu. Wkrótce nadleciał zza załamania się białej drogi wspaniały, lśniący wehikuł i w tumanie kurzu, z pogwizdem swoim go mijał. Piotr podniósł oczy i za szybą — ujrzał Tatianę. Obok niej siedział Roszow i mademoiselle Mathilde. Tatiana nie miała na głowie kapelusza. Włosy jej otoczone były woalem niebieskawego koloru, który byli swego czasu razem kupowali w Galerie Lafayette. Błada jej twarz zwróciła się w stronę Piotra. Usłyszał przejmujący i bolesny okrzyk. Ale automobil jakby w wichrze z żalosnym swoim jękiem poleciał po białej wstędze szosy. Został po nim swąd benzyny i kręte słupy długo nie opadającej kurzawy. Gdzieś daleko, w przestrzeni słychać było pobekiwanie pojazdu niby śmiech odrażający diabła, który osiadł ziemię, przebił serce świętej prawdy, a teraz niesie swój tryumf zielonymi polami.

Piotr zatoczył się na swej równej drodze, w dobrze i mądrze wypracowanych powierzchniach swej woli. To dalekie pobekiwanie samochodu spętało go i obaliło na ziemię. Jak pijany siadł trzeźwy matematyk na pryzmie kamieni, objął głowę rękoma i chwycił płucami powietrze a sercem życie. Patrzył w ciemnicę uczucia, która się nagle rozwarła. Błada twarz Tatiany i jej oczy, jej oczy... Wywinał się znikąd i przypomniał dawny, paryski sen. Brzeg morza, jakaś bretońska, murowana chałupa, Tatiana w oknie, gdzie pełno mężczyzn... Krótki jej okrzyk! Ileż bólesci, jaki strach, jaki żal, jaka otchłań cierpienia uderzała przez ten okrzyk senny, wewnętrzny! Gdzieś w piersiach nastąpiło na skutek tego okrzyku coś jak pęknięcie krwionośnej żyły. I oto — niespodzianie, nie wiedzieć jak i kiedy, Piotr stoczył się z kamiennej pryzmy w rów.

Nie mógł ruszyć się z miejsca, udźwignąć, podnieść. Macał wokoło siebie rękami — natrafił dłonią na okruch glazu, rozbitego młotem kamieniarza, i w obłędzie swym ścisnął go oburącz. Z oczu jego — och, nie z oczu, lecz z rany przebitego serca, poczęły lać się samotne łzy. W minucie poczucia męskiego wstydu nieszczęśliwy przekręcił się na twarz, łkał i wył w ziemię, zapychając sobie nią usta, żeby nie krzyczeć. Krzyk do Boga z dawnego snu zstąpił na jawę — krzyk bez echa. Ów sen spadł na głowę jak kamień. Roszow trzyma w swych dłoniach ręce Tatiany. Obcy mężczyzna trzyma jej ręce! Oczy jej zatopione są w cudzych oczach — usta jej spoczną na cudzych ustach! Szaleństwo płomieniem zapaliło się w kościach głowy. Myśli pękły i rozprysły się. Nic już nie widział i nie słyszał.

Lecz oto ów diabelski poryk automobilu ozwał się. Echo czy złudzenie? Głos przeklęty stawał się coraz bardziej bliskim i natarczywym. Piotr powitał go przekleństwem — i zrozumiał, że on się zbliża. Po chwili słyszał już daleki świst, lecący w jego stronę. Usiadł na ziemi. Przekonawszy się, że pojazd pędzi ku niemu, wstał z miejsca i poszedł brzegiem drogi. Wnet tuman kurzu... Automobil nadleciał, minął przechodnia. Staął. Piotr nie odwracał głowy. Szedł dalej. Lecz zawołano go po imieniu.

Przystanął. Tatiana wysiadła i szła. Zobaczył ją na własne oczy, tę przedziwną, swój sen ukochany. Była biała, wysmukła, w lekkich sukniach. Była tak strwożona, jakiej nigdy jeszcze nie widział. Zdało mu się, że to nie ona, tylko widzenie rozpaczy — że się za chwilę rozprysnie i ułoży w nicości jak pył gościńca.

Tatiana do niego podeszła. Była między nimi przydrożna pryzma kamieni. Ta pryzma legła na szlaku ich spotkania. Tatiana potknęła się o kamienie i bezwładnie na nich ukłękła. Patrzyła się w jego twarz, w jego oczy.

Stał przed nią i przypatrywał się również, dziwiąc się temu zdarzeniu jakby z własnej jego duszy wydartemu, w ciężkiej jego niedoli...

— Zobaczyłam cię, jakeś tu szedł... — rzekła po cichu.

— A tak, szedłem tą drogą.

— Sam tak idziesz?

— Sam.

— Masz mundur powalany.

— A tak, powalałem mundur.

— Jesteś taki bardzo blady... Zmęczyłeś się...

— Nie jestem zmęczony.

— Piotrusiu, Piotrusiu, moje dzieciątko...

— Taniu...

— Roszowa już tam nie ma w automobilu... — rzekła z pokorą, zebrzącą u jego nóg, ze wstydem bez granic.

— A gdzież jest?

— Kazałam mu wysiąść pod miastem.

— Dlaczego?

— Bo pewnie z nim nie chciałbyś wsiąść.

Wściekły, niemal zwierzęcy rzut męczarni i płomienisty wybuch dumy porwał się z jego piersi na nowo i zamarł na ustach. Piotr żuł w zębach wyraz okrutny, straszliwy. Spojrzał na nią — i przeczytała w jego oczach ten wyraz.

Jęcząc wstała z klęczek. Chwiała się tu i tam. Bezsilnie zawróciła, pchnięta jego spojrzeniem, i odeszła na nogach jakby spętanych, które się pod nią zginały. Za chwilę pojazd znowu zaryczał, zawył i w tumanie kurzu pomknął.

Teraz oficer szedł znowu brzegiem gościńca, tak samo jak szedł niedawno temu. Stawiał równo stopy na kędzierzawych trawach, grubo przydętych wapiennym pyłem. Zeschłe główiny białych koniczynek i szorstkie źdźbła uginały się pod jego nogami niby zwoje subtelnych sprężyn. Ciepły wiatr tak samo leciał ze ściernisk, wciskał się pod rozpięty mundur i opasywał żebra spazmem, którego ohydy słowo nie zdoła wydać.

W przymkniętych oczach na biały gościńiec szosy upadłych zostały blade policzki Tatiany i jej czarne oczy tak struchlałe i tak zabite... Objawiła się we wzroku błękitnawa smuga pod dolnymi powiekami. Nawinęło się proste pytanie: "Czemużem z nią nie wszedł i nie pojechał? Przecie Roszowa tam nie było w istocie. Była tylko dobra przyjaciółka, mademoiselle Mathilde — i ona..."

Uczuł jej ramię oparte o swoje ramię, rozkoszny nacisk, który był już częścią jego zmysłowej jaźni — miękki zwój włosów na swym policzku... Tyle już dni, tyle już nocy tych włosów ustami nie muskał! Jakże? Wróciła się! Zadrzało jej wierne serce — i tak niezgłębiony krzyk miłości był w jej głębokim wzroku! Taka w jej twarzy pokora i taki szczery wstyd! Jawnogrzesznicy Chrystus przebaczył, a on? Postąpił z nią w tej stanowczej chwili nie tylko jak kat, lecz jak gruby, brutalny cham! Po tym postępku — już nigdy, już przenigdy! Duma już jej nie da zapomnieć. Szofer patrzył i ta mademoiselle Mathilde. Piotr uczuł, że runęło nań teraz nieszczęście zgoła nowe, dwakroć gorsze, niż było dawne. Szał rozpacz znowu zjeżył włosy. Pot oblał ciało. Wyteżyły się mięśnie. Lecz jak cięciwa łuku naciągnęła się wszystka wola. Dźwignął swe nieszczęście i poszedł ku miastu.

Odtąd zły na niego przyszedł czas. Wypracowane tak mądrze i tak doskonale budowisko woli nagle jak domek z kart runęło. Ukazały się podspody, nice woli, grzęzawisko i topiel, gdzie ani przebrnąć, ani przepłynąć, ani nawet utonąć nie sposób. Jak dwa wściekle zwierzęta rzuciły się na siebie dwa elementy duszy: podłość i duma. Wżarły się w siebie dzikimi szczękami i borykały bez jednej chwili wytchnienia. Ustał zupełnie apetyt, sen i zdolność do jakiegokolwiek uczynku. Odraza do książek, map i rysunków napełniła dawne funkcje ducha. Nienawiść do ludzi i ich życia, do ptaków i ich śpiewu, do drzew i ich poszeptów, do nieba i jego pogody zwiększała się z dnia na dzień, aż urosła do potęgi równej sile życia i ogromowi świata.

Piotr nie mógł usnąć w nocy, również następnej i trzeciej z rzędu. Czuł, jakby miał wbijać w bok drzazgę żelazną, coś niby grot lancy, i musiał na tym leżeć w łóżku. Toteż wstawał i bosy, w nocnej bieliźnie chodził po stacji. Zwalczał się sam w sobie. Poszukiwał — ach, jakże straszliwie! — poszukiwał siły, która by mu mogła zastąpić miłość Tatiany. Przemierzał wysiłkiem ducha wszystko, co mogłoby mu dać siłę życia bez Tatiany — co mogłoby w nim wytworzyć zdolność zapomnienia o niej — i nie mógł znaleźć. Przebierał i rewidował po kolei — wielkie czyny, zapasy z przeciwnościami, prace, nędze, poświęcenie się, głuche męczarnie i najskrzyniejszą rozpustę — i widział, że to wszystko jest na nic. Jedna jakowaś nikła reminiscencja wszystko rozdzierała na strzępy. Wspomnienia pewnych słów, miejsc, dźwięków i połysków nabrały siły straszliwej. U węzłowia pościeli w ciągu krótkich minut sennego zamroczenia zdawał się zasiadać czuwający konsyliarz ducha, bezsenny szatan — i kiedy głęboki sen miał zejść i uciszyć cierpienie — wymawiał krótką a nieśmiertelną formułę nieszczęścia: słowo... Ukazywała się zmoczona od deszczu aleja w Charenton — zaciszny pokój w Paryżu — ciemna noc w dalekiej, pustej ulicy...

Czasami nieszczęśliwy wyszarpywał się na wierzch z topieli, wychodził na miejsce suche i zdobywał pewność, że nareszcie siłą rozumu, mocą niezłomną logiki pokonał strzygę uczuć. Kładł się

spać — i drzemał. Przebywał na poły na jawie, na poły we śnie. Niby to spał wiedząc dobrze o tym, co się dzieje w myślach. I oto sylogizm o konieczności trwania, ostatnie narzędzie woli, wydobyte ku obronie przed zaturaniem z błogosławionego kraju logiki — z nagła i niespodziewanie pryskało jak sprężyna w zegarku. Siła męczarni wyrzucała z łoża. Znowu powolny krok po izbie. Nocna ciemność i nocna cisza były znośniejsze, lecz szarpał brząsk... Piały koguty i lekki powiew poruszał liście drzewiny w podwórku. Dawał się słyszeć odgłos życia i kroków ludzi. Wstawał do pracy ubogi stolarz w dziedzińcu. Coś mierzył, przystawiał, przyklejał. Wkrótce budziła się gruba jego żona w zdeptanych chodakach. Jakaż nienawiść Piotr powziął do tego stadła! Rzucił na ich niewinne głowy ciężkie przekleństwo! Mocne i stałe cierpienie poczęło wysysać wszelką rację i wszystką siłę bytowania.

Piotr obejmował rękoma niejaki kształt w próżni, coś jak gdyby ów kołec spróchniały krzyża wiszący na drzewie. Wałęsając się po izbie wśród wstającego dnia po białej nocy, po wielekroć bez wydania głosu wołał z głębi serca: "Ojcie! Ojcie!"

Za dnia nie jadł. Trochę mleka zwilżał zeschnięte wargi. Chodził po mieście, z nienawiścią myśląc, że znowu będzie noc. A gdy przychodziła okrutniejsza niż wszystko, co o jej grozie mogłoby podać ludzkie słowo — długa, ciemna, milcząca — począł zagłębiać się w jedyne wyjście z tego lochu męczarni. Zapragnął spoczynku śmierci tak szczerze i tak naturalnie — wmyślał się w to, czym ona jest, tak logicznie i bez jakiegokolwiek wzruszenia, że nareszcie pociecha do jego izby zawitała. Odlączony od siebie samego, obcy sobie, istność nie znosząca życia i jego wesela — jak gdyby po stopniach bardzo stromych wszedł z wolna na jakiś pomost. Stamtąd zobaczył piękno spokoju. Z uśmiechem rozmyślał, że miłości do Tatiany pokonać nie można, a każde jej mniemane pokonanie jest obłudą męczarni — że spodlec, to znaczy wrócić się do Tatiany, nie można, bo trzeba by było przestać być sobą — więc musi być inne jakieś wyjście. To wyjście dawało możliwość pokonania podłości i obleczenia się w dumę. W tym płaszczu dumy czuł się jak monarcha wstępujący na tron. Na czole miał ciężką nadmiernie, ołowianą koronę, na kolanach miecz ślepy i bezlitosny. Przymykał oczy i wyniośle czuł, że króluje nad światem wewnętrznym, choć krwawe łzy wciąż płyną mu po policzkach.

Następnego dnia wałęsał się po mieście bez rewolweru i szabli. Wstępował do klubu i cukierni, gdzie było pełno oficerów piechoty, najbardziej wrogo dlań usposobionych. Siadał wśród nich i wzgardliwie zaglądał im w oczy, mijał ich z odrazą lub przeciskał się przez ich grona. Ale ci ludzie usuwali mu się z drogi albo milkli na jego widok i patrzyli nań spode łba. Wracał do domu obojętny i bardziej jeszcze znużony nicością ich męstwa.

Na czwartą noc, zaraz z wieczora rzuciwszy się na łóżko bez nadziei spoczynku, zasnął krótkim, lecz twardym snem. Przyśniło mu się, że nie przestając chodzić po swej izbie zstąpił ze schodów, wymknął się z domu i udał do Tatiany. Stoi oto u drzwi i pociąga za niezapomnianą brązową rączkę starożytną od dzwonka w kształcie strzemięcia. Dzwoni raz, drugi i trzeci. Za drzwiami słychać tupot nóg: — biegają tam, gdyż wiedzą dobrze, że to on dzwoni. Lecz nie otwiera nikt... Nareszcie ktoś drzwi uchylił. To ta — Mathilde. Wszedł do wąskiego korytarzyka, gdzie pewnego razu o zmroku pocałował Tatianę, co jej, jak później wyznała, sprawiło najgłębszą, najsubtelniejszą rozkosz w życiu. Ciemna przed jego oczyma wisi zasłona, jakiej tam nie było w rzeczywistości. Za zasłoną sala duża jak w hotelu na paryskich bulwarach. Trzej młodzi ludzie przeszli przez tę salę. Twarze ich ukazały się nad wyraz żywo, choć ich nigdy nie widział na oczy. Potem trzej inni — starsi wiekiem panowie. Ci rozmawiali z Tatianą. Jeden z nich proponował, żeby pojechała na Litwę. Wreszcie — o, głęboka, niewysłowna, senna rozkosz! — ujrzał Tatianę. Siedziała na łóżku nie ubrana, w liliowym szlafroku, który niegdyś tak lubił... Cesała swe długie, czarne włosy. Piotr zadrżał od wewnętrznego spazmu serca. Czekał. Zobaczył twarz Tatiany — usta, brwi, policzki, włosy... Sen zatarł i zniweczył wiadomość o niedoli, o rozłączeniu, o strasznej męce i ukazał bliskość szczęścia dawnego. Lecz oto

ktoś nadszedł, jakaś kobieta, znajoma czy nieznana — i rzekła, że Tatiana już go widzieć nie chce. W istocie podniosły się przeciwko niemu jej oczy obce, w których nie było już nawet nienawiści, tylko zimny i jałowy popiół wzgardy.

W owej chwili Piotr ocknął się. Był złany potem, serce mu biło nadzwyczajnym tętnem. Wstał natychmiast z łóżka, narzucił na ramiona letnią szynel, wdział długie buty na bose nogi — i cicho wyszedł z mieszkania. Jak w niedawnym śnie szedł po pustych, ciemnych, małomiejskich ulicach. Omijał główne, brnął po błocie zaułkami.

Wyszedł na łękę przylegającą do ogrodu generala. Przeszedł przez kilka rowów, przebrnął przez żywopłot i jakieś głębokie doły, aż wreszcie znalazł się pod ogrodzeniem, skąd widać było obadwa skrzydła pałacyku od wewnątrz. Nieruchomy, zimny blask księżyca padał na szyby pokoju, gdzie była Tatiana. Okno było zamknięte. Ten blask, tak niegdyś piękny, a teraz płony, niezmienny i okrutny, jakby wapnem rozpuszczonym zabielał okno. Boleść niezgłębiona zmogła ciało i duszę Piotra. Przewieszony przez kamienne ogrodzenie dawnego raju swej duszy, pokonany, przebity, bezwładny i upadły jęczał przed Bogiem.

Tak przeminęła ta najgorsza z nocy...

Borykaniem się ze sobą, męczarnią mocniejszą niż siły fizyczne człowieka, zdobył przecie w ciągu następnych dni jedną władzę — wyżał, wycisnął i wydusił z cierpień jedną potęgę: szlachetną, zaiste świętą dumę. Nie widywał Tatiany i — dzięki dumie — mógł jej nie widywać. Mógł spać, nabrawszy w ciągu dnia wiedzy tajemniczej, że ona go już zdradziła. Mógł pracować tylko dzięki hartowaniu w ognjach duszy i zastalaniu wciąż w sobie cienkiego sztyletu pogardy. Doskonale wiedział, że gdyby teraz popadł znowu we wspomnienia, w miękką mądrość litości — utraci sen, a z nim władzę nad furiami swej duszy. Pokonywał te furie z takim trudem, wdeptywał je w miazgę swego bytu tak powoli! Wiedział, że i duma, tyle szlachetna — i tak cnotliwa — jest to fikcja, lekarstwo symptomatyczne, mechaniczny nacisk na czujnego ducha. Wiedział, że jedno spojrzenie tamtych oczu...

W kilka tygodni później, przyszedłszy o naznaczonej godzinie na pole ćwiczeń baterii, Piotr zastał jednego tylko oficera, Jeżkowa, chłopca bardzo zdolnego, wesołego, z lepszym wychowaniem, ale birbanta i hulakę, który swe zdolności od dawna trwonił po knajpach, a wiedzę techniczną topił w próżniactwie. Jeżkow okazywał Piotrowi wiele życzliwości w czasie choroby i był dlań zawsze dobrym kolegą. Po awanturze zdradzał jak gdyby zazdrość z powodu otrzymanych przez Piotra ran.

Uskarżał się nieraz, że też to on wtedy był gdzieś — i to nota bene lichy wie gdzie — że go też to nie było w pobliżu, gdy się owa bitka przydarzyła — że też to on nie przeczuł, że się taka rzecz dzieje. On by im był wówczas zadał bobu! Już on by im pokazał, jak to się sekunduje koledze-artyleryście, a jeszcze Rozłuckiemu, "Piotrusiowi" — a nade wszystko w takiej sprawie! Ale ta rzecz — dodawał — jeszcze wypłynie i jeszcze Piotruś zobaczy, jak to Jeżkow sekunduje...

Dzień był zimny, więc otulali się w szyneli i ćmiąc papierosy gwarzyli na wietrze. Jeżkow rzekł pozewajając:

— Piotr Iwanycz — przepraszam, że cię o to zapytam, bo dziś, jak się okazuje, już można. Jakże to? Tatiana Iwanowna idzie za męża za tego tam Roszowa?

— Skąd to wiesz? — spytał Rozłucki.

— Wczoraj wieczorem byłem u generała. Było mnóstwo osób, całe miasto, wielka feta. No i przy wszystkich już Roszow występował jako szczęśliwy narzeczony.

— Skoro tak — to sam widzisz...

— Przepraszam cię bardzo... Wybacz, że dotykam tej sprawy. Czy zostałeś przez nią zdradzony?

— Nie.

— Bo jeżelibyś potrzebował mojej pomocy... — rzekł Jeżkow gryząc munsztuk papierosa i przymrużając mądre i pocziwe oczy — zawsze możesz liczyć na mnie. Gdy wczoraj zobaczyłem i posłyszałem o narzeczeństwie, wierz mi, miałem zamiar natychmiast doprowadzić do jakiejś awantury z tym pudłem uczonym, Roszowem. Ale nie wiedziałem, co o tym sądzić, jakie jest twoje zapatrywanie na tę sprawę. Wybacz, że to poruszyłem...

— Ach, nie! Jestem ci wdzięczny za tę wiadomość.

— Doprawdy? Piotr Iwanycz!

— Co, bracie?

— Jeżeli cię zdradziła, a chcesz tamtemu pokazać, że naszym bratem pomiatać nie wolno, to słuchaj! — licz na mnie...

— Dziękuję ci — ale ja nie jestem zdradzony. Daję ci na to me słowo!

— Nie jesteś zdradzony?

— Nie.

— Ejże!

— Jeszcze raz daję ci na to me słowo.

— Dziwaku! — mruknął Jeżkow. — Taka dziewczyna, takie stosunki, taka kariera. I on nie jest wcale zdradzony, daje na to słowo. No, więc milczę.

Piotr uśmiechnął się i odszedł do swej roboty. Mówił do żołnierzy — później wsiadł na koń, wydawał rozkazy... Widział pola, lasy, wzgórza, w dali miasto. Lecz widoki te stawały się coraz bardziej zmaćcone, jakby obrazy snu. Unikał Jeżkova i rozmowy z nim w niejasnej obawie, ażeby nie przyszła chęć wyrwania niespodzianie rewolweru i wypalenia mu między oczy.

W końcu następnego miesiąca, grudnia, lokaj generała, człowiek stary, wierny swemu panu jak pies, dawny wysłużony żołnierz i niemal członek rodziny generalskiej, przyniósł i wręczył Piotrowi list od mademoiselle Mathilde. Francuzka pisała krótko i niezupełnie ortograficznie z prośbą, ażeby Piotr przyszedł nazajutrz na ów plac obok ogrodu i magazynów wojskowych, gdzie po raz pierwszy Tatiana naznaczyła mu spotkanie. Po przeczytaniu tego listu Piotr wpadł w zamyślenie. Przewidywał, że tam przyjdzie nie tylko Matylda, lecz i Tatiana. Cała jego męczarnia była nie czym innym, tylko wykrętnym snem o spotkaniu z Tatianą, wzdychaniem do jej widoku.

Teraz jednak, gdy ona się nareszcie poniżyła i miała przyjść, ocknął się dawny gniew... Piotr wiedział, że owo narzeczeństwo z Roszowem może być li wybiegiem, a jeśli nawet było faktem

istotnym, to w każdej chwili mogłoby być zerwane... Ale sama obecność Roszowa obok niej — już dawno wszystko zdecydowała.

W czasie namysłu Piotra stary lokaj stał przy drzwiach w swym czarnym surducie, z mnóstwem orderów pod jego klapą. Gdy Piotr podniósł głowę, żeby dać odpowiedź, ten stary sługa, wbrew zasadzie subordynacji i oczekiwania — przemówił:

— Piotr Iwanycz...

— A co to powiesz? — przerwał mu Piotr wyniosłe.

— Piotr Iwanycz — nisko ja się tobie kłaniam i proszę o przebaczenie, że śmiem mówić...

— No, dobrze, dobrze. O co ci idzie?

— Piotr Iwanycz — ja czołem biję przed tobą...

— Powiedziałem, żebyś wyłożył, czego chcesz.

— Przebacz ty już Tatianie Iwanownej, odpuść!

— A to co ma znaczyć! Tobie co do tego!

— Przebacz ty jej przez miłość Chrystusa Zbawiciela. Przebacz i mnie, staremu człowiekowi!

— Na ten raz przebaczam. Ale nie waż się wtrącać w taką sprawę. Zrozumiałeś?

— Tak jest, w istocie. To do mnie nie należy. Ja dużo wiem, Piotr Iwanycz, ja i twój gniew rozumiem, choć ja i lokaj. Zlituj ty się nad Tatianą Iwanowną przez miłość Chrystusa Zbawiciela. Sam wiesz, dlaczego.

— A dlaczegoż to mam się nad nią zlitować? — szarpnął się Piotr.

— Widziałem, jakeś do niej chodził na wiosnę, kiedy to plany w kancelarii jego generalskiej mości pisałeś. A teraz ona z tamtym. Zważ!

— No, więc cóż? Skoro chce być z tamtym, to ja przecie z nią być nie mogę. Czy tego jeszcze zrozumieć nie możesz, choć tyle lat przeżyłeś?

— Piotr Iwanycz! Na rękę ja ją wychodowałem. Mówić i chodzić przy mnie zaczęła. Znam ja ją! Niedobrze ta sprawa stoi...

— Powiedz mademoiselle Mathilde, że przyjdę... — rzekł Rozłucki przerywając wynurzenia starego sługi.

— Słucham... — mruknął lokaj i wyszedł z niskim ukłonem.

O naznaczonej godzinie ubrał się starannie i poszedł na plac za ogrodem miejskim. Zbliżając się do tego miejsca, spostrzegł Matyldę — samą. Doznał zawodu. Powinien był ucieszyć się, że Tatiany nie ma — a oto tak bardzo się nie ucieszył! Głucho, twardo zakolało serce. Niepostrzeżone afekty zawirowały jak odór ohydy życia bez Tatiany — pomimo że logicznie rozumował i cieszył się na pozór z takiego obrotu sprawy.

Francuzka była podniecona, blada, niespokojna. Na zapytanie, czy przychodzi od Tatiany, odpowiedziała niejasno. Bredziła coś o dawniejszym stosunku...

— Słyszałem, że Tatiana Iwanowna zdążyła już zaręczyć się z monsieur Roszowem... — przerwał.

— Tak... — mruknęła wymijająco — Tania się zaręczyła. A cóż pan na to?

— Składałem życzenia na razie za pośrednictwem pani. Później, później sam je złożę osobiście. Jeżeli dotąd tego nie uczyniłem, to tylko z tego powodu, że nie byłem z dobrego źródła powiadomiony, a nie chciałem korzystać z pogłosek. Teraz, skoro pani to potwierdza...

Francuzka przypatrzyła mu się bystro i po tej obserwacji jeszcze bardziej sposepniała. Milczeli obojduje, idąc w stronę ogrodu. Piotr zauważył z wewnętrznym, grubiańskim śmiechem, że towarzysza Tatiany nie traci po kobiecemu sposobności wypróbowania na nim mocy swych wdzięków. Wiedział jednak, że nie to było jedynym powodem tego rendez-vous. Spytał:

— Kiedyż można spodziewać się ślubu?

— Czy ja wiem... Logicznie rzeczy biorąc, powinien by być wkrótce...

— Ach, tak?

— No, oczywiście...

— Tak im pilno?

— Pilno, gdyż...

— Gdyż co?

— Gdyż Tania jest...

— Cóż takiego?

— Tania jest... — domyśla się pan...

— Nie domyślam się niczego...

— Ach, Boże! Ona jest — no...

— Cóż?

— Ona jest — ach, jakiż z pana człowiek!...

— Co takiego?

— Ona jest — no — przecie — w ciąży.

Piotr uczył w głowie huk, jak wówczas, od cięcia w nią wielu szabel. Czarna chmura zasłoniła mu oczy.

— "Córeczka, nasza córeczka"... — zabrzmiał kędyś chichot szatana. Krótki, sztuczny śmiech na wargach białych jak wapno.

— Winszuję panu Roszowowi powodzenia... — rzekł korzystając z obecności tego śmiechu na ustach.

Francuzka odrzuciła na bok wszelkie osobiste zamysły i sposoby i zwróciła się z szeptanym wynurzeniem:

— Tania jest w rozpacz!

— Tania? W rozpacz? Zawsze przecie pragnęła mieć dziecko... — wypłynął w śmiechu wyrazy wszeteczne, bezwstydyne i wściekłe, jak sobie samemu plwociny w oczy.

— Ale z panem...

— Inaczej się złożyło. Niestety! Niedawno to, lecz siedem miesięcy... Siedem miesięcy upłynęło od paryskich czasów, kiedy mogłem widywać Tatianę Iwanownę. Pan Roszow mię ubiegł. Pani to zresztą wie najlepiej — ciskał jej w ucho chichoczące, głupie wytryski ślepej rozpacz.

— Wiem, wiem... — cedziła przez zęby.

— Więc co?

— Panie! Szanuj ją! Ona cię do szaleństwa, do obłąkania kocha.

— Nawet mając mieć dziecko z Roszowem?...

— Chciała w ten sposób zemścić się na panu za to, coś z nią zrobił.

— Krwawa zemsta z przestarzałej operetki.

— Co teraz począć?

— Przede wszystkim nie wtajemniczać obcych, jak ja, w sekrety szczęśliwych narzeczonych. Mogę przecie być plotkarzem, który wieść rozniesie po cukierniach miasta. Po drugie, zżyć co tchu wyprawę, zamówić popa, karety, družbów i drużny — no i kołyskę.

— Ona po całych nocach nie śpi, chodzi po pokoju, wałęsa się po domu, schodzi do ogrodu, wraca, znów gdzieś ucieka, coś pisze, pisze na dużych arkuszach listy do pana czy do kogoś innego — nie wiem — coś pali w kominku, przychodzi do mnie i mówi dziwne, niestworzone rzeczy. Na głos rozmawia z panem, modli się leżąc godzinami na podłodze w tym wąskim korytarzyku, który do jej pokoju prowadzi. Najczęściej zaś stoi przy oknie i płacze w przestrzeń jednym głosem tak dziwnie, tak strasznie, jakby wyła. Biedna Tania! Zaplątała się w sieciach, które na pana chciała zastawić, gdy ją pan zdradził tak bezlitośnie, tak na zimno...

— Zdradził! Ja ją zdradziłem?! Przecie ja nie żenię się z nikim ani się w nikim niekocham.

— Toteż ona poleciła mi, żeby panu to wszystko powiedzieć i żeby pana tylko o to jedno zapytać, co ona ma zrobić? Tylko to jedno pytanie, co ona ma zrobić? Tak kazała. Tylko już to jedno jedyne pytanie, co ona ma zrobić? Jak pan rozkaże, tak się stanie.

— Cóż ja mogę powiedzieć... — zaczął Piotr w poprzednim, męskim tonie, lecz nagle zaciął się. Myśli zapadły się i zawałyły weń jak gruzы domu głupio zbudowanego. Bezużytecznymi wydały się wygodne, cyniczne słowa. Nędzną pokazała się sztuczna wyniosłość między łzami. Szedł tą samą drogą w parku, którą był szedł po raz pierwszy z prześliczną dziewczicą Tanią, gdy go na szczęśliwą

schadzkę wezwała. Te same bezlistne stały drzewa, tak samo leżał cienką warstwą śnieg, tak samo huczał wiatr w nagich konarach, ten sam stał posąg greckiej bogini, zniszczony i zamazany czegoś symbol... Gdzież jest Tania?

Porwała się w nim rozpacz jak obłąkany ze swego kaftana. Oto ta sama kamienna ławka, zasypała wiotkim śniegiem.

Żał, straszliwy w swej mocy, w swej niepojętej wiedzy o wszystkim, rozdarł serce. Jakże tajnie, a jak logicznie złożyły się te wszystkie sprawy!

Zdało się, że ktoś bezdennie a podstępnie mądry zważył wszystko na niewidzialnej a subtelnej szali — wszystko — nie zapominając o niczym, o najłżejszym westchnieniu wiatru, o najlżejszej prószynie śniegu, o najbardziej małej gałązce. Piotr chciał powiedzieć miłosne i litościwe słowo, posłać je Tani, ale oto nagle jak złowieszczy błysk miecza zamigotała w jego duszy straszliwa prawda, że ona była w objęciach Roszowa, że z tamtym poczęła dziecko, że zdradziła miłość zaprzysiężoną. Rzekł twardo, surowo i zimno:

— Niech jej pani powie, że ja we wszystkim, com zrobił, jestem w porządku. Tak musiałem. Nie chciała iść ze mną... Zdradziła naszą świętą miłość.

Francuzka głośno, z wybuchem zapłakała. Ale wnet uspokoiła się. Wytarła chustką oczy. Przez jakiś czas szła spokojnie aleją. Nagle podniosła na Piotra oczy płonące od dzikiego gniewu, złość i aż podłość od złości. Poczęła mówić jednym tchem:

— Komu pańska miłość tak się wżarła w życie i krew, ten się nie może zadowolnić podobnym słowem. Barbarzyńca! Dziś dopiero rozumiem potęgę jej wielkiej miłości. Przeklęte jest życie kobiety biernej! Was trzeba w pewnych wypadkach trzymać na łańcuchu, doprawdy jak psów! Spuszczeni z łańcucha jesteście gorsi od psów. Was trzeba kopać i znęcać się za tyle sił zniszczonych przez nienasyconą waszą żądzę i brutalstwo! Kat!

Posepnie i obojętnie wysłuchał tej tyrady. Ukłonił się pogardliwie, odwrócił i poszedł.

Rozdział XXVI

Nazajutrz rano tenże stary służący generała przyszedł do mieszkania Piotra z kartką od Tatiany. Rozłucki leżał jeszcze w łóżku. Zaspanymi oczyma przeczytał krótkie pismo: "I ja także będę w porządku. I ja nie mogę inaczej. Bądź zdrow, Piotruś. Dziękuję za wszystko. Twoja Tania."

Piotr wzdrygnął się przeczytawszy to posłanie. Te słowa miały w sobie siłę i ciężar. Zapytał służbowo:

— Kiedy panienka oddała ci to pismo?

— Wczoraj, późno wieczorem. Obudziła mnie i kazała odnieść rano. Tak nakazała z surowością: "rano, skoro świt." No, świt teraz późno, godzina ósma blisko. To i przychodzę o świcie, według zlecenia.

— Dobrze... możesz iść.

Starzec uklonił się, ale ode drzwi zwrócił się twarzą do Piotra i rzekł surowo, z wewnętrznym rykiem:

— Panie... dobrze zważaj, żeby nieszczęścia nie było!

— Idź precz, ty, nauczycielu!

Służący poszedł. Piotr ubrał się co tchu i rzucił do domu generała. Co chwila smagało go przerażenie jakby rzemień kańczuga rznący nagie plecy. Nogi uginały się pod nim, gdy wchodził do przedsionka, gdy zdjął szynel i pierwszego z brzegu ordynansa rozpytywał o pannę Tatianę. Ale w domu wszystko szło spokojnie, według ustalonego trybu. Generał jeszcze spał, więc służba chodziła na palcach zastawiając w jadalni przybory do ранnego śniadania. Piotra tam znano jak domownika, więc nikt na jego wczesne przybycie szczególniejszej nie zwrócił uwagi, lecz on sam czuł się dziwnie głupio, płacząc się pośród famulusów domu. Miał już zamiar wyjść pod pozorem, że jest za wcześnie, gdy posłany lokajczuk, żeby ранnego gościa zameldował Tatianie, wrócił z oświadczeniem, że "ich w pokoju nie ma".

— Jak to nie ma? Widziałeś? — zapytał Piotr czując znowu cios knuta szarpiącego plecy.

— Zupełnie nie ma. Tak jest. Dokądś raczyli wyjść.

— Ależ dokąd?

— Tego nie śmiem wiedzieć...

— Czy kto nie widział, którędy wyszła panienka?

Sprawdzono, że nikt nie widział, ale nikogo to nadzwyczaj nie interesowało. Tymczasem Piotr korzystając ze swych dawnych półpraw w tym domu, wszedł do salonu środkowego pragnąc zobaczyć, czy tam nie ma Tatiany. Gdy się znalazł w tej wielkiej sali, od razu spostrzegł, że drzwi na ogród są półuchylone, nie domknięte, i to od dawna, bo klin śniegu, nawianego w nocy, leżał na posadzce. Otworzył te drzwi i spostrzegł zadęte ślady stóp Tatiany na stopniach i na ścieżce, wyciśnięte w miękkim, wciąż padającym śniegu. Te ślady niby gwałtowne wołanie zapędziły go do altany. Stanąwszy w jej drzwiach, zachwiał się i wrzasnął przeraźliwie.

Na ławce leżała Tatiana w kałuży krwi, która już dawno skrzepla. Drżąc na całym ciele, spostrzegł, że skierowała otwór lufy rewolweru w brzuch. Zrozumiał z nieomylną oczywistością, iż postanowiła zabić siebie i dziecko Roszowa. Zrozumiał, że ten uczynek oznaczało słowo: "będę w porządku" — i drugie słowo: "twoja Tania". Usiadł skostniały na przeciwległej ławie i patrzył na uśmiech Tatiany — na białe jej zęby, które pokryła już puszysta warstewka śniegu — na srebrzyste pończochy odsłoniętych i rozrzuconych nos, na których długie smugi czarnej krwi zastygły. Piotr omdlał.

Ktoś nadszedł...

Rozdział XXVII

Pogrzeb Tatiany stał się powszechną manifestacją. Kto z Rosjan żył w mieście, wziął w niej udział. Nieoficjalnie, bez broni, a jednakże w szeregach i formie paradnej wystąpiła bateria artylerii, poprzedzona przez oficerów wszystkich stopni. Szło również w ordynku kilka rot piechoty i wszyscy jak jeden mąż oficerowie pułkowi. Z mieszkańców miasta, "tuziemców", kroczył również w tyle niemały motłoch, popchnięty przez ciekawość. Na czele pochodu maszerował drugorzędny popik z

krzyżem w rękę, bez oficjalnego śpiewu, bez chorągwi i asysty. Śpiew pogrzebowy zastępowała wielka orkiestra pułku piechoty grająca niemal bez przerwy. Za trumną siedł generał Polenow-Czernowratski, Roszow, mademoiselle Mathilde i kilka osób z dalszej rodziny generała, przybyłych z daleka.

Śledztwo sądowe i lekarskie ustaliło pewnik, że córka generała Polenowa odebrała sobie życie wystrzałem z rewolweru wziętego ze zbrojowni ojca, który jednak od dawna posiadała u siebie. Wystrzał ten przeszył w łonie jej płód, niedawno poczęty. Badanie ustaliło, że ten zamach samobójczy miał miejsce po północy. Nadto — stwierdzono, że ostatnie i jedyne pismo zmarłej służący generała na jej zlecenie odniósł do oficera Rozłuckiego — że tenże Rozłucki pierwszy przyszedł o rannej godzinie i pierwszy odnalazł w głębi altany zimne zwłoki samobójczyni. Cały świat rosyjski wiedział, że córka generała była zaręczona z kandydatem Roszowem. Cóż znaczył ów list ostatni? Co w nim było? Na pytania władz oficer Rozłucki nie dał żadnej odpowiedzi, podania treści odmówił, a samo pismo zniszczył.

Któż tedy był winowajcą śmierci młodej narzeczonej? Kto był jej kochankiem? Czemu się zabiła?

Niedawna awantura Rozłuckiego z oficerami piechoty znowu się wszystkim rzuciła do oczu. Tysiąc plotek jak gzygaki piorunów w gradowej chmurze latało we wzburzonym tłumie. Oficerowie piechoty mieli twarze więcej niż surowe, bardziej niż groźne. Oczy ich szukały sprawcy, którego ofiara leżała na marach. Biała suknia, długim zwojem spływająca z trumny, podniecała oczy i rozjuszała dusze. Straszliwy, żałobny Beethovena marsz, podsłuchany w zaułkach przepaści piekieł, uderzał w wyobraźnię ludzkiego tłumu i wzywał o pomstę. Niepojęty w okrucieństwie swym głos, wyrzucony z trąb, fletów, bębnów, porывał się z ziemi i schwytyany przez zimowy wichur padał w martwe pola, kędyś między śnieg zagonów.

Czarny orszak posuwał się z wolna, szeroką drogą, przez puste i mroczne pola ku odległemu cmentarzowi. Muzyka była głosem tych wszystkich ludzi, ich skargą przed wiekuistym życiem na przeklętą śmierć — szalonym protestem bezsilnego ich gniewu przeciw zniweczeniu piękności, pełnej niewymownego uroku. Dla jednego tylko człowieka ten nieśmiertelny hymn o śmierci inne miał wytłumaczenie: był głosem opowiadającym niebiosom i ziemi tryumf miłości, zwycięstwo jej nad samą śmiercią...

Piotr Rozłucki siedł w szeregu oficerów baterii... Za sobą miał dwa plutony żołnierzy artyleryjskich, olbrzymich i tęgich chłopów. Ostrogi ich dzwoniły równo — wraz — gdy szli wolnym do taktu marszem, uderzając podkutymi obcasami wysokich butów o twardą grudę. Stojące kitki ich stożkowatych czapek drgały jak jedna w marszu — a twarze ich były jak jedna. Sunęli jak pole porznęte w równe, jednakie zagony. Surowe ich spojrzenia leżały na głowie oficera Rozłuckiego.

Głucha klechda o tragicznej śmierci młodziutkiej i prześlicznej generałówny padła między tych olbrzymów, zegnanych z czterech końców niezmierniej Rosji, i obudziła w ich żołdackim zespole — bezgraniczną nienawiść przeciwko sprawcy.

"Oto ten!" — wskazywały ich kamienne oczy.

Piotr siedł krokiem żołnierskim czując na sobie spojrzenia artyleryjskich plutonów i ze spokojem niosąc ich nienawiść. W skostniałych jego oczach istniał piorun odwetu, głęboko, głęboko schowany. Ale ten piorun był mu na nic. Spojrzeniami tłumu, który był wokoło, przed nim i z boku, obojętnie pogardzał. Do jego duszy, przebitej od nieszczęścia, docierała ślepa mściwość żołnierska jakby nienawiść natury, gleby, pól, lasów. Wiedział, co kryje się w spojrzeniach żołdackich, i tym

spojrzeniom przeciwstawiał z odrazą — władzę szlify. Gdy muzyka ze straszliwą swoją potęgą uderzała w pustkowie, spostrzegał dawny dzień i przypominał ten sam dźwięk. Nareszcie zrozumiał, co znaczyło słowo Taniusi, że w tej muzyce Iwan, Groźny Car, na złotym tronie za żelaznymi drzwiami zasiada. Zanosiła się muzyka na niedosięgly szczebel władzy. Przez wargi snuł się wyraz imienia Taniusi. Ona wtedy słyszała, ona wtedy wiedziała, jak czerwony kat wlecze ją za włosy na szafot wysoki. Któż jest kat? Jaka jest jego twarz?

Ścisnął w kieszeni szynela głównię rewolweru i równo, spokojnie, bez drżenia muskułu szedł dalej krokiem żołnierskim, miarowym, rytmicznym marszem. Co znaczyło to ściskanie głównej rewolweru, nie wiedział sam. Głucha konieczność kierowała jego rękę i kurczowo zaciskała w niej broń. Poza życiem, w dziwnym śnie — z tego aktu wynurzała się świadoma decyzja. — Kiedy niekiedy poprzez szeregi rozsunięte cywilnych i wojskowych dostojników spostrzegał głowę generała Polenowa i wówczas znowu chłostał mu plecy knut ohydnych dreszczu. Widok tego starego człowieka dawał znać, jaka się to sprawa dokonała, i po stokroć na nowo powiadał, co się to teraz spełnia.

Nareszcie przez wąską bramę cmentarną pochód wcisnął się na ugór śmiertelny i skierował w jego kąt najodleglejszy, gdzie pod murem, w odosobnieniu wykopany był grób. Tam żółta, przydęta od świeżego śniegu leżała glina.

Z wolna, z wolna ludzie zataczali półkole, zsuwali się coraz szczelniej, stając z bliska, ramię przy ramieniu. Rosło ich mrowie i zsiadało się ni to materia jednolita i jednego porządku. Zmarznięta kupa gliny była z prawej strony — materia innego porządku. Od niej prostopadle do cmentarnego muru stanął mur żołnierzy. Przed nimi szereg oficerów. Z drugiej strony grobu, w głębi cmentarza zalegała masa piechoty w szarych szynelach. Piotr wyszedł naprzód i stał na prost mogiły, przy żółtym kopcu gliny. Po drugiej stronie zsunął się nieprzejrzany tłum ludzki. Na przedzie, tuż obok trumny znalazł się generał. Oczy starca zapadły się jakoby we dwa groby, broda była nie ogolona, na łysej czaszce wiatr rozwiewał rzadkie włosy. Kolana jego tłukły się raz wraz jedno o drugie, ażeby utrzymać przed oczyma świata w żołnierskiej postawie ciało zdruzgotane od ciosu i jak łachman bezsilne. W milczeniu, ze zwieszoną głową stał nad trumną diak stary ściskając w rękę srebrny krzyż. Głowa jego z trudem dźwigać się zdawała kłobuk aksamitny. Pochylił się i zegnał trumnę trzykroć. Pochylił się i zegnał tłum.

Nagle stary generał począł dawać ręką jakieś znaki, jakieś znaki niecierpliwe i gwałtowne. Pojęli go ludzie i z wolna, swarząc się o coś i coś bełkocąc, otwarli wieko ciężkiej, metalowej trumny. Piotr ujrzał oblicze Taniusi, kochanki swej. Usteczka, włosy, niewypowiedzianej piękności owal twarzy. Pojął na nowo wszystkim ogromem męczarni, że to ona tu leży i że już nie żyje. We krwi była stąpiana biała, aksamitowa jej suknia. Czarne plamy wystąpiły na łonie. Ręce bezwładnie rzucone, żałośnie się wzdłuż ciała wyciągnęły. Jedno pasemko wonnych włosów wybiegło za trumnę...

Straszliwy wykrzyk rozdarł piersi generała. Starzec upadł na trumnę z rozkrzyżowanymi rękoma i przywarł ustami do ust zmarłej. Tłum zachłysnął się od jęku, a później oniemiały w martwej ciekawości patrzył. Dźwignięto nieszczęśliwego ojca i postawiono nogami na ziemi. Wtedy ten stary człowiek podniósł swe straszne, kredowe, ślepe z bólesci oczy i począł w tłuszczy szukać. Szukał, szukał. Znalazł. Na Piotrze Rozłuckim oparł swój wzrok jak ostrze ciężkiego, katowskiego topora, zanim topór podniesie. Za wzrokiem generała poszedł oczyma wszystek ogrom nieruchomych ludzi. Polenow poprawił się, wyprostował. Powiódł oczami po chłopach-artyleryzystach, potem wzdłuż szeregu oficerów. Nastąpiła cisza. Czekali na coś grabarze, okrutni w swej obojętności. Piotr patrzył w oblicze Taniusi...

Ale nakryto zwłoki wiekiem. Twarz znikła. Wtedy spostrzegł oczy tych wszystkich ludzi w sobie wlepione. Niepostrzeżenie wsunął rękę w kieszeń szyneli, odwiódł zamek broni i czekał. W tym momencie postanowił — raz — dwa — że jeśli odezwie się jeden przeciwko niemu głos, jeśli ośmieli się wskazać nań czykolwiek gest — wyjmie broń, skieruje ją w usta i pociągnie za cyngiel. Pójdzie do Taniusi i do tej ciemności, dokąd ona poszła. Przeprosi ją tam, pojedna się z nią i znowu połączy w miłości wiecznej...

Tak przeczekał, już prawdziwie po drugiej stronie życia, tę chwilę. Spotkał przyćmionym, lodowatym wzrokiem oczy generała, oczy Roszowa i kolejno oczy wszystkie. Czekał.

Tymczasem na sznurach spuszczone ciężką trumnę w ziemię. Łopatami zepchnięto pierwsze bryły gliny. Zahuczały bryły o wieko metalowe. Poczęli się schylać ludzie i wrzucać po garści ziemi. W bólesci schylił się za innymi Piotr, ażeby garść ziemi rzucić na Tanie. Widział, jak to jego pochylenie bezdenną nienawiścią powitał wrogi mu tłum. Straszliwa była siła w bezgłośnym rozjuszeniu ludzkim, które się jedynie we wzroku objawiało.

Lecz oto, gdy rękę, która przed chwilą ścisnęła narzędzie śmierci, zanurzył w zimną glinę, doznał nadziejskiego uczucia, uczucia głębokiej pociechy i wielkiej łaski. Zdało mu się, że uściśnęła mocno jego dłoń zimna glina. Uczuł nieomylnie, że to ojciec z ziemią złączony — ziemią doń przyszedł i z ziemi tej oddał mu pomocny uścisk ducha.

CZĘŚĆ DRUGA — ALIENATUS A SE

Rozdział I

Po schodach wysłanych dobrze zdeptanym dywanem Piotr Rozłucki wszedł na drugie piętro i pod wskazanym numerem znalazł na drzwiach metalową tablicę z napisem: "Stanisław Darzewski, adwokat przysięgły". Nacisnął dzwonek i wnet dostał się do ciemnego przedpokoju. Jakaś babina zabrała się do ściągania z jego ramion oficerskiej szyneli. Powstrzymał ją pytaniem.

— Czy mogę się widzieć z panem Wiktorem Rozłuckim?

— A jakże! pan Rozłucki dziś dyżuruje.

— Dyżuruje nawet... A widzieć go można?

— Zaraz się dowiem. A jakże godność powiedzieć?

— Takie samo nazwisko: Rozłucki.

Kobiecina poskoczyła do drzwi w głębi, zastukała i wnet Wiktor stanął na progu. Miał na sobie czarny frak ze znaczkiem adwokackim. Wyraz jego twarzy nie był już po dawnemu burszowski, lecz oczy zostały tak samo wesole. Przypatrzył się Piotrowi bardzo uważnie w ciemnym korytarzyku, uściśnął go bez afektacji i zaprosił do pokoju. Pokój ów, umeblowany w sposób niedrogi i

szablonowy, miał specyficzny zapach, właściwy kancelariom i biurom, gdzie wyczekują ludzie niezamożni. Wiktor posadził gościa na głównym fotelu i znowu przypatrywał mu się pod światło.

— A to jest owa sławna blizna... — rzekł wskazując palcem na długą, dawno zgojoną, lecz jaskrawo widoczną szramę na policzku oficera.

— A tak, to blizna...

— Zdobi cię tak już ze dwa lata?

— Tak jest, dwa lata z górą.

— A jakie też — powiedzmy — pociągnęła następstwa? Czy aby z pułku, a raczej z baterii?...

— Nie. Był sąd, ale wypadł nie tak znowu źle, jak przypuszczali moi przyjaciele, no i ja sam. Skazano nas wszystkich, awanturników, na sześć tygodni srogiego odwachu i pominięcie w awansie przez dwa lata.

— Łagodny wyrok. A więc trwasz po dawnemu bez awansu na starym miejscu?

— O, nie! Po odsiedzeniu owego odwachu dostałem translokację mniej pomyślną, do baterii fortecznej w twierdzy Zasięk, a ściślej jeszcze, do jednego z fortów tej twierdzy, zwanego "Czornyj Oriół". Tam właśnie te dwa lata spędziłem.

— W forcie "Czornyj Oriół"? Nazwa bardzo piękna. No, a miejsce wesołe?

— To zależy od humoru. Co do mnie, to żyłem tam dosyć zacisznie.

— Nic o tym nie wiedzieliśmy. No, a teraz?

— Teraz dostałem nareszcie urlop na miesiąc i wprost z okopów fortecznych przyjechałem tutaj. Jakże się miewa stryjasek Michał?

— A, pan Rozłucki starszy — trzyma się. Oczywiście, gospodaruje w swych Cierniach. Długów ma teraz jakby mniej i urodzaje jakoś lepsze. Jeździmy tam na lato.

— Bardzo bym i ja pragnął pojechać na dzień, na dwa do stryjaska.

— Wpadnij na dłużej, a na pewno zrobisz starszemu panu dużą przyjemność, bo cię bardzo lubi.

— Jest to w takim razie afekt wzajemny. Stryj Michał jest dla mnie najmiłszym towarzyszem.

Zamyślił się i dodał:

— Stryj Michał jest zacnym i dobrym człowiekiem...

Piotr mówił to wszystko w sposób jakby usprawiedliwiający się i nieśmiały. Wiktor wciąż przypatrywał mu się spod oka. Po pewnym czasie rzekł:

— Kuzynie, jadąc tak wprost ze swego "Czarnego Orła" mówisz doskonale po polsku!...

— Tak, mówię już jako tako, choć trafiają się jeszcze i potężne błędy.

— Nie widzę tych błędów, może dlatego, że wszyscy grzeszymy.

— Och, żartujesz!

— Straciłeś cię z oczu.

— A co z oczu, to i z myśli... — uśmiechnął się Piotr.

— Dam ci dowody, że tak nie jest. Co do mnie jednak, to jestem tak zapracowany, że rzadko kiedy mogę sobie pozwolić na uczucia rodzinne.

— A może i teraz jesteś zajęty? — zafrasował się Piotr.

— Daj no pokój! Siedź grzecznie i nie wierz się na tym meblu, bo jeszcze nie zapłacony.

— Nie chciałbym...

— Wiem, że nie chciałeś, toteż siedź! Powiedź mi, kochany Piotrusiu, a z dziadem — jakże?... Protegował cię, a teraz już nie proteguje. Jakiś się zrobił sordyjski na ciebie. Powiem nawet otwarcie, że nie lubi o tobie wzmianki.

— A tak... Rozeszliśmy się — jeden do sasu, drugi do lasa.

— A bo ty w samej rzeczy może bardziej do lasa... — zaśmiał się Wiktor długo i dziwnie.

Zbliżył się do Piotra niepostrzeżenie i serdecznie go uściśnął. Piotr oddał mu pocałunek. Siedząc na poręczu fotela Wiktor powiodł łagodnie ręką wzdłuż szramy na policzku Piotra i mówił:

— Ale — ale! A taż bogdanka, dla której taki wiadukt dałeś sobie w buzi wyorać — cóż ona? Gdzie są dowody jej wdzięczności?

— Nie ma żadnych. Nie wiem nawet, co to za jedna, gdzie jest i jak się nazywa.

— Kpisz chyba! Nie wiesz, gdzie ona jest i jak się nazywa?

— No, nie wiem.

— Nie! To już jest bohaterstwo nad bohaterstwem... I powiedzcie! tego nie opisują wierszami... Dał się za pannę porąbać, siedział w bąku, a potem w fortecy zwanej "Czornyj Oriol", awansu go pozbawiono — no i koniec końców nie wie, jak się jego dama nazywa...

— Nie jest to wcale moja dama.

— I nigdy z nią nie rozmawiałeś, błędzacy rycerzu?

— No, nie. Gdzież miałem rozmawiać? Przecie nie w szpitalu, nie w "bąku" ani nie w baterii albo w moim forcie, gdzie osoby płci pięknej źle są widziane. Nie spotkałem już tej panny po awanturze. Nieraz wydaje mi się, że jej wcale na świecie nie było i teraz nie ma.

— No, tak znowu romantycznie to nie jest. Już ja nawet wiem, jak ona się nazywa i gdzie mieszka.

— Doprawdy? — zapytał Piotr.

— Mój kolega, a raczej pryncypał, Stacho Darzewski, z którym na wspólny deficyt prowadzimy tę adwokacką budę, pochodzi z Podlasia, zza jakichś ściśle tamtejszych Mord. Tam właśnie, za owymi Mordami, gdzieś w piaskach i wśród sosenek przebywa twoja panna.

— Skądże wiadomo, że to właśnie ta sama?

— No, przecie takie rzeczy nie co dzień się w Polsce zdarzają, żeby oficer, należący do "prawosławnego woинства", rąbał się w obronie honoru niewinnej polskiej dziewczicy z kupą napastujących ją mnisterów, należących do tegoż woинства. Sprawa była dosyć głośna. Tak nawet głośna, że może dlatego skazano cię z niejaką oględnością.

— Nie wiedziałem, że jestem aż tak sławny. Ale mniejsza o to. Więc jakże się ta panna nazywa?

— Zaraz się dowiemy. Adwokaci, kochanku, wszystko wiedzą.

Wiktor uchylił drzwi i nakazał dyżurującej babinie:

— Niech no Karolowa poprosi tutaj duchem pana Darzewskiego.

Zwróciwszy się do Piotra oświadczył:

— Muszę cię uprzedzić, że Darzewski, który tu zaraz przyjdzie, to narzeczony mojej siostry.

— Kamy?

— No, tak, bo innej nie mam.

— A gdzież teraz jest Kama?

— Tu w Warszawie. Daje po staremu lekcje na pensjach.

Wszedł młody człowiek bardzo pięknej powierzchowności, typ dorodnego Polaka. Gęste, szare włosy piętrzyły się skrętami na jego kształtnej głowie. Mała broda ozdabiała twarz suchą, ściągłą i niezwykle sympatyczną.

— Stachu — rekomendował gościa Wiktor — to jest Piotr Rozłucki, nasz brat.

— Darzewski — rzekł tamten krótko.

— Chodzi o to, jak się nazywa panienka, dla której nasz Piotruś poniósł tę oto szramę. Ta, wiesz, panna z waszego Podlasia...

Darzewski siadł przy biurku i uprzejmie, lecz badawczo przypatrywał się Piotrowi. W głębi jego jasnoniebieskich oczu małował się namysł i rozwaga. Rzekł lakonicznie:

— Ościeniówna.

— A właśnie... — podchwycił Wiktor. — Takie podlaskie nazwisko: Ościeniówna. Tam pewnie jest to najteższa arystokracja na przestrzeni od Sokołowa do Międzyrzeca. Teraz sobie nawet przypominam: Oścień. A gdzież, to oni mieszkają ci magnaci?

— Nad Bugiem.

— "Nad Bugiem". Kto was tam wie, gdzie to jest. Bug długi. Gdzie? Jaką drogą jechać?

— Jechać trzeba przez Siedlce, Mordy...

— O, Mordy! Nie mówiłem?

— Przez Łosice w kierunku Drohiczyna. W samej już nadbużańskiej nizinie mieszkają w Zatoce Ościeniowie, a z nimi, oczywiście, ich córka, panna Małgorzata.

— Małgorzata... — zmartwił się Wiktor — cóż za defekt! Więc jak? Czy to jest wasza gruba szlachta, czy takie sobie szlagony?

— Nie można powiedzieć, żeby byli zbyt grubą szlachtą, ale zawsze liczą się do ważniejszych domów w okolicy. Siedzą tam z dawien dawna pod Drohiczynem.

— A ty ich, Stachu, znasz dobrze?

— Byłem tam raz za studenckich czasów na tańcach w Boże Narodzenie. Później już nie widziałem...

— A cóż to za osoba owa panna Małgorzata? Także imię!

— A panna jak inne. Cóż cię tak to imię niepokoi? W konkury się wybierasz czy jak?

— Ja nie, ale oto Piotrusiowi patrzyłoby się tam pojechać.

— Pan Rozłucki, o ile wnosić mogę, nie zna tak jeszcze kraju ani stosunków... — rzekł Darzewski.

— Tak, oczywiście, toteż nie myślę jechać do owej panny nie tylko w konkury, ale nawet z wizytą.

Mówiąc to Piotr nie spuszczał z myśli szczegółów i nazwisk. Powtarzał: Małgorzata Ościeniówna, w Zatoce, przez Siedlce, Mordy, Łosice, pod Drohiczynem. Począł wesoło rozmawiać z Wiktorem i Darzewskim, z premedytacją odsuwając temat o Podlasiu.

Darzewski był człowiekiem małomównym. Za to Wiktor sypał anegdotami. W pewnej chwili rzekł:

— A czy nie należałoby tego gościa podjąć herbatą i ciastkami?

— Owszem, naturalnie! — poruszył się Darzewski. — Zaraz powiem Karolowej.

Ciszej dorzucił:

— To może byś zatelefonował do Kamy. Pewnie ma wolny czas...

Wiktor zabrał się do telefonu i wnet rozmawiał z Kamą. Wymienił imię Piotra i kilkakrotnie nastawał, żeby przysłała. Składając słuchawkę powiedział:

— Zaraz tu będzie.

Ktoś zadzwonił i za chwilę Karolowa wsunęła do pokoju głowę z zawiadomieniem, że nadciągnął klient taki a taki. Piotr przeprowadzony został do salonu, niezbyt szczerze zastawionego zbieraniną mebli sówicie lakierowanych i skąpo wyściełanych.

Wiktor zamknął się w gabinecie z klientem, a Darzewski musiał przystąpić do bawienia Piotra w salonie. Mówił teraz z konieczności więcej. Spokojnie i bez pośpiechu informował o stosunkach w sądownictwie, adwokaturze, więzieniach itp. Piotr dla podtrzymania rozmowy zapytał:

— Panowie prowadzicie sprawy cywilne?

— Nie wyrzekamy się cywilnych, gdyż bez nich nie moglibyśmy związać końca z końcem, ale naszym głównym zadaniem jest obrona spraw politycznych.

— Politycznych?

— Tak.

— To jest niby jakich?

— Zdesperowani ludzie budują po nocy wilcze doły, żeby nad ranem w nie wpaść albo przez nieopatrność w rzeczach walki i porażki — wtrącić innych. Musi być ktoś, kto by na zasadzie obowiązującego prawa zdejmował w wilczych dołach tych, co się już na pal nabili. Otóż my z Wiktorem wzięliśmy się do tego miłego zajęcia.

— A dużo też jest spraw tego rodzaju?

— Od natłoku mało nam kancelaria nie pęknie. Wytworzyło się w niej istne ministerium polskiej biedy. Kiedy się to wszystko rozpatruje, kiedy się wszystkie żyły krwionośne i nerwy tych spraw ogląda w świetle badania, niewesołe myśli oblegają głowę.

— Dlaczego? Czy sprawy same są zniechęcające, czy ludzkie charaktery liche?

Darzewski nie od razu odpowiedział. Namyslał się nad rodzajem odpowiedzi, której miał udzielić. Rzecz wreszcie:

— Wiktor wynalazł formułę następującą: jedynym prawdziwym bogactwem polskiego plemienia jest jego nędza. Upatruje on w tej nędzy wielkie zalety, chwala je i podnosi. Ale Wiktor jest optymistą, a nawet entuzjastą. Ja, który patrzę bardzo trzeźwo na rzeczy, dużo bym musiał zrobić zastrzeżeń.

Piotr, przysłuchując się na pozór obojętnie wywodom Darzewskiego, dziękował sobie samemu za pomysł odwiedzenia tego adwokackiego biura. Coś o adwokaturze Wiktora i Darzewskiego słyszał był od stryja Michała. Dochodziły go i skądinąd wieści mętne, odległe i stłumione. W bezwzględnej samotności swej tęsknił w forcie za pracą, za cieniem pracy, za najlichszą, za najnędzniejszą jej nicią, którą by mu zwijać dano. Żył przez dwa lata w nauce i poznał niemało. Żył w książkach polskich i pochłoniął ich bardzo wiele. Zdawało mu się, że wszystkie, jakie tylko są, przeczytał szukając pracy, istoty pracy, osnowy najkardynalniejszego czynu. Ale książki były martwe, pełne odpychającej jałowości, z treścią zjedzoną przez rutynę formy, gadatliwe, łzawe albo rozedrgane od bezmyślnej i niezdolnej histerii uczuć. Poezja, wspomnienia, przemądrzałe nicowanie starej niemocy, wytartej, dziurawej i zdechłej niedoli — oto były książki polskie. Widział daleko od siebie niskie życie, życie istotne, płynące wiekuistym prądnym źródłem jak nieśmiertelna woda z zamulonego stoku, z tajnych źródeł pod ziemią buchająca — ale nie mógł do tej wody dostać ustami. Pierwszy to raz w życiu mówił o tej rzeczy z kimś młodym i rozumnym. Z małych i niechętnych słów Darzewskiego wnioskował, że jest przecie jakaś gdzieś praca...

Znowu rozległ się dzwonek i Piotr usłyszał w przedpokoju głos kuzynki Kamy. Na jej spotkanie wyszedł Darzewski i wnet wprowadził ją do "salonu". Kama była ubrana wykwintnie, uczesana modnie i na ogół jakaś inna, strojniejsza. Cieszyła się widokiem Piotra i ze szczerością poczęła rozmawiać z nim po polsku.

— Kuzynie! mówisz doskonale po polsku...

— A mówię, i to na złość tobie, kuzynko.

— Kto cię uczył?

— Bieda uczyła.

— Niezła to jest, widać, nauczycielka. Ponieważ ja jestem również nauczycielką, i to tego samego przedmiotu, więc po tym egzaminie z dwuletniej nauki chcę ci postawić stopień bardzo dostateczny.

— Dziękuję, ale ja jestem uczeń nadmiernie ambitny. Muszę być we wszystkim prymusem.

— Patrzcie! Weźże sobie jeszcze lepszego pedagoga.

— Mówił mi tutaj twój narzeczonny...

— Jak widzę, to nawet echa zapowiedzi dochodziły do twego fortu.

— Zapowiedzi powinny docierać nawet do fortów.

— Cóż robiłeś przez cały ten czas?

— Musztrowałem krnąbrnych żołnierzy.

— A jeszcze — poza tym wstrętnym zajęciem?

— Musztrowałem swoją krnąbrną duszę.

— Trzeba mówić wyraźnie, bez tego zastawiania się wyrazami.

— Czyż ja wiem, co robiłem? Właściwie nic. Czytałem i milczałem. Dla odmiany milczałem i czytałem.

Kama nachyliła się do niego i rzekła cicho:

— I do nas dochodziły wieści, że byłeś narzeczoną i że twoja narzeczona umarła.

Piotr odwrócił gwałtownie głowę, a dla uchylenia tej kwestii powiedział:

— To były wieści.

— Dlaczego umarła?

— Nie trzeba mówić o umarłych.

— Czy nie możesz powiedzieć?

— Nie.

— A jednak będę niedyskretna i jeszcze raz zapytam, czemu?

— Zbyt wyniosłe miała serce.

— Zdradziłeś ją?

— Nie.

— A cóż się teraz dzieje z twym sercem?

— Mówi Pismo: "Gdzie skarb twój, tam serce twoje".

— A gdzież jest teraz twój skarb, to przynajmniej powiedz!

— Mój skarb głęboko jest w ziemi zakopany.

— Jakież to dziwne zjawisko! Kiedy cię ostatni raz widziałam, byłeś wróg, a teraz jesteś z nami...

— Z wami?... — rzekł w zamyśleniu.

— Czyż nie?

— Ja jestem sam — rzekł spokojnie. — Zupełnie sam.

— O, a czy aby nie jesteś jakimś nadczłowiekiem?

— Ani trochę! Daleko żołdatowi do człowieczeństwa, a cóż dopiero do takiego awansu!

— Cóż tedy poczynasz ze sobą prócz czytania i milczenia w tej samotności?

— Przepatruję z obowiązku słowiańskie walory. Sprawdzam, ile są warte rosyjskie, a ile polskie. Liczę na szyfrowej tabliczce, kto kogo pobije. Nastawiam armaty i uczę się celować nieomylnie. Jeżeli nie mam trafić, nie strzelam.

— I to wszystko wystarcza ci?

— Niezupełnie. Mój widnokrąg zasłonięty jest z czterech stron świata wałami ziemnymi. Te wały są bardzo nudne, gdy się na nie patrzy zbyt często. Mój pejzaż — jest to niebo. Toteż obmierzła mi ziemia.

— Doprawdy? I czegoż to ci się zachciewa?

— Nieba.

— Kuzynie, przechwalasz się!

— Nie. Chyba się ganię, bo przecie liczyć, mierzyć, celować, nastawiać działa i tęsknić do nieba to nie znaczy — wykonywać. Wzdychać do wykonania i nic nie czynić, to chyba nie pochwała.

— Dużo jest wśród nas takich, co się podobnie jak ty gania. Ogromne łakomstwo na wielkie czyny i bardzo mało jakiegokolwiek roboty. Uczą się wciąż swego wielkiego czynu, trawią czas na milczeniu i rozważaniu, a roboty ich nie ma śladu. Byli tacy, co się przez całe życie ćwiczyli w sztuce wodzowania, a nie zostali nawet żołnierzami. Śpi ich dużo po bezimiennych mogiłach.

— Nie chciałoby mi się powiększyć galerii takich wodzów, ale i do szeregu ślepych żołdaków nie myślę przystać. Jestem sobie nieufny żołnierz, stojący na uboczu, który nikomu i niczemu nie wierzy, nikomu niczego nie zazdrości i niczemu nie schlebia — ani ludziom, ani zasadom.

— Kuzynku drogi! strzeż się jak ognia gawędki o czynie, sztuki powiększania siebie za pomocą plotki o swej potędze, a nade wszystko ordynarnego wywyższania siebie ponad wszystko. Nad polską nędzę niepodobna się wywyżżyć.

— A jednak trzeba. Nie znoszę lepkiego mułu, który wszystko tutaj zalewa. Nazywa się to polską nędzą istnienia, ale samo staje się tyranem istnienia. Przecie ten, kto chce latać na skrzydłach, musi się wywyższać ponad tych, co chcą tylko pęłzać, i to na kolanach.

Darzewski siedział na uboczu i przysłuchiwał się tej rozmowie. Czasem podnosił oczy na Kamę i wówczas w jego spokojnych oczach malowało się głębokie uwielbienie. W chwili milczenia, która nastąpiła, rzekł do Piotra:

— Gdy się zbliżać do naszych rzeczy, jak to jest za studenckich czasów, to takie się ma uczucia, jakie pan przedstawił. Ale gdy zacząć cokolwiek robić, gdy się stanie wobec żarłocznego życia, które próżni nie znosi i zapełnia je tą samą miazgą pospolitości, co na całej kuli ziemskiej — to wówczas przedzierzga się człowiek albo w jakiegoś partyjnego pospolitaka, albo, co gorsza, w partyjnego również za-nos-wodza. Niełatwo tu wybrnąć z tego dylematu.

Karolowa przerwała dyskusję dając znać, że herbata gotowa. Stołowy pokój był jeszcze najzupełniej studencki. Brak przepychu dawał się tam widzieć od pierwszego rzutu oka. Kama usiłowała ukryć zbyt jaskrawe objawy tego braku przepychu w rozmaity sposób, co się jej raz udawało, a drugi raz nie bardzo.

Szklanka herbaty Wiktora stygła, gdyż nie nadchodził z adwokackiego "gabinetu" za korytarzem. Zjawił się wreszcie, gdy ilość ciastek była już znacznie uszczuplona. Był w złym humorze. Usiadł na swym miejscu bez zwykłego uśmiechu i zwykłych figlów w słowie.

— Cożeś taki skwaszony? — dopytywała się Kama.

— Et, nic, tak sobie.

— Spotkało cię co złego?

— Nie.

— Kuzyn pomyśli, żeś nierad z jego przybycia.

— Nie pomyśli.

— W samej rzeczy, czemużeś taki osowiały? — spytał "pryncypał" Darzewski mierząc go badawczym okiem.

— A cóż, u Boga Ojca — drgawek mam dostawać z radosnej ekstazy? I czego? Cóż mię tak dalece pocieszającego spotkało?

— Kuzyn Piotr przyjechał.

— A no to się już raz ucieszyłem i teraz się drugi raz cieszę. I on wie o tym, że się cieszę.

— Trzeba go zostawić w spokoju, niech się pławi w melancholii... — rzucił Darzewski.

— Ty byś się także splawił, żeby ci przyszło tak jak mnie świecić oczami przed tą babiną...

— Przed którą babiną?

— No, przed starą Górniaczką.

— Matką tego Pawła Górniaka?

— Dowiedz się...

Darzewski syknął i strzepnął palcami.

— Cóż ona mówi?

— A kto tam wie, co ona mówi!

Wiktor wstał ze swego miejsca i przeszedł się po pokoju. Śmiał się ironicznie, mówiąc:

— Przywiozła syna lowi z głębi Radomszczyzny buty, koszule, przyodzievek na jesień, żeby zaś chłopak nie marzył — serki owcze i krowie z podśmietania, bardzo dobre, podeschnięte, masła oselkę sporą, miodu faseczkę. Niechże się choć chłopaczyna pocieszy w tym więzieniu. Wszystko mi sprezentowała, żeby pan adwokat wiedział, co było, a pomógł ze swej łaski odstawić chłopakowi do rąk, żeby zaś po drodze złe nie zeżarły. Dobrze trafiła!

Kama zafrasowała się żywo:

— A co? A co?

— No to! Pawełek Górniak właśnie na matusine serki czeka.

— A co? A co?

— A to, że Paweł Górniak trzy dni temu... — Wykonał dokładnie określający gest ręką.

— Och! — jęknęła Kama zakrywając oczy.

Mężczyźni skrzywili się z odrazą.

— Cóż to było? — zapytał Piotr.

Darzewski rzekł spokojnie:

— Nie można było nic poradzić.

— Nic a nic — dorzucił Wiktor.

— Powiedziałeś jej? — zapytał pierwszy.

— Nie.

— Trzeba przecie... — mówił ze smutkiem.

— To idź, powiedz.

Stali obadwaj przy stole, patrząc na siebie zimnymi i mądrymi oczyma. Wiktor podniósł głowę. Spojrzał na Piotra z uśmiechem cichym i żalonym, który go uczynił niesłychanie podobnym do stryja Michała i który samego stryja jak żywego przypomniał.

— No, darmo! Trza do niej iść... — rzekł do siebie.

Westchnął cichaczem, odwrócił się i wolno poszedł do kancelarii.

Rozdział II

W kilka dni później Piotr przybył do miasta Siedlec. Miasto to zrobiło na nim tak przykre wrażenie, iż zapragnął nająć co prędzej konie i wyjechać. Ale z wynajęciem koni w mieście Siedlcach nie poszło tak łatwo jak z powzięciem postanowienia wyjazdu. Po wielu dopiero gadaniach, bieganiach i targach zajechała przed hotel, gdzie się zrodziła idea podróży, jednokonna dorożka, a jej długobrody i długopoły właściciel oświadczył, że jest gotów. Piotr wsiadł i wkrótce znalazł się na szosie prowadzącej w stronę Mordów, Łosic i Drohiczyna.

Rozglądając się po lasach, polach i wioskach podlaskich rozmyślał teraz do woli, dokąd to i po co jedzie w te płaskie strony. Właściwie nie mógł dać sobie żadnej na to odpowiedzi. Jechał, popychany przez wewnętrzną konieczność, ażeby zobaczyć na własne oczy jedną z przyczyn śmierci Tatiany. Owa piękna panna — jak powiedziano: Małgorzata — stała długo w jego duszy jako zły mīt, jako postać z krwawej tragedii, jako wyobrażenie bolesnych zdarzeń, wreszcie jako zabobon nienawistny w ciemni uczuć. Widział ją był na jawie tak krótko, dwa razy w życiu, a jakże na nim ciężko zaważyła! W gorących snach po śmierci Tatiany przychodziła nieraz przekłeta i strwożona, żeby się kajać i uniewinniać słowami, które tylko w jego duszy istniały — co wyrosły na samotnej górze tęsknoty do umarłej niby kwiaty trujące, obce niebu i ziemi. Na podobieństwo człowieka, który poznawszy nieobeszły zakres cierpienia, zapragnął obejrzeć jego przyczynę, ranę, skąd ono pochodzi, Rozłucki postanowił zobaczyć nareszcie upiorzycę, przekonać się, że to jest pospolita, dobrze urodzona i poprawnie ułożona panna z zacnego gniazda, osoba z posagiem, wyprawą i srebrami...

Jeżeli można tak się wyrazić, pożywał rozczarowania — jechał tak daleko, żeby właśnie powiększyć nicość wzniosłości w swej tragedii, zasypać źródło wszelkiego w niej piękna i eksperymentalnie, za pomocą doświadczenia, głębszy śmiech ze swej boleści wydobyć. Myślał, że może się uda, niwecząc wyobrażenie o jednym z fantomów wewnętrznego procesu, wrzucić do żelaznego pieca odłam młodego życia wraz ze wszystkim jego czuciem — do pieca, gdzie rzucił i bezlitośnie spalił Tatiannę. Sądził, że może się uda podsycając wciąż ogień wypalić w nim produkt, którego pożywał: twarą, cel swój znającą wolę.

Tak postanawiał trzęsąc się na siedzeniu woźnicy Pinkusa. Pinkus popędzał swą szkapę, mijał miasteczka, wioski oraz bardzo piękne "okolice" szlacheckie, dworki porozrzucane malowniczo. Tam i sam widać było we wsi chłopskiej, szczelnie zabudowanej, nową, lśniącą cerkiew prawosławną. Wieś polska zazebiała się tutaj z ruską. Czasem na przecięciu gościńców stała dawna, gontem kryta kapliczka unicka, zszarzała, zapomniana i przełękła. Ludzie idący lub jadący drogą, dostrzegłszy mundurową czapkę Piotra, odwracali oczy albo spuszcza li głowy. Nad wieczorem zakurzony pojazd przeciąwszy w poprzek to całe nieme Podlasie, znalazł się w nadbużańskiej dolinie, wśród pięknych lasów i rozległych łąk. W dali na wzgórzu widać było jakby miasto obronne, najeżone od wież i gmachów. Woźnica Pinkus objaśnił, że to jest właśnie Drohiczyn.

Wkrótce dotarli do rzeki i promem przeprawieni zostali na drugą stronę błękitnego Bugu. Szkapę wdarła się z trudem na strome osypiska prastarego grodziszcza. Widok, który się przedstawił oczom przybysza w owym mniemanym wielkim mieście, nie był zbyt budujący.

W rynku stał jeden eks-kościół waląc się w gruzy, poniżej widać było ogromny klasztor, również w gruzach. Na uboczu kwitł kościół gotycki, zamieniony na cerkiew prawosławną za pośrednictwem umieszczenia bań bizantyńskich na jego wieżach — dalej jeszcze jakaś świątynia osypiskami swymi dodawała malowniczości temu grodowi.

Słowem — "bram cztery ułamki, klasztorów dziewięć i gdzie indziej domki..."

"Klasztory" zgryzł los i jego niepobłażliwe koleje, domków wszakże niewiele przybyło. Utracone "klasztory", oddane w posiadanie czasowi, deszczom, śniegom i burzy, stały z groźbą utracenia głowy każdemu, kto by się do ich wyniosłego upadku zbliżyć ośmielił. Od tych drohiczyńskich ruin kościelnych biła wzniosłość. Stały godnie na straconej placówce rzymskiego katolicyzmu wyrażając jego znakomitą zasadę: rozkazywać z pokorą i poddawać się z nieulęklą dumą. Sowy się w nich gnieździły i kawki, nowy rodzaj mnichów. Refleksje nieszczęśliwe, bezwładne, pełne zgryzoty i bezpłodności, wysuwały się z każdej uliczki i zza każdego węgla. Piotr błędził po tych gruzach, oglądał ołtarze z obrazami wyrwanymi z ram albo podartymi na pasy — odrzwia, z których wylupano kamienne obramowania — filary, które usiłowano wysadzić prochem w poszukiwaniu zamurowanych pieniędzy.

Smutek, odraza i nuda wypchnęły go wreszcie spomiędzy tych nawisłych kamieni i spod sklepień przesiąkniętych zaciekami wilgoci. Wyszedł stamtąd pośpiesznie, minął rynek i stanął na wysokim urwisku. W dole przewijał się nizinami Bug wypływając z lasów i wstęgą — wstęgą zanurzając się znowu w lasy sine. Daleko leżało Podlasie.

Wioski, łągi, pola, cerkwie połyskujące w zachodzie słonecznym. W śniadą dal ciągnęła się ta ziemia niska, cicha i smutna. Piotr patrzył na nią zdobywczym, mierzącym i ważącym wzrokiem. Myśl zimna i zapytująca na zimno stanęła w mózgu szukając jednego wskazania, jak nieulęklą i niezmienną wolę wydobyć ze swego ducha i jak nią niby stalowym narzędziem urobić wolę tego ludu, wiernego swej idei. Czy zwali mądry czas i niepobłażliwe jego koleje tryumfujące bizantyjskie cerkwie, jak zwalone zostały tryumfujące kościoły i klasztory gotyckie? Czy legną kiedy w pospólnej ruinie i nie wstaną już nigdy ku męczarni tej ziemi ubogiej bożyszcza wschodu i bożyszcza zachodu, walczące między sobą na śmierć w imieniu cichej miłości Baranka Bożego?... Któż męstwo najwytrwalsze i poświęcenie jedyne na świecie skieruje ku dobru rzeczywistemu?

Gdy wieczór zapadł, Piotr powrócił do zajazdu, gdzie się był zatrzymał — trafił do swego numeru po karkołomnych schodach i wnet zasnął. Nazajutrz około godziny jedenastej najał konie i pojechał do Zatoki. Gdy miał zjeżdżać z wysokiego drohiczyńskiego wzgórza, woźnica pokazał mu w dali ledwie szarzące kępy drzew i wyśpiewał:

— On-dzie Zatoka...

Piotr z uśmiechem przypatrzył się tym drzewom jako zrealizowaniu niewiarogodnego zamysłu i w zupełnej już obojętności poddał się losowi, który sobie sam zgotował.

Było już po południu, kiedy zwinne szkapki drohiczyńskiego mieszczanina podwiozły go do starej lipowej alei. Mijając bramę wjazdową Piotr przebiegał w myśli różne frazesy, mające tłumaczyć powód jego przybycia, ale ostatecznie na żaden nie mógł się zdecydować. Postanowił tedy postępować bez żadnego programu. Zobaczył przed sobą dwór murowany, szeroko rozsiadły, z dwiema na rogach basztami, które czyniły wrażenie, jakby ich budowniczy rozpędził się do stawiania "pałacu", lecz uląkł się własnej myśli i poprzestał na niezdecydowanych narożnikach. Pośrodku dworu był nieodzowny ganek i dzike wino, zgniłe stopnie i obłupane filary. Gdy wasąg zatrzymał się przed tym gankiem, zza oszklonych drzwi wybiegł zamorusany wyrostek w opiętym kubraczku z zaśniedziałymi guziczkami i coś niewyraźnie bełkotał w jakimś języku. Piotr rzekł do niego po polsku:

— Czy pan Oścień jest w domu?

— Jaśnie pan jest w domu.

— A jaśnie panienka?

— Jaśnie panienka to samo jest w domu.

— No, to pokaż mi, którądy się wchodzi.

Lokajczyk otworzył oszklone drzwi do przedpokoju, wpuścił Piotra i sam znikł. Dały się słyszeć biegania, stapania i niespokojne szepty.

"Pewni są, że to rewizja..." — myślał Piotr rozglądając się po kątach i sprzętach. Rozmyślania jego przerwał lokaj notoryczny we fraku, wdzianym na skandalicznie brudną koszulę. Ten łypał na gościa okiem mało przychylnym, aż wreszcie zdecydował się na pytanie, jak ma zameldować. Piotr podał mu bilet wizytowy i wszedł do niewielkiego saloniku, umeblowanego starannie. Meble były niedzisiejsze, wykwintne, znać, że rodzinne. Szerniały obraz mitologiczny w suto złożonych ramach witał jak dawno znajomy.

Do tego małego gabinetu przylegał salon duży, raczej sala balowa, z jasnymi obiciami, widocznie niedawno naklejonymi, i nowoczesnym umeblowaniem. Piotr zatrzymał się przy stole zajmującym środek pokoju. Sennie patrzył na połysk posadzki w sąsiednim salonie. Długo czekał. Przewinęła się leniwa i gorzka myśl, na co to on czeka, gdzie jest i czego chce... Znikąd wynikła pewność przekłeta, że już przenigdy na Tatianę czekać nie będzie. Jej cień — co się często przydarzało — nieomal naoczny zamajaczał w przestworzu... Nieszczęście podniosło złą swoją paszczę jak bezsenny pies, stokroć bity batem i przyuczony do warowania w milczeniu. Uderzył je myślą, że go tu pewnie wcale nie przyjmą. Myśl była bardzo nieprzyjemna, lecz począł oswajać się z nią i przewidywać konsekwencje.

Minęło tak sporo czasu, aż wreszcie w sąsiednim salonie posadzka z cicha skrzypnęła i we drzwiach ukazał się wysoki, szczupły, starszy mężczyzna. Ubrany był starannie, posuwał się zgrabnie krokiem salonowego bywalca. Skłonił się z daleka i z umiarkowanym gestem przychylności zbliżał do gościa. Włosy miał dość długie, już rzadkie i starannie podczernione — twarz ogoloną i małą, po angielsku przycięte wąsy. Jego zaokrąglony żakiet, krawat i bielizna były najświeższego kroju i mody. Piotr skłonił się z dala i rzekł:

— Szanowny pan przebaczy, że ośmieliłem się przybyć tutaj dla złożenia mego uszanowania. Pragnąłem osobiście przeprosić pannę Małgorzatę Ościeniównę za przykrość, jaką jej wyrządziłem wmieszawszy się w jej obecności w awanturę, a nawet w bitwę na pałasze z gronem oficerów piechoty...

Piotr mówił to głosem nieswoim i śmiesznym, zgłębiając jednocześnie całą niedorzeczność frazesów. Twarz pana Ościenia wyrażała zdziwienie, a nawet niechęć.

— Ach, więc to szanowny pan... — mówił on chłodno i z grzeczną cierpkością w tonie.

Wskazał Piotrowi krzesło, a gdy ten usiadł, sam zajął najbliższy fotel. Oczy miał przymrużone i nieżyczliwie wpatrywał się w przybysza. Usta jego były zaopatrzone w sztuczny uśmiech, na leżyty i niemal modny jak ubranie.

— Moja córka — mówił pan Oścień oziębło — była szczerze bardzo wzruszona. Przez długi czas nie mogła się uspokoić. Mamę krewnych w tamtych okolicach. Pojechała na czas pewien. Wybrali się całą gromadką do miasta dla załatwienia sprawunków — i — trzebaż mieć szczęście! — taka przygoda!

Nie wiadomo było, czy w sensie i tonie tego zdania zawierało się podziękowanie, czy wymówka. Piotr czuł to dobrze, lecz uspokajał się stopniowo i zbierał wszystką przytomność dla swego celu. Rzekł obojętnie:

— Uważałem za konieczność wystąpienie swoje ówczesne, ale oczywiście rozumiem, że córkę szanownego pana musiało ono przerazić. Nie mogłem za to wcześniej przeprosić, gdyż nie znane mi było nazwisko. Zresztą inne okoliczności stanęły na przeszkodzie. Dopiero teraz w Warszawie pewien mój znajomy, adwokat Darzewski, powiadomił mię.

— Szanowny pan mówi tak dobrze po polsku — wtrącił pan Oścień.

— Jestem Polakiem.

— Tak — uśmiechnął się gospodarz. — Przyznam się szanownemu panu, że przez pewien czas żyliśmy wskutek tego wypadku pod grozą konsekwencji.

— Jakich?

Pan Oścień nachylił się i rzekł z cicha, jak gdyby ktoś podsłuchiwał tę rozmowę:

— Mogło to pociągnąć Bóg wie jakie następstwa. Mogło zgubić moją córkę.

— Nie bardzo rozumiem, co mianowicie?

— Czyż ja wiem! Alboż w takich razach można pytać o logikę, prawdę i prawo? — mówił z goryczą, przymykając oczy.

Wpatrzył się jednak natychmiast krótkowzrocznymi oczyma w twarz gościa z badaniem, czy ten nie weźmie mu za złe od strony miarodajnej tego, co wyraził tak śmiało i stanowczo. Piotr porzucił ten przedmiot.

— Znajduję — mówił brnąc w niepotrzebny zapal, wyrażając w sposób pospolity i banalny to, co głęboko przepracował w sobie — że wszyscy karmimy się ostrożnością aż do zbytku uporczywie.

— Pan znajduje?

— Przecie honor ważniejszy jest niż życie! — zdecydował, jakby to była deklaracja zupełnie nowej prawdy. Zdanie, które wygłosił, stanowiło sylogizm okupiony przesłankami ciężkich doświadczeń — a tak śmiesznie rozległo się w tym pokoju! Toteż dodał:

— Nie mówię tego przez chępliwość albo przez jakąś donkiszoterię, lecz po dokładnym namyśle. Polaków jest przecie z górą dwadzieścia milionów... — począł mówić z naciskiem, lecz dał pokój dalszemu ciągowi.

Pan Oścień słuchał tych zdań z dyplomatyczną ostrożnością. To się z lekka marszczył, spod oka patrzył na tego szczególnego oficera w rosyjskim mundurze — to się uśmiechał ironicznie pod swym przystrzyżonym wąsem.

— Tak to się mówi — westchnął z pobłażliwością — gdy się jest młodym jak szanowny pan. Rozumiem szlachetną młodość i piękne jej uniesienia. Rosja, Rosja! szanowny panie... Mocarstwo, milion z górą bagnetów, półtorasta milionów narodu... A cóż my? — Miazga, "stado rozbite przez wilki", jak doskonałe powiedział Kraszewski w Rachunkach.

Piotr usłyszał w tych wywodach jakby sformułowane powtórzenie dawnych swoich poglądów i mniemań. Stracił chęć do ich zbijania. Pan Oścień przyszedł mu z pomocą zamykając rzecz słowami:

— Zresztą każdy ma swój sposób zapatrywania się na te kwestie...

Jednocześnie nacisnął dzwonek. Wszedł rozczochrany lokaj we fraku.

— Niech no Maciejunio poprosi panienkę do małego salonu... — rzekł pan Oścień do owego indywiduum.

Rozłucki poczuł żywe zaciekawienie. Miała się rozwikłać sprawa, dla której przyjechał. Usiłował mówić jeszcze na temat wyżej poruszony, ale były to poplątane myśli w jakichś powyrywanych i postrzyżonych słowach. Tymczasem skądś, z głębi domu dały się słyszeć ciężkie kroki i z sieni wszedł do saloniku młody jeszcze, wysoki, można by powiedzieć, ogromny mężczyzna. Był to czarny brunet z krótko ostrzyżonymi włosami i twarzą zupełnie wygoloną. Miał na sobie przydługi surdut czarny, który z trudnością opinał jego nadmiernie tęgie, muskularne i zażywne ciało. Śniade smugi po ogoleniu nadawały jego twarzy cerę zdrowej rdzy — oczy były żywe i mądre, a piękne usta uśmiechały się. Stanąwszy na progu wysoki jegomość rzucił na Piotra przenikliwe spojrzenie i długo nie spuszczał zeń oka. Dopiero po chwili zbliżył się, skłonił i rzekł krótko:

— Wolski.

Piotr wymienił swe nazwisko. Tamten usiadł na jednym ze starych krzeseł, które pod nim żałośnie zaskrzypiało, i znowu pilnie patrzył. W tym jego spojrzeniu natarczywym i roztropnym nie było przecież nic przykrego. Był to wzrok gwałtowny i szczery. Piotr poczuł sympatię do tego "draba", jak go nazwał w myśli od pierwszego spojrzenia.

— Widziałem — rzekł ów Wolski — jak pan jechał. Bo pan jechał z Drohiczyzna.

— Tak jest.

— Właśnie. Ta czapka z daszkiem i lampasem tak się w polach maluje wyraźnie, że trudno nie spostrzec.

— Tak, te lampasy rzucają się w oczy, i to we wszystkie — śmiał się oficer. — Skoro je tylko kto zobaczy na zachodzie, zaraz patrzy na wschód.

Pan Wolski nic nie odpowiedział. Sapał tylko z emocji czy zmęczenia. Ręce jego grube i potężne złożone zostały na żołądku w sposób tak klerykalny, a dwa wielkie palce puściły się w szybkiego młynka w sposób tak dyplomatyczny, że Piotr powziął przeświadczenie o godności tej osoby. Zdecydował, iż to nie może być aktor, jak suponował uprzednio, lecz chyba ksiądz niewątpliwy. Dziwiła tylko kusa sukienka i objawy zdrowia zanedo już z tego świata i świeckie.

W przyległym salonie dał się słyszeć szelest i we drzwiach stanęła panna Małgorzata Ościeniówna. Spostrzegłszy Piotra na chwilę przystanęła. Oczy jej przybrały wyraz najgłębszego zdumienia, a usta na moment uchyliły się, jakby miała krzyknąć. Ale to trwało zaledwie przez mgnienie oka. Weszła spokojnie do małego saloniku. Od czasu, kiedy ją Rozłucki po raz pierwszy w wagonie widział, rozkwitła z dziewczynki na pannę, lecz zachowała w sobie coś z prostoty i wdzięku dziecka. Przynajmniej, gdy przekraczała próg pokoju, była osiemnastoletnim dzieckiem.

— Marzenko — rzekł do niej ojciec — pan Rozłucki.

Po chwili dodał w sposób niby to nader uprzejmy, lecz z zarezerwowanym wewnątrz przekąsem:

— Twój wybawca...

Piotr nie miał już odwagi powtarzać swego pierwszego frazesu, więc też przeszedł od razu z górnych zamysłów na ton zupełnie naturalny:

— Nie wybawca bynajmniej, lecz raczej sprawca wielkiej przykrości. Przecież pani wraz z całym towarzystwem osób zgromadzonych przy jej stole mogła wówczas wyjść bezpiecznie z owej restauracji bez żadnego zgoła szwanku. Tymczasem ja wystąpieniem nie w porę, w dodatku za gwałtownym, wywołałem awanturę.

— No, wyjść to tam nie bardzo było można, bo ci panowie zupełnie zagrodzili drogi — rzekła panna Małgorzata w sposób naturalny. Najwidoczniej jednak, jak to mówią, "zagalopowała się" w szczerłość, gdyż ojciec powstrzymał dalszy ciąg wynurzenia prawdy zimnym spojrzeniem jak wędzidłem.

— Ładnie by tam byli wyglądali wtedy, żeby nie pan! — rzekł Wolski. — Tamci mogli ich porządnie wówczas poturbować. Przecie to, podobno, było wszystko tego pijane.

— Nie, tak znowu bardzo pijani nie byli... — znowu zaawansowała się panna Małgorzata.

— To już tak dawno — wtrącił Piotr — trudno dziś przypomnieć, jak to tam było. W każdym razie muszę panią przeprosić za moją ówczesną pasję. Nie przyszło mi wówczas do głowy, że tamci oficerowie, koledzy moi, właśnie wskutek tego mogli państwu wyrządzić jakąś krzywdę...

Jej wewnętrzne przeżycie tamtego wypadku najwidoczniej nie mieściło się w klubach doskonałego wychowania i raz wraz wydobywało na zewnątrz w postaci spojrzeń, gry twarzy, a nawet gestów niezupełnie otamowanych. Była to rzecz oczywista, że panna Małgorzata miałaby bardzo wiele do powiedzenia gościowi na temat owego zajścia, miałaby cały szereg pytań, żądań wyjaśnienia sytuacji i swoich uwag niemało — ale na to wszystko nie pozwalał kodeks, który stał się jej drugą naturą, tak dalece mu podlegała. Piotr dojrzał to inne, głębokie życie, płynące pod zewnętrzną powłoką, ukryte za mniemanym spokojem twarzy i ruchów. Bawił go widok tych dwu sił tak widocznych w sposobie zachowania się tej młodej panny, równych co do mocy, a opanowanych jedna przez drugą — siły wychowania i siły wewnętrznej, niesfornej jak kręta i wartka rzeka.

"Nie jest to widmo z tragedii, nie jest to postać ukazująca się we snach, lecz i nie gąska" — myślał sam dla siebie, pomiędzy sentencjami, które formowały się i układały w zdania.

Pan Oścień uprzejmie zapytał:

— Szanowny pan był łaskaw, jak słyszałem, przybyć tutaj z Drohiczyzna?

— Tak jest.

— Najętymi końmi?

— Tak.

— Pozwolę sobie odesłać te konie, a pana prosić na nasz wiejski, skromny obiad.

Piotr skłonił się i wycodził należyty frazes dziękczynny za zaproszenie. Gruby pan Wolski wstał ze swego miejsca i na migi porozumiał się z gospodarzem domu, że on załatwi odprawienie furmanki. Z

tym znikł za drzwiami. Słysząc było na ganku jego głos jak dzwon kościelny. Piotr uczył się w domowym powietrzu jak po przyjeździe do Polski, jak w domu dziada.

Przemknęła myśl w gorzkim śmiechu: "I to dla tej paniutki tak straszliwie skrzywdziłem Tatianę, że aż rzuciła się w ramiona Roszowa!... Po cóż to zrobiłem? Kto mi kazał? Jakże się to stało?"

Pan Wolski wrócił do pokoju. Siadł na swym krześle, jęczącym z cicha, zdało się, już gdy się zbliżał — i nachylony do Piotra z niezgłębionym współbolewaniem powiedział dosyć głośno:

— Musi też pan być i głodny potężnie...

Piotr zaprzeczył. Panna Marzenka i jej ojciec roześmieli się z cicha, jednocześnie. Pan Oścień wyjaśnił:

— Ksiądz Wolski lituje się nad panem zupełnie podstępnie, bo sam już głodem przymiera.

— Pan jest księdzem? — zapytał Piotr.

— A dyć tak — choć to i tonsura zarosła, i z sutanny wypływam wszystkimi szwami.

— Ksiądz Wolski był moim nauczycielem religii w Warszawie... — powiedziała pana Małgorzata.

— A teraz siedzę tu u państwa na łaskawym chlebie — dorzucił sam duchowny z goryczą, kręcąc palcami swego młynka i wstydliwie przymykając powieki. Mimo tych niewesołych słów żartobliwy i mądry uśmiech okalał jego karminowe usta.

Wszedł lokajczyk i poprosił do stołu.

Jadalnia znajdowała się po drugiej stronie sieni wejściowej. Był to pokój niski i wąski z rozmaitymi drzwiczkami prowadzącymi do zakamarków dworu. Stamtąd wychodziły do stołu osoby stare i zasuszone. Pewien jegomość w pomiętym ubraniu bardzo nieżyczliwie patrzył na mundur Piotra i zawzięcie milczał przez cały czas obiadu. Dama, Francuzka, śmiesznie mówiąca po polsku, wciąż powtarzała te same banalne frazesy akcentując wyrazy polskie najzupełniej po parysku. Wpadła w rozrzewnienie, gdy Rozłucki począł z nią mówić po francusku o Paryżu, wspominać place, ulice, gmachy i ogrody.

Ksiądz Wolski mniej uczestniczył w rozmowie, bardziej natomiast przykładał się do spożywania darów bożych. Przyjemnie było patrzeć, jak temu współbiedniakowi wszystko smakuje, bez względu na jakość dania, i jak dziwnie szybko z jego talerza znikają porcje, sosy i przystawki. Gdy zaś zniknęło wszystko, aż do ostatniej kropli starannie spożyte, i pozostawał tylko czysty talerz do sucha wytarty chlebem, oczy księży miały wyraz z lekka żalony i osmętniały. W takich momentach "proboszcz" wzdychał:

— Ach, jakże to życie jest króciutkie! Ach, jakże bardzo króciutkie!

Po obiedzie, dość skromnym, lecz, oczywiście, "smacznym", ów ksiądz Wolski poprowadził Piotra do pokoju gościnnego w narożnej wieży dworu. Wchodziło się tam po schodkach przystawionych do owej wieży, pod daszkiem z lekka dziurawym. Z pokoiku jak latarnia widok był na stary ogród, ale — niestety! — i na obory za płotem ogrodowym.

Ksiądz Wolski umieścił Piotra w tym pokoiku, gdzie oprócz łóżka, stolika i paru krzeseł była jeszcze pewna ceratowa sofka. Miał wyjść, ale przed wyjściem "pozwolił sobie" zapalić jedno z cygar,

których paczuszkę nosił pieczolowicie w bocznej kieszeni dobrze zasłużonego surduta. Pozwolił sobie również zasiąść zgoła wygodnie na owej kanapce. Palił z prawdziwą satysfakcją. Z lekka przymykał oczy i wzrokiem mętniejącym od przyjemności palenia wodził po ścianach. Piotr spostrzegł od dawna, że ten jegomość ma w domu Ościeniowskim niemałe znaczenie, że dobrze wie wszystko i zna wszystkich na wylot. Jeszcze podczas obiadu postanowił powziąć od niego niepostrzeżenie rzeczywistą wiadomość o istotnej pannie Małgorzacie, a zarazem wytłumaczyć się z przyczyn i powodów swej śmiesznej wizyty. Nie wiedział jednak, od czego i jak zacząć, bo człowieka tego nie znał — a nadto po raz pierwszy w życiu rozmawiał z notorycznym księdzem katolickim. Pewna postać ciekawości, co też to jest przede wszystkim taki ksiądz, wstrzymywała go w pół drogi. Stał przy oknie patrząc w ogród. Nareszcie zdecydował się:

— Chciałbym wytłumaczyć się przed szanownym panem, dlaczego tutaj przyjechałem... — mówił z niezręcznym pokasywaniem.

Ksiądz ze zdziwieniem podniósł głowę.

— Awantura, którą swego czasu z oficerami wywołałem, wywarła na mnie wpływ decydujący. Począłem szukać samego siebie... Nie chcę, wie pan, mieć złudzeń co do siebie ani złudzeń co do ludzi, z którymi się stykam. Chciałbym być istotnym sobą i istotny świat mieć w oczach, nie jego złudzenie.

Ksiądz Wolski oszczędnie potakiwał wpatrując się w starannie wyhodowany koniec swego cygara.

— Przyznam się szanownemu panu, że osoba panny Małgorzaty — ciągnął Piotr dalej — zainteresowała mnie ze względu na rolę, jaką w życiu mym odegrała. Trudno mi to jest wytłumaczyć, bo są to rzeczy zawile... Było to tak, jak nieraz z dziełem sztuki, które znamy z podobizny albo z relacji, z niejasnego przytoczenia estetów, a które to dzieło pragniemy poznać samo w sobie, sprawdzić jego znaczenie, wartość i wpływ, nie jako zbadać je i zmierzyć.

— No, o czymże tu mówić! — przerwał ksiądz. — Rębał się pan za nieznaną osobą, szramę tyłą wziął na pamiętkę, a osoby samej nie znał. Cóż dziwnego, że ją pan chce poznać?

Piotr zaczerwienił się. Pośpiesznie zaprzeczył:

— Nie chodzi mi wcale o jakiś pospolity i łatwo dostępny eksperyment — ależ bynajmniej, ani trochę! Nie chodzi też o jakąkolwiek bliższą znajomość...

— Bo i jakaż tu może być bliższa znajomość, dobry panie? — rzekł ksiądz prosto, szczerze i z uśmiechem. — Gdyby się w panu zadurzyła, a, wówczas mogłaby być mowa o bliższej znajomości... Wtedy mógłby pan być przybliżony do niej, no i wynagrodzony sowicie — ale to jest przecie rzecz, której w tej oto rozmowie nie zawiążemy ani rozwiążemy...

Piotr roześmiał się szorstko i oświadczył:

— Powiem szczerze, że zupełnie o czym innym myślałem, ale nie mogę tego wytłumaczyć...

— A wie pan, że ja, pomimo tych trudności tłumaczenia na język ludzki wewnętrznej gwary — trochę ją i tak rozumiem. Trochę może zgaduję, czego pan szuka. Powiem jedno: Ta panna była warta, żeś ją obronił, żeś się o nią rębał i poniósł rany.

Rozłucki pod wąsem uśmiechnął się wzgardliwie. Ksiądz ciągnął dalej:

— To jest dla mnie dziwne i niewytłumaczone, w jaki sposób przy tak wielkiej masie złego, które tryumfuje i rządzi światem, może jednakże istnieć tak niepojęty wymiar sprawiedliwości.

— Myślę, że to jest jedno ze złudzeń naszego optymizmu.

— Doprawdy?

— Iluż to zginęło najbardziej cnotliwych, najczystszych i najbardziej dla niewątpliwego dobra ziemi potrzebnych! Ilu takich podeptało i wbiło w ziemię szalejące, złe okrucieństwo!

— A nigdy pan tego nie spostrzegł, żeby głęboka prawda gdzieś znalazła swój organ niejako, który na nią od dawna czeka, ażeby ją w lepszą formę urobić? Czy nigdy nie zdarzyło się panu zauważyć w ciągu szarych dni życia, jak dobra wola, jak wysiłek cnotliwy, który poczytywało się za najbardziej samotny i przepadły — gdzieś znalazł nie tylko przyjęcie życzliwe, lecz jakby miejsce oczekujące? Mnie się wydaje, że tyle właśnie świętości, ileśmy ze siebie wydali, odnosi nam w niewiadomym dniu i w sposób niepojęty jakowaś siła wszystko pamiętająca, jak gdyby czyjś czujny poseł.

— Może to jest ta sama siła, która jest w nas, która się w nas rozdwaja i samej sobie z uśmiechem dobrotliwym przypatruje.

— Znowu swoje!

— Bo sami zapewne stwarzamy sobie tę moralną nagrodę — w chwili dobrotliwego na rzeczy spojrzenia. Kiedyś może prawa społeczne tak się rozwiną i rozszerzą, że obejmą wszelkie istnienie. Może wówczas szlachetny uczynek znajdzie swe zrozumienie i niewątpliwy organ. Ale dziś — jakże samotnym jest człowiek!

— O, kiedyś! Zawsze: kiedyś tam. Ja, panie, jestem człowiek niepobłażliwy. Patrę w dzień dzisiejszy, bo dziś żyję. Może to wytwarza to moje końskie zdrowie, ten iście bestialski apetyt, no i ta tusza z piekła rodem, której niczym pokonać ani nawet zmniejszyć nie sposób.

— Dziś — rzadko się widzi dowody nagrody za cnotę. Prędzej karę właśnie za cnotę.

Nagroda może tam gdzie istnieje, ale strasznie długo trzeba na nią czekać. Oczywiście, o ile kto czeka na nagrodę za ową cnotę.

— A pan nie?

— Ja nie.

— Ejże!

— Cnota jeżeli jest sobą, to nie może mieć nagrody. Jest sama ze siebie i dla siebie jak zdrowie. Jakaż może być nagroda za zdrowie? Chyba ów apetyt, jak go pan nazywa, "bestialski". Ale i apetyt nie jest nagrodą za zdrowie, jest raczej nim samym.

Ksiądz uśmiechnął się dobrotliwie. Westchnął:

— Oj, panie, młody panie! I to oficer takie dyrdymałki prezentuje mnie, teologowi! Ale order to pan będzie nosił jako nagrodę za swą cnotę wojskową...

— Nie będę nosił orderu.

— "Nie będę..."

— Jeżeli cnotą jest obronić kobietę od napaści grona mężczyzn, to za tę "cnotę" o mało nie zostałem wydany z pułku... Nie mówiąc już o innej, specjalnej nagrodzie...

Ksiądz pomrukiwał. Piotr rzekł dość szorstko:

— Panie! Nie po żadną nagrodę przyjechałem tutaj. Racz mi wierzyć!

Gruby ksiądz odsapnął. Z żalem wyeksploatował ostatnie zapasy dymu ze swego cygara i powiedział:

— Zamiast tutaj staczać akademickie dyskusje na jałowy temat cnoty, może byśmy się tak przeszli po polach. Bo mnie, przyznam się panu dobrodziejowi, dusi w czterech ścianach. Bez powietrza, i to dużego, żeby niby nic nie sterczało — nie mogę! Bogiem a prawdą, lubię wiatry, i to duże. W polu, na szerokości, to się i Pana Boga lepiej rozumie, i człowieka jakoś snadniej znosi.

— O, ja z chęcią pójdę!

— Poprosimy panienkę Małgorzatę. Może z nami wyruszy na ów spacer.

— Czy tylko zechce?

— Czemuż by nie miała chcieć? Jeździmy tu i chodzimy po polach czy to w pojedynkę, czy gromadnie...

— Ale może państwu będzie nieprzyjemnie pokazywać się przed prostym ludem tutejszym w towarzystwie oficera!

Ksiądz Wolski uśmiechnął się chytrze, tarł nos i przymrużał oczy. Wyjaśnił wreszcie:

— Powiem szanownemu panu najszczerzą prawdę. Właśnie dlatego pragnąłbym pokazać się z panem na polach i drogach tutejszych, że pan jest w tym oficerskim mundurze.

— Doprawdy? — zdziwił się Piotr.

— Tak.

— Nie bardzo rozumiem.

— Widzi pan, ksiądz bez żadnej parafii, siedzący tygodniami w tych stronach, we dworze szlacheckim, jest solą w oku dla wszelkich tutejszych dygnitarzy. Już o tym z dziesięć razy składano raporty, że sześć proszono mnie na rozmówkę, a ze cztery próbowano wprost wysiadać. Tylko dzięki przemożnym stosunkom pana Ościenia, a właściwie pewnej osoby w tutejszym świecie arystokratycznym, cierpią mnie tu, ale jak wrzód na szyi. Toteż wiedzą o mnie i pamiętają, jak się wie i tkliwie pamięta o wrzodzie. Ciągłe ktoś za mną łązi, gdy idę na spacer, zawsze ktoś czai się i podgląda mnie, żebym się najnaturalniej wydalił na drugi koniec ogrodu, co przy moim apetycie i zdrowiu jest konieczne. Otóż, gdy mnie ci podglądacze ujrzą w towarzystwie takiej czapki, takiego kołnierza, szlif i guzików, to sobie dopiero choć z dzień, ze dwa odsapnę! A zasie!

— Och, w takim razie służę szanownemu panu nie tylko czapką, kołnierzem i szlifami, ale nawet pałaszem.

— O, nie! Za pałasz dziękuję! Żeby znowu tak nie było jak z panną, z Małgorzatą... Wypraszam sobie! Ale z drugiej strony rzeczy biorąc, czy znowu panu dobrze będzie pokazywać się w towarzystwie tej mojej sukienki, choć tak krótka i wyświechtana?

— Nic ona mi nie zaszkodzi.

— Bo to, wie pan, tych tam ciekawskich zaraz to zainteresuje, co to znowu za oficer, co z klechę paradytuje po nadbużańskich przestworach? Nie poprzestanie się na prostej ciekawości, lecz zaraz sięgnie do źródła: a kto, a skąd, a po co? To są strony nader czujnie opatrzone w informacje. Nic się tu przed czujnością jakichś oczu i uszu nie ukryje.

— Raz powieszonemu już, podobno, drugi stryczek nie szkodzi na zdrowie. Więc się nie boję.

— No, skoro tak, to chodźmy! — zdecydował ksiądz Wolski, ciężko powstając z kanapki.

Zeszli w dziedziniec. Ksiądz wielkim krokiem udał się do bocznego skrzydła dworu, ażeby uwiadomić pannę Małgorzatę o projekcie spaceru. Niebawem wyszła w towarzystwie jednej z dziewcząt podstarzałych, którą Piotr widział był przy stole. Naradzano się dosyć burzliwie nad tym, w jaki sposób odbywać ów spacer: bryczulką czy inaczej? Po długich dysertacjach, na wniosek, dość wrzaskliwie — trzeba to zaznaczyć — stawiany przez księdza, zdecydowano jechać małym pony i kariolką. Ksiądz udał się do stajni i wszystko w mgnieniu oka zadysponował, zarządził i przeprowadził. Kariolką stanęła przed gankiem. "Proboszcz" powoził. Obok niego zasiadła kwokowata panna Natalia. Dwa miejsca w tyle zajęte zostały przez pannę Małgorzatę i Piotra.

Ponieważ byli odwrócenie od kierunku, w którym pobiegł konik, krajobraz począł uciekać przed ich oczyma i płynąć jak rzeka. Ta okoliczność jeszcze bardziej powiększała trudność obcowania. Panna Małgorzata była zresztą jak zawsze — spokojna i zrównoważona. Pokazywała gościowi okolicę z wymienieniem nazwy każdej wioski, rzeczki, nawet łąki i parowu. Czyniła to w sposób pilny i dokładny jak dobra uczennica wydająca lekcję bez błędu. Lecz ta geografia nie wystarczała. Należało mówić o czym innym. Piotr próbował, lecz każdy temat witany był grzecznym uśmiechem, potwierdzeniem lub zaprzeczeniem zawsze trafny, dokładny, czasami jakimś półsłówkiem, półdowcipem. Wszystko to jednak było ponad wszelką miarę europejskie i nieco zanedbano wykointne.

Okolica była nadobna, falista, leśna. Pola poprzegradzane lasami zniżały się daleko. Żółto już zboża i ścierniska stały wszędzie, pozłociste wśród owsów już dobrze bielejących i zwiędłej naci kartoflanej. W pewnym miejscu wyminięto przysiółek pod lasem, wioseczkę małą, białocienną. Ksiądz zatrzymał szkapkę i, jak powiedział, dla preparowania lejca, który mu się zepsuł, wszedł do jednej chaty. Dość długo tam ów lejcę reparaował. Gdy wreszcie wyszedł, postępował za nim chłop podlaski, szczupły, suchy, o twarzy poczerniałej. Człowiek ów był bez nakrycia głowy i o czymś z cicha rozmawiał z księdzem, lecz oczy miał w Piotra wlepione. W trakcie rozmowy z panną Małgorzatą Piotr spojrzał na owego człowieka i przerwał w pół zdania rozmowę. Tamten człowiek, bosy, bez nakrycia głowy, w zgrzebnych szmatach, przypatrywał mu się z uśmiechem — ale z jakże niewymownym uśmiechem! Tak uśmiechając się pokłonił się Piotrowi nisko — nisko. Nie był to przecież znak służalczości ani lęku, lecz raczej pozdrowienie duszy głębokiej, braterskiej, równej... Piotr zdumiał się pięknoci spojrzenia tego chłopowiny i czegoś nieprzyjemnie zawstydził. Chciał oddać tamtemu ukłon tak samo niski i tak samo miłujący, ale nie potrafił tego wykonać. Nie skinął nawet głową. Wskutek zaś tego poczuł nieprzyjemny i dokuczliwy żal. Cóż by za to dał, ażeby mu się nie tylko pokłonić, ale pójść z nim w ciche pola i wszcząć długą rozmowę, czuł bowiem, że zajrzała mu w oczy głęboka mądrość samotnej i pięknej duszy.

Ksiądz tymczasem stękając wdrapał się na swe miejsce i pony znowu pomknął piaszczystą drogą między polami. Piotr począł żywo rozmawiać z panną Małgorzatą, żeby zatrzeć szczególniejszy w sobie żal za wieśniakiem. Woźnica omijał starannie szersze trakty prowadzące do dużych wsi, gdzie połyskiwały kopuły cerkiewne, wolał raczej nadkładać drogi i objeżdżać dalekimi drożynami, po podlesiu.

W jednym takim miejscu, na zboczu wzgórza, "kazał" wysiąść, bo konik był zgrzany — i odpoczywać w zaroślach. Piotr zeskoczył z siedzenia i pomógł wysiąść pannie Małgorzacie. Lecz oto zaledwie dotknął jej ręki, nie wiedząc, co robi, ścisnął tę rękę, jakby ją chciał złamać i rozgnieść. W owej chwili uczuł w sercu mróz i jak gdyby uderzenie w twarz uśmiechem Tatiany leżącej w trumnie. Szedł za towarzystwem na pół omdlały, z przymkniętymi oczyma, niosąc bezmyślnie piękny jakiś błękitny szal panny Małgorzaty. Szal ten począł mu palić rękę...

Stał się na nowo starym sobą, nie tym młodym człowiekiem, który tu przyjechał i uczestniczył w przyjemnej ekskursji — lecz wstąpił do ciemnicy swej duszy. Bo istniał w nim jakby podświadomy schów, o którym nie wie nikt i o którego istnieniu on sam nie wiedział. Życie płynęło — ćwiczył żołnierzy, dzikie chłopstwo zegnane z czterech końców świata — uganiał się po polach na spasionym koniu, przebywał wśród armat — wytrwale i spokojnie pracował nad matematyką i lotnictwem — miał dnie równowagi i ciszy — spał dobrze, jadł i pił — a oto nagle otwierała się w nim tajna i zdradziecka zapadnia i ciemna jej czeluść niepojętymi uczuciami zionęła na duszę. Rano po twardym śnie ocykał się z nagła i oko w oko spostrzegął jakąś myśl niewyobrażalną, ukrytą w słowach, które mogły być pospolite, lecz zawierały treść zabójczą, niby kwiat niewinnymi barwy swej korony osłaniający truciznę.

Nieraz zdawało się po dawnemu, że przy łóżku ktoś w głowach posłania siedział przez całą noc i cierpliwie czekał, żeby w pewnej chwili z chichotem dmuchać w powieki, a w ucho rzucić dźwięk, ton, nazwę, szept... Imiona włoskich miast: "Florencja" albo "Rzym", "Wenecja" albo "Siena", zapadłe w dawne utęsknienia i pogrzebione jakoby w ruinach szczęścia, które na wieki i bez śladu zniweczył kataklizm trzęsienia ziemi — znowu się przypominały z zaziemskim swoim powabem, w całej piękności marzeń, ażeby łkać nad tym, co w nich być miało... Widok dzieci wieszonych na spacer w wózekkach przez piękne matki — kochanków dążących w swe drogi szczęśliwe — uroczych kobiet kuszących czarami oczu i uśmiechu — potraçał w jamę skrytą pod stopami ducha. Ował twarzy kobiecej, cichy po piasku szelest sukni, dźwięk mowy, barwa włosów, głos zasłyszany w przelocie — wywoływał tamtą z ziemi.

Coś się przywidziało, przesłyszało, przewinęło i dusza szła w ów podziemny chodnik, do niej prowadzący. Nieraz rzecz jakowaś wywołała wspomnienie, lecz wspomnienie przeszło bez bólu, szczęśliwie zagasło — lub dało się zdusić, wepchać pod kamień ucisku, śmiechu, przekleństwa. Lecz wyobrażenie rzeczy owej wracało się o niewiadomej godzinie, mściwe leciało nazad, wiedzące, gdzie jest blizna już powleczonego błoną — ni to nieprzyjaciela ducha, który się cierpliwie uczył swej sztuki i posiadał dokładną umiejętność zemsty. Jak gdyby cienkim lancetem uderzał w miejsce zranione. Ciekła długą strugą męczarnia z żywej rany. Dusza zapadała się w podziemie swoje, w pieczarę szlochów nadaremnych, których celu ani skutku nie ma, głuchych jęków bez przelania jednej łzy, co się wyrywają ze swej otchłani jak wichry nieustający, a nigdy jej nie opróżniają. Cierpienie wysysało niby morska woda ludzką powłokę, co w nią wpadła i omdlała.

W miejscu pod wzgórzem, które ksiądz Wolski wybrał na punkt spoczynku, otwierał się mały wąwozek, zarośnięty paprocią i tarkami. Szło się jak gdyby korytarzem pełnym zapachu i chłodu. Piotr patrzył na piękną postać panny Małgorzaty, która szła przed nim z wdziękiem i prostotą, cokolwieczek

sztucznie wykształconą i utrzymaną. Myślał wśród tępych podrywań ślepego impulsu, że przecie to ona spowodowała rozłam z Tatianą. Przypatrywał się jej toczonym, okrągłym rękoma, obnażonym do łokcia. Były to ręce może równie piękne jak ręce Tatiany. Lecz wówczas przypominał sobie, że tamtych rąk już wcale nie ma, gdyż dawno zgniły w ziemi.

U wylotu owego wozu stał w dolinie podrzędny młyn. Struga sącząca się łakami rozlewała się tutaj w stawek zarosły tatarakiem i zaciągnięty grzybieniem. Czarne koło młyńskie obracało się z wolna, wysypując z korcówek bryzgi wodne. Tuż obok tego koła była sucha łączka. Tam usadowiło się towarzystwo. Lecz po niedługim spoczynku ksiądz Wolski poszedł do młynarza znowu w jakimś interesie. Stara panna Natalia poczęła zbierać kwiaty i oddaliła się dosyć znacznie. Piotr został sam na sam z panną Małgorzatą. Miał jej tyle do powiedzenia, a nie mógł teraz sklecić ani jednego okresu. Rozmawiał wciąż, to prawda, lecz o rzeczach banalnych. Zadał kilka pytań, tych właśnie, z którymi tu przyjechał, zaczerpniętych z dziedziny ducha, gdy ze sobą w męczarni obcowali. Lecz po kilku odpowiedziach przekonał się, że ta wroga siła, która do niego, gdy był po śmierci Tatiany chory i zabity, przychodziła na sąd, ta dusza tragiczna, która mu obce jakieś przynosiła słowa — i panna Małgorzata siedząca na murawie z przepisany wdziękiem, to są dwa zupełnie odmienne byty.

Zadawał sobie pytanie, jakimże to sposobem tamta miała świadomość myśli przeklętych, które nie były jego własnymi myślami, lecz jakby zewnętrznymi krzykami nieszczęścia — i jakimże to sposobem tamta obwieszczała to, o czym rzeczywista nie a nie wie. Chciał skorzystać z nadarzającej się sposobności i po prostu otwarcie powiedzieć o co chodzi. Zaczął tedy wyjaśniać rzecz, jakąjąc się i mocując ze słowami trudnymi. Przypominał zdarzenie na balu z wachlarzem... Powiedział parę słów o Tatianie...

Panna Małgorzata zmieszała się, mocno zarumieniała, lecz wkrótce opanowała swe wzruszenie. Okazało się, że zrozumiała to, co Piotr mówił, po prostu jako manewr flirciarski, jako wybieg zręcznego bawidamka. Przyjęła to wszystko dość przychylnie. Oczy jej stały się weselsze, zaraz też powłóczystsze były spojrzenia, lecz tyle tylko, ile należy. Słuchała, gdy Piotr poprawiał swój wykład i starał się wyjaśnić tajną grę duchowego procesu w swej tragedii — spuszczała głowę i przybierała na twarzy piękny uśmiech. Później, jakby pragnąc mu się wywzajemnić za te usiłowania zawarcia bliższej znajomości, poczęła oględnie mówić o swych sympatiach dla duszy rosyjskiej, dla szczerości, prawdziwości, która tę duszę cechuje w przeciwieństwie do wiecznej maski nałożonej na serce europejskie przez obłudny cant kultury. Nie pokazując tego po sobie Piotr śmiał się serdecznie. Spostrzegł, że sprawa wyjaśnień do szczytu się zagmatwała. Dał pokój zwierzeniom. Frazes o szczerości duszy rosyjskiej popchnął go na pustynię jego samotnych przeżyć i najfatalniej sprzeciwiał się ich biegowi.

Nadszedł właśnie ksiądz Wolski. Młynarczyk w wystrzępionych majtkach niósł za nim donicę z mlekiem i chleb razowy. Wesół spożyto ów specjał, a ponieważ miało się już pod wieczór, wrócono tą samą ścieżką do uwiązane konika. Ksiądz poganiał, gdyż, jak wyśmiewały się zeń obiedwie panny, lęka się, żeby nie chybić na kolację.

Przybyto też do dworu znacznie przed tym ważnym terminem.

Gdy panny odeszły, Piotr został znowu na łasce "proboszcza". Ten zaproponował przechadzkę po ogrodzie.

Zachód już się zbliżał i piękne światło sierpniowe łagodnie igrało na piasku starych alei. Ogród spływał po pochyłości stromego wzgórza, na którym dwór się wznosił. Dosyć długo spacerowali w milczeniu. Piotr udał, że wraca do porzuconego tematu "zagadnień". Począł wysuwać, jakby miotać na

przynętę, myśli nie swoje własne, lecz kursujące po umysłach, rodzaj numizmatów budzących zaciekawienie ogólne. Judził tedy Wolskiego twierdzeniami, że koncepcja jedynobóstwa jest tylko uczuciem wyłowionym ze wszechświata zjawisk przez samotność ludzką — że jest ideałem potęgi, który człowiek wymarzył, ażeby za jego pośrednictwem wtargnąć do niebios i osiąść wiekuistą swoją chimere, nieśmiertelność — itd. Ksiądz szedł obok niego sapiąc i kiwając kiedy niekiedy głową na znak, że już to sto tysięcy razy słyszał i że oficer do— brze wydaje lekcję. Rozłucki, podniecony tą jego obojętnością i własną wymową, dowodził, że nigdy jeszcze żadna z nauk ścisłych nie wykryła dobrego albo złego zamiaru w jakimkolwiek zjawisku natury, że tedy...

Ksiądz mu przerwał:

— Nauk ścisłych nie znam, bo jestem właśnie i jak na złość — nieuk. Niechże się też pan nie męczy nadaremnie. Mnie pan nie przekona, bo Bóg mojej duszy nie jest wcale jakimś wynikiem dociekania naukowego, lecz po prostu władcą praw moralnych mojego sumienia. Cóż pan poradzi na takie wewnętrzne położenie?

— Bóg pańskiego sumienia jest dla mnie świętością, lecz skoro pan poczyną szerzyć po świecie naukę o tym swoim świecie wewnętrznym, to i ja muszę przykładać do niej naukowe probierze.

— Zaraz. Ja znajduję, że Bóg mój wszechmocnie rządzi w mej duszy. Spuszcza on nieraz na mnie karę nocy straszliwej, ciska w mym wnętrzu duchowym burzę, grom i błyskawicę, ażeby oświeciła w bezdennym mroku spokojnie czekającą twarz śmierci. A jeśli chce, każe burzy ustać, ucisza grom i gasi błyskawicę, ażebym mógł czuć woń kwiatów, słyszeć śpiew ptaków i szelest liści.

— Nie zawsze ucisza się burza, a piorun kogoś w mrokach zabija.

— Jeżeli pan jesteś na tyle potężny, że możesz świadomie rządzić swym światem wewnętrznym, panować nad nim, wszystko pamiętać i przewidywać, to jesteś swym własnym bogiem. Zna pan język włoski?

— Nie znam.

— Są w tym języku napisane poezje Michała Anioła, a wśród nich jedna, która tu za mnie powie. Jest to prawdziwie najgłębszy i najmocniejszy głos, jaki człowiek wydał z tej ziemi wołając na Boga:

O, Dio, o Dio, o Dio!

Chi m'ha tolto a me stesso,

Che a me fusse piu presso,

O piu di me potesse, che poss'io?

O, Dio, o Dio, o Dio!

— Cóż to znaczy?

— Zapytuje on Boga, jak to jest możliwe, ażeby człowiek nie był mocen sam w sobie nad sobą. Pozywa on Boga tytanicznym pytaniem, kto człowieka odrywa od samego siebie, kto ma w nim samym więcej władzy niż on sam? I woła w bezmiary: "O, Boże!" A kto też to tak bezsilnie wołał ku Bogu? To największy mocarz, tytan, który potrafił pokazać braci ludzkiej Noc i Poranek w innej formie, a równie potężnej, jak noc i poranek natury — który zamierzał rzeźbić góry — człowiek, który

wymyślił, wyliczył, zbudował i przepotężnie zasklepił kopułę, po której gzymsie idąc człowiek drży z zachwycenia i trwogi.

— Dobrze. A sam ksiądz nie przeżyłeś też przypadkiem takiego cierpienia, ażeby ci się wydało, że się twój Bóg na tobie pomścił jak śmiertelny nieprzyjaciół — że na tobie wykonał swój plan zamyślony od dawien dawna?

Wolski szedł przez czas pewien w głębokim zamyśleniu, z rozstawionymi palcami rąk. Potrząsnął głową i uczciwie powiedział:

— Nie. Takiego nieszczęścia nie przeżyłem.

— Kto wyjdzie na szczyt góry Mont Blanc, ten spostrzeży, że nasze cudowne, błękitne niebo, które tak kochamy, jest to czarna otchłań...

— A pan przeżywał coś podobnego? — spytał Wolski ze współczuciem.

Piotr nie odpowiedział na to pytanie.

— Za to ja — mówił ksiądz nie mogąc doczekać się wyjaśnienia — byłem proboszczem na głębokiej prowincji, wśród najuboższych wieśniaków. Spowiadałem... — szeptał kiwając głową. — A wiesz też pan, zapytam nawzajem, co znaczy takie określenie: spowiedź wielkanocna?

— Niezupełnie.

— To słowo znaczy: zgarniać przed swe oczy grzechy ciemnoty, wydobywać spod serca niedoli jej zbrodnię zrodzoną w zaduchu świata — i patrzeć na te nie podpadające wątpieniu wyniki nędzy człowieczej przez powiększające szkła własnej nędzy ducha. Kiedym w to wszystko wszedł i kiedym się zatopił po ramiona w tym nieszczęśliwym kale, poczułem się tam być do coraz większej siły, a z tej znowu siły rodziła się coraz większa i coraz to upartsza żądza czynności przeciwko grzechowisku. Och, męczyłem ci ja się tam po nocach, czując w sobie siłę tych oto ramion, tego karku byczego, tej głowy do rozbijania murów — a nic nie mogłem poradzić! Siedziałem w konfesjonale dzień dnia i miesiącami... A ci schodzili się i schodzili do mnie rzeszą ogromną, niosąc wyznanie o swej głupiej zbrodni. Nakazywałem, zakazywałem, nauczałem, krzepiłem, podnosiłem, jak mię poinformowały moje kanony. Ale to wszystko było tak, jakbym na zgniłym miejscu stojąc chciał zdeptać gnojowisko. Dźwigała się we mnie stale, uparcie i coraz zuchwalej żądza wytępienia mojej zatechłej sadzawki, przekształcenia jej na rolę godną Boga i ludzi. Zadałem sobie trud wyrwania moich parafian z objęć grzechu, który z ich ciemnoty wyrastał. Leżałem po nocach krzyżem w pustym kościele pod pełgającą lampą, błagając Boga o rozum, co mam czynić, o łaskę męczeństwa na wzór Zbawiciela, bylebym świętego czynu dokonał. Rozpętałem się był w pracy, wyładowałem ze siebie wszystką końską siłę. Chodziłem od chaty do chaty nauczając wszystkiego, com sam umiał, wskazując palcem jak dzieciom miejsca, gdzie mają stawiać swe kroki, mówiłem do nich tak szczerze i tak z duszy na kazalnicy, że ryczeli jak stado zwierząt. Skasowałem drogie pogrzeby, pościłem aż do zupełnego głodu, rozdawałem to, co mi znieśli... Wreszcie zabrałem się do apostołstwa nie tylko wśród nędzarzy ducha, ale podniosłem oczy na współkapłanów i zajrzałem w ich uczynki z tą samą siłą i ciekawością, co w sumienia penitentów.

— O, to, zdaje mi się, bardzo śliska droga!

— To bardzo karkołomna droga. Skoro tylko zniżyłem do minimum takse pogrzebów, już stałem się złą owcą w stadzie, boć oczywiście wskazywałem w ten sposób na zdzierstwo najbliższych moich

sąsiadów-proboszczów. Moje kazania, wędrówki po parafii, czytanie, stowarzyszenia przeciwalkoholiczne i wszelkie prace nabrały wnet odoru herezji.

— Cóż się dalej stało?

— Nic nadzwyczajnego. Miałem i ja ciągle konferencje ze zwierzchnikami. Głaskano mię albo grożono — zależnie od mej postawy, wymowy i okoliczności. Później zostałem towarzysko odosobniony. Miałem jednak możliwość czynienia na parafii, co mi serce dyktuje. Gdy jednak nie poprzestając na tej sferze działania począłem "mieszać się w nie swoje rzeczy", przeniesiono mię z tamtej parafii na znacznie gorszą. Dostałem domek na mieszkanie wilgotny, będę ze zrujnowanym gmachem kościelnym, parafijkę małą, złożoną w przeważnej mierze ze złodziei, koniokradów, pijaków...

— To był system pedagogiczny.

— A tak. Wkrótce z tamtej dziury przeniesiony zostałem na stopień wyższy, do konsystorza. Zajrzawszy zaś w tę całą maszynię u steru, dopiero stanąłem prawdziwego dęba.

— Doprawdy?

— Przeniosłem się do Warszawy i tam dawałem po pensjach lekcje religii. Wkrótce jednak postanowiłem, jak jaki powieściowy bohater, jechać do Rzymu. Zebrawszy tedy trochę grosza z lekcji, pomknąłem. Byłem w Rzymie blisko dwa lata.

— Ciekawy jestem...

— O, to rzecz mało interesująca — moje tamtejsze perypetie. Przygody głupca z parafii... Szukałem ducha bożego w tym siedlisku biurokracji. Przede wszystkim nigdzie i do nikogo nie mogłem się dostać. Nie byłem księciem, hrabią, milionerem, nie przywlokłem ze sobą wora z pieniędzmi na świętopietrze, więc nie rozumiano, czego chcę. Skoro do jakiegoś miejsca dotarłem, pytano z urzędową ścisłością: — z jakiej jestem diecezji, kto jest moim biskupem, jaki mam urząd i czego chcę, co mam za interes?

Gdy powiadałem, że ja mam w duszy rozpacz, że ja tu przyszedłem dobijać się do drzwi mojego Boga, że ja szukam prawdy i naprawy — wytrzeszczano oczy i odprawiano mię z kwitkiem. Były trzy kwestie: czy zwątpiłem o prawdzie — czy me zwątpienie będę szerzył — czy zamilczę i poddam się pokucie? Gdy oświadczałem, że nie mogę milczeć, stawiano mi alternatywę ekskomuniki. I to wszystko. Patrzyłem tedy na wszystko, poczynając od żołdatów z karabinami i naostrzonymi na nich bagnety, którzy pilnują wejścia do namiestnika Baranka Bożego na ziemi, a kończąc na niewymownej pompie i przepychu, na bogactwie, które im się tam z przepchanych kieszeni wylewa i wsiąka znowu w gnojowisko świata... Widziałem biura, urzędy, urzędników, dyplomatów, ludzi wykwinnych, uzdolnionych, subtelnych, panów o wielkiej władzy, ambicjach i zamysłach...

Przy pomocy pana Ościenia i jego córki, którzy wówczas w Rzymie bawili, udało mi się dostać do jednego kardynała, Hiszpana z pochodzenia, i konferować z nim. Przyjmował mię parę razy w rannych godzinach. Jego mieszkanie, gotownia jak u damy, jego kosmetyki, masażyści, dostawcy, lekarze, jego stroje i sposób życia przemówiły do mnie zrozumiałej niż nauki i admonicje, których mi udzielić raczył (ze względu na wstawiennictwo panny Marzenki)... Na ostatnią konferencję już nie poszedłem. Wróciłem do kraju. A teraz, wygoniony zewsząd, dobrowolnie ze wszystkiego wyzuty, nie mogąc zgodzić się na obłudę milczenia i nie mając dokąd iść, błąkam się oto jak pies, co to się zwlecze i wałęsa od wsi do wsi. Sam nie wiem, com jest za jeden...

— Co prawda, jako zupełnie obcy tym sprawom i w innym wychowany wyznaniu, nie bardzo rozumiem, o co panu chodziło. Przecie wiadomo, że każdy kościół jest organizacją grzesznych ludzi, nie czystych aniołów. W ciągu swego istnienia na ziemi, wśród tyranii i zepsucia ludzi, każdy kościół musiał z konieczności oprzeć się na czymś pozytywnym i zmysłowym, co by ludzkie stado, podwładne mu, utrzymało w ryzach, więc nie tylko na sile wewnętrznego przeświadczenia i na moralnej zasadzie, która w kościele katolickim jest przecie na pewno, lecz także na potędze bojaźni, na sile rozkazu, na rutynie, na impozycji, wypływającej z mniemanej oczywistości cudu. Zostając księdzem musiał pan chyba o tym wiedzieć.

— Właśnie że nie zdawałem sobie z tego sprawy, i stąd cała tragedia. Z całą bowiem szczerością kapłani głoszą, że Królestwo Boże nie jest z tego świata, a nie albo prawie nie mówią o tym, jak Królestwo Boże osadzić na ziemi, wśród ludzi. Utrzymują, że wszystko jedno, jakie jest życie nasze na świecie, bylebyśmy osiągnęli królestwo niebieskie. Toteż oni z zasady konserwują siedliska nędzy, twierdzą niedoli i dzisiejszej ciemnoty, gdyż to wszystko nie przeszkadza osiągnięciu nagrody wiecznej. Cuchnący prostaczkę, głupiec i nędzarz może umrzeć in odore sanctitatis i zasiąść na prawicy Bożej. Tymczasem kapłani właśnie dbają najbardziej o dostatek. Głosząc cnoty ewangeliczne wyciągają ostatni grosz z sakiewki wieśniaka, a sami są karciarzami, opilcami, obżartuchami i rozpustnikami...

— No, między nami mówiąc a jakby dla potwierdzenia wygłoszonej tezy, to pan rzeczywiście lubi zjeść dużo i dobrze... — roześmiał się złośliwie Rozłucki.

Ksiądz Wolski zaczerwienił się po same uszy. Rzekł z pośpiechem:

— Tak jest! To prawda! Mam nieposkromiony, ogromny apetyt... Ale i pościć potrafię... przysięgam! — bełkotał w pomieszczeniu.

Stał przy furtce ogrodowej, która prowadziła na drogę polną. Furtka była dosyć niska, zamknięta na klucz. Ksiądz oparł się na niej rękoma i długo wyglądał w pole. Piotrowi żal się zrobiło, że mu przykreść wyrządził. Chciał to jakoś naprawić i powiedział:

— Panie, sam dobrze wiem, co znaczy być prześladowanym przez tłum zorganizowany.

— Nie chodzi o prześladowanie. To rzecz drugorzędna. Lecz istota rzeczy. Chłopi polscy są rasą zdrową fizycznie i moralnie. Bardzo mało piją alkoholu i prawie nie jedzą mięsa. Żyją jarzynami i pracują na świeżym powietrzu. Zjada ich brud izb mieszkalnych i wynikające zeń choroby. Trzyma ich w niewoli nieumiejętność gospodarowania i ciemnota, niezmierna ciemnota umysłowa, z której niby z zatrutego źródła wszystko złe płynie. Jakże w ich obronie nie walczyć? Cóż są warte wszelkie nasze "przekonania", nasze wyobrażenia i wynikające stąd sprzeczki wobec ogromu boskiego dzieła, które przed nami leży jak nie zorana ziemia?

— A więc dajmy pokój rozmowie...

— Dajmy pokój. A może pan zechcesz zobaczyć objaw takiego zagadnienia o Bogu na ziemi — choćby dziś wieczorem?

— Cóż to znaczy?

— Nic teraz nie powiem. Pytam tylko, czy zechciałbyś pan być mi dziś wieczorem bezwzględnie posłuszny, iść, gdzie każe, i robić, co każe?

— Czemu nie? Ufam, że mi pan pokażesz coś interesującego.

— Właśnie...

Nadszedł lokajczyk wzywający do kolacji. Ksiądz dał Piotrowi znak milczenia. Poszli ku dworowi.

Kolację spożyto pod ogromną markizą na werandzie ogrodowej. Nisko, za ogrodami melodyjnie rechotały żaby — we wsi przyległej słyszeć było szczekanie psów — jakiś śpiew dolatywał z odległości. Rozmowa była banalna i jałowa. Pan Oścień, cierpiący na migrenę, wkrótce odszedł od stołu. Panna Małgorzata bawiła gościa. Ksiądz milczał.

Zaraz po kolacji oświadczył, że odprowadzi Piotra do jego pokoju, gdyż i gość potrzebuje spoczynku. Tak się też stało. Zeszli znowu w ogród i udali się do jakiejś przyziemnej oficynki, gdzie ksiądz Wolski rezydował.

Dolna rama okna pokoiku, w którym się znaleźli, stała znacznie już niżej od poziomu ogrodu. Malwy i jaśminy zasłaniały cały otwór okienny. Nie zapalając świecy ksiądz wydobył z jakichś szaf skrzypiących zniszczoną srodze swoją odzież i kazał ubrać się w nią Piotrowi. Były to hajdawery nad wszelką miarę szerokie i długie, kamizelka i przestrojony surducik, tudzież czapka z daszkiem tak zatłuszczona i wielka, że strojny oficer wypowiedział posłuszeństwo i nie chciał tej niemożliwości wdziać na głowę. Oświadczył, iż woli iść z gołą czupryną niż w czymś podobnie strupieszalym.

Ale ksiądz nie chciał wejść w żadne kompromisy i nie pozwolił na opór. Majtki zostały od dołu porządnie zawinięte, kaszkiet podwatowany od wewnątrz starą gazetą, katanka zapięta na istniejący jeszcze guzik. Wówczas i ksiądz wdział jakowys krótszy surdut — rozchylił chrusty rosnące za oknem i potężnym krokiem wyszedł na dwór. Piotr poszedł za jego przykładem.

Szli po drapiących malinach i agrestach aż do alei w ogrodzie. Cicho, bez szelestu zstąpili tą aleją na dół aż do furtki. Stąwszy przy niej, Wolski długo nasłuchiwał i, przechylony w pole, patrzył w ciemność. Wreszcie wydobył klucz i nadzwyczajnie powoli, żeby zgrzytu nie wywołać, przekręcił go w zamku. Ujął Piotra za ramię i wyprowadził z ogrodu — po czym furtkę znowu z wielką ostrożnością zamknął. Było zupełnie ciemno. Cicha, letnia noc, ciepła i bezgwiezdna, niby ciężka, nieprzejrzana zasłona, zdawała się wisieć przez oczyma. W dali czekały psy i rechotały żaby, lecz Wolski odwrócił się od tych głosów i cichym a wyłożonym krokiem poszedł w przeciwnym kierunku, nieco pod górę. Wkrótce zmienił drogę i ująwszy Piotra pod rękę prowadził wprost przez zagony. Po pewnym czasie stopy Piotra wyczuły miękkość drogi. Był to szlak piaszczysty — droga polska, a jeszcze ściślej powiedziawszy: podlaska — równa, gładka, lotnym pokryta pyłem. Dziwnie miło szło się w tę drogę, w ciszy nocy niezmiernej i głębokiej. Coraz dalej, coraz niewyraźniej słyszeć było naszczekiwanie psów. Wreszcie cisza nastąpiła bezwzględna. Gdy oczy przyzwyczyły się do mroku i wżarły weń, Piotr spostrzegł ledwie-ledwie szarzejący pas drożyny oraz na prawo i na lewo białawe uwrocia ściernisk. W pewnej chwili szepnęła do swego przewodnika:

— Dokąd też to my tak zdążamy, dobrodzieju?

— Cicho no bądź, dobrodzieju!

— Czemu?

— Bo teraz rozmawiać nie pora.

— A dlaczegoż to w tych pustych polach rozmawiać nie wolno?

— No, nie wolno!

— Czemu nie wolno?

— Ażeby zły nie usłyszał.

Przycisnął mocniej ramię socjusza i pociągnął go w dalszą drogę. Gdy już minęli bardzo znaczną jej przestrzeń, Wolski rzekł szeptem Piotrowi do ucha:

— Księżyc dziś późno wschodzi. Musimy być w lesie przed księżycem...

— A cóż nam księżyc? Czy to my konie kraść będziemy, czy cudzą rzepeę po nocy kopać?

— Jeszcze go nie widać. Zdążymy!

Piotr rozejrzał się wokoło. Ciemność była zupełna, lecz nawykłe oczy wgłębiały się w nią na kilka kroków. Teraz i niebo nie było już jednostajną, czarną zasłoną. Ciężar mroku jak gdyby uniósł się w wyżynę i stworzył ze siebie głębie niedosięglą. Oczy z rozkoszą zatapiały się w to bezdenne niebo, w łagodną i mroczną otchłań.

Rozłucki był już potężnie zmęczony, gdy ksiądz poszepnął:

— Las blisko.

W istocie powiał na twarze idących nie dotychczasowy suchy oddech pól za dnia nagranych od upału i dotąd nie ostygłych, lecz wonny, rzeźwiący odór. Ksiądz nakazał towarzyszowi zupełne milczenie. Szli coraz szybciej. Nagle zarysowała się przed ich oczyma wysoka smuga gęstej ciemności. Las stał w nocy nieruchomy, niemy, tajemniczy i prześliczny w swym głuchym śnie. Skręcili na prawo po suchym i ustępliwym piasku. Piotr poczuł, że jest już pośród drzew.

Kiedy niekiedy trzasnęła pod stopą sucha gałązka, czasami drzewa westchnęły jednostajnym poszumem. Droga była twardsza, poprzerastana korzeniami, tu i ówdzie zwilgła.

Posuwali się teraz ostrożnie, noga za nogą. Wolski trzymał Piotra mocno pod rękę. Jego oddech stał się głośniejszy, przyspieszony i ruchy ciała gwałtowne. Piotr poddał się i dał powodować jak dziecko, weseląc się czegoś nad wyraz, niby mały chłopczyk, któremu pokazują nieznane zjawisko. Przewodnik wielokroć potykał się w żłobowinach i wyrwach leśnej drogi i tracił właściwy kierunek wśród węzowiska korzeni.

Kołatali się tak z godzinę czasu. Lecz oto jednostajna i gruba ciemność lasu jak gdyby zrzędła. Powiał ostrzejszy przeciąg wilgoci i zapach siana. Ksiądz zwolnił zupełnie kroku, ale jeszcze bardziej przycisnął do swych żeber ramię Piotrowe. Można było wyczuć, jak potężne serce bije gwałtownie w tym mocnym ciele. Zdjęty ciekawością, Piotr podniósł na niego oczy. Lecz w tejże chwili jakiś głos cichy, jakby szepcany oddech samej nocy, ozwał się tuż przed nimi:

— Kto idzie?

Głos wyszedł z ust człowieka stojącego tak blisko, że zdawało się, jakoby mówił do ucha. Ksiądz Wolski odpowiedział półgłosem:

— "Ostra Brama".

Wtedy tenże głos z radością wyszeptał w mroku:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków... — rzekł Wolski.

Zarazem człowiek, który te słowa mówił, usunął się widocznie z drogi, gdyż obadwaj przechodnie znowu ruszyli naprzód. Rozłucki dopiero po chwili uczuł i posłyszał, że ów przed nimi idzie. Z niedosłyszalnego prawie odgłosu stąpania wywnioskował, że tamten jest bosy. Trwało to niedługo. Wnet posłyszeli szczególniejszy szelest jak gdyby wieloustego szeptu ludzkiego.

Rozłucki czuł, że przed nim znajduje się coś niezwykłego, i serce ścisnęło mu niepojęte wzruszenie — trwoga czy zachwyt. Wolski zatrzymał się w miejscu, zdjął nakrycie głowy i odezwał się półgłosem, lecz głośniejsz niż poprzednio:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odpowiedział szeptem wielki chór ludzkich głosów.

Piotrowi serce zakolało w piersiach. Niewymowna potęga była w tym nocnym szepcie tłumu. Moc nowa tchnęła z tego prastarego pozdrowienia. Wzruszeniem przejęty, zdrętwiały od dreszczu, który go przejął, Piotr odruchowo zdjął z głowy czapczynę. Patrzył w ciemność, lecz nic nie dojrzał. Zaległa znowu cisza najzupełniejsza, jakby w tym miejscu nikogo nie było. Gęsta i jednostajna ciemność lasu zataczała się półkolem, nad nią w górze szarzała jaśniejsza nieco kopuła niebios.

Piotr stał za Wolskim, lecz oto poznał, że ten się zniża i znika mu z oczu. Wyciągnąwszy rękę zbadał, że ksiądz ukląkł na ziemi. Uczynił mimo woli to samo. Dał się słyszeć głos Wolskiego szepcany, cichy, lecz tak z duszy, że zdawał się być krzykiem w tym miejscu i wśród milczenia:

— "Ojcze nasz, któryś jest w niebie..."

Słowa te uderzyły Piotra, jak gdyby pierwszy raz słyszane. Nie wiedząc, co czyni, nisko nachylił się do ziemi i słuchał tych wyrazów całą głębokością duszy. Lecz oto głos jednego człowieka utonął w szepcie pospólnym, jakby cały las ocknął się i wypowiedział. Zdało się, że drgnęły nieme drzewa i przemówiły ich liście. Po długiej wspólnej modlitwie, na którą tłum chóralnym odpowiadał szeptem, Wolski wydobył spod poły swego surduta białą komżę i wdział ją. Rozłucki postrzegał go teraz dobrze tuż przed sobą. Lecz wkrótce ksiądz odsunął się od niego. Niewyraźnie majaczyła to tu, to tam jego sylweta. Coś on tam w tym tłumie robił, coś szeptał. Piotr wsłuchiwał się w to, lecz do jego uszu dochodziły tylko urwane słowa modlitwy. Pozostawiony na uboczu, przytulił się do jakiegoś drzewka, usiadł na spotkanym pniaku i czekał.

Domyślał się, że ksiądz udziela ślubów, o których coś niecoś słyszał, lecz samej akcji nie mógł skonstatować. Trwało to bardzo długo. W zgromadzonym tłumie szerzył się teraz głośniejszy pogwar, który ktoś co chwila uciszał. Odbywała się, widać, zbiorowa narada, bo liczne słychać było głosy... Później Wolski mówił coś bardzo długo, pewno naukę... Trwało to do późna w noc.

Nagle ciszę głębi leśnej przeszył świst. Był to świst przeciągły, wydany na skrzywionym w ustach palcu. Głos ów przeleciał lasem, obudził echo... Bliżej odpowie — dział mu świst drugi — później trzeci. Tłum nagle zacichł i znieruchomiał. Wkrótce z głębi lasu dał się słyszeć trzask gałęzi i zdyszany głos:

— Wojsko!

Drugi głos, z innej strony, dał znać:

— Kozaki!

Trzeci:

— Od Radkowa Łąckiego!

Wolski rzucił w las pytanie:

— Czy nas otoczyli?

Odpowiedziano:

— Od łąk droga wolna.

— Na łąki!

Piotr usłyszał poruszenie się tłuszczy i gromadne jej pożegnanie:

— "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!"

Ludzie szli ławą, w pośpiechu, ale cicho i sprawnie. Słysząc było szepty męskie, kobiece i dziewczęce. Biała postać Wolskiego zbliżyła się do Piotra. Ręce ich spotkały się.

— Co to jest? — zapytał oficer.

— Ktoś zdradził.

— A cóż teraz?

— Wyjdziemy z lasu na łąki i brzegiem rzeki, zanim las otoczą.

— A cóż ksiądz zrobisz?

— Pójdę z nimi, dopóki się nie rozproszą.

— To i ja mam razem ze wszystkimi uciekać?

— Tak.

— No, to ja nie będę uciekał!

— Musisz pan!

— Nie, ja nigdy nie uciekam!

— Dziś musisz.

— Nie!

— Dobrze — dobrze. Ja dla fanaberii honoru nie pozwolę zgubić całej sprawy. Tu nikt nie może być schwytany i wzięty. Chodźmy!

Ściągnął komżę z ramion, ukrył ją i, ujawszy Piotra pod ramię jak poprzednio, szedł w las. Znaleźli się w tłumie zgorączkowanym, modlącym się, wśród kobiet i podrostków. Lecz wkrótce wokoło nich obudwu wytworzył się jak gdyby pierścień złożony z mężczyzn. Ludzie ci osaczyli ich ze wszystkich stron. Po jakimś czasie wszyscy wydostali się z lasu na wilgotne łąki i zwartą masą biegli na przełaj. Teraz dopiero Piotr zobaczył, jak wielki to był tłum. Prędko dotarli do zarośli nad rzeką i w ich cieniu,

wyciągnąwszy się w długą kolumnę, biegli z pośpiechem. Rozłucki słyszał w zgiełku szeptane rozkazy jakiegoś starca.

— Ci, co z Obornicy — na ławę!

— Zza Kowalewic — miedzami!

— Radkowsy — jeszcze precz koło rzeki!

— Do łosickiego traktu!

Stosownie do tych rozkazów zastęp zmniejszał się. Wąż ludzki małał. Zdało się, że ich pochłaniała w sobie i kryła w cudnych rańtuchach ta cicha, nieprzerwana noc, że ich chroniła i wybawiała tajemnicami swoich ciemności ode złego. Gdy tak ubiegli ze dwie wiorsty, Piotr spostrzegł, że jest z nimi tylko ów pierścień obronny, z tęgich mężczyzn złożony. Ludzie ci szeptali pomiędzy sobą:

— Zdrada była!

— Zdrada!

— Nie inaczej, tylko zdrada!

— Rzecz była przecie zrobiona w cichości.

— Dziękować Bogu, że i tak... — rzekł Wolski. — Rozchodźmy się, braciszku.

— Jeszcze tylko do rozstaja pod Ruskim Grodziszczem.

— Stamtąd już do samego miejsca droga polna.

Szli tedy pośpiesznym marszem do owego rozstaja. Lecz oto jeden z mężczyzn stanął. — Za nim wszyscy. Zrazu nie można było zrozumieć, o co chodzi. Nasłuchiowano i wyteżano wzrok. W ciszy daleko-daleko dał się słyszeć miarowy tętent. Zbliżał się. Ludzie jak stanęli, tak pozostali w miejscu niby kamienne figury. Z nagle w głuchej ciszy zadudnił pod kopytami most na rzece. Ozwała się jak gdyby salwa kopyt podkutych, bijących na gwałt w deski nad próżnią rozpostarte. Po długotrwałości dudnienia poznano siłę kozackiego podjazdu.

Most zamilkł na podobieństwo dobrego sługi, co ostrzegł o nieprzyjacielu. Oddział wojskowy przepadł, jak gdyby pochłonięty przez morze ciemności. Wyczekiwano długo, nasłuchując, w którą też pognał stronę. Lecz nocne milczenie nic już więcej nie wyjawilo. Grupa otaczająca Wolskiego i Piotra poruszyła się ostrożnie i dotarła do mostu. Jeden z ludzi, bosy, wszedł na ów most cicho jak upiór, minął go i obejrzał przestrzeń najbliższą. Później wrócił się i ruszył po tropach wojska gościńcem aż do zapowiedzianych dróg rozstajnych. Gdy się stamtąd cofnął i oświadczył, że przeszli i pognali precz, a miejsce jest wolne i bezpieczne, orszak ruszył dalej. Na skrzyżowaniu dróg, pożegnawszy się chrześcijańskim pozdrowieniem, rozstali się wszyscy.

Piotr został znowu sam na sam z Wolskim. Pomykali teraz wąską, piaszczystą drogą wśród rozległego obszaru. Daleko, nad lasami poczęła się szerzyć rdzawa luna.

— Księżyc wschodzi! Chodźmy co tchu... — mówił Wolski.

Spieszyli tedy, od czasu do czasu nasłuchując. Ile razy stanęli na miejscu, spostrzegali, że światła księżycowego przybywa. Było to tak, jakby niewidzialna siła zdejmowała czarną zasłonę z

tajemniczego misterium. Zdyszani od szybkiego kroku dobrnęli do dzikiej gruszki, przy drodze w szczerym polu. Siedli obok jej pnia na stosie kamieni.

— A co to właściwie było? — zapytał Piotr z odrobiną ironii w tonie głosu.

— Była to pospolita scena z polskiego życia.

— Któż to są ci ludzie kryjący się w lesie ze swą modlitwą: "Ojcze nasz, któryś jest w niebie..."?

— Są to "oporni".

— Unici?

— Tak, unici.

— Słyszałem o tym, nawet czytałem, ale i teraz nie bardzo rozumiem, o co chodzi.

— Chodzi o to, że ci ludzie pragną wyznawać swą wiarę według sumienia, a nie chcą iść do prawosławnej cerkwi. Nie przyjęli wiary narzuconej im przemocą. Postanowili żyć według swej wiary.

— Według wiary, którą im podsuwacie wy, rzymscy katolicy.

— Której my im nie skąpimy, gdy nas wołają. "My, rzymscy katolicy" — to znaczy ja jeden, zbuntowany przeciwko kościołowi katolickiemu eks-księżyna.

— A czy ta modlitwa "Ojcze nasz" wypowiedziana w lesie lepsza jest, według pańskiego sumiennego przeświadczenia, niż wypowiedziana w cerkwi?

— Modlitwa pod przymusem, pod batem nie jest głosem serca ludzkiego do Boga, lecz obrzędem, czynnością niemal państwową, za którą czeka materialna nagroda. Tutaj, w tym lesie modlitwa owej gromady była świętym westchnieniem.

Piotr wiedział, że poniekąd tak było, lecz coś burzyło się w jego duszy i zaprzeczało. Mówił tedy:

— Przecie to są unici, więc zapewne z pochodzenia Rusini.

— Niezupełnie. Są wśród nich najszczersi Polacy, przez pokrewieństwo albo tendencyjną formalistykę zapisani na unię, a dziś na prawosławie. A zresztą ci "Rusini" są to potomkowie Jadźwingów, którzy przyjęli mowę polską lub białoruską.

— Tak, być może. Katolicyzm przygarnął niegdyś tę "świętą Ruś", świętą biedę. Lecz czemuż wy ciągniecie ich jeszcze teraz na męczeństwo?

— Och, z tą waszą wysoką, ponadwyznaniową filozofią! Jak to wygodnie stać poza dzisiejszymi dniami, poza tym ludem i poza Polską! A tymczasem ten lud jest to jedna z najważniejszych Polski spraw, jej płuco lancą przebite. Nie za nas się ta sprawa zaczęła i nie za nas się skończy. Wieki ją dawne zadzierzgnęły.

— Nie wszystko, co dawne wieki zadzierzgnęły, trzeba trzymać w tymże stanie.

— Pobita jest Polska, zestrzelana kulami, przekluta, ciało jej ocieka dzień dnia i noc w noc żywą krwią, a oto "Rusini" z tutejszych wiosek idą nie tam, gdzie szczerymi garściami sypią dobro i dają słodycz, lecz w tę stronę, gdzie krew męczeńska niesławnie wsiąka w szczerzy piasek.

Piotr rzekł ponuro:

— Katolicyzm wyżera życie polskie.

— Srogie słowo. Ja jestem zbyt ciemny, żebym to mógł sprawdzić, zaprzeczyć albo potwierdzić. To tylko wiem na pewno, że tu, gdzie się lud polski z ruskim zazębia, zrosły się te dwie siły: — katolicyzm i polskość. Kto jedną z nich chce od drugiej odrąbać, krew ma pod siekierą.

— O nędzo!

— Cóż ja jeden nieszczęsny mam począć? Mamże patrzeć obojętnie i przejść swoją drogą obok tego ludu? Na tych ziemiach i precz w kraje ruskie katolicyzm żywi się i żyje polskością, a polskość żywi się i żyje katolicyzmem. Ktokolwiek kocha Polskę, musi ją karmić, żeby z głodu nie umarła. Zdarza się, że człowiek popada w najcięższą nędzę i musi żywić się okrucieństwem spleśniałego chleba — aż znowu zaświeci mu słońce. A zresztą, ja jedno wiem, że muszę z tymi prostakami iść ramię w ramię i muszę z nimi walczyć, bo ich kocham za to, że są tacy, jacy są.

— Walczyć... Kapłaństwo i walka... To ja przecież walczę, żołnierz. Od tego jestem, po to mam brutalne moje nakazy męstwa i dlatego noszę u boku symbol mojej moralności — oręż. Lecz wy, walczący między sobą chrześcijanie, cóżeście to zrobili z nauki Chrystusa? Chrystus, przezierając nicosć walki, powiedział: "To wam powiadam, ażebyście się nie przeciwili złemu". A gdzie indziej: "Kto cię uderzy w prawy policzek, nadstaw mu lewy". Budda, pokonany przez świętą litość i najgłębszą, najistotniejszą religijną sprawiedliwość, oddał swe własne ciało na pożarcie drapieżnemu zwierzęciu, które z głodu zdychało...

W chwili, gdy ci dwaj w ten sens szeptanym sposobem rozmawiali, nagle daleko, kędyś w lasach padł strzał. Echo poniosło go — poniosło... Później padł drugi strzał — i jeszcze trzeci. Po długiej chwili jeszcze i jeszcze — i znowu trzy strzały wraz... Wolski porwał się z miejsca, poskoczył w tamtą stronę, zatoczył i stanął. Ręce jego były do piersi przyciśnięte, jakby to jego samego kule przeszyły. Wielkie jego ciało zatrzęsło się i osunęło na ziemię. Głuchy, modlitewny jęk wyrывał się z jego piersi. Piotr długo nasłuchiwał. Gdy strzały już się nie powtarzały, zbliżył się do księdza klęczącego na ziemi, podniósł go i pociągnął pocieszając, że mogły to być strzały dla postrachu, ślepe albo, w najgorszym razie, chybił...

Rozdział III

Nazajutrz Piotr Rozłucki chciał zaraz rano odjechać, lecz został zatrzymany. Nie pozwolono zaprzęgać dla niego koni, a nie było ich gdzie nająć — chyba aż w wiosce, ozdobionej baniastymi kopułami cerkwi. Więc został na obiedzie. W czasie tego obiadu panna Małgorzata była piękniej niż wczoraj ubrana. Miała na sobie suknię jak gdyby grecką, obramowaną fiołkowym szlakiem. Suknia była najmodniejszego kroju, nieco krótka. Widać było lakierowane pantofelki i ażurowe pończochy. Strój głowy również był inny, wykwintniejszy. Piotr patrzył na to wszystko spod oka. Spostrzegł, że tej panience jest w tym bardzo ładnie, i z szyderstwem rozmyślał, że to dla niego owa grecka suknia i uczesanie głowy, dla niego te pantofelki i przezroczyste pończochy.

Przy stole rozmawiał z panną Małgorzatą w sposób zaczepny, podchwytyjący każdą sposobność przypodobania się — poprzednio, a nade wszystko na początku tego obiadu odepchnąwszy ją od siebie oczami w sposób istic męski, mściwy i nieodwołalny. Przypatrywał się jej ręką

wyhodowanym i troskliwie strzeżonym od słońca — ślicznie pod stanikiem zarysowanym piersiom — blaskowi młodocianych włosów — połyskom i zadumom oczu — zarazem jakby targając ją oczami i szarpiąc za te śliczne włosy i nadobnie zachylone ramiona.

Gdybyż wiedziała, co w tamtej restauracyjnej sali rozsiekał broniąc jej głupiego honoru!

Wśród wesołego śmiechu i dowcipnych odpowiedzi na wesołe zwroty rozmowy wciąż rozmyślał nad straszliwym potokiem wydarzeń, który sam niejako stworzył nie wiedząc o tym, że go stwarza. Kiedy się najbardziej wesoło śmiał, panna Małgorzata nie domyślała się, jaki to jest śmiech... Była coraz weselsza. Zauważył, że ona lubi doskonale pić i jeść. Każdy taki szczegół weselił go, a jednocześnie sprowadzał szarpiący ból w bliźnie twarzy.

Po obiedzie całe towarzystwo wydało się z jadalni na ganek nie ze strony ogrodu, gdzie jeszcze przygrzewało słońce, lecz na dziedzińcowy, gdzie już kładł się cień. Było wesoło. Przycłapał na ów ganek nawet dziadunio panny Małgorzaty, ojciec pana domu, jowialny staruszek z żywą jeszcze pamięcią, opowiadający trzeciemu już pokoleniu te same wciąż dykteryjki, szlachecko-podlaskie jovialitates.

Właśnie dobiegała do szczęśliwego kresu jedna z przypowieści, którą pokolenia po stokroć już nagradzały przymusowym śmiechem należnego patriarsze uznania, gdy oto w alei lipowej, prowadzącej wprost przed ganek, ukazał się tuman kurzawy.

Wszyscy zwrócili na to zjawisko pilną uwagę. Za chwilę spostrzeżono pojazd. Cztery prześliczne kasztanowate konie ciągnąc niewielką lśniącą karetkę obiegły podwórzowy gazon i zatrzymały się nie opodal ganku. Lokał w lśniącym, cylindrowym kapeluszu i opiętej liberii błękitnego koloru zeskoczył z kozła, podbiegł do drzwiczek karety i otworzył je. Wysiadł z karety człowiek mniej więcej czterdziestoletni, wysoki, zgrabny i przystojny. Twarz miał pociągłą, ciemną, zupełnie ogoloną, rysy twarzy regularne. Gdy zdjął kapelusz i z ukłonem zbliżał się do ganku, widać było, że włosy na jego ciemieniu są już nieco przerzedzone, ale tak zaczesane, że ta "wysokość czoła" nie raziła, lecz nawet jakby ozdabiała twarz przybysza. Sprężystym i wykwiśniętym ruchem wstąpiwszy na schody, gość witał ukłonem zebranych. W tym ogólnym ukłonie badawczy wzrok zatrzymał na Piotrze. Nie przerywając powitania, darząc nim szczególnie pannę Małgorzatę, wciąż na Piotrze miał oparte swe ciekawe, wywiadowcze spojrzenie. Całe towarzystwo poruszyło się i witało przybyłego pana. W zamieszaniu Piotr znalazł się przez chwilę na osobności. Ale elegancki gość wnet zwrócił się w jego stronę z grzecznym ukłonem. Wówczas pan Oścień przedstawił Piotra hrabiemu Nastawie z krótkim nadmianiem o przygodzie restauracyjnej.

Hrabia Nastawa wysłuchał uważnie relacji i jeszcze niżej, jeszcze uprzejmiej skłonił się z podniesionymi brwiami i skupionym wyrazem niemal czoła na obliczu. Zarazem wyciągnął rękę i uściśnął rękę Piotra zimnymi palcami. Poproszono całe towarzystwo do salonu, widocznie znajdując, że byłoby rzeczą niedostojną, ażeby hrabia zajmował miejsce na ganku. Zgromadzono się też nie w małym gabinecie, gdzie Piotr po raz pierwszy był przyjęty, lecz w białym i wyświeżonym salonie. Potoczyła się rozmowa żywa i banalna, o tematach przygodnych, które, dla jej pospolitości, nie sposób powtórzyć. Hrabia Nastawa mówił łatwo, miło, z wdziękiem. Piotr zazdrościł mu mimowiednie nie tyle łatwości rozmowy, ile przygotowania do zawsze jednakiej zimnej krwi i do swobody, z jaką wytworny gość mówił o tematach nawijających się przypadkowo. Rozłutki dążył zawsze do swobody w stosunku do swych uczuć, do bezuczuciowości niejako, do bezwzględnej obojętności zewnętrznej, do panowania nad każdym swym doznaniem i nad każdym ruchem. Udaowało

mu się to na skutek pracy i forsy uprzedniej. Hrabia Nastawa posiadał te przymioty jak gdyby z natury, czy też dzięki długotrwałej nauce, która się stała drugą naturą.

Po upływie pewnego czasu Piotr spostrzegł jednakże, że w tym gościa spokoju i opanowaniu siebie, poza łatwością bycia i poza władaniem myślami (jakby się było nie wśród obserwujących ludzi, lecz sam na sam z tymi myślami w odosobnionym gabinecie), poza swobodą towarzyską i przygotowaniem do takiej swobody — jest pewna luka. Hrabia Nastawa był tak swobodny i wesoły, dowcipny i rad ze wszystkiego — dla panny Ościeniówny. Piotr pochwycił w locie jedno jego spojrzenie. Zauważył również coś, co się nie da słowem określić, lecz co było dlań wyraźne jak mowa. Znienacka zrozumiałą stała się dlań piękna suknia panny Małgorzaty, dziś właśnie przywdziana, którą ordynarnie poczytywał był za daninę — dla siebie. Śmiech szyderczy zabrzmiał mu nad uchem... Niedawno drwił sobie z tej daniny. Teraz poczuł ukłucie gniewu jakby na skutek czyjegoś oszustwa wychodzącego na jaśnię. Na mocy tego ukłucia skonstatował, że jednak jakaś postać przyjemności — czego w sobie nie przypuszczał — istniała w duszy na widok tej niewinnej kokieterii panny Marzenki. Wszystko to podniecało wewnętrzną rozterkę.

Uśmiechnięty, milczący siedział na swym krzeselku, jak przystało na chwilowego, obcego przechodnia. Czekał na chwilę stosowną, w której ciągu można będzie tych ludzi i to miejsce bez żalu i na zawsze porzucić. Ale oto oczy panny Małgorzaty poczęły mu się nastęrczać, nawet naprzykrzać. Jakby wyraźnie w jego myślach czytając, jakby znając te wszystkie myśli aż do najtajniejszej i ostatniej, poczęła mu coś oczami wypowiadać z pośpiechem, z niejasną prośbą i w pomieszaniu. Prześliczny rumieniec spłonął na jej policzkach i zgasł w beznadziejnej bledości. Piotr szorstko odwrócił głowę. Łkanie ocknęło się w jego sercu i szept niemal religijny płynął z duszy ku grobowi: "Taniusiu, Taniusiu..."

Rozmowa przebiegając z przedmiotu na przedmiot zahaczyła się o Paryż. Okazało się, wskutek Piotra zapytań, że hr. Nastawa właśnie stale mieszka w Paryżu, gdzie ma urządzone mieszkanie, latem tylko zjeżdżając do majątku nad Bugiem. Korzystając z chwili rozmowy hrabiego z panną Małgorzatą ksiądz Wolski najcichszym szeptem uświadomił Rozłuckiego, że majątek ów — są to olbrzymie dobra, które są tylko częścią majątków na Litwie... Pełen skromności sposób bycia hrabiego na tle jakiejś legendy o olbrzymiej nadto sukcesji czekającej go po śmierci ciotki, na pół obłąkanej staruszki, tym wydatniej zarysował się jako przymiot pierwszorzędnej wartości. Sposób zachowania się starego pana Ościenia był poniekąd kopią, odwzorem, a może nawet naśladownictwem hrabiego Nastawy. Coś na ten sposób zachowania się starszego pana oddziaływało, coś potężniejszego niż zwykła, bezpośrednia moc wpływu prototypów salonowej ogłady. Piotr to spostrzegł. Ilekroć panna Małgorzata zaczynała rozmawiać z hr. Nastawą, pan Oścień w szczególniejszy sposób, niejako wewnętrznie promieniał. Ona wiedząc o sile radości, jaką ojcu sprawia, czyniła według jego woli, mówiła z możliwym gościem wesoło, łaskawie, poufnie, z wdziękiem przychylności, który w niej przeistaczał się na nowy a niezależny rodzaj powabu. Ale zarazem, niemal w tych samych momentach coś jej stawiało na przeszkodzie, coś odrywało jak obce a mocne ręce. Błądła i traciła oddech od zewnętrznego przymusu i wewnętrznego sprzeciwu, który jej nie dał ani swobodnie rozmawiać, ani się uśmiechać w sposób należyty i pożądany, jakby chciał ojciec. Chwilami głowę jej odchylało na stronę jakby omdlenie. Czoło pod lśnącymi włosami stawało się blade jak u umarłej. Wówczas stary pan Oścień spoglądał na nią oczyma srogimi i podniecającymi jak gwałtowne razy pięści.

Rozłucki obserwował grę uczuć wewnętrznych między tymi trzema osobami — i przysłuchiwał się rozmowie, która z uczuciami ich nic absolutnie wspólnego nie miała. Lecz zdolność, przenikliwość i intelektualna siła hrabiego Nastawy nie dała mu zająć tak wygodnego stanowiska obserwatora i pozostawać w biernej roli widza. Artylerzysta przyszedł wkrótce do przeświadczenia, że przybyły pan

spokojnie, nie śpiesząc się i z uwagą bada go również i obserwuje wśród arcybanalnej rozmowy. Wewnętrznym, niełatwym do określenia uczuciem nieprzyjemności zmierzył pewnik, że stanął tu czemuś na przeszkodzie, coś tu zepsuł czy zahamował. Bo i oto pan Oścień uderzył weń kilkakrotnie oczami prawdziwie nieprzyjawnymi. Nie poradził uśmiech jego przyklejony do warg ani grzecznie obłudne słowa.

Hrabia Nastawa będąc panem sytuacji i, oczywiście, rozmowy, skierował ją w taki sposób, żeby Rozłuckiego wciągnąć. Za chwilę dokonał tego. Piotr mówił wesoło o krajobrazie podlaskim, o Bugu, Drohiczyźnie, wioskach, dworach, cerkwiach i tym podobnych zewnętrznościach. W tych jego słownych ekskursjach po zaletach podlaskiego krajobrazu pomagał mu wzrok panny Małgorzaty i wspierał usilnie, gdy brakło wyrazu polskiego i trzeba było zastąpić go francuskim... Hrabia przysłuchiwał się z głęboko uważnym i do unizoności grzecznym skupieniem. Jakże bolał nad każdą trudnością wysłowienia się albo nad brakiem właściwego wyrazu! Nachylał się, pomagał mimiką twarzy, ruchem brwi i całym pogotowiem gestów. Zdawało się, że będzie na ręku nosił tego niezwyklego oficerka... Wśród tych objawów sympatii grzecznie, ostrożnie i cicho zapytał:

— Czy bateria szanownego pana być może przeniesiona została w te strony?

— Moja bateria? Broń Boże! Ja sam znalazłem się tutaj. A czy szanowny pan wie o miejscu pobytu mojej baterii?

— O, tak.

— Nie przypuszczałem. Zdawało mi się, że nikt w naszym społeczeństwie nie zajmuje się takimi sprawami jak ta.

— Dlaczego pan tego nie przypuszczał?

— Baterie artylerii w czasie pokoju są to zjawiska, doprawdy, mało interesujące. Dopiero w czasie wojny występują na jaw z całą swą siłą i potęgą. Są one jak choroby, o których istnieniu czasu zdrowia z przyjemnością się nie wie.

— Co do mnie — mówił hr. Nastawa ze skromnym uśmiechem — interesują mnie te właśnie sprawy, o których się nie myśli, jak o chorobach — czasu zdrowia.

— Zaszczyt to prawdziwy dla mej baterii fortecznej.

— Zaszczyt... — wyrzekł hrabia powoli. Podniósł brwi słysząc te dość szorstkie słowa ironiczne i rozważał je z pewnym zdziwieniem. — Nie ma w moich myślach żadnego zaszczytu dla baterii, w której pan służy. Myślę o niej jako o sile. Z siłami zawsze się liczę, więc o nich wszystko chciałbym wiedzieć, i to dokładnie, jak one same mocne są i dokładne.

— Świetne to są zasady, panie hrabio!

— Dziękuję szanownemu panu za pochwałę. Ale ja nie dla otrzymania pochwały wypowiedziałem powyższe zdanie. Wypowiedziałem je raczej jako maksymę, której przestrzegać powinniśmy, i to — wszyscy.

Mówiąc te słowa hrabia Nastawa spojrzał nie na Piotra, lecz na księdza Wolskiego. Przymknął potem oczy i westchnął. Ksiądz dziwnie zaniepokoił się po tych wyrazach. Panna Małgorzata również. Hrabia nie rozproszył ich rozterki, lecz znowu zwrócił się do Piotra ze słowem nad wyraz grzecznym.

— Dlatego zapytywałem, czy przypadkiem bateria szanownego pana nie przeniesiona została gdzieś tu bliżej nas, że obecność pańska w tych stronach i w tym miejscu specjalnie obudziła powszechną uwagę.

— Czyją?

— Tych, co tu pilnie na wszystko uważają.

— Nie mam zwyczaju zwracać swej uwagi na badaczy tego gatunku.

— Świetna to jest zasada — odplacił hrabia Piotrowi równą miarką złośliwości — ale, niestety, nie tutaj. Tutaj jest tylko szkodliwa, i to nie tylko dla szanownego pana.

— Nie bardzo rozumiem...

Hrabia uśmiechnął się pośepnie i zaraz zwrócił spojrzenie na księdza Wolskiego. Tamten milczał, lecz uporczywie wpatrywał się w oczy gościa. Zapanowała cisza. Była to cisza szczególnego rodzaju. Piotr zrozumiał, że te osoby milczą, ponieważ on jest obecny. Wiedział wewnętrznie, że gdyby wyszedł z pokoju, natychmiast zaczęto by mówić. Zrobiło mu się duszno. Postanowił natychmiast wyjść, lecz nieznośne jakieś zażenowanie trzymało go jak na łańcuchu. Wtem Wolski wypowiedział:

— Czy pan hrabia ma mi co zakomunikować?

Piotr wstał ze swego miejsca wszystek czerwony i niezgrabnymi ruchami przesunął się przez salon. Posadzka skrzypiała pod jego nogami. Poślizgnął się. O mało nie przewrócił jakiegoś stolika. Jak na utrapienie już przy drzwiach do sąsiedniego gabinetu dogoniło go basowe recitativo Wolskiego, który mówił:

— Kiedy to!... Pan Rozłucki wychodzi, gdyż sądzi, że nam przeszkadza w jakichś zwierzeniach. Panie poruczniku! Niechże pan nie wychodzi z pokoju! My żadnych przed panem sekretów nie mamy. Co pan hrabia ma do powiedzenia, powie przy panu.

Hrabia porwał się ze swego miejsca i poszedł kilka kroków w stronę Rozłuckiego. Mówił z żywością:

— Szanowny panie — to, o czym tu chciałem powiedzieć, jest tajemnicą publiczną, więc tu nic tak dalece ciekawego nie mam do wyjaśnienia. Zapewne państwo już wiecie, że wczoraj w nocy wojsko zraniło strzałami dwu ludzi ciężko, a wielu pobiło i poaresztowało.

Zapanowało milczenie.

— Nic o tym nie wiedzieliśmy... — rzekł pan Oścień z wyrazem szczerzego przestachu na zbielełej twarzy. Panna Małgorzata siedziała nieruchomo ze spuszczoną głową i przymkniętymi oczami, głębiej zanurzona, jakby zapadnięta w fotel. Ksiądz słuchał uważnie. Krzesło pod nim trzeszczało, a wielkie stopy w połatanych butach posuwały się w tył nieznacznymi ruchami. Piotr oparty plecami o odrzwia przypatrywał się hrabiemu Nastawie. Nabierał do niego stopniowo głębszej, tajnej, niewytłumaczonej odrazy.

Im bardziej uwydatniał się przed nim spokojny i doskonały rozum tego człowieka, jego słuszość we wszystkim i logika na każdym kroku, tym bardziej wzmaczała się instynktowna awersja.

Wydawało się Piotrowi, że on tego hrabiego Nastawę już chyba widział, że go — do kaduka! — zna z jakiejś racji. Wspominał nadaremnie całe swe życie... Przyszło mu na myśl, że ten człowiek jest tak mądry, tak doskonale wytrawny w swych myślach i zamierzeniach, obliczonych na osiągnięcie nieomylnego skutku, tak ostrożny i zbliżający się do celu niepostrzeżenie — jak samo nieszczęście, jak te cierpienia, które zadaje tęsknota za zmarłą Tatianą.

Hrabia mówił:

— W Tuchlebach, w Łackim Tarkowie, w Grodziszczu stoi wciąż jeszcze wojsko. Poaresztowanych wywieziono w drabinach... — mówił spokojnie, bez żadnego zgoła wzruszenia. Widać było, że on już szczegółowo zbadał zjawisko, obejrzał dokładnie wszelkie jego fenomeny i wyrobił sobie o nim sąd ścisły. Wyłuszczając jednak to wszystko hrabia Nastawa wciąż się ociągał, uwydatniał słowa i zostawiał między jednym a drugim luki umyślne, jakieś pauzy więcej mówiące niż same wyrazy. Ksiądz wstał ze swego miejsca i począł przechadzać się po pokoju, jakby zapomniał o przytomności osób tam zgromadzonych. Tarł sobie ręce, po prostaku wyciągał palce ze stawów i kołatał po posadzce obcasami butów. Wreszcie zatrzymał się przed Nastawą, który mu się dość pogardliwie przypatrywał — i wypalił:

— No, więc cóż, panie hrabio?

Ten nie od razu odpowiedział. Rzucił okiem na Piotra, później na pannę Małgorzatę, jakby badał stopień ich ciekawości. Ale ci obydwójce mieli oczy spuszczone i twarze ukryte w ciszy milczenia.

— Byłem już u naczelnika powiatu — mówił Nastawa powoli i oschle. — Byłem także u naczelnika straży ziemskiej. Widziałem się z dowódcą jazdy...

— I cóż? — nastawał ksiądz.

— Nic szczególnego.

— Ale cóż oni mówią?

— Oni mówią formuły znane mi od dawna. Nie tylko mnie znane, ale i księdzu.

— Nie o to mi chodzi, co oni tam mówią, o formuły, tylko — cóż w tej sprawie? Cóż z tymi ludźmi?

— Przrzekli, że co się da zrobić, to zrobią — mówił hrabia z niedbałością, jakby tę sprawę odrzucał na bok. Ale zaraz stanowczo i twardo dodał:

— Naczelnik, który najwięcej w tej aferze znaczy i z którym najłatwiej dojść można do jakiegoś ładu (hrabia uśmiechnął się dobrotliwie) — oświadczył mi kategorycznie, że jednakże to już musi być koniec. Już ta sprawa z jego rąk przechodzi w inne, w zgoła inne, że tamci już są na tropie. Wobec tego obecny casus on może jeszcze ogarnąć rękoma, lecz za nic już nie ręczy i stanowczo umywa ręce. Jeżeli zaś po takich prośbach, jakie ja doń zaniósłem, on umywa ręce, to znaczy, że te ręce już będą umyte na pewno. Wobec tego cóż wasza wielbność mi powie?

— To pytanie ma znaczyć, że godziny moje są już policzone na tym płaskim Podlasiu...

— Niestety, ja tak sędzę.

— Czyżbym miał już zaraz kij brać w rękę i bez zwłoki uchodzić?

— Niestety, ja tak sądzę.

— Ale czyż wytykano palcami mnie właśnie?

— Wytykano nie tylko palcami, ale całym plikiem papierów. Widziałem czarno na białym... — mruknął hrabia dobitnie. Po chwili dodał jeszcze:

— Gdyby nie obawa o bezpieczeństwo domu szanownego sąsiada, nie ośmieliłbym się tych wszystkich drobiazgów i szczegółików tak otwarcie wyłuszczać. Proszę o dyskrecję i przebaczenie...

Pan Oścień uściśnął rękę hrabiego. Ten ciągnął:

— Z drugiej strony i władza duchowna już sarka, a nawet zżyma się. Wiem o tym z najpewniejszego źródła, z samego źródła. Rzeczy te — mówią tam — szły nie z ramienia prawowitego... Być może... stały w sprzeczności z aktualnymi zamierzeniami, z pewnego rodzaju dyplomacją, niezbędną w czasie i miejscu. Nie wiemy. Jesteśmy jak w lesie.

— Tak, tak — jesteśmy na Podlasiu... — kiwał głową ksiądz Wolski.

— Musimy zaś tutaj skłaniać głowę w pokorze, bo nie jest to sprawa naszego entuzjazmu, który dziś jest, a jutro może wygasnąć, lecz sprawa głębokości żywota ludu, żywota ludu, którego nasz entuzjazm nie jest mocen ani nakarmić, ani wyrwać z objęć śmierci, gdy tę śmierć szerzyć pocnie ręka żelazna. Mówiono mi tam właśnie, u źródła, że kościół jest jak matka, która w mądrości swej, przez wieki wypróbowanej, wciągnie w siebie nieraz i zatai na długi czas oddech — zamknie oczy na cierpienie umiłowanego syna, niema, zimna i nieczuła na pozór nad skrwawionym zasiądzie, póki mściwa nienawiść nie wypali się w oczach nieprzyjaciela, a kroki jego przejdą i oddalą się...

— Ja wiem, ja wiem... — mówił z uśmiechem Wolski.

— Mówiono mi jeszcze, że mądrość tej matki, która zamkniętymi oczyma widzi godzinę daleką, przyszłą, gdzie zatajona jej miłość zaświeci i rozpałi się w ogień wysoki a szeroki — mówiono mi, że mądrość ta jest większa niż głośny entuzjazm...

— Z tą tylko jedną poprawką, że temu synowi, co dziś tuła się i gaśnie w mroku, nie chce ona dać ani jednej iskielki ze swego wielkiego stosu. A jeżeli on nie przetrzyma męki i zginie, jakąż jest miłość tej matki, pełnej zbyt wielkiej mądrości... — mówił Wolski.

— Moje posłuszeństwo względem tego źródła władzy duchownej i moja głęboka pokora nie pozwalają mi wznosić oczu aż do tej wyżyny, ażebym śmiało narzucać jej rozstrzygnięcie takiego pytania, ja, pospolity wierny.

— A wszakże pan hrabia przykładając ręki nie tylko do rozstrzygnięcia samego zagadnienia, lecz także do jego na jedną wyraźną stronę wcielenia w czyn...

Hrabia spojrzał na księdza surowo, jakby mu tym spojrzeniem chciał zamknąć usta.

— Jeżeli tak było, jak p a n mówisz, to niewątpliwie ważne mię do tego skłoniły powody. W żadnym jednak razie nie należałoby tych rzeczy poruszać...

Niespodziewanie panna Małgorzata podniosła głowę. Patrzyła hrabiemu Nastawie prosto w oczy, Piotr zobaczył teraz jej oczy, takie właśnie, jakie mu się przyśniwały w gorączce. Były to oczy przyciągające a głębokie. Powiedziała ze spokojem:

— Powody, które pana skłoniły do zajmowania się tymi sprawami, musiały być dość rzeczywiście ważne, skoro pan to mówi. Lecz powody te już ustały. Toteż może to będzie dla pana daleko lepiej, żeby w ogóle już nie zajmować się tą kwestią. Tak mi się wydaje...

Powiedziawszy to spuściła oczy i zamilkła. Hrabia przybladł. Pan Oścień również. Zaraz też skierował rozmowę na inne tory? a wybierając tematy zdawał się zabiegać drogę potężnemu gościowi, schylać się przed każdą jego myślą. Panna Małgorzata była znowu zażenowaną panną na wydaniu. Zajął się bawieniem gościa, a gdy podano herbatę, usługiwała wszystkim z wdziękiem, rumieniąc się za lada okazją. Nad wieczorem hrabia zabrał się do odjazdu. Zaznaczył mimochodem, że jedzie wprost do Siedlec.

Piotr powstał również i zaczął żegnać się prosząc jednocześnie księdza Wolskiego o pomoc w wyszukaniu i wynajęciu koni także do Siedlec. Hrabia Nastawa zwrócił się do Rozłuckiego z gorącą prośbą, ażeby wsiadł do jego powozu i odbył z nim razem drogę do miasta. Piotr uprzejmie dziękował, lecz hrabia nastawał dopóty, aż uzyskał zgodę. Napomknął w przelocie, że będzie to nawet z korzyścią dla Piotra i dla Ościeniowskiego domu "w razie przypuszczalnych przykrości", jeżeli się oświadczy, że pan Rozłucki, oficer artylerii, chwilowo goszcząc na Podlasiu, wyjechał w karecie i w towarzystwie hrabiego Nastawy. Piotr zżymał się wewnętrznie, lecz ze względu na bezpieczeństwo tego domu natychmiast przystał na ów wyjazd. Pożegnał pana Ościenia i księdza Wolskiego uściskiem ręki, pannę Małgorzatę ukłonem dalekim i wsiadł do karety. Hrabia Nastawa siedział obok grzecznie wyprostowany, starając się zajmować jak najmniej miejsca.

Zaraz za bramą dworską, w piaszczystej alei i dalej na gościńcu otoczyły pojazd tumany kurzu. Trzeba było podnieść okna karety. Ale pył wdierał się i tak do wnętrza. Było duszno. Pojazd kołysał się od szybkiego biegu koni i zdawał unosić w tumanie kurzawy. Kilkakrotnie hrabia stukał w przednie okienko dając, widocznie, znak, żeby jechać wolniej. Kilkakrotnie również przeproszał Piotra za ów nieznosny kurz, którego uniknąć nie było sposobu. Oficer tłumaczył się, że jest aż nadto przyzwyczajony do pyłu na musztrach artylerii, że to dla niego rzecz powszednia.

Po pewnym czasie wydobyło się na twardszą drogę, a wreszcie na szosę. Wtedy już wieczór zapadał. Konie na chwilę stanęły: lokaj zapalił latarnie. Gdy wskoczył z powrotem na kozioł, ruszon o bardzo szybko. Wehikuł unosił się lekko, miarowo, usypiająco. Latarnie rzucały przed się kręgi światła, w których przedmioty przydrożne ukazywały się i ginęły, jakby przerażone tą nagłą, istic pańską światłością.

Obadwaj podróżni zachowywali milczenie. Było ono tak długie, że Piotra zaczęło dławić. Z rozkoszą byłby jechał najgorszą żydowską biedą, byleby mieć za towarzyszków swe myśli i wrażenia zamiast tego tak cudzego człowieka. Nareszcie hrabia przerwał milczenie.

— Rozmyślał — rzekł — nad tym, jak niezwykle człowieka miałem szczęście poznać w szanownym panu.

— We mnie? — zdziwił się Piotr.

— Właśnie...

— Jestem człowiekiem bardzo pospolitym, panie hrabio.

— Pozwoli pan, że będę innego zdania.

— Nie ma we mnie nic takiego, co by wykraczało poza szranki najzwyczajniejszej pospolitości.

— A choćby pańskie uczestnictwo w nocnych wyprawach księdza Wolskiego...

Piotr zmieszał się nieco, lecz wnet odpowiedział:

— Szanowny pan, jak widzę, jest doskonale poinformowany o wszystkim, co się tu dzieje, nie tylko w dzień, lecz i w nocy.

— Tak jest — niestety — tak jest.

— Doprawdy — to niemal wszechwiedza...

— Bardziej jeszcze od tego kroku, bądź co bądź niezwyklego, jeśli brać pod uwagę pański zawód i stanowisko — zastanowiła mię rola pańska jako obrońcy panny Małgorzaty — owa, tyle piękna, walka z kolegami...

— Daruję pan, że nie chciałbym o tym mówić...

— Rozumiem tę skromność człowieka honoru. Lecz rozważając okoliczność i innej kategorii... Bo przecież pan jest również oficerem, i to tej samej armii...

— W armii są żywioły rozmaite.

— Tak. Lecz przecież pan nie znał przedtem, i to wcale, panny Małgorzaty...

— Nie znałem jej rzeczywiście.

— Nigdy jej pan przedtem nie widział?

— Owszem, raz ją widziałem poprzednio.

— Ach, tak? To nieco zmienia postać rzeczy. Więc to już raz, przed tym wypadkiem, pan widział był pannę Ościeniównę?

Głos hrabiego Nastawy zabrzmiał jak gdyby głos innego człowieka. Nieopisana pasja brzmiała w delikatnym pytaniu, które wygłosił. Słowa te były tak samo równe, dobrze uszykowane i w miarę ugrzecznione, a mimo to wyrzywały się jakby ze zduszonej piersi.

— Nie wiedziałem o tym wcale — mówił. — Przepraszam, że się dopytuję o te szczegóły, ale to dla mnie interesujący temat! Ten czyn rycerski, męski, piękny sam w sobie i sam dla siebie, zachwyca mię wciąż. Nie uwierzy pan, gdy to powiem, a przecież tak jest, że ja o tej scenie myślę często, bardzo często. Więc pan poprzednio znał już może osobiście pannę Ościeniównę?

— Wspomniałem przed chwilą, że nie znałem jej osobiście. Widziałem pannę Małgorzatę w wagonie kolejowym.

— W wagonie...

— Było to dawno. Jechałem wtedy pierwszy raz do kraju.

— Czy zrobiła na panu wrażenie? — zapytał hrabia śmiejąc i poufałym.

Piotr zamyślił się przez chwilę, jakby sobie chciał przypomnieć owo dawne wrażenie. Westchnął:

— Nie.

— Jak to, wcale?

— Panna Ościeniówna nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia.

— Jesteśmy sami — mówił Nastawa pochylając się ku niemu — jesteśmy mężczyznami...

Piotr milczał, jakby odpychając od siebie tę poufałość.

— Byłbym bardzo szczęśliwy — ciągnął Nastawa — gdyby w istocie tak było, jak szanowny pan utrzymuje, że panna Małgorzata była dla pana zupełnie obojętną, gdyż wówczas tamten czyn jeszcze piękniejszym światłem wyblyska. Tylko że to tak trudno uwierzyć... Doprawdy! Panna Ościeniówna jest tak piękna, tyle ma w sobie wdzięku, że mógł pan częśćkę jego nosić w sobie, wcale o tym nie wiedząc.

— Choćbym miał nawet tanim kosztem wyrosnąć na bohatera, muszę się przyznać, że nie kochałem się ani jawnie, ani skrycie w tej osobie.

— I to ani wówczas, ani dziś? — zapytał hrabia natarczywie.

— Panie hrabio, roztrząsamy już tak długo moje afekta. Nie chciałbym być niedyskretnym, a le muszę się odzwajemnić tym samym pytaniem.

— Przepraszam pana za niedyskrecję, jakiej się dopuściłem!

— Nie sprawiła mi ona przykrości. A przecież to rzecz niewątpliwa, że w sprawach miłosnych niedyskrecja może się równać uderzeniu sztyltem.

— Tak, panie.

— Tu nie było nawet zadrażnienia.

— Jakże się cieszę! Ale w takim razie... W takim razie — dlaczego pan tu przyjechał? — zapytał hrabia Nastawa prawie niegrzecznie.

— Po prostu chciałem zobaczyć obiekt, za który skrzyżowałem szablę... — odpowiedział Piotr twardziej niż poprzednio.

— Pewnego dnia przyszło panu na myśl, że należałoby zmierzyć istniejące niewątpliwie a należne panu wrażenie. Pewnego dnia zechciał pan zobaczyć, jak też daleko sięga urok nie tej blizny zewnętrznej, znaku na twarzy — o to nie ośmieliłbym się nigdy posądzić pana! — lecz urok niewidzialnego pióropusza na niewidzialnej przyłbicy. Wiedział pan teoretycznie, że taki urok jest tam z pewnością, gdzieś daleko — w tej duszy — że egzystuje tajemnie jako tęskny, nie spłacony dług, że śni o panu w podlaskim pustkowiu sekretne, niezniszczalne wspomnienie i gwałtowna, czarująca, dziewczęca ciekawość. Przyjechał pan zobaczyć, czy tak jest w istocie.

— Pan to dosyć trafnie określa. Być może, że rzeczywiście tak ze mną było. Może tak, a może i nie, coś w tym rodzaju...

Hrabia milczał. Po dłuższej, bardzo długiej chwili zapytał:

— I cóż?

— Nic.

— Odjeżdża pan syt tryumfu, bogaty w słodycz zwycięstwa serca mocnego nad słabym, zimnego nad gorejącym, czy nie?

— Po prostu odjeżdżam, jak pan widzi.

— To nie jest odpowiedź.

— Panie, wracam tak samo głodny, jakem przyjechał.

— Nie rozumiem.

— Nie pragnąłem być zrozumianym.

— Daruje pan, ale nie chodziło mi w tych niedyskretnych, wyznaje, indagacjach o pana, o pańską indywidualność.

— A wszakże dopytywał się pan o to właśnie.

— Tak jest...

— Więc o kogóż chodziło?

— O pannę Małgorzatę Ościeniównę.

— Pan hrabia, jak spostrzegam, opiekuje się żarliwie i ze znanstwem losem uczuć tej pięknej osoby.

— Tak, panie.

— Czy to ze względów towarzyskich, czy politycznych może?

— W pańskich ironicznych zapytaniach przewija się włókienko prawdy. Nie chciałbym, ażeby ta osoba ulegała podszeptom takiego narwańca jak ten Wolski ani urokowi takiego szermierza wybuchowości uczuć jak szanowny pan.

— To rozumiem. Ale dlaczego pan hrabia tak mocno się tym interesuje?

— Taki kierunek przybrały moje fantazje.

— Jesteśmy sami, jesteśmy mężczyznami...

— Musi pan poprzestać na tym odwiecie.

— On mi wystarcza. Czy ksiądz Wolski doświadczał moralnej pomocy od panny Małgorzaty w swoich zamysłach i krokach?...

— Moralnej! Chciał pan powiedzieć — absolutnej... Toż dawno siedziałby na dnie więzienia albo tam, gdzie już kruk nie dolatuje, gdyby nie ona.

— Nie przypuszczałem, że ta panna ma takie wpływy i stosunki.

— To jest rzecz znana mi, wiadoma, dająca utrzymać się w rękę. Teraz przybywa sprawa z panem.

— Jakaż to sprawa?

— Och — sprawa chorowita, naładowana wzniosłymi uczuciami, polska sprawa zeszlowieczna a całowieczna, która odnawia się jak skryta, dziedziczna choroba. Przepraszam pana, że tak mówię.

— Doprawdy, nie wiedziałem, że jestem aż tak ciężko chory.

— Ciężko chorzy najczęściej nie wiedzą o swoim stanie. Nie ośmieliłbym się imputować mych myśli tak ostrych, nie ośmieliłbym się wynurzać mej nienawiści do tego martwego świata, do cierniowych koron, wędrowań w Sybir i do Francji, "ziemi cudzej", gdyby nie to, że dusza tamtej osoby mogłaby poślizgnąć się również w ów wybój obrzydły, w tę wyrwę na drodze życia. A mogłoby się to stać, gdyby wpływowi pańskiemu uległa.

— A więc pan sądzi, że gdybym ja zechciał, toby się tak stało?

— Tak przypuszczam wnosząc z niektórych danych. Toteż dlatego pragnąłem z panem otwarcie, zupełnie otwarcie pomówić... Tak otwarcie, jak mogą mówić ze sobą dwaj silni mężczyźni.

— Słucham z uwagą.

Po namyśle hrabia Nastawa zaczął:

— Mam znaczne wpływy w Petersburgu. Nawet się pan może nie domyśla, jakie to są wpływy. Mogę tam bardzo wiele. Jestem bogaty. Posiadam również stosunki w paryskim świecie oficjalnym. Jeżeli szanowny pan zechce, poruszę wszystkie sprężyny, ażeby go wysunąć na pierwszorzędną pozycję.

Piotr zachichotał wewnątrz. Przypomniały mu się perspektywy rysowane niegdyś w Paryżu przez generała Polenowa. Pokiwał głową, mówiąc:

— Doprawdy, panie hrabio, doprawdy...

— Widział pan u Ościeniów na przykładzie, że to nie są przechwałki. Tutaj, gdzie Chrystus, gdyby zstąpił na ziemię, byłby odprowadzony do urzędu, ja przecież powstrzymałem wszystko, ażeby was tam dziś w nocy nie wybrano w zatockim dworze jak piskłat z gniazda. Powtarzam: użyję wszystkich sił, ażeby pan mógł iść jak po różach.

— A cóż ja mam za tyle dobrodziejstw złożyć panu hrabiemu w ofierze? Bo coś przecie będę musiał złożyć w ofierze.

— Nic. Żadnej pan nie potrzebujesz dawać ofiary. Dlatego przecie prowadziłem tę rozmowę, żeby się przekonać, czy pan nie jesteś w pannie Ościeniównie zakochany. Powiedział pan, że nie. Więc nie poniesie pan żadnej ofiary. Pójdzie pan tylko swoją drogą, wysoką, utartą i zasłaną różami.

— Zdumiewająco łatwa rola.

— A nie!... jeden warunek...

— Jest jednakże.

— Rzecz dla pana bez znaczenia. Pokaże pan pannie Małgorzacie Ościeniównie w jakiś sposób oczywisty i nie podpadający zwątpieniu — co już będzie rzeczą pańskiej subtelności — że nie jest pan wcale ani Shelleyowskim Laonem, ani Mickiewiczowskim Wallenrodem, lecz samym sobą, to jest uzdolnionym oficerem, szukającym wysokiej kariery w wojsku rosyjskim, kariery, która się panu ze wszech miar należy...

— Panie hrabio — będę otwartym — jakąż mógłbym mieć pewność, że ową wysoką protekcję otrzymam? Bo mógłbym wobec panny Małgorzaty w sposób subtelny odczepić pióropusz z mojego hełmu i sam hełm panu wręczyć w tym celu, ażeby mi weń nasypało czerwonych złotych, a jednak nic nie otrzymać prócz śmiechu z mej łatwowierności.

— Czuję w głosie pańskim szlachetne oburzenie... — mówił hrabia Nastawa z dokuczliwą drwiną.

Przestał mówić, gdyż poczuł, że Rozłucki dotyka go w ciemności dłonią. W trakcie tego oficer znalazł jego ramię, ścisnął je z całej mocy i potrząsnął całą osobą raz i drugi.

— Co to jest?! — krzyknął hrabia.

— To jest moja odpowiedź!

— Jak pan śmiesz?

— Milcz pan!

— Coś pan powiedział?

— Proszę kazać stanąć! Wsiadam!

Nastawa siedział bez ruchu. Namyslał się. Po chwili zastukał w przednią szybę. Lokaj nachylił się i wówczas hrabia krzyknął mu rozkaz:

— W konie!

Kareta pomknęła jakby niesiona przez wicher. Ruch jej stał się zupełnie inny: schylała się w swym chyżym locie na prawo i na lewo. Słysząc było stukot kopyt czterech koni po twardej szosie. Latarnie zgasyły.

— Sądzisz pan, że ponieważ na pańskim wózku jadę, to pańską będę piosenkę śpiewał. Każ pan stanąć! — mruknął Rozłucki.

— Sądzę, że mogę z panem zrobić, co zechcę.

— To się panu tylko tak wydaje.

— Rycerzu!

— Przekonasz się pan zaraz, że z rycerzem spotkałeś się oko w oko, kupcze honoru!

— Mogę pana zaraz tam odwiedzić, skąd już nie wyjrzysz na świat boży.

— Każ pan tam jechać!

— Nie, nie każę. Puszczę pana wolno. Ale wiedz, mój romantyczny artylerzysto, żeś zaczepił Nastawę. Kto mnie zaczepi, musi zginąć jak mdły motyl w powrozach potężnego pająka.

— Otóż ja pana, mój potężny pająku, nie tylko zaczepiam, ale wyzywam! Nie jestem motylem!

— A dlaczego mnie pan wyzywasz? Czego ode mnie chcesz?

— Nie podobasz mi się pan.

— To wybierz pan, jaki ci się podoba, rodzaj walki. Przyjmę każdy.

— Skądże taka pochopność do wyboru każdego rodzaju walki?

— Ażebyś raz zeszedł mi z oczu i drogi.

— Widzę pana pierwszy raz, lecz chcę, żeby był ostatnim.

Trudno było rozmawiać wskutek szybkiego pędu karety, więc się Nastawa schylił w ciemności i przybliżył twarz do twarzy Rozłuckiego. Mówił w uniesieniu:

— Usuń się pan z jej oczu, usuń się sam!

— Dlaczego?

— Bo ja ją kocham do szaleństwa, a panu ona jest obojętna. Ja ją kocham śmiertelnie, jak jeszcze żaden człowiek kobiety nie kochał...

— I cóż?

— Jeśli pana w pojedynku zabiję, tym gorzej dla mnie.

— Dlaczegoż to?

— Bo w każdej rozmowie, w każdym jej uczuciu, we wszystkich jej wyobrażeniach, w każdej myśli i w każdym marzeniu nabijam się jak na własną włócznię skierowaną przeciwko mojej duszy — na pana! Słuchaj pan...

— Słuchaj pan! Jeżeli tak jest w istocie, to tym gorzej dla pańskiej miłości.

— Cóż tedy?

— Jeżeli to prawda, to ją poprowadzę za sobą tam, gdzie zechcę, choćby na szafot...

— Na szafot... — śmiał się Nastawa.

— W każdym razie nie dam jej panu.

— Przecie jej pan nie kochasz!

— Nie.

— Więc za cóż się na mnie mścisz?

— Ja wiem, za co się mszczę, i to nie na panu.

— Nigdy jeszcze nikogo w moim życiu nie prosiłem w taki sposób. Pana proszę. Błagam pana! Daj mi jej duszę! Daj mi jej duszę! Możesz to pan uczynić bez żalu, bez straty, bez jednej chwili smutku... Będę pańskim sługą przez całe życie, będę zawsze na pańskie rozkazy! Upadam panu teraz do nóg...

Rozłucki wtulił się w kąt karety. W tym głosie, który z drugiego jej kąta dochodził, usłyszał krzyk swój własny, jakby swoje własne wycie w nocy, gdy Tatiana była z Roszowem. Chciał jeszcze coś takiego znaleźć, jakiś argument równie napuszony i deklamatorski jak wszystkie poprzednie, jakiś wyraz równie nieprawdziwy i głupio hardy jak poprzednie wyrazy, wydobyć ze siebie coś najgorszego i najbardziej mściwego niby miecz z pochwy i ciąć w tamtą męczarnię, żeby się jeszcze wyżej

wyprężyla i jeszcze bardziej drgała. Lecz hrabia Nastawa zamilkł. Zdawało się, że go tam już wcale nie ma. Piotr czuł odrazę zarazem do niego i do siebie. Szczególniej do siebie. Przypomniawszy sobie, że nie ma, kogo by kochać na ziemi. Hrabia Nastawa z jego męczarnią zdał mu się być bogaczem. Głupią wydała się cała ta rozmowa, pełna przechwałek i drwin. Było duszno i mdło.

Jakieś światełka migały raz wraz za szybami z jednej i drugiej strony. Koła dudniły po bruku. Piotr nachylił się i patrzył w szybę. Było to już miasto. Hrabia zastukał i pojazd stanął. Lokaj otworzył drzwiczki pytając o rozkazy. Rozłucki wysiadł. Uchylił kapelusza i posłał ukłon w ciemną głęb karety. Lokajowi wcisnął w rękę kilka rubli i ruszył w kierunku dworca kolei.

Rozdział IV

Z Podlasia pojechał wprost do stryja Michała. Plan tej wizyty powzięty został tak nagle, w nocy na dworcu kolejowym, że nie było czasu na zawiadomienie listowe, a telegramy budzą jeszcze w tamtych stronach panikę, gdyż otrzymuje się je tylko w razie śmierci kogoś z najbliższej rodziny.

Przyjazd tedy nastąpił zgoła niespodziewanie i późnym wieczorem, a zaskoczył gospodarza już wprawdzie w łóżku, ale szczerze uradowanego z tej inwazji. Stryjaszek porwał się z łóża z młodzieńczym zapalem i zakrzętnął około kolacji. Narobił tedy strasznego na cały dwór hałasu, zbudził wszystkich, kto tylko spał pod dachem, zapędził do zarzynania ptactwa i gotowania wieczery. Po zjedzeniu wszystkiego, co tylko wniesiono, obydwaj długo w noc gawędzili w pokoju sypialnym stryja. Stał tam na stoliku pod oknem przypadkowo zostawiony kosz gruszek "winiówek". Gawędząc tak de omni re scibili to ten, to ów z rozmówców sięgał ręką w ów kosz i wyciągał na chybił trafił jakiś okaz. Tak to, w najniewinniejszy sposób, rozmawiając o rzeczach godnych zastanowienia, ujrzeli jednak po pewnym czasie tak znaczne obniżenie się poziomu zawartości kosza, że i dno przeglądać poczęło. Zasnęli wśród przyjaznej rozmowy w ciszy i spokoju starego domu.

Gdy się Piotr nazajutrz obudził, było późno. Kawa, otoczona różnymi rodzajami chleba, stała od dawna w pierwszym pokoju, oblegana natarczywie przez muchy, zaciekle od przeczuć jesieni. Zjadając godne ilości chleba z masłem i popijając śmietankę z kawą oficer artylerii rozglądał się po pokojach. Spostrzegł, że u stryjaszka jakiś się przepych zagnieździł: były nowe obrusy z cyframi haftem znaczone, poszewki, prześcieradła, ręczniki, a nawet, co już przekraczało granice wiarogodności, serwetki, uroczyście porozkładane przy nowych talerzach.

"Kama — myślał Piotr — sprawiła stryjaszkowi wyprawę wybierając się za mąż za swego mecenasa."

Wyszedszy zaraz po śniadaniu w pole, gdzie stryj dozorował orki jesiennej we trzy pary koni, wyjawiał tę myśl o nadmianie ręczników. Stryja ta uwaga trochę zawstydziła i napełniła melancholią. Począł wymawiać to Kamie:

— Nawiozło mi tu dziecko tych jakichś web i płócien, nakładło tego pełne szuflady. Tu serwety takie, tam owakie... Nigdy ja się w rodzaju tych serwet nie zapuszczałem i nie mam takiej pasji. Będzie miała tylko stara Jagna co wykradać z cicha a kolejką. Ona to robi systematycznie, bo gdzież to ludzkie oko może upilnować takiej rzeczy.

— Ech, pesymizm — zawołał Piotr.

— Serwetki... — zakonkludował stryj, ze zdumieniem, a nawet z pewną pasją rozkładając ręce.

Szkliliły mu się oczy z rozczulenia, gdy opowiadał, jak to byli latem w Cierniach wszyscy troje — Kama, Wiktor i Darzewski — "pan Darzewski". Wymawiając to nazwisko stryj Michał prostował się, przeistaczał, poważniał i zagłębiał w sobie. Mówił o swym przyszłym zięciu nie tylko z szacunkiem, namaszczeniem, lecz i z jakąś trwogą. Gdy rozmowa odbiegła od Darzewskiego jako tematu, znowu doń wracał.

Piotr odczuwał, o co chodzi, toteż mówił o narzeczonym Kamy niewiele, ale ze szczerą życzliwością i sympatią. Stryjowi to nie wystarczało. Zamyślał się głęboko o tym przedmiocie i milcząc brnął wzdłuż niwy szlakiem skiby świeżo wyoranej. Wreszcie zagadnął Piotra bez osłonek.

— Powiedźże mi, bracie, podoba ci się ten człowiek?

— Cóż za człowiek? Znowu Darzewski?

— No, właśnie.

— E, stryjaszku! Cieszymy się na spółkę, że tacy ludzie są w tym kraju, że tacy powyrastali wśród biedy i zgryzot... O czym tu rozprawiać!

— Szczerze tak mówisz czy tylko chcesz mię ucieszyć?

— Szczerze mówię. Czyżbym nie mówił prawdy, gdy idzie o kochaną Kamę?

— O Kamę, widzisz, o Kamę. Toś mądrze powiedział...

— Młody, a dojrzały człowiek; głęboka, a spokojna natura.

— Spokojna, roztropna, jasna...

— Nie jest na służbie obcego państwa jak ja, ani nie jest na uboczu od łożyska życia jak — proszę o przebaczenie! — stryjasek, lecz wchodzi do wnętrza tego obcego pieca i jak znawca, umiejący działać, z ognia gołymi rękoma wydobywa niejednen skarb, który by ogień bezżalosny strawił...

Stryj Michał zamilkł i jakoś dziwnie wtulił głowę w ramiona. Bładymi oczyma patrzył w znajomy swój przestwór jakby na twarz przyjaciela, u którego się szuka rady.

— Byli tu — mówił. — Tak było dobrze i tak wesoło. Jeszcze tu nigdy tak nie było. jak Ciernie Cierniami. Wiktor mi narozповідаł o tej ich adwokaturze... Och, Boże, Boże!...

— Co, stryjaszku?

— Jedno mię martwi.

— No?

— Jakże ich tam pewnego pięknego poranku...

— Od tego oni mają swe adwokackie głowy na karkach. Niechże też stryj śpi spokojnie!

— Po wtóre...

— I po wtóre nawet...

— Niby drobiazg... Nie mogłem dać Kamie nie tylko posagu, ale nawet wyprawy.

Piotr parsknął śmiechem.

— Czego się śmiejesz?

— A bo też stryj z tą swoją wyprawą! Któż to dziś w świecie tych emancypantów i emancypantek myśli o jakiejś "wyprawie"? To było dobre za czasów Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. To są dawne, ultrakonserwatywne facecje.

— Dobrze — dobrze... Facecje! Ale i ja wiem swoje. Na świecie jest tak: młodość, miłość, szczęście. Wszystko wtedy dobre, wszystko się wszystkiemu raduje, a samo nawet nie wie czemu. Dobry wtedy sosnowy stół i złamany stołek. Ale miłość męska stygnie i szuka tego samego szczęścia gdzie indziej, a na łonie kobiecym zostaje dziecko. To się nigdy nie odменя. Nadchodzą okrutne bóle ciała i duszy, skądś wynikają, a na nic są nikomu... Wtedy się okazuje, że owa "wyprawa" konieczna była, konieczna, mój miły. Miłość — to tak dobrze i tak pięknie! Ale kobieta musi mieć w schowaniu płótno. Do przewinięcia dziecka — i ran — trza płótna. To darmo, mój miły.

Zmętniały znowu siwe oczy starszego pana. Piotr gwizdał pewną paryską piosenkę. Uśmiechał się do czarnej, rozoranej ziemi, myśląc w głębi swej duszy, że i rany, najgłębsze rany, szczęściem by jeszcze były — gdyby istniały na tym świecie... Podniósł głowę i perorował:

— Och, zaraz takie akuszerijne myśli! Nie należy, proszę stryjaszka, myślami zabiegać zbyt daleko, bo się człowiek niepotrzebnie fatyguje. Nie można potem zażyć radości w należyтым spokoju. Przebiega się niepotrzebnie cały dystans po to tylko, żeby zobaczyć, że on ma swoje granice. Po co to? Lepiej nie wiedzieć, co tam jest na granicy. Wszelkie granice psują wesele...

— No — no, tyś także "wesoły"!... Ja cię nie znam... — mruknął stryj.

Dzień był cudnie cichy, jesienny. Rzeźwy powiew szedł z nizin. Srebrnie siwa, rzadka, sucha mgiełeczka stała w polach i precz — precz, niby tym płótnem, o którym mówił gospodarz, przewinęła okolicę. Lasy spoczywały w mglistym zanieśieniu, ugory i nieużytki, pola i łąki zasnute były chłodnym niebieskawym tumanem. Daleko w wiosce gęgały gęsi, lecz sama wioska ledwie-ledwie była widzialna. Jakaś stamtąd wychyliła się strzelista brzoza i czub jej tkwił ponad mgłą. Odległe w polach gruszki graniczne zdały się być jeno osadem zgęstniałego oparu.

Trzej parobcy żywo orali. Jeden z nich wciąż wygwizdywał na całą dziedzinę jakieś wyrwasy tak ogniste i skoczne, że się zdały w obłąkanym upojeniu tańcować do upadłego po skibach i zagonach. Drugi głośno i ordynarnie swarzył się i procesował ze swymi końmi, wymyślając im od ostatnich. Trzeci milczał zapamiętały, jakby dla umyślnego kontrastu i na złość tamtym. Konie szły obojętnie i sprawnie w żelaznych pługach. Czarne skiby odwracały się należycie, lśniąc od ziemnej wilgoci. Szeregi wron defilowały tuż za pługami wydzielając pędraki z takim spokojem i bezpieczeństwem, jakby były najemnikami dzierżawcy z Cierniów, zakontraktowanymi do tej czynności według wszelkich zasad umowy obustronnej. Dwaj panowie kroczyli za pługami i wronami gawędząc szczerze i życzliwie.

Piotr przeciągał się i wciąż z uwagą przypatrywał wszystkiemu. Tak to wszystko było na miejscu, tak w całości dobre i potrzebne! Ta ziemia czarna, porznięta smugami, zdawała się żyć i odczuwać... Jakże było piękne i do siebie samego należne wzgórze z brzezina, na której żółkło listowie — cichy parów — i senna, marzenia budząca odległość! Począł się stryja pytać o gospodarskie rzeczy, o tysiące niepostrzeżonych tajemnic uprawy roli, o sekrety życia wiejskiego. Okazało się z tej rozmowy, że

mnóstwa rzeczy nie rozumie, nie wie, nie słyszał, nie przeczuwał, że w wielu sprawach gospodarskich jest po prostu śmieszny ignorant. Częstokroć stryj powstrzymywał wybuch wesołości i przybierał na twarz wyraz uprzejmej powagi, ażeby swemu gościowi nie okazać, jak niewiarogodne niedorzeczności z dobrą wiarą wypowiada.

Gdy parobcy poczęli zjeżdżać z pola — "panowie" wrócili na obiad do domu. Po południu wyszli z fuzjami, właściwie tylko dla parady, bo nie myśleli polować. Wieczorem wcześniej spać poszli. Nazajutrz było to samo. Następnego dnia znowu mniej więcej — to samo. Zdawało się Piotrowi, że jest to jednak wiecznotrwale próżnowanie, gdyż sam nic w tym wszystkim nie wykonywał, lecz spostrzegł wkrótce swą pomyłkę.

Stryj Michał wciąż był czymś zajęty. W ciągu trwania tych monotonnych dni odbywała się systematyczna praca pod jego kierunkiem. Stryj nie siedział wciąż w stodole, przy młóccie i wianiu zboża, ale tam raz wraz zaglądał. Szedł niby to w pole na spacer, lecz zarazem według jego wskazówek składano nawóz, orano i bronowano.

Były jednak i dnie istotnie beczynne, senne.

Pewnego razu mżył drobny deszczyk jesienny. Chodzili podczas tego deszczu po ugorach i zaroślach, wreszcie po lesie. Gdy ostrzejsza nadciągnęła "planeta" deszczowa, schronili się w kępie wielkich olch nad rzeczką. Zachyleni pod gałęziami, czekali, aż naciwnie. Stali tak nie rozmawiając. W trakcie tego ich wypoczynku nadleciał skądś zmoknięty dudek i nieopatrznie zasiadł tuż przed nimi na gałęzi. Położył po sobie pióra, wtulił głowę między skrzydła i grzał się własnym ciepłem życia, radosnym i zdrowym, zupełnie zresztą jak dwaj panowie ze dworu w Cierniach, ukryci pod drzewami. Przypatrywali się wszystkim jego praktykom uważnie i z pobłażaniem.

Ptaszysko drzemało trzymając się pręta szponami. Deszcz po nim ściekał jak po korze drzewnej. Aliści jakiś szmer je przebudził... Podniosło śmieszna głowę i najeżyło czub. Zrobiło to wrażenie, że dudkowi włosy z przerażenia stanęły sztorcem na głowie, gdy ujrzał tuż, tuż, niemal obok siebie, dwie figury potwornej wielkości i oczy tych poczwarów w siebie wlepione. Porwał się, zatrzepotał skrzydłami i, bijąc nimi o pręty, gałęzie i pnie, rzucił się do sromotnej ucieczki w panicznym przerażeniu. Widzowie parsknęli śmiechem jak w najweselszym teatrze.

Wieczorem, a raczej po nastaniu zmroku, zjawiali się we dworze goście. Byli to chłopci z wiosek sąsiednich. Goście ci siedzieli naprzód w kuchni. Kucharka Jagna dawała gospodarzowi znać o ich obecności. Z początku stryj Michał zdawał się nie zwracać uwagi na to anonsowanie — wstydił się po prostu, że kucharka mówi o obecności chłopów. Za pierwszym razem wszystko skończyło się nawet na anonsowaniu.

Następnego jednak wieczora stryj Michał z pewnym wahaniem i znowu jakby ze wstydem zapytał Piotra, czyby nie miał nic przeciwko temu, ażeby weszli do pokoju chłopci, którzy siedzą w kuchni. Dodał przy tym mruklawie, że ludzie ci przychodzą "na gazetkę". Piotr, oczywiście, zgodził się bez żadnego protestu.

Weszli wkrótce dwaj starsi już wiekiem rolnicy. Jeden z nich był wysoki, łysy, z sępimi oczyma, długą, wygoloną twarzą i krótko przystrzyżonym wąsem, drugi niższy, o pospolitych rysach oblicza.

Wysoki miał powierzchowność i zachowanie się jakiegoś senatora czy wodza, oczy nieufne i przebiegłe, a nade wszystko stały w sobie i nieposzlakowany spokój. Przypatrywał się Piotrowi z zastanowieniem i badawczością, jakby go indagował oczami. Każdy szczegół jego ubrania, każde słowo i poruszenie brał wprost na spytki. Obadwaj zasiedli skromnie przy drzwiach i mówili ze

starszym panem o rzeczach miejscowych. Kiedy ugwarzali o pogodzie, robotach w polu, o deszczu i wietrze, Piotr pojmował, iż to nie jest czcza gawęda "o pogodzie", lecz rozmowa o treści najbardziej zasadniczej. Było mu nieprzyjemnie, że i on nie może być ziemiańskim człowiekiem, dla którego te właśnie sprawy, tamtejsze, okoliczne, miałyby treść tak doniosłą jak dla nich. Gdy się odezwał, ci ludzie przysłuchiwali się z życzliwością, ale traktowali wszystko, co wygłosił, w sposób pobłażliwy, prawie poklepujący po ramieniu.

Jakże mu się też podobali ci zdrowi i potężni ludzie! Łysy wieśniak nie mógł określić swego wieku, nie wiedział dokładnie, ile ma lat, ale zaznaczał, że musi być znacznie po siedmiu dziesiątkach. Zestawiał te dziesiątki z różnymi tamtejszymi wypadkami i według tych słupów żelaznych, które zewnętrzność wbiła w pamięć, orientował się w rozległości swego życia. Z ognistych jego oczu tryskała pewność przetrwania jeszcze drugiego takiego okresu. Ten wysoki starzec, który zresztą nie miał jednego włosa siwego, a twarz jak u mężczyzny lat trzydziestu, był analfabetą. Jego towarzysz umiał dobrze czytać i pisać. Obadwaj lubili "wiedzieć o świecie". Rozpytywali niby to stryj Michała, a właściwie Piotra, o ów "świat". W tym słowie mieściło się wszystko: wojna i pokój, rzeczy dalekie i władza, owa siła, co nakłada podatki, bierze rekruta, goni go "na Kapkaz" albo "w głęboką Rosję", narzuca na ludzi wójta, pisarza i strażników. Piotr nie wywnętrzał się przed tymi chłopami. Mówił półgębkiem i tylko to, co można było powiedzieć. Oni słuchali go uważnie, a raczej ciekawie, lecz nieufnie i jakby z półwiarą w to, co im mówił.

W trakcie rozmowy stryj Michał zrobił uwagę, że ojciec Piotra zginął w powstaniu — i o miejscu, gdzie leży. Nie zrobiło to na słuchaczach wielkiego wrażenia. Zawiązała się pogawędka o powstaniu, treści anegdotycznej. Piotr widział, że kwestia powstania nie ma w tych ludziach ani entuzjastów, ani krytyków. Mówili o powstańcach tak samo jak o "wojsku", z jednaką ciekawością i rezerwą. Wysoki pamiętał powstanie, jakby było przed tygodniem. Pokazywał kierunek marszów, opisywał miejsca, zarośla, krzaki, gdzie była "bitka". Mówił o trupach jak o zabitej zwierzynie. Śmiał się od niechcenia z powstańców, z ich biedy, z głodu i owych wszy, co ta wtedy za wszystkie czasy nagryzły szlachtę. "Wszom się widziało, że gryzą chłopstwo — taki to był i rok"... Stryj Michał zrobił na złość temu staremu, rzucając uwagę, że i on przecie był "w bandzie". Chłop błysnął na Piotra nieufnymi oczami i podejrzliwie go znowu badał — a wreszcie wyparł się w żywe oczy powstania, bandy i uczestnictwa w bitwach twierdząc z oczywistą wykrętnością, że to jeden sąsiad, Michta Walenty, co już pomarł z dziesięć lat temu, nosił za panami ładunki, a później ludzie na niego przerzucili podejrzenie. "Jak to ludzie — dodawał — zawsze szelmy"... Po namyśle, zza ironicznego, mądrego uśmiechu odezwał się jeszcze:

— I co tam o takich rzeczach mówić... Dawne czasy.

Dla odsunięcia niemiłego tematu poprosił, czy też "gazetki" nie ma. Okazało się, że jest właśnie nowa. "Gazetka" była miejscowa, organ gubernialny, który stryj Michał prenumerował — nudna i jałowa piła papierowa, wystrzygana nożycami ze stołecznych pił papierowych.

Wykręcono lepiej płomień lampy, przysiadł się do światła ów młodszy chłopowina i rozwiniąwszy płachetkę, wyczytał wszystko gdakającym głosem od tytułu aż do podpisu redaktora — o Salisburym i cesarzu Wilhelmie, o tajemnicach i koniunkturach politycznych, rozjaśnionych albo przewidzianych w mieście gubernialnym przez tamecznego polityka. Co pewien czas goście zadawali stryjowi i Michałowi pytania żądając wyjaśnienia rzeczy bardziej zawikłanych. Stryj wyjaśniał ze swym zażenowaniem.

Piotr kilkakrotnie chciał uzupełnić te wyjaśnienia, spostrzegłszy, że komentarze stryjaska niezupełnie ściśle odtwarzają istotę rzeczy. Ale dał pokój. Było i tak w miarę dobrze. Z roztrząsań

subtelności i matactw polityki zagranicznej Salisburego, które się w dyskusji wylaniały, Piotr spostrzegł, że wszystkie wyobrażenia pozagospodarskie i pozamiejscowe goście wioskowi mają zupełnie takie same jak stryj Michał, aż do stopnia zupełnej tożsamości. Mówili te same zdania i tymi samymi zwrotami.

Śmieszyły ich zjawiska i myśli, które jego śmieszyły, a podobało im się to tylko, co on lubił. Wkrótce te dyskusje z zakresu wyższej polityki wyczerpały wszystkich. Znać było, że sen kładzie dłonie na powiekach gości. Pożegnali się i wyszli.

Te wizyty powtarzały się codziennie. Przychodzili ci sami i inni, po dwu, po trzech i w liczniejszej grupie, z najbliższej wioski i z odleglejszych przysiółków. Skręcali w palcach papierosy, dużo po sobie zostawiali dymu i chłopskiego zapachu, czytali gazetkę, gwarzyli o świecie i znikali w zmroku. Stryja Michała zawstydzaly zawsze te chłopskie wizyty. Tłumaczył się przed Piotrem, że się chłopstwo do niego znęciło, a teraz już przez samą grzeczność i przyzwoitość, której dwór bądź co bądź przestrzegać musi, niepodobna im zabronić wstępu.

— Nie myśl tylko czasem, że jestem jaki chłopoman, jaki agitator albo działacz na urząd. Ja tam po chałupach jak Wiktor nie biegałem, nawet im rewizyt nie oddaję, i to z zasady, żeby sobie znowu do głowy nie przybierali, że zabiegam o ich względy. Chcesz przychodzić na gazetę, no to przychodź. Nawet ten fetor chamski cierpliwie znoszę. Nikogo nie zapraszam...

Zdawało się, że pogardza tym motłochem. W gruncie rzeczy lubił towarzystwo chłopów. Nietrudno było spostrzec, że jednych przekładał nad innych, że z niektórymi obchodził się dosyć pogardliwie i nawet z pańska, a innych tak wenerował i otaczał niepostrzeżonym szacunkiem, jakby na leżeli do najwykwintniejszego towarzystwa. Stosowało się to szczególnie do dwu wieśniaków starych i mądrych, którzy pewnego wieczora przyszli. Stryj rozmawiał z nimi jakoś zupełnie inaczej niż z ich sąsiadami. Słuchał cierpliwie tego, co mówili, tolerował nawet ich przesadne, z ciemnych gusiel wyrosłe poglądy — jeśli zaprzeczał ich twierdzeniom, to oględnie i ze szczególną grzecznością, która się nie chce wynosić ponad współbrata i opiera na wysokim wszystkim zrozumieniu. Młody oficer doznał tego wieczora zabawnego wrażenia, że nigdy nie był w grzeczniejszym i subtelniej dobranym towarzystwie, nigdy nie widział towarzyskiej tolerancji i uprzejmości doskonałej zachowanej.

Najliczniejsze wszakże zebrania we dworze odbywały się w niedzielę. Schodziły się zaraz od samego rana wszystkie okoliczne wioski w osobach ich męskich przedstawicieli — i zalegały podwórze. Stryj wyczytywał zgromadzonemu listę podatkową albo różne okólniki i rozporządzenia gminne. Nie było to wcale jego obowiązkiem. Spełniał to z przyjaźni i uczynności. Takie tam panowało od lat, a może od dziesiątków lat, niepisane prawo, które się stało obyczajem. Sołtys był na pół piśmienny, a w "ruskim" się nie orientował. Tymczasem wszelkie wykazy odbierał wystosowane po rosyjsku. Stary pan Rozłucki z Cierniów tłumaczył to wszystko na polskie, a w wykazach podatków ruble na złote, a nawet na jakieś "czeskie". Piotr z okna przyglądał się tym scenom z niemałą ciekawością. Stryj Michał nałożywszy okulary, podniesionym głosem wyczytywał z okólnika nadesłanego z urzędu gminnego nazwiska i kwoty należności. Gdy wymienił jakieś nazwisko i dobitnie odstawił ilość złotych albo "siedem, osiem, dziesięć czeskich", przerywał i znad okularów szukał w tłumie pacjenta, a znalazłszy go oczami, powtarzał jeszcze kilkakrotnie wysokość podatku.

"Wyczytywanie" trwało zazwyczaj aż do "sumy". Wówczas zaprzęgano konie, następowało uroczyste golenie się, ubieranie w godowe szaty, te same zresztą od szeregu lat, i paradny wyjazd odświętną bryczką do parafialnego kościoła. Przed kościołem stryj Michał zatrzymywał się wśród chłopów i rozmawiał przez pewien czas z tym i owym. Nie były to rozmowy poufale ani ze strony wieśniaków uniżone. Miało to raczej charakter obrzędowy, tak samo jak zasiadanie podczas sumy w

osobnej ławce. W rozmówkach przedkościelnych panowała hieratyczność tematów i form, ale także obrzędowa niemal uprzejmość. Było to obcowanie ziemiańskie, przechowywanie zwyczaju na nie nieskwapliwego, jakby objawy przyrody obojętnej, a stale wykonywującej swoje. Chłopi "rozmawiali się" z panem z Cierniów, bo taki był z dawien dawna przedkościelny obyczaj. Czasami któryś o co zapytał, czasami zakomunikowano jakąś miejscową wiadomość.

Na Piotra wszyscy patrzyli z niesłychaną ciekawością. On nie kwapił się do ławki przed głównym ołtarzem, w której zasiadał stryj Michał i dziad generał. Ażeby nie spotykać się z dziadem, zostawał w kościele, a nawet w kruchcie. Lubił tu stać wśród tłumu prostaków, wśród szorstkich sukman. Strasznie lubił słuchać modlitewnego szeptu, patrzeć na twarze zdrowe, mocne, zawiędłe, zawzięte, suche. Ani jednego nie było człowieka otyłego. Wszystko to było wysmukłe, jędrne, muskularne, ludzie, których zboże żywi, praca ciężka na ziemi hoduje...

Nade wszystko jednak czekał na chwilę, gdy po podniesieniu zaczynali całym kościołem śpiewać swoją pieśń — "Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny". Ksiądz w połyskliwym ornacie stał przed ołtarzem nieruchomy, jakby w owej chwili ustawała jego władza i siła, a kapłanem czynił się ten ogromny, jednolity ludzki zespół. To oni sami wówczas rozmawiali się ze swoim "Mocnym Bogiem". Pieśń uderzała w sklepienia kościelne, zdawała się wyważać zamknięte drzwi i wyłamywać okna. Nieuczony, potężny, jednolity głos tłumu podrywał się z ziemi jak ptak, rozpościerał skrzydła i szybował ku niebu. W tych, co śpiewali, i w tych, co słuchali, jednak serce drżało. Pieśń wypominała klęski, które spadają na plemię ludzkie, na sioła przyziemne: powietrze — głód — ogień — wojnę... Ciemne, straszliwe, nieme dzieje chłopstwa, znaczone stygmatami "powietrza" — poryte legendarnymi klechdami o męczarniach "głodu", rozświetlone nocną żagwią "ognia" — i pamiętające dziki, przeraźliwy tętent "wojny" — wzywały o pomoc do Tego, co żywych może "zachować".

Była w tej pieśni, wyrzuconej z piersi zdrowych i potężnych, niewysłowiona moc i dzika żywotność. Tragizm tej prawdy, że pieśń tę śpiewają chłopci polscy, opuszczeni i samym sobie zostawieni, którzy Polskę w siołach swych zataili, dodawał hymnowi nowego pierwiastka potęgę. Stojąc tak w tłumie i słuchając Piotr uczył pewnego razu dla tego siermiężnego narodu wszystkomogącą miłość.

Zaraz po nabożeństwie wracali do Cierniów, ażeby nie spotykać się z dziadem. Bryczka toczyła się bocznymi drogami, kolejami wyżłobionymi przez nieliczne wozy. Na prawo i na lewo ciche się słały role. Jedne, ku wzgórkom zwrócone, schły w ciepłe jesiennym, inne, nizinami idące, były ciemnoszare. Na przewidywanych ścierniskach siedziały zadumane wrony. Grusza polna, samotna w przestworze, miała w sobie jakąś powagę i jakby władzę nad tymi rolami. W dali były wzgórza zorane, blisko opustoszałe zarośla. We mgle, kędyś daleko, w iatrak leniwie obracał swe skrzydła.

Piotr wpatrywał się w ten pejzaż tak niebogaty i myślał o nim po swojemu, w sposób, który się na mowę przełożyć nie da. On go przerabiał, przekształcał, orał, zabudowywał, przekopywał i zasiewał. Lecz i taki, jak był, z sennym wiatrakiem w dali, z samotną gruszą w polu, widok ten stawał się własnością duszy. Słowo jakieś nie logiczne, moskiewsko-polskie, jak jesienna pajęczyna w przestrzeni snuło się poprzez duszę...

Stryj Michał miał dziwne przyzwyczajenie: palił fajkę na krótkim cybuchu, ale tylko w drodze. W domu — nigdy. W drodze również lubił prowadzić dyskusje polityczne. Można było sądzić, że owa fajka wprowadza go na tory polityki. Poglądy stryjaszka były dziwną mieszaniną, do której trudno się było przyzwyczaić. Na wiele zjawisk tego świata zapatrywał się w sposób tak radykalny, że to aż zastanawiało. Nie były zresztą te, można powiedzieć, zapatrywania jego osobistymi wywodami, lecz

jak gdyby wiecowymi uchwałami, myślą wyrosłą z tamiecznych gromad człowieczych. Tyczyło się to przede wszystkim spraw gospodarstwa małorolnego. Stryj Michał znał, oczywiście, te rzeczy i wiedział, co mówi.

Piotr nie mógł nigdy z nim dysputować, bo teoretyczne stawianie rzeczy, socjologiczne tezy stryj zbijał jakimiś przykładami z życia Bartka albo Józwy, cytował pewne zdarzenia z wioskowego życia, absolutnie decydujące, jakoby, o wartości teoryj za nimi albo przeciw. Nigdy nie można było przewidzieć, czy stryj stanie po stronie jakiejś książkowej zasady, czy ją będzie ośmieszał, i to nie z kaprysu, lecz na mocy swoich życiowych, chłopskich sprawdzianów. Artylerzysta czynił nawet pewne próby. Wyciągał jakąś teorię najbardziej, najniemożliwiej skrajną i poczynął stryjaszka indagować. Ze zdumieniem spostrzegał, że szlachcic słucha uważnie, namyśla się, bąka, kręci głową, a wreszcie przechodzi na tę niemożliwą, skandaliczną stronę. Tak było wielokrotnie. Początkowo Piotr przypuszczał, że to jest może wpływ dzieci, wesołego Wiktora i sensata Darzewskiego, lecz wkrótce zauważył, że stryj nikogo z tamtej paczki nie traktuje na serio, że drwi z ich wszelkich socjologicznych pewników, a ma w tych sprawach własne swoje widzenie rzeczy, stokroć radykalniejsze niż tamci z Warszawy. Teorie stryjaszka nie miały nazw, które na świecie od dawna nosiły. Były one jak owe niezdarne wyroby prowincjonalnych geniuszów, które już dawno na wielkim świecie stały się pospolitymi szablonami.

Z drugiej strony — istniały dziedziny, w których stary pan z Cierniów był zdecydowanym konserwatystą, a raczej zwolennikiem obyczaju i tradycji. Tyczyło się to szczególnie stosunków kościelnych, obrzędów, świąt, ceremonii. Przestrzegał tego wszystkiego ze zdecydowanym uporem. Gdy mu Piotr wyrzucał niekonsekwencję, kiwał głową i zgadzał się, że to w istocie jest niekonsekwencja. W najtrudniejszych wypadkach wykręcał się zastrzeżeniem, że jest sobie prostym, nieuczonym człowiekiem — skądże tedy ma obowiązek przestrzegania konsekwencji.

— Tu — mówił — cmentarz widać ze wszystkich punktów, gdzie tylko człowiek stanie w polu. Kościół to samo sterczy nad chałupami. Jakże tam nie bywać, kiedy to jest dom pospólny, nie mój ani twój, tylko dom boży i ludowy? To jest dom ludowy, odświętny, gdzie się ludzie spotykają, witają, a potem modlą, potem pokazują sobie nawzajem piękno swych — żał się, Boże! — strojów, gdzie śpiewają Bogu o swym życiu zgrzebnym i parcianym. Cóż ty im dasz na to miejsce? Jużci jest drugi budynek, widniejszy, murowany. — To karczma...

Gdy zaś Piotr poczynął mówić właśnie o domach ludowych, o szkołach i muzeach, o teatrach i odczytach — wtulał głowę w ramiona i mówił, że to tam dopiero, jak będzie Polska...

— A ja, braciszku, jestem tutejszy rolnik, a będę leżał ot — tam...

Wskazywał ręką na cmentarz osłonięty wielkimi drzewami, widzialny we mgle jesiennej.

— Chodzi o to — dodawał — żeby nie zepsuć nic w tym, co stoi w duszy chłopskiej, co stanowi w niej moc i siłę trwania, aż do tego świętego czasu, który nadejdzie. Kto może coś dodać, dodaj! Lecz jeśli nic równie mocnego postanowić nie możesz, nie burz nic ze starych spoideł, bo tu nie ma czym żyć, tu tak jest źle jak nigdzie na ziemi...

Cóż było z nim począć? Zaczynali mówić o rzeczach weselszych, o podorywkach, nad którymi unosili się stada szpaków, o słońcu, co tak cudnie przygrzewało...

Rozdział V

Urlop skończył się i Piotr powrócił do siebie. Fort, gdzie od lat dwu stale mieszkał, należał do systematu twierdz objętych nazwą ogólną — Zasiiek — lecz stanowił samodzielną jednostkę. Był daleko, najdalej ze wszystkich robót wysunięty w pola. Sama forteca mieściła się w widłach rzecznych Wisły i jednego ze znaczniejszych jej dopływów. O parę wiorst od niej, nad owym właśnie dopływem, w miejscu suchym i cokolwiek wzniesionym ponad błota, które zalegały całe widły rzeczne, leżał posępny okop, z kształtu podobny do księżego nakrycia głowy. Nosił nazwę "Orzeł Czarny". Była to robota dawna, zbudowana z dużym nakładem pieniędzy i mocno już podstarzała, lecz potężna bądź co bądź w swej wielkości i pozycji. Zielone jej skarpy ziemne i narożne bastiony zamykające ją ze wszech stron leżały w niejkiej odległości od rzeczno rozdołu panując — na prawo — ponad całkowitym dalekowidzialnym zachyleniem tej rzeki oraz jej rozdołu — na lewo — nad mostem kolejowym i linią drogi żelaznej biegnącej między fortem i twierdzą — nad olbrzymią równią pól aż do drugiego fortu, szarzęjącego we mgle. Spod brustweru, od podnóża jego bankietu spadały w głębokie fosy gołe, a jak śmierć posępne, ceglane ściany frontów. Te ślepe, rude mury, dźwigające na sobie foremą masę ziemi, tworzyły w polach gzygzak gwałtowny. Wewnątrz ów fort podzielony został ostatnimi już czasy mocnym i wysokim murem na dwie części. Jedna z nich, zwrócona w stronę rzeki i pól, stanowiła kazematy, w których mieściła się kolekcja armat fortecznych, koszaży żołnierzy i mieszkania oficerów — druga, zwrócona w stronę Zasiieka, przeznaczona została na więzienia.

Artyleria tego fortu była liczna i najnowszego typu, lecz kryła się po staremu w sklepionych niszach, patrząc paszczami w embrazury. Koszaży żołnierzy mieściły się w tychże głuchych izbach kazematów. Na mieszkania oficerów wybudowano lekkie domki drewniane, tylnymi ścianami przyparte do muru dzielącego fort na poły. Były to istne domki z kart, zawierające mieszkanka ciasne, zimne i brzydkie. Okna ich wychodziły na wewnętrzne, brukowane podwórze i patrzyły w półokrągłe, jakby od pokładów ziemi zduszone okienka kazematów.

Mieszkało tam zresztą jedynie paru oficerów nieżonatych, i to tylko nominalnie. Byli to wszystko ludzie z adnotacjami, odsiadujący tutaj rodzaj kary po różnorodnych sprawkach. Każdy z nich służbę i pobyt w owym forcie poczytywał za czasowe wygnanie — z wyjątkiem Piotra Rozłuckiego, który tam mieszkał stale. Do tego zadowolenia się skłoniły go różne okoliczności, te wszakże nade wszystko, że mając sobie powierzony dozór nad budową podziemnych galerii i chodników musiał wciąż być na miejscu, doglądać wszystkiego ze szczególną pieczołowitością i nie tracić czasu na przejazdy.

Chcąc dostać się do "Czarnego Orła" z fortecy i rodzaju drewnianej miejsciny, która ją otaczała, trzeba było iść kilka wiorst piechotą, jechać tę przestrzeń koleją aż do przystanku, również od fortu dosyć odległego. Niedogodną również rzeczą było jeździć na robotę codziennie konno lub wózkiem. Ten był główny, zewnętrzny niejako powód, że Piotr zamieszkał w "Orle" na stałe. Przyczyny jednak tej decyzji kryły się głębiej i było ich wiele. Po przyjeździe do tego miejsca znalazł w nim niejako dobry przewodnik dla swego usposobienia. Gdy zamieszkał w forticznym podwórzu, odgrodziły go ściany kazematów — które przecie wymyślił nie byle jaki znawca rzeczy ziemskich, architekt diabelstwa ludzkiej potęgi, Machiavelli — od świata i jego miękkich powabów. Ziemia, grubym pokładem zwalona na mury, przydusiła pamięć. Życie na dnie tej obmurowanej studni i wpatrywanie się w życie żołdatów dobrze czyniło sprawie wytracenia wszelkiej czułości.

Jedyni mężczyźni, których widywał, byli to żołnierze, wielkiego wzrostu dobrani chłopci. Kopali ziemię, czyścili broń, wychodzili na musztrę. Spuszczeni z łańcucha obowiązków, mocowali się dla zabawy w ordynarnych igrzyskach albo śpiewali ordynarne piosenki. — W oznaczonych godzinach jedli krupnik, razowiec, kapustę, ochłapy mięsa i pili gorzałkę. W oznaczonych godzinach spali chrapając na cały fort. Apetyt ich, sen i robota były mocne jak te mury i okopy. Jedyne kobiety, które

się tam zjawiały, były to żołnierskie dziewczyny, obsługujące kolejką wszystkich tych drabów z baterii. Jeżeli szerzyły się wśród żołnierzy choroby, to potężne i wyraźne, jak syfilis albo tyfus.

Piotr z pilnością przykładał się do nowej pracy prowadzenia galerii kontrminowych, których system, uprzednio przygotowany na wszelką ewentualność, powykańczał nad wyraz starannie. Pracami tymi nadał nawet fortowi "Czarnego Orła" głuchą sławę wśród świata oficerskiego. W zimowe noce, kiedy był w tym miejscu sam jeden, czytał znowu bardzo wiele po polsku. Ale w książkach nie doczytywał się tych elementów zimna i mocy, których pożył. Książki były dlań teraz puste i ciche, nie mające nic do powiedzenia prócz zewnętrznej informacji. W zimowe tedy poranki, gdy porozdawał ludziom robotę, zdarzało się, że był osamotniony na świecie aż do ostatniej granicy. Schodził wtedy do komór armatnich, do nisz, gdzie stały milczące spiż, i nie wiedzieć dlaczego, przebywał z nimi sam na sam. Patrzył w nie zimnymi oczyma. Zdarzało mu się również w ciągu godzin wyglądać przez wąskie strzelnice w pola strzału, w dalekie grunta niczyje, zajęchane, w płaskie, przechodnie równiny, które ma jakiś nieprzyjaciel kiedyś przemierzyć. Wiatr zimowy świstał w embrazury i ostrym śniegiem siekł oczy...

Teraz, gdy powrócił z urlopu, począł na nowo wyniszczać w sobie nawiane w dalekich stronach zapachy i dźwięki czułe. Znowu przebywał wciąż w głębi fortu. Twardy był dla żołnierzy i potężną nakładał im pracę. Patrzyli nań spod łba z ukrytą we wzroku groźbą. Jeżeli wychodził na przechadzkę, to tylko na wierzch bankietu ziemnego i okręzał fort wokoło po jego najwyższym gżemiu. Nie był to wszakże wypoczynek, lecz właśnie uciążliwa praca. Stamtąd widać było dokładnie łożyska dwu rzek na dalekiej przestrzeni. Rozległe łachy rzeki głównej słały się przed oczyma.

W ciągu dwuletniego pobytu w tym forcie Rozłucki poznał się z widokiem rzeki, wmyślił się weń i wwiedział. Widok ten stał się jedną ze składowych części jego duszy. Przypatrzył się dobrze rzece w jej zimowym, lodowatym okuciu — podczas wiosennych zatorów — w wylewy, gdy się przeistaczała w żywioł potężny — i w letnie susze, gdy ciekła płytkim i ociążałym popławem strumieni między łachami. Chodził patrzeć wzdłuż jej brzegów, kiedy podczas wylewu rwała taflami najurodzajniejsze, najśliczniejsze pokłady przebogatych łąk, które przed wiekami sama niegdyś złożyła.

Przepląwał łodzią patrzeć, jak na przeciwległym jej brzegu powstawało wywierzisko piachu, ledwie pokryte karłowatą iwiną. W ciągu wielu — wielu dni napatrzył się sennymi oczyma tych wód bezpańskich, wód sobiepańskich, płynących starym nierządem. Nasycił się widokiem siły niezmiernej, która rwała w niewiadomą dal niszcząc uprawione pracowicie kmieć brzegi i ginęła w nicości przez wieki. Już się teraz nie wzdygał na widok niewolnicy, która zachowała w sobie przedwieczną swawolę, nierząd, bezmyślny nałóg zużywania olbrzymiej siły na złe i głupie. Poznał się oko w oko z tym symbolem, z tą rzeką-duszą. Od dawna, gdy w piaski i piękne, białe lica wód patrzył, wyśnił się w jego duszy sen, bezmyśl ukuty w wyobraźni, o szklanej epoce ludzkości i o szklanej epoce Polski.

Stojąc na szczycie fortu, znieruchomiały, niemy, zatopiony oczyma w dalekiej wodnej smudze, wielokroć marzył na jawie. Był bohaterem-robotnikiem, który z piasków bałtyckich u ujścia tej rzeki stwarza przy pomocy siły fal morza szklane belki, tafle, skarpy, przyciesie, czopy — buduje z nich ściany do ujęcia łożyska Wisły — ściska jej wody w jedną rynnę od Tatr do morza — niezmierną siłą jej wód obraca miliony turbin na pożytek płaskiego kraju. Pracują w jego myślach fale za całe polskie plemię. Olbrzymie dźwignie, poruszane siłą prądu tych wód, zebraną z wysokości gór, z rozległych płaskowzgórz, z pochyłych pól, zanurzają czerpaki wyrzucające na okoliczne pola urodzajne łąki.

Piasek stał się najcenniejszym skarbem, dającym wszystkobudujące szkło: piękne szklane domy rolników, ze szklanymi meblami i sprzętami, kolorowe siedliska nowej, ze szkła powstałej sztuki —

siedliska zdrowia, w których zniszczone zostały choroby: szkarlatyna, ospa, tyfus, zimnica. Wielkie zbiorowiska elektryczności, wypracowane przez rzekę Wisłę, oświetlają całe powiaty. Tysiączne maszyny rolnicze orzą i uprawiają ziemię, młocą, wieją i czyszczą zboże. Drogi ze szklanych tafli wybrukowały dalekie gościńce pod lipowymi alejami. Śmieją się do słońca cudne domy wśród zboża. Jedne są błękitne, inne różowe, białe lub wielobarwne. Wszystko, co tylko pomyślała fantazja natchnionego artysty, wszystko, co się poczęło w tajniach geniuszu, gdzie w letargu trwa kształt i barwa, wcielone zostało w zdobienie szklanych belek kolorem i rysunkiem, w załamania dachów, wieżyc, skarp, drzwi i okien. Towarzysze człowieka — koń, krowa, owca, Świna, pies i ptactwo, przebywają w szklanych budowlach...

Takie to były niedorzeczne koszmary, które się samotnemu oficerowi ukazywały.

Po powrocie z urlopu Rozłucki dowiedział się, że w drugiej połowicy fortu, murem oddzielonej od części czysto wojskowej, w kazamatach stale dawniej zajmowanych przez więźniów ze sfery żołnierskiej, osadzeni zostali jacyś więźniowie cywilni. Sprawa ta otoczona była tajemnicą. Nikt z połowy wojennej nie wiedział, jacy to są przestępcy, za co siedzą, a nawet gdzie są umieszczeni. Więźniowie ci zostawali pod bezpośrednim zarządem komendanta fortu i pod dozorem załogi artyleryjskiej, ale tylko w tym znaczeniu, że wyznaczone przez dowódcę fortu kolejne plutony żołnierzy pilnowały teraz w sposób daleko bardziej bezwzględny wyjść, okien i narożników. Władza istotna nad owymi więźniami znajdowała się w ręku sił policyjnych i żandarmskich.

W wędrowkach swych po nasypie Piotr widywał czasami w "tamtej części", w studni okolonej ślepyimi ścianami i wyłożonej kamieniem, ludzi cywilnych wyprowadzanych na przechadzkę po ciasnym dziedzińcyku. Tłukli się w ciasnym pudle kamiennym zamyśleni, spokojni, cisi — pilnie strzeżeni przez uzbrojonych artylerzystów, stojących przy każdych drzwiach. Obserwując z wysoka ich ruchy, gesty i narzucone im obyczaje, Rozłucki przyszedł do wniosku, że nie wolno im rozmawiać ani pomiędzy sobą, ani z dozorującymi ich żołnierzami. Nie można było zorientować się, ilu ich jest, gdyż coraz to inni ukazywali się na przechadzce. Piotr nie chciał o to nikogo rozpytywać, tym bardziej że z dowódcą fortu nie był w stosunkach przyjaznych. Zresztą ta rzecz nie należała do zakresu jego obowiązków i mało go interesowała jako sprawa.

Początkowo była to pewna w tym monotonnym miejscu różnorodność, jakby rozrywka w forcie: patrzeć na więźniów przechadzkę. Byli to jacyś ludzie nowi, odmienni od chłopów w szynelach. Dziwne zachodziło przeciwieństwo między ich postaciami, ich nerwowymi ruchy — i murem niemym, obliczonym na wieczysty opór i wieczyste trwanie. Piotr Rozłucki, obchodząc fort i przypatrując się z daleka tym postaciom, doznawał zawsze wewnętrznego wzdrygnięcia niechęci. Budzili w nim wrażenie tego rodzaju, co widok objawów choroby w człowieku zdrowym i silnym. Byli dlań dziwni i zastanawiający jak tyfus albo ospa, lecz i nieznośni jak te choroby. Mieli jakieś swe przyczyny i dzieje, podlegali własnym swoim prawom i przepisom, wynikli z nienacka na tle rzeczywistości fortu jakby potężna jego choroba.

Długo trwały te obserwacje, lecz wreszcie się znudziły. Nienawistnie przywykł do więźniów, jak przywykł do murów, ziemnych nasypów, armat, fos i korytarzy podziemnych. Stało się to głównie z tego powodu, że aresztanci byli przeszkodą szczególnego rodzaju w myślach o szklanej epoce ludzkości. Obecność ich wykazywała na jawie i najdobitniej, że marzenia o szklanym łożysku Wisły są pustym i bezpłodnym przywidzeniem.

Pewnego dnia, już w zimie, podoficer baterii fortecznej, zostający pod bezpośrednimi rozkazami Piotra Rozłuckiego, człowiek starszy, brodaty, olbrzym, kat na żołnierzy i niesłychany służbista,

zameldował, że ma do powiedzenia rzecz ważną. Przyszedł z tym do mieszkania prywatnego i długo czekał w sieni, zanim go Piotr przyjął.

Padął już zmrok i w pokojach było ciemno. Piotr drzemał był i leżąc na łóżku rozespany słuchał owego raportu. Podoficer z cicha poprosił, ażeby z jakimś poleceniem odesłać służącego żołnierza, tak zwanego dieńszczyka. Piotr zgodził się na to, pewien, że usłyszy donosy na солдатów. Podoficer przybliżył się do stołu i złożył na nim jakąś papierową paczkę. Na zapytanie, co to tam kładzie, zaczął tajemniczo, zduszonym szeptem rzecz wykladać popychając wciąż środkowym palcem prawicy kupkę papierowych pieniędzy ku środkowi stołu. Rozlutki wstał z łóżka, naciągnął szynel na ramiona i rzucił okiem na banknoty. Było tego kilkaset rubli w papierach — parę storubłówek starannie poskładanych i kilkanaście papierów mniejszej wartości, osobno złożonych.

Soldat wyluszczał ab ovo szeroko i niezrozumiale o pewnym wachmistrzu policji, o swojej z nim zażyłości, o pijatykach i hulankach — wreszcie o więźniach. Okazało się z tej bez ładu gadaniny, że ów wachmistrz, nazwiskiem Murłyk, od pewnego już czasu kusił delatora, podoficera baterii, Bierieżkowa — że go spajał drogimi wódkami i niewiarogodnie słodkim likierem, że go obsypywał szczodrymi podarunkami, a wreszcie, że mu przyprowadzał najśliczniejsze dziewczki na każde zawołanie. On, Bierieżkow, nie mógł przez długi czas zupełnie zrozumieć, po co to Murłyk robi, skąd ma tak wielkie pieniądze i jakim sposobem to wszystko przeprowadza. Ale tak właśnie nic nie wiedząc ulegał, grzech straszny brał na duszę. Nie mógł się cofnąć przed pokusą. Wyznaje teraz jak przed Bogiem: hulał z Murłykiem po całych nocach. Wymykał się z fortu do miasteczka, gdyż klucze od bramy miał w ręku, spotykał się tam z Murłykiem w hotelu Zysmana — i straszne grzechy brał na duszę. Murłyk przywoził "panny" skądś aż z Warszawy i zostawiał go z nimi samego. Czegóż to tam nie było — jakie jadło, jakie napoje!

Piotr skrócił to opowiadanie jednego w kółko — pytaniem: co znaczą pieniądze leżące na stole?

Okazało się, że pieniądze pochodzą od Murłyka. Dawał pieniądze, ile zażądać. Zażądać pięćdziesiąt rublami — da pięćdziesiąt. Zażądać setkę — da setkę. Gdzieś wyjdzie, poszpera, pogada z Żydami, nakrzyczy, nahałasuje — i przyniesie, ile zażądać. "Pannom" trzeba było płacić sowicie... Strasznie były piękne, nad wyraz postrojone, w jedwabiach, w cienkiej bieliźnie pod spodem. Już skoro poszedł w grzech, trzeba było dla samego honoru... Murłyk począł w przyjaźń dozgonną wchodzić, całował, braterstwo pił po sto razy na noc, wierność do grobu przysięgał. Potrafił płakać rzewnymi łzami, gdy o tej przyjaźni swojej gadał. Któż by nie wierzył patrząc wtedy na tego człowieka! Bierieżkow uwierzył, bo Murłyk to człowiek mądry, przebiegły, znający wszystko. Na każdą rzecz ten człowiek ma odpowiedź. Iskariota, Judasz przeklęty!

Piotr znowu zadał pytanie o pieniądze.

Podoficer westchnął z głębi, wyprostował się i stanął frontem. Twardym głosem oskarżył się sam przed Rozluckim, że wziął te pieniądze od Murłyka — za zdradę.

— Za jaką zdradę?

— Za zdradę przysięgi.

— Coś miał zdradzić?

— Więźniowie siedzą w drugiej połowie fortu.

— Co za więźniowie?

— Przestępcy przeciwko Bogu i monarsze powstający, Żydy różne i kramolniki zawzięte, wszyscy na stryk czy na katorgę przeznaczeni.

— Skąd to wiesz?

— Od Murłyka. Ten Judasz najstraszniejszy od rodzin owych kramolników przez Żydów te wielkie pieniądze ma i nimi sypie. Wczoraj dopiero ta rzecz się wykryła.

— Jak się wykryła?

— Piliśmy znowu strasznie u Zysmana i "panny" znowu były, a jakieś inne — wprost damy. Późno w nocy jedna z tych dam była ze mną. Poczęła mię prosić za więźniami...

— Jak to? O co prosić?

— Łaskami strasznymi opętała mię, pieszczotą nieopisaną. Boże miłosierny odpuść!

Prosiła wciąż o jedno: nic, tylko żeby dziś w nocy wrota, co prowadzą z tamtej połowy fortu do naszej artyleryjskiej, zapomnieć zamknąć. Tylko tyle.

— Cóż by tym kramolnikom z tego przyszło?

— Z początku i mnie to samo pytanie stało w głowie. Głupia dziewczka, myślę. Cóż owym łotrom z tego się zawiąże, że z jednej połowy fortu przeszliby do drugiej? Tu i tam przecie te same kazamaty, ściany wokoło, przy każdym wrotach warta — po bankietach nad kazematami warta chodzi — dookoła fortu za rowem warta. Z bankietu, myślę, nie skoczysz, Żydzie niewierny, bo łeb roztraskasz, nim do fosy doleczisz, choćbyś się myszą wdarł na nasyp. Aliści Murłyk nad ranem sekret wydał. Cicho do ucha zaczął mi szeptać, że to już rzecz kramolników, jak z naszej połowy na świat wyjdą. Moja rzecz — zostawić bramę nie zamkniętą przez noc, rano o świcie ją zamknąć, klucze zawiesić w kancelarii jak zawsze. Jego rzecz, Murłyka, dać kramolnikom drabinę jedwabną. Już on to za dnia robi. Wtedy to dał mi tę ostatnią masę pieniędzy.

— Z czym do mnie przychodzisz? — spytał Rozłucki.

— Przychodzę do mojego zwierzchnika, do mojej władzy przełożonej. Oświadczam, że jestem współnik zdrady, że po pijanemu, wśród rozpusty wziął wielkie pieniądze dla ułatwienia zbrodniarzom ucieczki. Wyznaję wszystko jak przed Bogiem, pieniądze zwracam. Oskarżam się i czekam na karę.

Zmrok zapadł w czasie tych wynurzeń. Piotr Rozłucki stał naprzeciwko Bieieżkowi patrząc w ciemną jego bryłę. Milczał. Tamten czekał wyprostowany. Mijały tak długie chwile. Piotr zapytał.

— Więc zbrodnia stanowczo na dziś została uplanowana?

— Na dziś.

— Na którą godzinę?

— Na godzinę jedenastą z wieczora.

— Czy Murłyk bywa w nocy w tamtej połowie fortu?

— Nie. Nigdy go tam w nocy nie ma.

— Gdzie są klucze od bramy do więziennej połowy?

— Ja je mam w ręku.

— Jeszcze tej bramy nie zamknął?

— Nie zamknąłem.

— O której godzinie po zamknięciu bramy odnosisz codziennie klucze do kancelarii?

— O godzinie dziewiątej.

— Oddawaj teraz te klucze!

Bierieżkow wydobyl klucze z kieszeni i wręczył je oficerowi. Rozłucki rzucił te klucze na kupę papierowych pieniędzy. Zapytał jeszcze głosem coraz bardziej okrutnym:

— Czy Murłyk mówił ci, że mają uciekać same kramolniki i buntowniki, czy inni?

— Same tylko buntowniki, bo tylko tacy siedzą w tamtych kazematach.

— O całym spisku wiesz ty, Murłyk i owa "panna", z którą w nocy byłeś?

— Tak.

— Czy wiesz jeszcze co w tej sprawie, czy co taisz?

— Nic nie taję!

— Prawdę gadaj, bo twoja rzecz skończona!

— Prawdę gadam.

— Aresztuję cię!

— Słucham.

— Masz od tej chwili milczeć. Pary ci z ust nie wolno wypuścić pod najsroższą odpowiedzialnością. Dopiero na sądzie będziesz gadał.

— Słucham.

— Jeżeli słowo do kogokolwiek piśniesz przed czasem, wyśliźnie mi się z rąk zdrajca Murłyk i owa panna. Teraz — marsz za mną!

Wyszli na dziedziniec. Piotr przodem, Bierieżkow za nim. Minęli całą długość kazematów artylerii. W narożniku, gdzie były sklezione najgrubsze mury fortu i gdzie znajdowała się cela więzienna dla przestępców-żołnierzy, tak zwana "ciemna" — pusta w owej chwili — Piotr Rozłucki otworzył drzwi, kazał Bierieżkowowi wejść do wnętrza i zamknął za nim drzwi na klucz. Ten klucz schował do kieszeni.

Wrócił do siebie. Policzył pieniądze leżące na stole. Było tego pięćset sześćdziesiąt rubli. Ordynans zapalił w piecu sosnowym drzewem. Wesół ogień oświecił ciemną izbę. Śliczne iskry z trzaskiem padały wokoło. Piotr zasiadł w krześle przed ogniem i grzał się w radosnym świetle. Gdy się spaliły pierwsze polana, żołnierz przyniósł nowych naręcze, lecz oficer nie kazał już dokładać. Poleciał swemu

dieńszykowi iść spać — co ten niezwłocznie i skwapliwie wykonał. Wkrótce zza sąsiedniej przegrody rozległo się jego chrapanie, podobne do rżenia ogiera.

Codzienna cisza nocna zaległa wewnątrz fortu. Ostry śnieg sypał się po szybach z cichym zgrzytaniem. Wiatr jęczał i zdawał się czaić za węglami domku. Mijały kwadransy i godziny... Nierychło Piotr wydobył zegarek i przy świetle tlejących węgla spojrzał na godzinę. Zdziwił się, że było już znacznie po dziesiątej. Przeciągnął się i powstał z miejsca. Schował do kieszeni nabity wielostrzałowy rewolwer i cicho wyszedł z mieszkania. Udał się do żołnierskich kazematów i idąc obok zaryglowanych na głucho drzwi słuchał chrapania. Fort był jak wymarły. Nikogo. Wiatr ponadymał w dziedzińcu białych sąsieków śniegowych. Niebo było ciemne, noc burzliwa.

Rozłucki zbliżył się do bramy prowadzącej do więziennej połowy fortu — wtulił się we framugę muru, zasunął ręce w rękawy i czekał. Ogarnęła go senna dusza i poziewanie cielesne. Niekiedy przemknął się dreszcz wskroś ciała. Daleko rozbrzmiał świst pociaгу i turkot jego po zamrożonej ziemi przeleciał w nocnym pustkowiu. Znowu zaległa cisza. Wiatr zdawał się pełzać po nasypach, szpiegowsko czaić i sunąć po pochyłościach brustweru. Zeschłe badyły, zwisające z wysoka, wydawały cichy szelest, zupełnie jakby szept z mowy w popłochu.

W jakimś momencie szelest zwiększył się, natężył. Oficer nastawił ucho... Lecz szmer zamarł w nocy, zginał na podobieństwo nieszczęśliwego westchnienia. Przyszła do głowy myśl, jakimże to sposobem zbrodniarze polityczni mogliby wydobyć się z cel?... Kto by ich wypuścił?... Czyżby ów Murłyk także miał środki i sposoby w tamtej połowie?... Znowu westchnęło coś w ciemności, w powiewach wiatru, w szelestach badyłów — i zamarło. Chwila ciszy.

Lecz oto przed oczyma wdrożonymi do ciemności wrótnia bramy z wolna ustąpiła i posunęła się na prawą stronę jak gdyby ruchoma zasłona mroku. Wionął inny podmuch. Ciepłe tchnienie zdyszanych oddechów ogrzało ciemny przestwór. Ludzie szli cicho, tak bezwzględnie cicho, jakby byli upiorami niesionymi przez wiatr burzliwy.

Gdy minęli próg bramy, stanęli w nieruchomości. Rozłucki wysunął się z załamania muru i przeciął im odwrót. Zamknął bez pośpiechu wrótnię, założył skobel na hak, wsunął weń ogromną kłódkę i zamknął ją kluczem. Przekręcił nadto wielki rygiel w zamku. Ciemne postacie, gorące cienie otoczyły go pierścieniem bijących serc. Patrzyli weń osłепłymi oczami niby wzrokiem głuchej nocy. Milczeli. On liczył ich, ręką dotykając głów, ramion, ciał. Skończywszy rachunek, odsunął wszystkich obiema rękami, wyszedł spomiędzy nich i krótko rozkazał:

— Za mną!

Posłusznie szli przez miękkie, miotające się śniegi. Oficer wszedł przez ganeczek i się do swego mieszkania zostawiając tłum zbiegów na dworze. Przez chwilę nasłuchiwał chrapania ordynansa. Później zebrał ze stołu pieniądze, najważniejsze papiery swe ze stolika, zapalił i ukrył pod ubraniem ślepa latarnię. Rzucił na stół klucze od bramy i więzienia Biercekowa, a zabrał ze sobą klucz od jednej z sal w kazematach. Wyszedł na dwór i bez słowa kroczył na czele czarnej bandy.

Za chwilę stanął przed okutymi drzwiami, wpuszczonymi w głuchy mur środkowej ściany fortalicii. Otworzył te drzwi kluczem, który miał ze sobą. Szorstkim rozkazem polecił zbiegom wejść do środka. Gdy wszyscy przekroczyli próg, zamknął na klucz drzwi od wewnątrz. Zapalił ślepa latarnię odsłoniwszy ją z nienacka. Zajrzał w twarze ludzi, którzy nawzajem teraz dopiero z przerażeniem ujrzeni jego oficerskie ubranie.

Były to twarze znędzniałe, wychudłe, hakowate, zarosłe włosami. W gorejących oczach świeciła się jak próchno rozpacz i żądza wolności. Stojąc wokół tego samotnego oficera naradzali się wzrokiem, czy się na niego rzucić i zadławić rękami, klucz mu wydrzeć i uchodzić przez otwarte drzwi, czy postąpić inaczej. Tymczasem on spokojnie otworzył jakby drewnianą szafarnię, gdzie były ustawione rzędem rydle, łopaty, motyki i gracie na krótkiej rękojeści, oskardy i drągi żelazne. Kazał im zabrać te narzędzia, każdemu inne. Skoro każdy ze zbiegów miał już w ręku motykę lub łopatę, Piotr podniósł ciężkie drzwi w środku ceglanej podłogi tego lochu. Świecąc latarnią począł zstępować po szczeblach żelaznej drabiny przytwierdzonej do ściany otworu obmurowanego jak studnia. Już z głębi tej studni zawołał:

— Za mną!

Więźniowie, nie mający nic do stracenia i nic do zyskania, poszeptali coś między sobą i poczęli kolejką iść za przykładem oficera. Jak czarne koty ślania li się w niepewnym połysku latarni po ceglanej cembrowinie tej sztolni. Nie wiedzieli, co ich czeka i dokąd idą, lecz szli chętnie, byleby doznać wzruszeń nadziei. Zeszedłszy w głąb studni minierskiej na sześćdziesiąt stóp, Rozłucki zatrzymał się przed wejściem do magistralnej galerii dolnego piętra całego systemu kontrmin, które był sam budował.

Wejście to było sklepienie, obmurowane cegłą. Po chwili jego latarnia znikła w chodniku podziemnym. Ten korytarz główny, zwany z francuska poterną (poterne), prowadzący z kazematów do min zewnętrznych, przechodził głębią ziemi pod murowanymi fundamentami skarp fortu, pod całym jego glacis i pod dnem zewnętrznej fosy na głębokość i kilkudziesięciu stóp. Był obmurowany cegłą, sklepiony i miał sześć stóp wysokości w świetle. Toteż ludzie weszli weń swobodnie i skradali się śmiało aż do galerii poprzecznej kontrskarpowej dolnego piętra. Galeria przeciwskarpowa biegła równolegle do linii murów fortu, do jego fosy i do drugiej takiej samej na pierwszym piętrze kontrmin. Prostopadłe do niej wychodziły w pole chodniki magistralne, obmurowane, jeden od drugiego o jakie dwadzieścia sążni oddalony.

W odległości dwudziestu sążni od chodnika przeciwskarpowego wszystkie te równoległe linie łączyły się pomiędzy sobą ukośnymi gałęziami, stanowiącymi drugą, łączną galerię. Dolne piętro całego systematu chodników zabezpieczało górne piętro od przewidzianych podkopów nieprzyjaciela. W miejscu, gdzie poterna spotykała się z chodnikiem przeciwskarpowym, były schody prowadzące do górnego piętra kontrmin. To górne piętro było o trzydzieści stóp wyżej od tamtego. Rozłucki świecąc latarnią poprowadził na to górne piętro.

Jedną z galerii głównych, zawsze obmurowanych cegłą i sklepionych, szli w przestrzeń. Chodnik był suchy i dosyć przewiewny, choć tu i tam nieznośny zaduch tamował oddechy. Oddalili się tak owym chodnikiem o trzydzieści sążni od skarp fortu. W jednym miejscu, gdzie przejścia załamywały się w ukos, był otwór nie zamurowany, prowadzący do całego systematu galerii drugorzędnych, niższych, bo liczących tylko niecałe pięć stóp wysokości w świetle i trzy szerokości. Chodniki te były ocembrowane drzewem, tak zwanymi holenderskimi ramami z siedmiocalowych desek.

Powietrze tu było duszne, pełne szczególniejszego kwaśnego zapachu. Szło się jak gdyby w podłużnym pudle. Z obu stron biegły wzdłuż drewnianych ścian listwy łączące ramy pomiędzy sobą. Ludzie zgięci w pałąk, czołgający się jeden za drugim, prowadzili po tych listwach rękoma jak po poręczach. Tu i ówdzie jednak spotykali w ścianach przerwy. Były to nisze, również ramami drewnianymi oszalowane, w których głębi były studzienki dla odprowadzania do nich kanalikami i ściekami pod podłogą chodnika wody gruntowej z galerii. W innych leżały przyrządy ciesielskie i wiertnicze. Woda miarowo kapiała w ciszy podziemia łudząc, że to słychać dalekie, miarowe kroki.

Z jednej strony podkopu nogi więźniów potraçały się wciąż o trójkątną żłobowinę, złożoną tam zawczasu w przewidywaniu zabezpieczenia od wilgoci lontu, który w przyszłości miał być w nią nawleczony po umieszczeniu we właściwych niszach materiałów wybuchowych. W miarę jak się wgłębiano w tę norę, powietrze stawało się coraz duszniejsze, cuchnące od gazów gruntowych i zepsute od zdyszanych oddechów. W pewnych punktach były powiewy łżejsze, gdy mijali rury wentylacyjne, prowadzące z podkopu nad ziemię, lecz w miarę zapuszczania się w głąb i te oddechy ledwo-ledwo dawały się uczuć. Coraz bardziej brakowało tchu. Przytępsiał się słuch i opanowywała skłonność do wymiotów.

Kiedy przebyto kilkadziesiąt sążni tego podziemnego korytarza, Rozłucki znalazł się w miejscu, skąd rozchodziły się we dwie strony niższe i węższe ramiona. Dalej była jeszcze pewna przestrzeń tego samego wydrążenia w glinie, a na samym już jego końcu znajdowała się szersza komora, tworząca pospołu z linią główną jak gdyby ramiona krzyża. Te nisze miały poziom nieco niższy od całego przejścia i równie jak ono były obite holenderskimi ramami. Było to miejsce przeznaczone na ewentualne umieszczenie w nim szkatuła z czterdziestopudowym ładunkiem prochu, czyli tak zwanych hornów wybuchowych. Nisze te były puste, rola ich bowiem zaczynała się z chwilą wybuchu robót minierskich nieprzyjaciela.

Piotr Rozłucki wszedł do jednej z komór, podniósł w górę latarnię i okazał to miejsce dwu ludziom postępującym tuż za nim. Następnie sam cofnął się do bocznej niszy, gdzie był skład na przyrządy, a dwu zbiegom kazał wejść w ów zagłówek galerii. Powietrza tam już niemal nie było, gdyż ślepią ścianą kończyła się wszystka robota. Cuchnęło zgniłymi jajami. Oficer kazał jednemu z ludzi ująć żelazny drąg, drugiemu łopatę. Narzędziami tymi mieli wyrwać deski oszalowania, podtrzymujące z boku ziemię. Ci dwaj podważyli deski, wyrwali je z felców i po długim siepaniu rękami wydobyli ze spoideł. Posypała się na nich gliniasta ziemia i zawałiła ich aż do kolan. Piotr kazał im kopać na prost: jednemu bić w glinę drągiem — drugiemu wyrzucać ją łopatą. Trzeci stojący najbliżej miał odgarniać ziemię w tył i rzucać ją jak najdalej w korytarz. Stamtąd, szeroko się rozstawiwszy, zbiegowie mieli ją podawać jeden drugiemu, miotając na płask po podłodze chodnika.

Praca zawrzała natychmiast ze wściekłą szybkością, sprawnością i sprytem. Słychać było ciężki łomot odwalonych brył, przerzucanie ich gracami i rydlami i rżenie oddechów. Dla ułatwienia roboty odnoszący ziemię w korytarz pełzali na kolanach. Powyciągali ze spodni koszule i w podolach nosili glinę biegając tam i nazad w oszalałym popłochu. Praca ich zorganizowała się sama, ułożyła bez rozkazu w sposób najbardziej do natury miejsca przystosowany. Jedni biegali w cwał na kolanach jak rozszałałe zwierzęta, inni na czterech łapach, koszule z ziemią trzymając w zębach, inni zgięci w pałąk miotali ziemię rydlami.

Dwaj kopacze przodownicy sprawiali wrażenie wariatów. Ruchy ich były rozpętane, szybkie jakby w drgawkach wielkiej choroby. Narzędzia padały w glinę niepostrzeżonymi od szybkości ciosy, każdy cios zdawał się sięgać do środka przekłetej skorupy. Stękali i jęczeli, wyli i wśród okrutnego przeklinali płaczu. Pracowali klęcząc, więc zdawało się w półmroku, że w ciemnicę ziemi wała głowami i że się w nią wgryzają całą mocą zębów. Klęcząc również, odrzucał urobek pierwszy odgarniacz, wtulony w przeciwległą komorę. Piotr patrzył weń ze swojej przy blasku latarki, która, niestety, od złego wyziewu ledwo-ledwo płonęła. Człowiek ów był to Żyd, o twarzy młodej, lecz nad wszelki wyraz schudzonej, zapadłej, obrośniętej długimi włosami.

Oficer przypatrywał się jego robocie ze spokojem i awersją. Zapytał go po polsku:

— Ty co za jeden jesteś?

Nie przerywając pracy ani na sekundę, tamten przełotnie spojrzał w górę i z uśmiechem przedziwnej męczarni wśród stękania odpowiedział:

— Żyd.

— Za coś tu był?

— Za bunt.

— Przeciwno komu?

— Przeciwno przemocy.

— Cóżś to mianowicie wykonał?

— Walczyłem...

— Jak?

— Jakem mógł.

— O co?

— O zniesienie dwudziestowiekowego ucisku plemienia Żydów.

— A twoje plemię nikogo nie uciska?

— Uciska.

— Więc chciałeś większej swobody w uciskaniu?

— Nie, ja walczyłem w obronie uciśnionych.

— A twoja walka — to ta ucieczka.

— Moja walka — to ucieczka.

Młody Żyd załamał ręce. Zdało się, że te wyrazy odebrały mu ostatek siły. Rzucając ziemię wciąż i coraz szybciej a coraz śmieszniej, zachwiał się. Rydel wypadł z jego ręki, ciało zwisło na cembrowinę, później bezwładnie opadło na ziemię. Najbliższy sąsiad w pracy chwycił go na rozkaz Piotra w ramiona i, posuwając coraz dalej innych, powłókł w kierunku wyjścia galerii, do wentyla. Oblano mu według wskazówki głowę i piersi wodą ze studzienki, zzuto buty, nacierano stopy mokrym gałganem.

W głębi swej komory Piotr znalazł butelki z octem, zawsze tam leżące w przewidywaniu choroby minierskiej. Jedną z nich polecił zanieść do tego miejsca, gdzie leżał omdlały — nacierać mu octem skronie i zwilżać nim język. Miejsce Żyda zajął natychmiast drugi pracownik. Piotr zaświecił mu w oczy latarnią.

Był to człowiek dwudziestokilkoletni z rudawym zarostem, o rysach twarzy nad wyraz pięknych, obraz dorodnego typu polskiego. W więzieniu młodzieńcowi temu urosła długa broda i długie włosy. Kazematy wyblichowały mu twarz, ale uczyniły ją jeszcze wznioślejszą. Z radosną ciekawością, z nienasyconym upojeniem Rozłucki przypatrywał się temu człowiekowi. Każdy ruch, każdy zamach rydla pod ręką tego herosa był aktem wzniosłej piękności. Młody zbieg pracował zaciekle, rzucał ziemię łopatą na ogromną odległość. Długie jego włosy zamiatały niemal kupę gliny, wyrzucaną

wciąż przez towarzyszków w wezglówiu kontrminy. Kierownik począł naigrawać się świecąc w oczy temu pracownikowi:

— Śpieszysz się, wasza miłość, do wolności zanadto namiętnie. Omdlejesz z pośpiechu.

— Do wolności trzeba się śpieszyć namiętnie.

— Wprost przeciwnie: trzeba do niej wybijać tunel bardzo powoli, krok za krokiem, stopa za stopą, cal za cal, z matematyczną dokładnością i ściśle logicznym umiarkowaniem.

Młody więzień spojrzał na Piotra głębokością oczu z pogardą i odrazą. Wspaniała duma jak pióropusz na hełmie lśniła się na jego czole. Na sekundę przerwał robotę i spytał z szyderstwem:

— Kto pan jesteś?

— Jestem wasz rozkazodawca, zbiegowie.

— Jeżeli pan jesteś z nami, to jesteś także zbiegiem, rozkazodawco.

— Jestem wasz oficer, żołnierze, którzy walczyście za pomocą ucieczki.

Młody więzień cisnął na ziemię rydel. Schylił się i ruszył z powrotem, w kierunku galerii murowanych, skąd był przyszedł.

Rozłucki krzyknął nań:

— Na miejsca! Za rydel! Do roboty!

Rudy odwrócił się, zawahał i cofnął na miejsce w niszy. Porwał znowu za rydel. Nim jednak rozpoczął pracę na nowo, spojrzał na Piotra z niewysłowioną zuchwałością. W jego posłusznej i zacieklej pracy było więcej dumy niż w skinieniach szpady wodza.

Dwaj kopacze wyrzucający wciąż glinę z jamy, którą wybili za wezglówiem korytarza, miotali się w tej czeluści wściekłymi ruchy jak para czarnych jamników. Góra gliny wyrastała wciąż poza ich plecami w komorach hornów pomimo nieustannego trudu rudego młodzieńca. Zdawało się w ciemności, że ta żółta ziemia kotłuje się i kipi kłębami jak woda w źródle. W korytarzu w kierunku fortu słychać wciąż było głuchy jęk ziemi miotanej w dal. Powietrze stało się tak dalece zepsute, że światło latarni w nim przygasło.

Rozłucki sam uczył w całym ciele gorąco, bicie gwałtowne pulsów i niesłyszany a wciąż wzmagający się ból głowy. W uszach poczęły bić jakby dzwonki elektryczne i rozlegał się huk, jakby odgłos pędzącego pociągu. Głowa chodziła kołem. Zdawało się, że ludzie, których w słabym półświatle widział, oddalają się. Coraz niewyraźniej słyszał odgłos ich roboty. Ziemia odrywana z calizny i miotana po chodniku padała coraz ciszej i jakby gdzieś za grubą ścianą, w próżnię. Wreszcie poczuł mdłości, skłonność do wymiotów. Czuł, że chwieje się na nogach.

— Prędzej! — krzyknął wznosząc wyżej latarnię.

Własny głos posłyszał ze zdumieniem, spadający z wielkiej wysokości i jakby w górską szczelinę.

— Czy jeszcze daleko? — jęknął jakiś głos przed nim czy za nim.

— Prędzej — krzyknął z całej mocy.

— Czy jeszcze daleko? — pytał ten sam głos.

— Kto mówi?

— To ja, kopacz.

— Do roboty!

— Całe sobacze życie robię! Zawsze ino ktoś nade mną stoi i jak na psa woła na mnie: "do roboty!", "prędzej!"

— Za rydel!

— To kop sam! Ja się już spracowałem.

— Ja to samo! — rzekł drugi.

— Zdychać to zdychać...

— Niech zdycha świat!

Latarnia zgasła. Piotr oparł się plecami o ścianę i marzył. Zdało mu się, że ramię jego opiera się o ramię Tatiany. Idą w Paryżu ciemną ulicą, dokądś daleko. Mży wiosenny, paryski deszczyk. Lśnią chodniki. Przytuliła do ramienia czarodziejski policzek i nie chce go oderwać. Czerwone uchyliły się wargi i białe zęby odsłania uśmiech jej miłosny...

Ktoś jęknął. Ktoś błaga o pomoc. Gdzie to? Piotr nachylił się, upadł na kolana i doznał ohydneho otrzeźwienia: Tani już dawno nie ma... Zgنیła już dawno w tej nieprzebytej, cuchnącej glinie!

Natrafił rękoma na mokrą glinę, później na czyjąś głowę. Podniósł ją w dłoniach i przypomniał sobie, że chorego z dusznicy minierskiej trzeba trzymać w postawie siedzącej i głowę mu dźwigać do góry. Począł dźwigać tę głowę do góry, lecz sam zwałił się na kupę gliny, miękkiej jak pierze. Za tą gliną słychać było chłopot i szamotanie się. Piotr na czworakach wpełzł w jamę wybitą przez kopaczów. Wczołgał się na ich ciała, leżące na ziemi. Namacał rękoma drogą żelazną. Klęcząc zaczął nim bić w glinę i borować koło. Ostatnia w mózgu myśl dyktowała mu te czyny. To jedno jeszcze wiedział, że powinien już być koniec płaskowzgórza, zarwanie się gruntu i osypisko rzeczne. Z otworu, który drągiem wyrobił, struga powietrza pociągnęła błogosławionym wiewem. Uderzył drągiem jeszcze raz z całej siły i trafił w próżnię. Wtedy podsadził się pod ramiona pierwszego z brzegu kopacza, przywłókł go do samej ściany i głowę mu wepchnął w otwór. Tamten wciął powietrze całą pierś, pił je całym, zdawało się, ciałem, wciągał w siebie nienasycenie. Wykręcił się wnet o własnej sile i zaczął pazurami, łokciami, całym sobą wypychać ziemię na zewnątrz. Gdy otwór był już pełny, znalazł za sobą głowę omdlałego towarzysza. Nastawił ją w stronę czystego prądu — i wnet go ocucił. Obadwaj pochwycili za rydle. Piotr, który cofnął się z powrotem do galerii, słyszał ich wściekłe głosy:

— Jeszcze! Wicek, jeszcze! A dy przecie! Bij na wylot! Odwalaj! Na całego! Powietrze!

Otwór był wybity. Jeden z robotników wylał nim na wolność. Leżąc na kupie gliny Rozłucki ugniatał ją ciężarem swego ciała, ażeby jak najwięcej powietrza wpuścić do galerii. Z jej głębi dochodziły go jęki i stękania. Chwycił pod pachy pierwszego człowieka z brzegu i wywłókł go z nory na zewnątrz. Razem z nim stoczył się w kolczaste krzaki. Zrozumiał, gdzie jest. Przeciągnął się w barach, w stawach i raz wraz strząsał ze siebie ohydę podziemną.

— Wy, zbiegi! — zawołał z cicha.

Odezwało się dwu.

— Ilu was tu jest?

— My tu dwaj, co my kopali w przedzie.

— Marsz do jamy po tamtych!

— Och, znowu! Wiecznie my!

— Wyciągać ich po kolei, żywy czy umarły.

Ciemne ich figury znikły w jamie. Leżący u stóp począł wzdychać, szamotać się, coś bełkotać. Kopacze wnet wypchnęli z otworu, niby tłumok, jęczącą, czarną masę. Stoczyła się w krzaki — poczęła stękać, otrząsać się, poruszać, ziewać, wreszcie coś szeptać. Wkrótce wyciągnięto drugiego, trzeciego, czwartego — aż do ostatniego z szeregu. Dwaj pierwsi rachowali w ciemności. Wymawiali szeptem imiona czy przezwiska. Tamci pluli, otrząsali się, strzepywali ze siebie śmierć i glinę. Zdawało się, że to ziemne robactwo roi się w mroku, wypełzłszy ze swej nory.

— Żywi wszyscy? — zapytał Rozłucki.

Szarpano tych i owych, prostowano ich i podnoszono do góry głowy zwieszono. Ktoś rzekł:

— Są wszyscy.

— Jesteście na brzegu rzeki. Tutaj są wasze pieniądze, odebrane od Murłyka. Jedni teraz w prawo, drudzy w lewo! Nogi za pas! Bywajcie zdrowi!

— Bóg zapłać! — rzekł jakiś głos w mroku.

— Bywaj zdrów, oficerze! — rzekł głos inny.

Piotr go poznał. Wsunął w pierwszą z brzegu dłoń pieniądze. Krzaki w ciemnościach zatrzeszczały w jednym i drugim kierunku. Słysząc było szelest wiklin i rokitny, deptanej i łamanej w pośpiechu. Zadudniła ziemia. Wiatr przyniósł z daleka jakiś prędki okrzyk, później coś jak szept. Wreszcie nastała cisza nocna. Piotr nasłuchiwał zrazu zewnętrznej mowy, którą noc przemawia, rzeka szeleszcze, wiatr śwista.

Później nasłuchiwał wewnętrznej mowy, którą wyrażała się jego istota niewiadoma, w głębości jestestwa utajona. Zadumał się nad sobą, nad światem, nad wszystkim — zatonął w sobie bardziej niż w tej głębokiej — głębokiej nocy. Poczł wszystkim swoim jestestwem niezmierną nędzę i zupełną samotność człowieczą. To, co go samego łączyło z Bogiem, ze światem i ziemią — miłość — stało się rozłączeniem z Bogiem i światem, a pochłonięte zostało przez ziemię i noc. Jakże to miał zrozumieć?

Jakże się miał pogodzić i ulec? Jakże miał zaprzestać wewnętrznej walki, kiedy każda chwila była przypomnieniem i każda buntem?

Stojąc tam na urwisku, ponad rzeką w mroku szumiącą, począł płakać zaiste krwawymi łzami w tę głuchą noc — jęczeć w głębi swej po utraconej miłości, która była wszystkim, a znikła i zamieniła się w nic. Wyciągnął w bezwiedzy człowieczej ręce i skamlał u tej potęgi, która świat trzyma, u tego ogromu niepojętego, którym jest światło dnia i ciemność nocy, niebios i ziemia, życie i zgnilizna —

o łaskę ulgi w dusznej niewiedzy, o tę jedyną wiadomość, której od lat serce spalone pragnęło... Dopraszał się z głębokości swojej niedoli tej jednej jedynej wskazówki:

— Gdzie ty jesteś, Taniu?

Milczała ciemna noc. Głucho szumiała ukryta w mroku rzeka. Leciał w dal martwy wiatr. O jakiejś porze tej nocy Piotr ocknął się w sobie i spojrzał na zewnątrz siebie. A więc — uciekł!

Zmocował się w sobie i dźwignął. Spojrzał na groźne w mrocznym niebie bryły, linie i załamania fortu. Podniósł dłoń prawą do czoła i salutował je po raz ostatni. Następnie odwrócił się i salutował daleką w tej ziemi mogiłę ojca-wodza. Uśmiech spłynął na jego usta. Męstwo na duszę.

Równym krokiem poszedł w bok, na ukos od fortu w kierunku stacji kolejowej. Daleko po zamarznętej grudzie huczał kędyś za lasami nadchodzący pociąg.

Rozdział VI

Obudził się rano i leniwie wodził oczyma po ścianach hotelowego numeru. Przypomniął, gdzie jest. Kraków! Wszystkie okoliczności ucieczki, wyczekiwanie w chałupie przemysłowca, przejście granicy, pochód w nocy po wertepach i ścieżkach — zdały się jak sen nocny. Rozłucki wstał z łóżka i przeciągnął się, aż wszystkie kości zatrzeszczały. Otworzył okno wychodzące na zamknięty dziedzińczyk, gdzie wokół piętra biegła drewniana balustrada. W głębi jacyś ludzie głośno rozmawiali klócąc się o swoje interesy, nic nie mające wspólnego z ideami, które ożywiały zbiega. Wysoko nad tą krakowską studnią wznosiło się czyste niebo. Chłodny wiatr poganiał w nim pierzaste chmury. Piotr podniósł oczy ku tym chmurom dalekim. Zdały mu się być siostrami, były znajome, jedynie bliskie w tym najbardziej polskim, ojczystym jego mieście.

Gdy tam stał u otwartego okna goniąc oczyma obłoki — jak gdyby spomiędzy obłoków tych, z wysoka, z wysoka zaczął spadać dźwięk wzniosły i piękny, prastara pieśń, hejnał z wieży Mariackiej. Piotr wsłuchał się w ten nieznany, a tak natychmiast i bezwzględnie własny głos, który z głębi wieków mówił do samotności syna... Serce zdrożone nastawiło się jak grot włóczni znowu do dzieła. Oczy poleciały znowu ku chmurom pełne tęsknoty i niezłomna wola postanowiła z żelazną mocą lecieć jak one chmury.

Błogosławiona pieśń nie ustawała.

Jakoby skrzydła silnego anioła podłożyła się pod czujną a strudzoną duszę. Zatoczyła coraz wyższe, orle koła...

Rozdział VII

Po upływie pewnego czasu, w bardzo niedrogiej restauracji, gdzie Piotr jadał, spotkał się oko w oko z Wolskim. Przywitali się z wielką wzajemną satysfakcją. Okazało się, że Wolski siedzi już od dłuższego czasu w Krakowie i że już z pism publicznych wiedział o awanturniczej Piotra ucieczce, ale nie mógł przypuścić, żeby tak sławny uciekinier miał siedzieć w Krakowie. Był to pierwszy człowiek,

którego Rozłucki znał i z którym mówił otwarcie w tym mieście. Toteż szczerze był rad. Lecz Wolski był nie w humorze, zasepiony i zaambarasowany, a nawet chwilami tak przybity, że prawie nieprzytomny. Na indagacje eks-oficera odpowiadał półgębkiem, niechętnie i, co było najdziwniejsze, zgryźliwie.

Dopiero po pewnym czasie, gdy razem wyszli na planty, przyznał się, że jest w nadzwyczajnie ciężkich kłopotach, gdyż ma tu w Krakowie proces — i to proces nie lada, bo o roztrwonienie pieniędzy publicznych. Piotr osłupiał. Ksiądz Wolski i roztrwonienie pieniędzy publicznych? Kiedy takie pytanie ze zdumieniem zadawał, twarz Wolskiego mieniła się i ze wstydu dziwnie zapadała. Na prośbę o wyjaśnienie wstydząc się i czerwieniąc Wolski oświadczył, że po przybyciu do Krakowa został oskarżony o roztrwonienie składek specjalnych, zebranych dawniejszymi czasami przez pewne grona ludzkie na rzecz unitów. Na pytanie, czy nie może się z tego wytłumaczyć i usprawiedliwić, odpowiedział, że nie może ze wszystkiego, gdyż w istocie niektóre wydatki z tych właśnie funduszy czynił nieopatrznie, bez pobrania kwitów, niektóre kwity poniszczył umyślnie dla ostrożności, w ciągłej obawie rewizji i skompromitowania ludzi, a niektóre sumy powydawał na cele ze sprawą związane, lecz uboczne. Są także rzeczy, których sobie przypomnieć nie może. Piotr złościł się z miejsca i wprost wymyślał, jak można w rachunkach nie mieć wszystkiego na piśmie.

Ksiądz wstydził się znowu i przysięgał, że wszystko wydał uczciwie, dla siebie nie wziął na owinięcie palca...

— E tam, z tym palcem! — krzyknął Piotr.

— Jednego szeląga bezprawnie nie wydałem...

— I z tym znowu szelągiem! Toć wiem. Przyszcypki u butów jak wrota u stodoły — i roztrwonienie! Któż to oskarża?

— No któż by! Kler.

— Ale mianowicie co za jedni?

— Prawowierni, piastunowie cnoty, zelanci z tłustych prebend i posad.

— Jakież mają dowody?

— Dowody są. Och, to ciekawe! Ja patrzę i słucham uważnie, bo to moja przecie sprawa i moja dobra sława w grę wchodzi, a nie mogę się oprzeć podziwowi, jak to na świecie jest... Ludzie obojętni, którzy nic o tej sprawie nie słyszeli, sądzą mię za moje gorzkie trudy. Ja jeden wiem, ile w tym, co oni mówią, jest bezprawia i mojej krzywdy, nieprawdy i ich faryzeizmu, a dowody po ich są stronie.

— Ale jakież dowody? Później będziemy na ten temat filozofować...

— Dowody są takie. Po pierwsze — moje stwierdzenie prawdy o pobraniu sum. Po drugie, zeznania ludzi złych, którzy przeciwko mnie świadczą.

— Co to za ludzie?

— Jedni pienią się, iżem jest odszczepieniec, a inni mają w tym interes, żeby zeznawać tak, jak to leży w interesie możnych. Moźni zaś są za tym, żeby mnie w ten sposób zgubić.

— Któż to są ci możni?

— Tutejsi, którzy od dawna zęby na mnie ostrzyli. Ale głównie Nastawa.

— Co znowu? Ten?

— A ten. Jego to przecie dzieło.

— Doprawdy?

Piotr pokiwał głową, uśmiechnął się...

— Gdzież to ów sąd się odbywa?

— Tu w jednym klasztorze.

— Czy hrabia Nastawa występuje tam osobiście jako świadek?

— Owszem jest, ale to tam...

— Cóż niby?

— Niby to on jest mój stronnik, nawet obrońca. Co mię obroni w pompatycznym przemówieniu, to czuję, jakby mię ziemią przysypał.

— A któż w sądzie zasiada?

— Starcy, zasłużeńcy, mężowie nauki, sławy, cnoty, niemal święci.

— A czy też ja nie mógłbym przypadkiem stanąć także jako świadek?

— Świadek — a czego?

Podniósł na przyjaciela oczy smutne, pełne żalu i miłości.

— No, choćby też tamtej nocy.

— Cóż to ma jedno z drugim? Takich nocy miałem niemało, ale przecie nie o to tam chodzi, tylko o pieniądze. Chcą ze mnie zrobić złodzieja, bo tak będzie najłatwiej mię ubić, chcą ze mnie zrobić złodzieja, bo to potrzebne do tezy, że taki jak ja, odszczepieniec, musi, a nawet powinien być złodziejem. Po to zostaje się odszczepieńcem, żeby być złodziejem. Więc udowodnią. Cóż pan możesz pomóc w walce z Nastawą? To człowiek potężny.

— A ja właśnie przeciwko niemu rad bym świadczyć. Z nim się zewrzeć.

— Nie, to na nic! Nie ma punktu, do którego mógłbyś być powołany.

— Mogę być przecie powołany do punktu stwierdzenia prawdy...

— Prawdy... — uśmiechnął się Wolski z niewymowną goryczą i zaiste krwawą ironią.

Szli ciemnymi uliczkami. Deszcz mżył i lepkie błoto krakowskie przyskało im spod nóg. Mijali ciasne sienie starych domów, mroczne zaułki, źle oświetlone aleje. Wolski ciąpał wielkimi butami po kamieniach, nie patrząc, gdzie te buty stawia. Rozłucki zwrócił mu uwagę:

— Niech no ksiądz idzie mniej idealistycznie po tym padole, bo już mam spodnie pobryzgane dzięki takiemu systematowi spacerów po tym Krakowie.

— Przepraszam. Ostatecznie mógłbyś pan być powołany jako świadek z mej strony, bo ja dotąd ani jednego świadka nie powołałem. A tam po cichu kwestionują w ogóle moją pracę. Mówi się do ucha: pieniądze trwonili z dziewczętami po miasteczkach. Przyjdzie jeszcze taki, co powie: — kto go wie, czy to nie szpieg?... A będzie i taki, co drugiemu szepnie do ucha: — mówią, że to szpieg...

— Wiem, wiem...

— Jeśli nie kwestionują mojej pracy głośno, jawnie, to jednak robią z niej byle co albo przedstawiają jako coś mdłego, nikłego, ułomnego. Należało robić tak i tak, a ja oto com robił? Mdle, słabo, z cicha... Ale tego, jak należało, żaden nawet ze słychu nie zna i krokiem tam nie poszedł, nie spojrzął w tamtą stronę. O, mocny Boże mój!

— No, więc idę tam!

— Ba! A jakże się pan nazwiesz? Przecie powinienieś wymienić swe nazwisko, swe generalia...

— Zamelduję się oskarżycielowi, świadkowi czy obrońcy, hrabiemu Nastawie. Poproszę go, żeby zaświadczył, iżem jest człowiek dobrej wiary. A chociaż nazwiska dobrego w tych stronach nie mam, przecież świadczyć mogę. On to dla mnie zrobi.

Piotr roześmiał się głośno i zamilkł. Latarnie były coraz rzadsze, błoto zaś coraz obfitsze i jakby solidniejsze. Przybyli do dzielnicy ubogich. Rozlutki zrobił uwagę, iż Kraków jest miastem przedziwnej piękności, jedynym w Polsce, a może nawet w Europie — ale od pierwszego piętra ku górze. Dół jest bardzo nieładny. Takiej zaś biedy jak w Krakowie nie znajdzie w Polsce, nie mówiąc już o Europie.

W zawitych uliczkach trafili na ogromny gmach klasztoru. Wolski poprowadził. Weszli w bramę i w korytarze, zimne jak lochy. Brnęli w górę po płaskich i wygodnych schodach z ciosu, które powyżłabiane zostały przez tysiące stóp w ciągu wieków. Nareszcie dostali się do korytarza słabo oświetlonego, który zdawał się nie mieć końca. Wolski szedł coraz szybciej i w coraz oczywistszym niepokoju. Tracił zewnętrzną, świecką swadę i stawał się strwożonym księdzem. Ręce mu drżały, gdy kołatał we drzwi głęboko w mur wpuszczone. Ktoś je otworzył tak niepostrzeżenie, jakby się same rozwarły.

Weszli do sali obszernej po kilku stopniach kamiennych na dół prowadzących. Sala ta słabo była oświetlona lampą stojącą w głębi na dużym stole. Pod ścianami, na szerokich drewnianych ławach siedzieli jacyś ludzie. Z tej sali prowadził do drugiej szczególnego rodzaju otwór bez drzwi, przedzielony pośrodku słupem. Było coś grubo niezgrabnego, ponurego i budzącego wstręt, w tej jamie wiodącej do głębi.

W drugiej izbie, równie obszernej, widać było stół założony papierami i bardzo rzęsiście oświetlony przez dwie duże, naftowe lampy. Nikt przy tym stole nie siedział, lecz od pierwszego rzutu oka widziało się, że tam właśnie jest trybunał.

Wolski przysiadł na ławie w pierwszej sali i zatrzymał tam Piotra. Był wzburzony, zgorączkowany, wewnątrz przejęty swą sprawą i okolicznościami jej towarzyszącymi, w sposób charakterystyczny, jak to bywa z ludźmi, którzy są pod ciężkim zarzutem w sądzie. Jeżeli mówił o jakim przedmiocie postronnym, to widać było, że o nim prawie nie myśli. Twarz miał zniszczoną, przeżartą przez jednostajne zmory, które wewnątrz jego szarpały. Piotr przypatrywał mu się z ukosa i zadawał sobie pytanie, czy ten człowiek popełnił zarzucane mu występki, czy nie. Nie przyszedł do żadnego przeświadczenia.

Ludzie siedzący na ławach drzemali. Było ich kilku. Jeden z nich był to prostak o rysach pospolitych, drugi ubrany z waszecia, trzeci jakiś miejski jegomość wytarty, w długim surducie, z ostrzyżoną "na jeża" głową, czwarty mieszczanin w długich butach, piąty typowy Podlasiak, o rysach suchych i czarnych a siwych oczach. Spoglądali na Wolskiego nieufnie, pogardliwie i z nienawiścią. Szczególniej ów trzeci z rzędu, młody w długim surducie, o krostowatej twarzy powleczonej anielskim uśmiechem, mierzył go wciąż oczyma od stóp do głów, jakby mu brał miarę na trumnę.

Wolski milczał, sapał, poprawiał na sobie, a raczej szarpał przyciasne ubranie. Piotr trącił go w bok i zapytał, kto są ci ludzie. Odpowiedział, że to świadkowie. Zaraz też począł wyluszczać długi i niezmiernie zawikłany wywód o owym w surducie, o jakichś listach przejętych, o cytatach poprzekręcanych, o fałszywości zestawień... Piotr nic z tego nie pojął, tym bardziej że w głębi drugiej sali drzwi się otwarły i wszedł w pełnym składzie — sąd.

Wsunął się najprzód stary ksiądz z twarzą suchą, rozumną i dobrotliwą. Włosy miał już dobrze przyprószone siwizną, oczy osadzone głęboko, mądre i łaskawe. Za nim wtoczył się zakonnik otyły, łysy, o twarzy okrągłej i tłustej, o oczach władczych i potężnych. Grube jego usta zdały się być stworzone do wydawania rozkazów, ręce do zginania karków. Trzeci z sędziów był to cywilny staruszek z białą "hiszpanką" i białymi wąsami, ruchliwy i niezmiernie elegancki. Czwarty, również cywilny, młody, dwudziestokilkoletni jegomość, zażywny i tęgi, niskiego wzrostu. Natrętne jego oczy z jakąś nieodstępną zjadłością spoglądały spoza binokli. Ostatni z sędziów, również świecki, był to młody jeszcze człowiek, łysy, lecz bardzo przystojny, o brodzie kruczej, aksamitnych oczach i ustach aż lubieżnie pięknych. Sędziowie ci bez żadnej ostentacji zajęli miejsca za stołem i przewodniczący — ów duchowny starszy wiekiem — poczc iwym głosem przywołał do tamtej sali Wolskiego i świadków. Wszyscy natychmiast ruszyli się z miejsc. Wolski ręką drżącą z nerwowego wzruszenia ujął Piotra pod ramię i wprowadził do silnie oświetlonej sali. Zwrócił się do przewodniczącego z zawiadomieniem, że przyprowadza swego świadka, który niewiele wprawdzie może dorzucić do istoty sprawy, lecz co do niektórych szczegółów da wyjaśnienia.

Sędziowie porozumieli się pomiędzy sobą i po pewnym wahaniu przystali. Sekretarz, ów niski w binoklach, zapytał:

— Nazwisko świadka?

Rozłucki rzekł oschle:

— Nie potrzeba pisać nazwiska. Chodzi o istotę rzeczy, nie o osobę. Niech pan napisze imię świadka, Piotr — to wystarczy.

Sekretarz zmierzył go impertynenckimi oczami od stóp do głów — i zapytał sędziów, co ma zapisać. Naradzano się przez chwilę i, w sposób dość pogardliwy, nie badając, czemu świadek nie chce podać swego nazwiska, zgodzono się na zanotowanie go tylko z imienia. Rozłucki usiadł w pobliżu stołu na krześle, w jasnym świetle lampy i począł przyglądać się sędziom. Nie budzili w nim niechęci. Przeciwnie — podobali mu się jako typy, jako figury ciekawe i interesujące — ale nie miał do nich serca.

Cała ta sprawa wytoczona przeciwko Wolskiemu, którego był widział w lesie i w polu podlaskim, wydawała mu się być wierutnym, ludzkim głupstwem. Tłusty zakonnik, prowadzący dochodzenie, przedkładał prezesowi wyniki dotychczasowe. W trakcie tego skinął głową ku młodemu jegomościowi w surducie do kolan, siedzącemu w kątku sali, obok wielkiej szafy. Tamten wstał natychmiast.

Błado błękitne jego oczy patrzyły łagodnie i niemal nabożnie, pociągła twarz wyrażała czystość serca i gotowość do wszelkiej ofiary.

— Panie Sikorski — mówi zakonnik — proszę nam szczegółowo wyjaśnić sprawę pożyczki udzielonej przez "pana Wolskiego" rodzinie Natalii Mikuciówny.

Zapytany podniósł oczy w niebo, jakby tam szukał natchnienia, i wnet począł wydobywać ze siebie głosem cichym i rzewnym długi donos na "pana Wolskiego", przedstawiający "zgoła niereligijny stosunek", który łączył "pana Wolskiego" z Natalią Mikuciówną. Stosunek ten "według zdania" świadka był przyczyną i motywem udzielenia owej pożyczki. Wywód pana Sikorskiego trwał niezmiernie długo, był zawily, zahaczający o setkę zdarzeń banalnych, wypadków najpospolitszych, czyichś opowiadań, podsłuchań, doniesień, plotek...

Podczas zeznań tego świadka wszedł do sali hrabia Nastawa. Za nim cały szereg osób duchownych i świeckich grupami i pojedynczo. Wszyscy przybywali tą samą drogą co Wolski z Piotrem — przez dużą salę. Hrabia Nastawa wkroczywszy do izby sądowej krokiem cichym, bezszelestnym, elastycznym, obdarzył sędziów niskim ukłonem i łagodnie skierował oczy w stronę Piotra. Ujrawszy go tutaj, doświadczył widocznie nad wyraz nieprzyjemnego wrażenia, gdyż on, tak nadzwyczajnie pewny siebie i towarzysko wyszkolony, nie mógł tego ukryć. Stał przez chwilę znieruchomiał, jakby się wahał w głębi siebie, jak pokonać wrażenie. Wreszcie skinął w tę stronę, gdzie Rozłucki siedział, niepostrzeżenie głową, zawrócił się na miejscu i usiadł z dala, w drugim końcu izby.

Trwało dalej interesujące zeznanie pana Sikorskiego. Zakonnik stawiał pytania: — kto, kiedy, jak, ile, skąd, dokąd, po co, z kim? — i tak dalej. Sekretarz sądu spisywał szybko i dokładnie rzeczy podane. Kiedy niekiedy zakonnik łagodnym ruchem tłustych rąk odwijął rękawy habitu i wówczas czyniło to wrażenie, że się "braciszek" zabiera do ostatecznego opracowania ofiary. Białe i pulchne jego palce, złożone pobożnie na piersiach, zaciskały się dobrotliwie, gdy pan Sikorski podawał pewne, niby to nie znaczące szczegółiki, lecz w gruncie rzeczy nitki do skręcenia stryczka dla "pana Wolskiego". Sekretarz pisał wówczas ołówkiem na wielkich arkuszach, rzucając od czasu do czasu pytanie albo prośbę o powtórzenie jakiegoś szczegółu, ażeby go mógł trafnie i wiernie wlepić w protokół. W zadawaniu pytań znał metodę i umiętność. Były one tylko jakby przykładami, argumentami potwierdzającymi założenie.

Trzej pozostali sędziowie siedzieli bez ruchu, słuchając w skupieniu.

Gdy skończył wszystkie swe wywody pan Sikorski, przywołano mieszczanina. Ten mało wiedział, o co właściwie w tej sprawie idzie. Ział nienawiścią do Wolskiego jako do odszczepieńca. Wszystko, co mówił, miało charakter nienawiści. Zeznawał później chłopowina, który raz mówił przychylnie, raz nieprzychylnie dla oskarżonego. Znowu przywołano pana Sikorskiego dla skonstatowania faktów podanych przez innych świadków. Wytworzyła się istna góra plotek. Zaprzeczano, potwierdzano, piętrono dowody i burzono je, żeby spiętrzyć inne. Piotr był znudzony.

W pewnej chwili posłyszał, że zakonnik zwraca się wprost do Wolskiego. Tłusty rzymczyk prosił grubego odszczepieńca głosem cichym, pokornym i łagodnym, w którym na dnie brzmiała nuta żelaznej groźby, ażeby nie skazywał sądu na dochodzenie tej rzeczy, lecz wyznał dobrowolnie prawdę. Prosił go przez miłość Pana Jezusa, która "nie mogła przecież wygasnąć w sercu do szczętu", ażeby nie gorszył słuchaczy wydobywaniem tych rzeczy, spisywaniem ich w protokole, lecz w krótkich wyrazach wyjawiał sedno rzeczy, które wiarogodne zeznania już niemal odsłoniły.

— Panie Wolski — mówił braciszek z drżeniem w głosie — na rzeczy święte, którym wierność zaprzysiągłeś niegdyś przed ołtarzem, zaklinam cię dziś ja, proch przed Panem, ażebyś nam wszystkim oszczędził przykrości badania, a sobie tym gorszego wstydu. Wzywam też pana, ażebyś te pieniądze, któreś wydał, te grosze, które ubóstwo chrześcijańskie składało na rzecz braci unitów, zwrócił — ażebyś je oddał do rąk godnych, do rąk, które godnie groszem tym rozporządza.

Piotr patrzył w owej chwili na wyhodowane, białe, tłuste ręce mnicha z różowymi paznokciami. Miał chęć podejść do tego faryzeusza i powiedzieć mu parę słów do ucha. Lecz nie ruszył się z miejsca. Siedział z przymkniętymi powiekami. Słuchał, co też powie Wolski. Ten wstał z miejsca i trzymając się poręczy krzesła jakby w obawie upadku na ziemię, począł coś ze siebie wydębiać. Coś stwierdzał, czemuś zaprzeczał. Cichym głosem, zwrócony do owego Sikorskiego, kiwając boleśnie głową, odpierał gołosłowne jego zarzuty w sposób zaiste liryczny, prawie żakowski, nie posiadający żadnej prawnej wartości. Obracając się do sędziów i otyłego zakonnika, według jego żądania przysięgał, że jest w tej rzeczy niewinny. W innych rzeczach — może tak, w tej — nie. Co do Natalii Mikuciówny, płonąc ze wstydu wyznawał, że istotnie miał do niej niejaką "męską skłonność", ale była to zgola platoniczna sympatia. Nigdy jej z tego tytułu pieniędzy nie udzielał. Przeciwnie — i tak dalej... Sekretarz skwapliwie zapisywał te jego ekspektoracje, szczególnie co do "innych rzeczy". Tłumaczenie się Wolskiego sprawiło wrażenie jak najgorsze. Nie postawił żadnego niezbitego dowodu swej niewinności. Mówił o jakichś amorach, a co do spraw pieniężnych przysięgał, dawał wielokroć słowo honoru.

Jeden z sędziów, ów młody z czarną brodą, zabrał głos i podkreślał tę okoliczność, iż pan Wolski, który przed chwilą przyznał się w całej rozciągłości do "innych rzeczy", to jest do wykroczeń natury moralnej — w tej sprawie, o którą chodzi, na tak głębokie i chrześcijańskie postawienie kwestii, jak to uczynił brat Leon, zachowuje przecież swój sekret. Młody prawnik zwrócił także uwagę na to, że odpieranie zaświadczeń niewątpliwych słowem honoru czy gołosłowną przysięgą nie może mieć dla sądu znaczenia. Pytał wreszcie, czy pan Wolski może złożyć jakiś dowód rzeczowy, oczywisty, to, co się nazywać może dowodem prawdy, dla obalenia jeśli nie dowodów, to poszlak winy złożonych przez świadków.

Wolski znowu powtórzył swe zagmatwane historie, które już Piotr był słyszał. Mówił o sumach wydanych, wyliczał osoby, zdarzenia, wspominał o konieczności niszczenia kwitów. A wreszcie zwiesił głowę, rozłożył ręce — i usiadł na krześle. Zapanowało milczenie.

Przewodniczący dał znak Piotrowi, że pragnie go pytać. Zadał też kilka kwestii co do tego, jak dawno zna pana Wolskiego, co go z nim łączy i co wie w tej sprawie głównej. Rozłucki z szacunkiem odpowiadał na wszelkie te kwestie, ale później zwrócił się z zapytaniem, czy może sam mówić. Otrzymał na to pozwolenie. Prosił przede wszystkim o wyjaśnienie jako nie obeznany ze sprawą do gruntu, gdyż od samego jej początku nie był obecny — czy dobrze pojmuje apostrofę sędziego, którego się tytułuje "bratem Leonem". Czy w sprawie tej chodzi o stwierdzenie, że pan Wolski roztrwonił sumy, powierzone mu dla celów wyższego porządku, na swe osobiste potrzeby czy przyjemności? Potwierdzono, że tak. Rozłucki zapytał jeszcze, czy to dla udowodnienia swej niewinności ma on dostarczyć materialnego dowodu prawdy? Potwierdzono, że tak właśnie. On rzekł wówczas:

— A więc panowie sędziowie widzicie ten dowód prawdy.

— Gdzież on jest? — zapytał młody prawnik.

— Oto ta postać — rzekł Piotr wskazując na Wolskiego.

— Cóż to ma znaczyć?

— Podnieście wyżej światło lampy i obejrzyjcie oskarżonego od stóp do głowy. Przypatrzcie się nade wszystko jego butom, jego spodniom i surdutowi.

Wolski zwrócił się do Piotra czerwony ze wstydu i wściekły za tego rodzaju obronę. Sędziowie uśmiechnęli się, jedni ironicznie, drudzy pobłażliwie. Wnet jednak schowali te uśmiechy pod swe maski mniemanej obiektywności. Piotr nie dał za wygraną. Mówił coraz spokojniej:

— Czy to jest typ człowieka, który roztrwonil fundusze publiczne?

— Nie poszukujemy typu, lecz badamy szczególny wypadek. Liche ubranie nie jest dowodem przeciwko danemu zarzutowi, a może być nawet argumentem przemawiającym właśnie na niekorzyść. Ja jednak osobiście tego argumentu nie wysuwam. To, co szanowny pan mówi, nie jest wcale ani dowodem przeciw, ani za... — mówił piękny prawnik z jedwabistą brodą. — My poszukujemy dowodów rzeczowych.

— Ja je też dać usiłuję, lecz pan mi przerywa. Jeżeli panowie nie widziecie dowodu istoty rzeczy w tym, com powiedział, to spojrzycie teraz na swe buty, spodnie, surduty i habity...

— Szanowny panie, muszę mu zwrócić uwagę...

— Wy, którzy tego ubogiego o roztrwonienie publicznego grosza sądzicie, spojrzycie na siebie.

— Szanowny panie... — począł mówić pokornym głosem zakonnik, lecz Piotr mu przerwał:

— Wy, w miękkie szaty odziani, co ośmielacie się zaczepiać przychodnia, który wraca z puszczy... Tyleście zobaczyli z tego, co się na puszczy dzieje? Czy był tam któryś z was pospołu z tym oskarżonym?

— Byli tam świadkowie, którzy tu stają mu do oczu... — mówił przewodniczący łagodnie, wskazując na prostych ludzi.

— Ja tam również zjrzałem. Widziałem wówczas tego "pana Wolskiego", jak był kapłanem w puszczy, w lesie, w nocy, pośród czyhającego nieprzyjaciela. Bóg był z nim i przed Bogiem on otwierał duszę ludu. Gdy wznosił ręce, dusze ludzkie dźwigał ku Bogu. Strzeżcie się, wy, sędziowie!

— Czymże to grozisz nam, mości panie? — zapytał siwy staruszek z "hiszpanką", dotąd milczący.

— Nie grożę wam niczym. Daję wam tylko pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Weźcie je przecież pod rozwagę jako najważniejszy argument.

Przewodnik rozprawy patrzył na Piotra głębokim, uważnym, spokojnym i, można by powiedzieć, współczującym wzrokiem. Rzekł łagodnie:

— Dziękujemy. Czy nic już więcej nie ma pan do udowodnienia w tej sprawie?

— Owszem, mam jeszcze słowo.

— Słuchamy.

Piotr skierował oczy wprost na hrabiego Nastawę i rzekł wyniośle, niemal rozkazująco:

— Panie hrabio! Wzywam pana do wyświeatlenia i udowodnienia całej dodatniej misji księda Wolskiego na Podlasiu.

Hrabia Nastawa patrzył na niego obojętnie, jakby wcale nie słyszał. Prezes odezwał się:

— Hrabia Nastawa składał tu już swe zeznania. Porządek badań i ich kierunek jest to rzecz nasza. Po to zostaliśmy do tego sądu wezwani, a na wybór nasz zgodził się oskarżony. Cóż jeszcze, szanowny panie, możesz nam powiedzieć?

— Już nic.

— Bóg zapłać!

Piotr wstał i wyszedł z tej sali do sąsiedniej, pogrążonej prawie w mroku — gdzie siedział był poprzednio. Tam wyciągnął się na szerokiej ławie, głowę oparłszy o ścianę, i popadł w zamyślenie. Cała sprawa tocząca się w sąsiedniej izbie stała mu się obcą, niską i wstrętną. Nie umiał tego wyrozumować i faktami stwierdzić, lecz czuł całym jestestwem istotę prawdy, był z nią w obcowaniu, miał ją niemal w ręku jak przedmiot, a nie mógł jej ukazać, a, co gorsza, nie mógł nią uderzyć jak bronią. Wiedział natomiast, że tam wobec sędziów i milczącej publiczności mówił głupstwa i głupstwem wywijał jak bronią. W obliczu tych ludzi prze zornych i roztropnych zaszkodził Wolskiemu.

Nie chciał też już tam wchodzić po raz wtóry.

Tymczasem sprawa toczyła się. Mijały godziny. Była już późna noc, kiedy z izby sądowej, gdzie wciąż jeszcze trwały zeznania, odczytywanie jakichś listów, gdzie gwar indagacji, wzburzony głos Wolskiego i pytania sędziów raz wraz się rozlegały — hrabia Nastawa wyszedł do przyległej. Sądząc, że tam nie ma nikogo, począł przechadzać się w półmroku. Defilując tak spostrzegł leżącego na ławie, lecz nie zwracał uwagi, w przypuszczeniu widocznie, że to jest ktoś ze świadków. Piotr patrzył nań długo, nie dając znać o sobie. Minęła tak zapewne z godzina czasu. Wreszcie Rozłucki podniósł się ze swego miejsca i gdy hrabia Nastawa do niego się zbliżył, pociągnął go za rękaw. Nastawa teraz dopiero ujrzał go przed sobą i poznał. Stali jakiś czas w milczeniu, zaglądając sobie w oczy. Piotr rzekł cicho:

— Znowu tak w zmroku rozmawiamy...

Nastawa milczał.

— To pan ścigasz tutaj Wolskiego... — ciągnął Piotr.

Nastawa milczał.

— Nie będziesz pan przecie tchórzem i, jeżeli go ścigasz, nie zaprzecz się tego?

— Nie widzę potrzeby zdawania przed panem sprawy z tego, co robię.

— A więc pan robisz to, o czym mówię?

— Sama logika rzeczy wskazuje, że tak nie jest i być nie może, lecz gdyby nawet tak było, to i wówczas zabroniłbym panu stawiać mi podobne pytania!

— Jeżeli tak jest, to postanowiłem zanieść do pana prośbę.

— Prośbę? Pan, taki dumny i wspaniały?

— Tak jest. Ja, taki dumny i wspaniały... Pamiętasz pan naszą rozmowę w powozie?

— Pamiętam ją i nie zapomnę, bądź wasan pewny.

— Mniejsza o zapewnienie, które wasan rzucasz w próżnię. Chodzi o propozycję wówczas uczynioną. Obiecywałeś mi pan złote góry, jeżeli ci się usunę z drogi.

— Ehe — i cóż?

— Otóż teraz gotów jestem... przyjąć pańską propozycję.

— Proszę! I czegoż wasan żądasz za to cenne ustąpienie z placu?

— Wiesz pan aż nadto dobrze, że Wolski jest najzupełniej niewinny, lecz pozory, a raczej nikczemnicy, przemawiają przeciwko niemu. Praca jego będzie uniemożliwiona. Zadadzą mu tutaj śmierć moralną. Uwolnij go pan od tego hańbiącego zarzutu.

Hrabia Nastawa roześmiał się szczerze.

— Śmiejesz się pan?

— Śmieję się z tej pańskiej romantycznej propozycji.

— Dlaczego?

— Nie ja tu jestem oskarżycielem, nie ja sędzią, nie ja instancją karzącą albo uniewinniającą. Jeżeli jest winien, to go sąd, złożony z istnych pereł świata duchownego, z profesorów uniwersytetu i ludzi pierwszorzędnej w zawodzie prawniczym wartości — potępi. Jeżeli jest niewinny, to go ci ludzie na pewno oczyszczą.

— Powinieneś pan jeszcze głośniej roześmiać się z tej swojej obłudnej mowy.

— Przypuszczam wnosząc z przebiegu sprawy, że go jednakże ten sąd nie będzie mógł oczyścić.

— I ja tak sądzę wnosząc z usposobienia sędziów.

— Pańska ironia chybia celu. Ważniejszy jest byt i moc Kościoła niż honor księdza entuzjasty. Jeżeli dla dobra Kościoła trzeba poświęcić człowieka, to nikt się wahać nie powinien.

— Dobrze to pan tłumaczy.

— Tutaj jednak nie zachodzi, jak sądzę, nawet taka okoliczność. Zobaczymy, jaki to jest człowiek. Rozczarują się obalamuceni patrząc na ten lichy mosiądz, który chciał połyskiwać jak złoto. To będzie zysk. Nie można uwodzić gołębih serc blaskiem fałszywym.

— Ten Wolski, nie jest to blask fałszywy. Pan to dobrze wiesz.

— Nie jestem pewny. Poczekam na wyrok.

— Potrzebne panu jest jego potępienie, ażebyś mógł ować pewnym sercem gołębim, ażebyś mógł je poniżyć...

— Miarkuj się pan!

— Nie chcę. Czynię panu propozycję. Poniżam się bez granic, czyniąc tę propozycję pokoju za cenę ocalenia honoru tamtego człowieka.

— Śmieję się z tej pretensjonalnej pozy i z tej pro-po-zy-cji. No i z ciebie, mój młody paniczku. Nie masz już dla mnie żadnej ceny. Dopóki byłeś oficerem, który okrywał mundurem rosyjskim ryngraf tajemniczego polskiego rycerza, budziłeś ciekawość i byłeś — dla pewnych osób naturalnie -jakąś zagadkową wielkością. Dziś, gdy zdradziłeś swój wojskowy sztandar i gdyś się stał pospolitym i ordynarnym, co dzień spotykanym rewolucyjnym typem, odarłeś się sam ze wszelkiego uroku. Straciłeś wszelkie znaczenie. Żegnam.

Hrabia Nastawa odszedł wolnym, cichym krokiem do sali sądowej. Piotr został na miejscu. Długo tam tkwił w zamyśleniu głębokim. Patrzył w oświetlony kwadrat przejścia do mniejszej izby. W pewnej chwili załamał ręce, aż zatrzeszczały i wyszeptał do duszy swojej jakieś słowo, głuche niby sztylet i jak on schowane w pochwie milczenia. Siadł na ławie, ujął głowę w ręce i patrzył na odległy stół sędziowski. Miał w owych chwilach naoczne wrażenie podłości i w Polsce. Czuł ją występującą naprzeciwko i nie mógł jej dać rady. Była wobec niego jak gdyby forma bezkształtna, narzucająca swą wielkość i ciężar oraz obłudną miękkość. Był moment, że zapragnął ze swej duszy wyrwać szpadę, wejść do tamtej sali sądowej i rozpedzić wszystkich tamtych. Samemu osądzić tę sprawę na mocy szpady, na zasadzie prawdy i sumienia! Lecz oto spostrzegł, że nie może stworzyć swojego 18 Brumaire'a, gdyż szpady u boku już nie ma, a gdyby ją nawet jeszcze posiadał, to byłaby to moc rosyjskiego porządku, nie taka, jakiej pożądał.

Bardzo późno, bodaj już nad ranem, posłyszał rumor. Ludzie wychodzili z sądu gromadnie, gwarząc pomiędzy sobą. Słuchał, co mówią; i z pojedynczych zdań, ze strzępów dialogu zrozumiał, iż wydano na Wolskiego wyrok potępiający. Potwierdzono wyrokiem oskarżenie stawiane przez Sikorskiego i innych.

Piotr został na swym miejscu. Chciało mu się spać. Toteż przekręcił się na bok i natychmiast usnął krótkim zamroczeniem, które czasem nawiedza człowieka jak najgłębsza tajemnica bytu. Ukazał mu się dziwny jakiś widok, związany z tym, co myślał niedawno, rzeczywisty jak sceny dopiero co zaobserwowane, a przecie tajemniczy i niepojęty. Obudził go dreszcz nagły, jakby potrząśnięcie za ramię ręką szatana. Siadł na ławie. Szarzało. Przez zakratowane okna wsączał się do sali zimowy świt. Och, jakież nieopisany smutek był w tych pustych, ohydnych izbach i w tym żalonym poranku!

Piotr znowu zatrząsł się z zimna. Wstał też zaraz i wyszedł. Trafił w korytarz długi i mroczny. Z niego na schody. Nie spotkał tam nikogo. Drzwi były poroztwierane. Poblądził w tych długich i przemierzonych sieniach i znalazł się u wejścia do kościoła.

Małe drzwiczki wpuszczone w mur nadzwyczajnej grubości prowadziły na chór kościoła. Przedśionek wyłożony był kamiennymi płytami. Było tam pusto i zimno. Krok rozlegał się głośnie echem. Piotr chciał zawrócić, lecz w szarzyźnie półmroku spostrzegł coś czarnego na ziemi. Schylił się i spostrzegł człowieka rozciągniętego. Wpatrzył się weń i poznał: Wolski leżał krzyżem u tych drzwi prowadzących na chór. Głuchy jęk padał z jego ust w płyty kamienne. Wielkie ciało raz wraz wzdrygnął kurcz bólesci — i znowu była cisza zalegająca te miejsca.

Rozłucki czekał długo, aż się nieszczęśliwy wyszłocha. Nie mogąc zaś doczekać się potracił go końcem buta. Tamten podniósł ciężką głowę i coś wyjęczał.

— Wstawaj! — kazał mu Piotr.

— Kto to?

— No, wstawaj, mówię! Dosyć tej nędzy. Chodź!

— Dokąd mam iść?

— W świat!

— Już nie chcę!

— Musisz!

— Zostaw mię...

Znowu runął na ziemię i rozkrzyżował na kamieniach ręce. Głowa jego w szlochach poczęła się tacać z boku na bok i tłuc o głązy. Piotr pochylił się, podsadził ręce pod ciężki kadłub i dźwignął go z ziemi.

— Już cię drugi raz dźwigam.

— Zostaw mię!

— Wstawaj, bryło pokory! Chodź w świat!

Postawił go na ziemi, objął ramieniem, ucałował w usta — i pociągnął za sobą.

Rozdział VIII

W małym hoteliku, przy jednej z wąskich uliczek biegnących w bok od bulwaru Montparnasse, na bardzo wysokim piętrze sąsiedowali od tygodni Piotr Rozłucki i eks-ksiądz Wolski. Izdebki ich łączył korytarz ciasny i ciemny. Okno z pokoju Piotra wychodziło na ulicę — księdza na dachy i studienne podwórka, zastawione mnóstwem okopconych "pawilonów". Pełno tu było blaszanych kominów i rur, a dymu nie brakowało.

Przybyli obadwaj do Paryża, do tej zatoki narodów, portu rozbitków, wielkiej giełdy ambicji, marzeń, przedsięwzięć... Zamierzali tu pracować, każdy w swojej dziedzinie — szukać chleba, nauki, pola działania. Wolski przesiadywał w pokoiku Piotra, skoro tylko wrócił z miasta, z wykładów w Kolegium Francuskim, w Sorbonie, czy gdzie indziej, z bibliotek i muzeów. Piotr rzadko wychodził z domu. Paryż go rozdzierał, nękał i wysysał. Trzeba było pokonać siebie, pokonać to miasto miłości, cmentarz duszy. Przebywał tu umyślnie, wchodził w uliczki, w sienie, do kościołów, wałęsał się po ogrodach i po kawiarniach, wstępował nawet na schody znajome, po których był ongi biegł jak obłok szczęśliwy niesiony od wiatru. Chciał zdobyć te miejsca duchem życi tworzącym, pokonać je i zwalczyć w sobie.

Pewnego wieczora, gdy zimowa mgła zasłaniała perspektywy ulic, gdy asfalt lśnił się od wilgoci, a wszystko otulał głęboki zmierzch, byli obadwaj w pokoju Rozłuckiego. Ksiądz szastał się po kawałku wydeptanego dywanika, którym zasłany był środek klitki — tłukł się o sprzęty, przewracał, co stało na drodze, machał rękami i perorował. Myśl jego pracowała z siłą i radością. Świeżo posłyszany wykład budził w nim ekspansję zdrowia duszy, podniecał do przekonywania bardziej siebie niż słuchacza. Jeżeli wypowiadał głośno myśli, które mu się kłębiły w głowie, to raczej dlatego, żeby je kształtować,

rozwijać i urabiać. Piękno tych nowych myśli zachwycało go jak wschód słońca. Uśmiechał się i cieszył całą duszą. Niby to polemizował z czymś na zewnątrz, a w gruncie rzeczy szedł za myślą filozofa. Wspinał się na strome ścieżki jego wywodów i głośno uczył.

Piotr słuchał w milczeniu nie przerywając ani słowem. Od dymu cygara, które Wolski nieustannie ćmił i zapalał, zrobiło się w pokoju duszno. Uchyłili okna. Wtedy jakby na dany znak rozległa się i wdarła do izby piosenka starego żebraka bez ręki:

Non, tu ne sauras jamais,

O, toi qu'aujourd'hui j'adore,

Si je t'aime, si je te hais,

Si je t'aime, si je raille encore...

Głęboki, żalony, basowy głos wzniosł się i rozpostarł nad nagłą boleścią jak kondor nad szczeliną jaskini. Rozciągnęły się nad nią czarne jego skrzydła i głęboko zleciał w przepaść bezlitosny cień. Piotr słuchał przez chwilę... Padł na łóżko i odwrócił się twarzą do ściany. Krótki szloch... Słyszał, jak straszna piosenka szybowała nad jego duszą — potem kręgiem — kręgiem oddalała się, oddalała, tłukąc się w murach sąsiedniej ulicy — wreszcie z jękiem ostatnim przepadła w szumnym Paryżu.

Piotr przerwał wykład Wolskiego najbardziej nieoczekiwanym oświadczeniem:

— Ja jutro wyjeżdżam z tego Paryża.

— Co znowu! Dokąd?

— Do Ameryki.

— W imię Ojca!... A pieniądze?

— Zgodzę się w Hawrze jako majtek na statku przewozowym.

— Do Ameryki! Ależ przecie...

— No tak, do Ameryki i basta.

— A ja co? — zapytał ksiądz bezradnie.

— Czy ja wiem? Ucz się, klecha, swych średniowiecznych sylogizmów. A nie, to również stań do roboty jako majtek albo zgoła tragarz... Siły, chwalić Boga, nie brak.

— Siły nie brak... Ale skądże takie nagłe postanowienie? Przecie pomyśleć... Kiedy?

Nie pytał już jednak dłużej, spojrzawszy na zbiełałą twarz towarzysza i na sępie jego oczy.

CZEŚĆ TRZECIA — ŁOSKOT ŚMIGŁA

Rozdział I

Wielki "Cunard" transatlantyczny płynął z New Yorku do Liverpoolu. Cztery potężne kominy wyrzucały dymy jego palenisk, dwie śruby cięły wody oceanu pracując z siłą dwudziestu tysięcy koni parowych. Ogromny steamer, liczący sto kilkadziesiąt metrów długości i dwadzieścia kilka szerokości, wiozł około czterystu pasażerów pierwszej klasy, czterystu drugiej i tysiąc trzeciej, przy kilkunastu tysiącach ton wagi. Kajuty pierwszej i drugiej klasy, stanowiące dwa piętra, mieściły się nad pokładem. Maszyny tego okrętu — była to istna wielopiętrowa fabryka. Obok wałów obracających śmigła śrub, wygodnymi chodnikami na samym dnie parowca można było zażywać przechadzki.

Ciemny kadłub kołysał się miarowo, pokonywał fale z niezwalczoną siłą. Szedł równo w daleką swoją drogę przez pustynię oceanu.

Była późna noc. Nie odczuwało się wyraźnego wiatru, choć powiew kołysał fale. Pasażerowie pogrążeni byli we śnie po kajutach. Nieliczni tylko bibosze, przyzwyczajeni na łodzi do knajpy, gwarzyli przy kieliszku w bufecie.

Piotr Rozłucki i eks-ksiądz Wolski zajmowali w jednej z kajut klasy drugiej miejsca obok siebie. Mieli jeszcze trzeciego towarzysza, Amerykanina, lecz ten nie spał i należał właśnie do kompanii przekładającej szklankę grogu nad sen w dusznym przedzia le. Wolski za to spał nie tylko za dwu towarzyszy, lecz za cały ich dziesiątek. Rozłucki wypoczął już był i teraz leżąc na górnym łóżku patrzył w okienko, które znajdowało się wyżej od poziomu morza, lecz tylko cokolwiek nad nim. Kiedy niekiedy szelestna fala zasłaniała szybę. Świecił księżyc i z wyżyny swej rozpościerał niespokojny, powłóczysty blask w morskim zwierciadle. Wędrowiec doświadczał nienasyconej rozkoszy patrzenia w okrąg tajemniczy, niedostępny dla ludzkiej źrenicy, w samotnię oceanową, w wieczność i nieprzerwalność jej obrazów. Z jakąż ciekawością podglądał na miejscu kołysanie się wód, dziwne prace fal, podobne do wiecznej igraszki pod uroczym księżycy jaśnieniem — bytowanie wód, ciemności i światła w tych ostępach ślepych, niemych i głuchych, ponad najstraszliwszymi głębinami kuli ziemskiej! Coraz bardziej zapadając w kontemplację dostrzegał pierwszy raz w życiu to wszystko, co samo ze sobą i dla siebie samego w księżycową noc czyni niewidzialne morze. Wzburzało się od niewytłumaczalnego, wewnętrznego sprzeciwu zdobywcze i zaborcze serce, gdy oczy nie mogły znaleźć kresu bezgranicza. Myśl nakreślała granice i narzucała władzę przestworowi w nich zawartemu idąc za rozkazem człowieczej natury. W rozkazie tym była radość czynna jak gdyby radość Wilhelma Zdobywcy, gdy wiatry niosły wzdęte jego żagle ku białym Anglii skałom. Było w tym wyzwanie morza i powietrza, wiatru i ciszy, nocy i światła wiecznego. Lecz było także bolesne wzdychanie i walka ze sobą samym. Zdawały się śmiać nieprzerwanym weselem, którego nigdy nie pokona śmiertelny człowiek, zimne fale. Nie znały bóleści i nie znały wspomnienia...

Wspominał. Liczył, ile to już upłynęło lat, odkąd porzucił europejski ląd. Narachował ich kilkanaście, które mu włosy przyprószyły siwizną i twarz ciemną barwą powlekły. Przebierał w myśli prace swe po fabrykach samochodów w Ameryce Północnej, długie wędrówki za chlebem od Kanady

do Parany, trudy na rolach dzikich, karczowanie lasów, osadnictwo, nauczycielstwo w wędrownej szkole, wysiłki ideowe na dziewiczej glebie chłopskiego dorobkiewiczostwa rodaków, budowanie szkół, prześladowania od tłumu — krachy pieniężne i ideowe — ponowne wysiłki zdobycia grosza i wpływu — a wreszcie wieczną, wszędzie towarzyszącą manię wynalazczą w zakresie lotnictwa. Wszystko to było jak sen, jak sen...

Dawał się odczuć dosyt tego szarpania się w pracach różnorodnych, istic amerykańskich. Zostawała tęsknota do jednego jeszcze czynu: — lecieć w tamte strony... Jak sen tłoczyły się widziadła olbrzymich miast, portów, mórz, puszczy, łańcuchów górskich, jezior, wodospadów, rzek, stepów i pól uprawnych. Ileż to oczy napatrzyły się pracy, geniuszu, tyranii, hazardu, wysiłku, pasji, ambicji, niewoli i rozpusty człowieka! Wszystko to wydało ze siebie jedno pragnienie, zestrzeliło się w jedną dążność: — lecieć w niebiosa... Wszystko na lądach i morzach stało się sprawą znaną. Nowe i ważne było tylko jedno.

Patrzeć w morze podniecało ducha. Widok pianistych obszarów biczował wolę i smagał wyobraźnię...

Wolski ocknął się. Po dzikich parskaniach, stepowym ziewaniu i odchrząknięciach, które mogłyby zbudzić rotę śpiących żołnierzy, "proboszcz" zapytał, która to jest godzina. Rozłucki spojrzął na zegarek i oświadczył, że blisko czwarta. Gasła już sierpniowa noc. Błękitem napełniał się przestwór. Srebrnoszara powłoka niepostrzeżenie rozjaśniać zaczęła odległości.

Jak codziennie, dwaj przyjaciele mieli wyjść na wschód słońca. Wolski, tęgi, masywny wielkolud, wyłazł ze swego legowiska. Zakrząłnął się około mycia — czesał gęstą a dobrze już podsiwiałą czuprynę. Wnet był gotów. Wdziawszy cieplejsze okrycia, wyszli na pokład.

Przedświt rozniecał się nad wodami. Srebrzysty półblask uwydatniał fal grzbiety i przeguby. Pieniły się teraz wyraźnie welniste warkocze po obu stronach brzozy morskiej, wyżłobionej przez statek. Na wschodzie zaczerwieniła się ranna zorza ponad różą słoneczną, rozkwitającą za widnokręgiem odmętów.

Raz wraz wychodzili na pokład pasażerowie, mężczyźni i kobiety — jedni dobrze wyspani i zdrowi, inni ze śladami podróźniczej choroby i bezsenności na białych twarzach. Oparci o balustradę, przypatrywali się nieopisanemu widokowi świtania. Wolski z gołą głową mruczał coś do siebie lub monotennie pośpiewywał na nikogo nie zwracając uwagi, choć tłum otaczał go i posuwał z miejsca na miejsce. Skończywszy swoje, zwrócił się do Piotra, głośno coś mówiąc po polsku. Jeden z pasażerów, usłyszawszy polskie przemówienie, spojrzął na dwu przyjaciół z przyjaznym uśmiechem. Był to szczupły, siwiejący już człowiek w skromnym ubraniu. Twarz miał wygoloną, a minę i powierzchowność przeciętnego Anglika. Niebieskie jego oczy, przeźrocyste i o dziecięcym wyrazie, uśmiechały się wciąż ze szczerą radością. Podeszedł do Wolskiego nieśmiało. Ukłonił się i zapytał:

— Panowie Polacy?

— Tak jest, jesteście Polacy... — odpowiedział Wolski.

— Miło mi spotkać... Czy można przyłączyć się do rozmowy?

— Prosimy.

— Nazwisko moje — Gustaw Bezmian.

— Pan jedzie z Ameryki do Europy?

— Teraz to ja z Ameryki. Lecz naprawdę to z daleka.

— Z daleka?

— Ja z Japonii, a nawet z dalszego kraju.

— Z dalszego jeszcze?

— Z Sachalinu...

Gustaw Bezmian ciągnął śpiewnie, z rosyjska, a jak to zwykle mówią — z litewska. Widać było, że po polsku nie mówił bardzo dawno, bo wyrazy ostrożnie obracał w ustach, jakby je nasamprzód przypominał sobie i kształtował, zanim z ust puści. Ale wyrazy same były dobre, widocznie rodzone i własne, siedliska i szaty jego myśli.

Mówiąc je Bezmian doświadczał oczywiście, niejako odświeżonej satysfakcji, bo się uśmiechał i do tych polskich zdań, i do bliźnich, którzy go tak oto po polsku przemawiającego słuchają z uwagą. Rodacy zauważyli jednak, że potwierdzające słówka — polskie t a k i rosyjskie da społy się w ustach Gustawa Bezmiana w pośredni dźwięk d a k, który mu się nieustannie wymykał. Wolski i Rozłucki, przyzwyczajeni na świecie do ludzi wszelkiego typu, ostrożnie milczeli przypatrując się temu wędrowcowi.

On ciągnął:

— W Ameryce ja tylko przejazdem, z Kanady wprost do New-Yorku. Do Europy ciągnie! Bo zbyt już dawno jakości w Azji z a s t r z a ł e m.

— Pan tedy z Azji? Za handlem może? — zaczął go Wolski.

— Nie — gdzie mnie do handlu! — uśmiechnął się Bezmian. Chytrze przemilczał kategoryczną odpowiedź na pytanie i sam cokolwiek pociągnął rodaków za język.

— A panowie — z Ameryki?

— My — tak. Moje nazwisko — Wolski. A to przyjaciel — Rozłucki.

— Przyjemnie poznać się... Strasznie dawno ja już Polaka nie widział, mowy nie słyszał. Uciecha!

— W Ameryce Polaków nie brak.

— To wiem, ale ja tam tylko przejazdem, do starej ziemi wzdycham.

— Toż i my jedziemy powąchać dymu polskiego.

— Dobrze, jeśli gdzie komu dym nad domem. A u mnie domu — gdzie szukać?... — westchnął Bezmian.

— Cóżes pan na Sachalinie robił, jeśli zapytać wolno? — wmieszał się do dyskursu Rozłucki.

— Co na Sachalinie do roboty, panowie rodacy — katorga — d a k i t y l k o.

— Katorga?

— Katorga — d a k i t y l k o... — powtórzył mierząc obudwu smutnymi oczyma, jakby badał, co też za wrażenie wywrze podobna wiadomość.

— A z jakiego powodu wypadło panu wdać się w taką nieprzyjemność, można zapytać? — indagował Wolski.

— Czemu nie? Zapytać można. Polityk ja z dawnych, b ł a z e ń s k i c h lat. Najprzód na śmierć sądzili — później na Sachalin pomiłowali. Wczoraj zdaje się było — student w Górniczym Instytucie, a o t i włosy siwe. Młokos wyjechał, a n i c innego, tylko stara k l a c z wraca...

— No, klacz w żadnym razie! — roześmiali się obadwaj przyjaciele.

— Cości spsociłem językiem! Inaczej pewnie trzeba powiedzieć. Bieda. W ciągu lat mowy w ustach nie miawszy zapomniał...

— A ileż owych lat przeszło?

— Lat dużo. Dwadzieścia siedem lat będzie. A panowie, przepraszam za natręctwo, z Litwy może?

— Nie, my nie z Litwy — odrzekł Piotr.

— Ja z Królestwa... — dorzucił Wolski — a o t, Rozłucki sam nie wiem skąd...

— Z Rosji... — mruknął eks-oficer.

— Z Rosji... — westchnął Bezmian — szerokie słowo...

— Bardzo...

— Och, szerokie! Po świecie jechać — Chiny, Japonia, Wielki Ocean, Ameryka, Atlantyk, a słowo to za tobą — t u j a k t u.

— Czemu? Czas by wolnością odetchnąć.

— Czas by! A nie może nasz brat. Długo posłuszeństwa uczyli — wyuczył się. Kiedy to na "schodkach" o wolności perorował, a sam, co ona, nie wiedział. Język naderwało — mówić zapomniał. Teraz jako ten żak na wakacjach — czy aby nauczyciel nie podgląda...

— Niedobrze! Polak z dawien dawna wolnym był człowiekiem.

— Aż dawien dawna — d a k — ale wspaniale! To było. Teraz się oduczyl.

— Cóż to jest owa katorga? Więzienie jakie?

— Nie. W więzieniu ja niedługo. Na Sachalinie żyłem ja na ziemi jak osiedleńiec. Chatę miałem, rolę, a nawet znaczenie jakie takie.

— Nawet znaczenie?

— A tak. Począłem ja tam z nudów ajnoski język poznawać. Ajnosy tam mieszkają — ludek wymierający. No, czasu było dosyć, okoliczności sprzyjały, to i zbadałem do gruntu. Jeden tylko anglikański clergyman tak zna ten język jak ja. Wyuczyłem się lepiej jak tej łaciny. Począłem z nimi żyć, polować, ryby łowić, na wyprawy chodzić. Polubili mnie uciśnieni ludkowie.

— A czy są uciśnieni? — pytał Wolski.

— O, i bardzo! Zaczę ja ich uczyć, co sam umiem. Leczę — che-che! — śmiech... Narzędzia im ulepszam albo sprowadzam — rybackie, rolnicze, łowieckie. Od ucisku i zdzierstwa urzędników zasłaniam. Choć ja i katorżnik, a muszą się ze mną liczyć potentaty. Próby Ajnom piszę do sądu, zażalenia do różnych gubernatorów, artykuły do gazet. On nakradnie, naoszukuje, a ja o tym artykuł: Ajnosów okradł, to i to zrobił... — Popłoch!... Z początku oni na mnie — karać! No, karz! Ja drugi artykuł! Dali mnie spokój. A że ja ajnoski język umiem, a urzędnicy nie umieją — to i urzędnicy, i Ajnosy do mnie — tłumacz! Przyjdzie rozporządzenie z urzędu — urząd do mnie papier odsyła: przetłumacz im i powiedz, o co chodzi. A ludkowie idą do sądu albo potrzebują czegoś od władzy — do mnie — k'Ustawu. I stałem ja się tam takim nie mianowanym urzędem, Ustaw Bezymianny, jak biuro jakie — che-che...

"Ustaw" roześmiał się serdecznie, aż mu łzy zaświeciły w oczach z tego śmiechu. Ciągnął dalej:

— Takem się rozpędził, że zaczął tym Ajnosom szkoły zakładać. Z początku sam nauczam paru chłopaków. Zdrowe to, pojętne, wesołe. Oczy czarne, głowy foremne, rozum tylko czekał nauki. Co sobie dobrego ucznia wyrobię, posyłam w głąb s t r o n y. — Idź, ucz dalej! Dziewięć szkólek w ten sposób założyłem. A ja nad nimi jak kurator albo minister oświecenia. Zjeżdżam niespodziewanie na egzamin, rewizję przeprowadzam, czy tak aby wszystko jak należy, po-ustawu — che-che...

"Ustaw" znowu zachichotał patrząc gdzieś w dal, zapewne w ową ajnoską "stronę".

— A po jakimuż, w jakim języku nauczają to ministerium oświecenia?

— Ot, bieda moja — jęknął "Bezymianny" ze szczerym bólem. — Oni ciebie pałą swoją po głowie, a ty, bracie, ajnowskie dzieci w ich mowie ucz! Ot los! A jak było uczyć? Serce by po polsku ciągnęło, a co Ajnom tym z polskiej mowy, z naszego pisma? Żal...

— I dobrze się uczyli?

— Dobrze! Trzech gromady do szkół wysłały.

— Dokąd?

"Bezymianny Ustaw" oczy przymrużył z rozkoszą. Chytry uśmiech błąkał się po jego wargach.

— Nie — mówił — już ja moich chłopców w inne ręce! Co który zdolniejszy, przedstawiam rodowi. Wyposażą, pieniędzy dadzą, na statek i do Japonii. Dwaj na ludzi wyszli — jeden się zepsuł.

Bezmian począł szperać w ręcznym portfelu, który miał w ręku, wydobył fotografię grupy osób w japońskich i europejskich strojach, gdzie sam siedział pośrodku między kilkunastoma młodzieńcami. Wśród tych, wyznać trzeba, niezbyt pociągających figurek pokazywał z lubością dwie ajnoskie wymieniając jakieś ich kaducze imiona. Z zawstydzeniem prawie chłopczyńskim, krztusząc się i jękając mówił w sensie usprawiedliwienia się:

— Ja tu z nimi na tej fotografii razem, bo my później — później w Japonii szkołę taką założyli, jak zakon jaki albo sektę czy związek.

— Cóż to za szkoła?

— Ot związek taki... Niby-filozoficzny, niby-społeczny, niby-religijny. Nazywało się to od mojego imienia — śmiesznie powiedzieć — "Ustaw Bezymianny".

— Doprawdy? — uśmiechnęli się obadwaj, Wolski i Rozłucki.

— Należeli do tego młodzi Chińczycy, studenci, co tam na uniwersytet japoński zjechali, paru Japończyków, dwu moich Ajnów, jeden Gilak, matematyk, dwu zbiegłych Rosjan i ja, polski katorżnik.

— A jakimiz zasadami rządziła się sekta?

— Et — długo by o tym mówić, a znudzić się lękam...

— Nie ma obawy o znudzenie.

— W samotności i w obcowaniu z ludźmi przemedytowałem kult buddyjski, strawilem szintoizm przebiegłych wyspiarzy, zaborczych zdobywców z Japonii. Długo mnie i kajdany rozumu uczyły, aż się stały obojętne jak odzież. Kajdany uczą rozumieć ucisk, panowie rodacy — a nadto uczą tęsknić za radością. Ot, i filozofia... Ci, co nie mają na ziemi głosu, pobici od siły, wdeptani w ziemię i znieważeni, niechaj się splecą ramionami i oczy trzymają utkwione w niebo. Ich nadchodzi chwila, ich się rozlegnie głos! Westchnie ziemia, gdy głos ten usłyszysz. Polubi świat prawo, które zostało wymyślone przez człowieka w kajdanach.

— Czy tylko polubi? — spytał Rozłucki.

— Polubi... — szeptał Bezmian, pewny swego. Oczy miał zamglone od ekstazy, gdy mówił jeszcze:

— Ani to głos zgryzoty, ani grubego optymizmu. My, kajdaniarze, wiemy... Walka dla zniszczenia ucisku — to dopiero jedno skrzydło. Bo drugie skrzydło — to praca. Jeżeli się oprzeć na pracy, to siła przechodzi na jej stronę i w nią wsiąka. Wtedy prawdą się staje słowo angielskiego poety: ... what strength? — Opinion is — more frail than yon dim cloud now fading on the moon...

"Cóż jest siła? Siła jest tylko mniemaniem, bardziej wiotkim niż chmura, która zasłania blask księżyca". Alboż nie?

— Siła jest wszystkim. Ażeby walczyć, trzeba mieć w sobie siłę. Bez walki byłby z jednej strony kwietyzm, z drugiej tryumf złego.

— Kwietyzm?! — zawołał Bezmian. — Praca i kwietyzm!

Twarz jego zmieniła się. Z łagodnej stała się groźną, potężną i wspaniałą. Zabawny uśmiech znikł w wyniosłym spojrzeniu. Dwaj przyjaciele ze zdumieniem ujrzeni przed sobą innego zupełnie człowieka.

— I ja cokolwiek wiem, co to jest walka... — mówił z pogardliwym ust skrzywieniem. — Nie była mi obcą ta forma. Za moich dawnych lat, kiedy to nas w "kandałki" poubierali, do Odessy koleją w zakratowanych wagonach, a stamtąd na statek i pod pokład. Mielśmy jechać na Sokolin, Ostrów — na ten Sachalin nieznany — Morzem Czarnym, na Konstantynopol, przez Morze Czerwone, Ocean Indyjski i Wielki. Łby golone, kajdany, upał straszliwy. My pod pokładem i powietrza ani powąchać! No, cóż? Oczywiście ona — walka. Zbudowałem ja plan, zorganizowałem bunt jak należy. Rzecz była zrobiona niegłupio. Wypadliśmy w jednej chwili, straż w powrozy, wyważyliśmy drzwi, na pokład. Oficerów i komendanta w postronki. D a k i cóż — walka!... Pierś w pierś! Kindżał i nóż. Zębami szarpali... Nadbiegły marynarze, pokonały. Z powrotem pod pokład. Przeprowadzili rury do kotłów

parowych do naszych nor i zapowiedzieli, że za najłżejszym objawem buntu drzwi z a p r ą i parą nas jak robactwo w naszych kaźniach wypała. Trzeba było pazury schować i milczeć. I milczeli my w tych ciepłych miejscach, jadąc bez powietrza przez Czarne, Czerwone, Indyjskie, Wielkie morze. Aż na Sokolin Ostrów.

Oczy Gustawa Bezmiana zamroczyły się i usta drgnęły jak u dziecka. Przyjaciele patrzyli na niego w milczeniu.

— Na Sachalinie próbowałem ja również. Spisek, ucieczka, pojmanie. Bitwa w lesie! Nie! Za walką idzie zawsze szpieg, posel do niej od nikczemności i zgnilizny człowieczej... — mówił w zamyśleniu.

— Za życiem idzie tyfus i ospa. Czyż przeto złe jest życie? Człowiek jest mocen wyniszczyć tyfus i ospę.

Bezmian mówił ze swym łagodnym uśmiechem patrząc w przestrzeń:

— Ty jesteś władza, a ja jestem człowiek samotny. Odwracam się do ciebie tyłem i robię swoje, a ty na mnie patrz pilnie, co będę poczyniał, i szpieguj. Gołymi rękami zaczynam wykonywać to wszystko, czego ty przenigdy nie zaczniesz. Ty posiadasz władzę, a ja tworzę życie. I oto — twoja władza czcze słowo, a moja robota wzrasta do nieskończoności.

— A jeśli ci to czcze słowo ręce skrępuje i w usta wepchnie knebel?

— To i wówczas ślady moich stóp na ścieżkach, któredy mnie pogonią, będą krzyczeć, a kamienie będą śpiewały.

— Pieśń o niewolniku.

— Kiedym ja Ajnosom moim obwieścił, że pora przyszła "Bezymiannemu Ustawu" z ich ziemi iść w swoje dalekie strony, przyszedł do mnie tłumem z żonami i dziećmi prosić, żebym u nich został na zawsze, żebym się u nich zgodził być za księcia, za naczelnika — che-che... Władzy ja nie szukałem, odpychałem ją, a sama do mnie przyszła. "Ot i jest..."

— I cóż — nie zostałeś pan u nich za księcia?

— Nie. Zmogła mnie wielka ciekawość, jacy też są polscy chłopci. Poznałem naturę ludzką, narodów i plemion się napatrzyłem, a nigdy jeszcze polskiego ludu nie widziałem. W książkach tylko czytam a czytam, że Polska jest na świecie, że wsie stoją w sadach, orzą ludzie, sieją, żną, młóć. A "wszystko" po polsku mówią. Czyliż nie cud? Zapragnąłem zobaczyć... Bo nigdy, przenigdy ja w tej Polsce nie byłem.

— No i jakże?

— Wymknąłem się na łód. Pomogli przyjaciele. A jak na łód — znowu ta wasza walka. Ech! Znowu więzienie, znowu ucieczka, Chiny, Japonia...

Gustaw Bezmian przeciągnął się, rozradował. Wszyscy trzej patrzyli na wschodzące w dali olbrzymie dziwowisko słoneczne.

— Więc pan do kraju? — spytał Wolski.

— Do kraju, to znaczy, żeby koło Warszawy, a może koło Krakowa. Ja w tym ciemny. Boję się, czy aby nie wyśmieją, bo podobno wesóły i prześmiewny naród polski.

— No, plotki! A cóż pan zamierzasz robić?

— A robić ja zamierzam — wszystko. Co trzeba będzie, co moja zwierzchność każe. Ja wszystko! Ja nie pożałuję rąk, nóg, snu, zdrowia... Szczerze mówię! Tylko żeby na wsi, między prostym, co się nazywa, narodem, gdzie uciśnione ludzie...

— Ech, ty, uciśniony! Kajdaniarska naturo... — mówił Rozłucki.

— Źle coś pewnie wyraziłem się?... — zaniepokoił się Bezmian.

— Dobrześ się pan wyraził w niewolniczej swojej mowie.

— Choć ja i mówić dobrze nie umiem, a jedno teraz czuję, jedno wiem...

— Cóż tam jeszcze?

— Powiem wam szczerze, panowie rodacy! Jak dobrze wówczas zrobili ci tam w Petersburgu, że nie powiesili, że tylko na katorgę zesłali!

— Doprawdy? — zaśmiał się Wolski.

— Toż mówię! Bo jakże piękne jest życie, jakże piękne! Całe lata je chwał, nie nachwalisz się. Śmierć przyjdzie, aż ci postrzegasz, że dopiero by pora żyć zacząć...

Rozdział II

Zawarta na statku w drodze do Londynu znajomość Gustawa Bezmiana z Wolskim i Rozłuckim przeistoczyła się w przyjaźń, zażyłość, a wreszcie w zupełne pobratymstwo. Drzwi w drzwi sąsiadujące, niemal wspólne wzięli w Londynie mieszkanie w pewnym boarding-house'ie, razem do Lyonsa chodzili na śniadanie i obiad — wspólnie zwiedza li londyński ogrom, uczyli się poznając jego nieprzeliczone skarby, pracowali i szukali rozrywki. Głębokie przeżyli wzruszenia podziwiając Muzeum Brytańskie, gdy na własne oczy mogli oglądać prastary papyrusowy odpis pieśni Homera, mityczny zaiste jak sama pieśń — marmur z Rozetty z kluczem dającym możność rozumienia hieroglifów — złomy Partenonu albo olbrzymie cmentarzysko mumii. Gubili się po całych dniach w kensingtonskich ogromach — w galeriach sztuki, narodowych i prywatnych, które się stały publicznymi — tak wielkich i prawdziwie nieprzebytych, że zostawał po nich we wspomnieniu chaos i przedrażnienie czucia. Badali wszystko w tym mieście — kolosie: owoce pracy zamierzonej na miarę tytaniczną, na setki lat i na następne pokolenia ludzkie — zbiory przywiezione ze wszystkich okolic ładu ziemskiego — dzieła wytwórczej potęgi, przeznaczone do wszystkich okolic kuli ziemskiej i ogarniające wszystkie objawy życia. Ileż rozkoszy dostarczył przyjaciom ogród botaniczny Kew, założony przed trzystu blisko laty, którego egzotyczne drzewa stały się już autochtonami na tym obcym gruncie i ze starości strupieślały — ogród nie tylko nie do zwiedzenia i poznania, lecz nie do przebycia w ciągu doby! Mierzyli ogrom potęgi brytyjskiej zwiedzając takie muzea jak Indyjskie i Kolonij — oglądając doki, dzielnice fabryczne, warsztaty, szkoły i instytucje.

Te wielkie dzieła geniuszu, pracy i zuchwałości, to miasto nieskończone, istne oko głownogaośmiornicy — było dla trzech wędrowców jak gdyby przybliżającym szkłem, przez które patrzyli wciąż w stronę swego przytłuczonego i rozpląszonego narodu. Przez każdy wielki objaw spoglądali w zanik, przez każdy zakrój i zamiar — w bezduszny popłoch, przez każde wielkie

marzenie — w nicość. Cierpienie ich stawało się nieznośnie... Słowo "Polska" oznaczało w tym mieście stek emigracji żydowskiej w najuboższej dzielnicy, zaprzeczenie kultury i wszystkiego, co ona wypracowała...

Poszczególne każdy z trzech znalazł tu odpowiednie dla siebie zajęcie. Bezmian dostał dużą robotę przy układzie i wydawnictwie wielkiego słownika języków wschodnich. Miał powierzony sobie dział korekty gwar sachalińskich — i dobrze zarabiał.

Pastor anglikański, znawca tychże gwar, nie tylko mu dostarczył zajęcia, polecił wydawcom, ale nadto wprowadził do Towarzystwa Filologicznego i zaznajomił z uczonymi. Uczepiły go się również jakieś stowarzyszenia teozoficzno-filozoficzne i odbywały z nim sekretne narady nad bezwzględny zniweczeniem złego na świecie i niezwłocznym zaprowadzeniem powszechnej szczęśliwości.

Wolski, który w Ameryce zarabiał jako optyk, parę godzin dziennie pracował w Londynie w swoim fachu. Miał on zresztą zarobionego nieco grosza w czasie pobytu za oceanem i tylko, z zasady i dla wydoskonalenia się w metodach angielskich robił swoje w pewnej wielkiej oficynie optycznej, gdzie go na podstawie świadectw przyjęto bez trudu do roboty.

Rozlucki badał swą dziedzinę ulubioną, lotnictwo. Znikał czasami na cały dzień, udając się na pola prób lotniczych i do pracowni opętańców manii awiatycznej.

Pewnego dnia wyjechali z ulic City wrących od najgwałtowniejszego na ziemi ruchu — do Hampton-Court, starego i cichego królewskiego zamku. Zwiedzili nagromadzone tam dzieła sztuki, samą budowlę i, stęsknieni do drzew, zanurzyli się w parku. Błądzili po alejach wysadzonych prastarymi, kilkusetletnimi cisami i doświadczały istnego szczęścia przypatrując się rabatom kwiatów. Były tam bowiem kwiaty całej ziemi, zgromadzone w ogrodzie króla Anglii — i tylko król Anglii mógł sobie na taki kwietnik pozwolić. Zachwycali się odmianami storczyków, irysów, złocieni, a nade wszystko fuksyj, z których pewne, o nazwach jak "Wschód słońca" albo "Generał Gordon", były jak ekstatyczne i najbardziej fantastyczne marzenia w postaci kwiatów. Wśród tych rabat trzech zamilkli odczuwając w całej rozciągłości błogosławioną siłę wzroku, która dawała możność takie piękno widzieć. Była to bowiem rozkosz równie subtelna, jak dla słuchu symfonia Beethovena. Nadeszła wszakże chwila, kiedy już oczy nie mogły znieść przepychu i różnorodności barw kwiatowych, kiedy w nich barwy te poczęły drgać, mienić się i plątać.

Wyszli wówczas z parku poza jego ogrodzenie, wyminąwszy prosty kołowrót wiejski. Znaleźli się w lipowej alei, tak bardzo starej, że drzewa jej musiały liczyć wiele setek lat. Wokół, jak oko sięgnąć zdołało, leżało pustkowienie. Słały się nie koszone łąki o trawie tak żywej i zieloności tak intensywnej, jaką tylko w Anglii widzieć można i którą tylekroć opisywali jej poeci. Tam i sam na tych królewskich ugorach stał odosobniony, samotny dąb, na pewno tysiącletni, bo gałęzi już nie miał, a tylko jego olbrzymi pień, bulwami i gruzłami narośli obarczony, starzec pamiętający rycerzy zakutych w stal, dumał wśród tego okręgu. Droga w alei była zarośnięta wysoką trawą i nie prowadziła wcale do żadnego celu. Szła w pustą przestrzeń. Była to ziemia króla Anglii, ugor wrócony naturze. Gdy tam przychodził człowiek z pyłów, wrzawy i męczarni miasta, spośród pracy szalonej i gonitwy zacieklej, jakże się radował ujrzawszy przedwieczny niezmacony sen pustkowie!

Trzej cudzoziemcy szli tą aleją w milczeniu. Patrzyli w dalekość... Zza starych dębów grzejących w ciepłym słońcu swe próchno wysunęło się stado jeleni. Naczelne miejsce zajmował ogromny rogacz. Rozwidłone rogi położył po sobie. Za nim stadko łań miękko brodziło w trawie. Spostrzegłszy trzech ludzi, samiec zmienił kierunek swej wędrówki. Jak złoty połysk jelenie przeszły przez aleję, zatopiły

się w rozległości błonia i znikły za horyzontem. Nastąpiła znowu głuchość i cisza jak kiedyś w litewskim boru. Ptak czasami zerwał się spod nóg i zapadł w trawy. Łagodny wiatr poruszał liście lip...

— Czy wiecie, o czym myślę? — zapytał towarzyszy Piotr Rozłucki.

— Bodaj że wiem... — mruknął Wolski.

— A więc?

— Czas wracać do kraju.

— Wracać! — rzekł Bezmian.

— Wracajmy... "tułacze", "emigranci"...

— Nie!

— Nie!

— Do stu diabłów ze wszelką emigracją! Kto musi iść za chlebem, niechże idzie na koniec świata i mieszka, gdzie chce. Lecz do stu diabłów z przybranym tytułem emigranta, z emeryturą i płaszczem dostojności za zasługi, z których naśmiewa się nieprzyjaciel!

— A czymże byliśmy, czym jesteśmy, czym będziemy?

— Jestem zawsze tam.

— I ja.

— I ja.

— I cóż komu z nas? Cóż my jesteśmy? — trzech poddani, trzy jednostki...

— Każda jednostka może być potęgą, jeśli się schyli, zarzuci szlę na ramię, rozmnoży swą duszę i siłę.

— Do pracy istniejącej, biernej, dołączymy pracę nową, która by z Polski uczyniła Anglię!

— Anglię!... o straszne, o bezlitosne szyderstwo!

— Słuchajcie, wy dwaj... — mówił Rozłucki. — Widzieliśmy przecie świat. Wiemy wszyscy trzej, jak się z niczego stwarza wszystko. Zawrzyjmy tutaj we trzech, w tym milczeniu, wobec tych drzew, które tyle widziały — spisek. Przysięgnijmy tutaj wobec tego Londynu, który tam huczy, wobec niezmiernej siedziska potęgi, że pomnożymy do najwyższej granicy moc polskiego ducha...

— Władzę polską...

— Pracę polską...

— Dobro w Polsce...

— Trzeba Królestwo Boże w Polsce osadzić. Trzeba podnieść ręce tego ludu do Boga. Trzeba wskrzesić ducha bożego w tym rolnym tłumie... — mówił Wolski.

— Trzeba nauczyć ich dyscypliny ducha, przemienić wszystkich w żołnierzy, których oczy i uszy powinny być otwarte, a usta milczeć jak u Anglików. Trzeba nauczyć ich trzymać się prostej linii w szeregu. Niech raz wiedzą, że bez pozwolenia władzy z ducha, bez rozkazu z urzędu najwyższej myśli nie wolno nic, nie wolno nawet za ojczyznę i lud umierać! — mówił Rozłucki.

— Nie! Trzeba najprzód zwalić od przyciesi gwałt brata nad bratem. Nie oszczędzać krzywdy, drzeć ją zębami i pazurami, palić zagwiał, oddać dla jej zniszczenia wszystko, do ostatniej koszuli i do ostatniego marzenia. Wtedy dopiero w weselu duszy trzeba rozpocząć pracę od nowa... — mówił Bezmian.

— A więc dla nas trzech — dla ciebie, kleryku, któryś się wysupłał z kościoła, a jesteś sam kapłanem i wyznawcą — dla ciebie, katorżnika, któryś z partii wyszedł i sam stoisz za partią i za ludem — i dla mnie, żołnierza, com wyszedł z wojska i sam jestem całą armią polską — niech będzie, jak dla starych spiskowców przed trzydziestym rokiem, hasło: "Nic i Wszystko". "Nic", które jest dzisiaj, i "Wszystko", które w naszych rękach będzie jutro.

— Pamiętajcie na ten nasz spisek w Hampton-Court.

— Kto by ustał w pracy albo się wrócił, albo zaniechał dla bezwładu — temu pogarda pozostałych dwu!

— Kto wytrwa i wypełni, temu pochwała pozostałych dwu!

Rozdział III

W drodze powrotnej do kraju trzech przyjaciele udali się z Londynu do Paryża. Wymagały tego względy rozmaite, nade wszystko jednak konieczność znalezienia pieniędzy, niezbędnych dla zbudowania aeroplanu, którego specjalną konstrukcję wymyślił Piotr Rozłucki. Ani jeden z trzech odpowiedniej sumy nie posiadał, a nawet wszyscy trzej razem wzięci nie złożyliby dziesiątej części kosztu. Rozłucki i Wolski nie byli nędzarzami zaoszczędziwszy nieco w Ameryce, Bezmian zarabiał na podróż i życie swymi korektami, lecz było to wszystko kroplą w morzu.

Po przybyciu do Paryża na "złotą żyłę" trafił wkrótce Wolski, powziął bowiem skądś wiadomość, że mieszka tam wielkim dworem hrabia Nastawa. Z nabytą w księżym stanie zręcznością Wolski dotarł do hrabiny Nastawowej — niegdyś panny Marzenki Ościeniówny — uzyskał audiencję, a nawet zaproszenie dla dwu towarzyszków swoich na czwartkowy dzień przyjęć w hrabiowskim "Hotelu", kiedy zgromadziło się tam mnóstwo osób zarówno polskiej, jak cudzoziemskiej wysokiej sfery. Rozłucki wzdragał się dość długo iść tam, lecz względy poważnej natury przemogły. Ubrano i Bezmiana we frak, przeciwko czemu protestował klątwami we wszelkich językach nie wyłączając sachalińskich — i wszyscy trzej w czasie oznaczonym wyruszyli do pałacu hrabiostwa Nastawów, położonego przy jednej z nowych przecznicy wychodzących na Pola Elizejskie.

Był to jesienny wieczór. Mżył deszcz paryski. Wsiadłszy z metro, przyjaciele ruszyli za przewodnikiem Wolskiego. Dom stał niezupełnie w linii ulicznej, nieco w głębi, za niewielkim ogrodem, oddzielonym od chodnika wysokimi, żelaznymi sztachetami. Na dźwięk dzwonka drzwi się niezwłocznie otworzyły, służba zabrała zwierzchnie odzienie i wskazała schody na piętro wysłane dywanem. Poprzedzony przez kolegów Piotr Rozłucki wszedł na górę i stanął na progu wielkiej sali,

zalaną światłem elektrycznym, pełnej gwaru osób już zgromadzonych i pełnej przyjemnego zapachu egzotycznych kwiatów. W pobliżu wejścia stał gospodarz, hrabia Nastawa, witając gości.

Mało się zmienił, posiwiał tylko zupełnie. Był jednak po dawnemu żywych ruchów i wytwornej giętkości w obejściu. Poznał natychmiast Rozłuckiego i Wolskiego. Wyciągnął ku nim ręce ze szczera czy udaną radością. Powitał również życzliwie przedstawionego mu Bezmiana — i poprowadził wszystkich trzech do żony. W głębi wielkiego salonu, pośród dam i panów stała hrabina. Była to dawna znajoma, lecz już nie panna Małgorzata z Podlasia. Wspaniała, jeszcze piękna dama, pewna siebie i każdego swojego kroku i ruchu — wielka pani. Piękność nie znikła jeszcze z jej twarzy i nie uleciała z postaci, ale była to już piękność zupełnie inna — sztucznie powstrzymana. Dawna barwa włosów była ta sama, lecz jakby zaakcentowana przez niezrównane brylanty. Ten sam był kolor oczu i zarys twarzy, a przecie Piotr nie mógł przez chwilę oprzeć się przykreemu wrażeniu. Była to ta pierwsza niewiasta, którą był zobaczył na ziemi polskiej — czy inna już zupełnie? W mgnieniu oka pokonał swe refleksje, złożył ukłon i wymówił na leżny frazes. Hrabina przypatrywała się również przez chwilę wyniosłemu mężczyźnie, posiwiałemu dość znacznie, o twarzy ciemnej, wzdłuż której stara blizna wrosła w skórę i aczkolwiek widoczna na przestrzeni całego czoła i policzka aż do brody — złączyła się z cerą, jak nieraz cięcie topora wrośnie w korę krzewa, zajdzie żywicą, jak gdyby było od początku. Nie był to również dawny oficer w obcisłym mundurze, lecz człowiek piękny, dumny, zamknięty i surowy. Czarny frak przystawał do jego wyprostowanej, wojskowej postaci dziwnie dobrze, zgrabnie i malowniczo. Spojrzenie głębokich oczu, ściągnięte męskie, badawcze i niepobłażliwe, przeszło panią hrabinę. Nie była przyzwyczajona do spojrzeń tego rodzaju. Zmieszała się, jakby w niej wszystko na równej drodze uległo nieprzewidzianemu potknięciu i runęło w niemoc. Napływająca fala gości powołała ją do obowiązków gospodyni. Rozłucki znalazł się w innym końcu sali, Wolski w innym i Bezmian gdzie indziej.

Uprzejmy gospodarz nie pozwolił gościowi czuć się w osamotnieniu. Zaznajomił go z wieloma osobami ze społeczeństwa zarówno francuskiego, jak polskiego, a nadto pamiętał o nim specjalnie i zaimponował go wyróżniał. Przybysz z odległych krajów pożądał rozmowy polskiej, lecz słowo polskie ledwie przeciskało się w tym towarzystwie, było jak chłopska gwara na Polesiu: służyło do porozumiewania się w rzeczach domowych, pospolitych, nieprzetłumaczalnych na język wielkoświatowy. Ten i ów w trakcie rozmowy dowiadywał się, że mówi z Polakiem, a później już ostentacyjnie mówił tylko po polsku z tym amerykańskim wędrowcem, oczywiście dla zrobienia mu przyjemności. W trakcie owych rozmów przygodnych, narzuconych, jakie się w takich warunkach prowadzi z osobami nieznanymi, Piotr usłyszał nie bez troski przenikliwy głos Bezmiana, który na całą szerokość sali dowodził komuś po polsku:

— Ależ przecie sam Kautsky oddaje nam Prusy Wschodnie! Sam Kautsky!...

Deklaracja ta zrobiła wrażenie. Zainteresowano się w polskim odłamie towarzystwa. Ten i ów pytał sąsiada, któż jest ów Kautsky, który mocen jest oddawać Prusy Wschodnie — komu tenże oddaje Prusy Wschodnie... Były także głosy interesujące się kwestią, co to są właściwie Prusy Wschodnie — najwięcej zaś takich, które zaciekała sprawa, kto w tamtym rogu sali peroruje w sposób równie niezwykły? Piotr uspokoił opinię zaniepokojoną w swym pobliżu łagodnym komunikatem, że egzageruje w podobny sposób pewien sympatyczny marzyciel, oraz że powołany przezeń Kautsky jest również sympatycznym marzycielem. To podziało w sposób uśmierający, przynajmniej na tamten region salonu.

Przygodne zaniepokojenie rozproszył zresztą zaraz śpiew gwiazdy operowej, precudnogłosej Bourdon, oklaskiwany z zapalem; — następnie drugi numer programu, najbardziej atrakcyjny, scena z

życia apaszów, odegrana, a właściwie odtąńczona przez samą Polairkę. Rozłucki podziwiał grę twarzy i niezrównaną wyrazistość gestu genialnej brzyduli rozmyślając w sekrecie o potędze arcyzmu i wszechwładzy talentu, która nieznane dziecko życia, samotną kobietę, wynosi z tłuszczy, z dziedziny morderczych walk o kęs chleba — aż do salonów magnata, a tłum bogaczy, panów życia nienawidzących śmiertelnie nędzy, po której depcą, zmusza do skłonienia głowy przed wymysłem o praktykach apaszów i do lubowania się ich zbójeckim tańcem...

Lecz i te rozmyślania, zgoła przygodne, przerwał trzeci numer programu, raczej popis nadprogramowy kogoś z towarzystwa. Młody, dwudziestokilkoletni "ktoś z towarzystwa" usiadł rezolutnie przy fortepianie i odśpiewał pospolitym półtenorem półpornograficzną piosenkę, naśladując w ten sposób do złudzenia pół-śpiewaczkę z kabaretu Pie-qui-chante. Występ ten wzbudził najszczerzy, choć dyskretnie osłoniiony i najdłużej nie milknący aplauz, oczywiście wśród męskiej połowy zebrania. Piotr okłaskiwał również utalentowanego rodaka, aczkolwiek miał chęć okłaskać go raczej po przedwcześnie podłysiałej łepetynie i po wesołej buzi-facjatce. Miał chęć chwycić go za sztywnie przyglądzone kudełki i z rozmachem wywinąć całą figurą w powietrze.

Bardziej łysa i posiwiała część słuchaczy, liczniejszymi niż śpiewak obarczona laty paryskich doświadczeń, oddawszy talentowi wstępującemu w życie należny dank i westchnienie zazdrości, szukała jednakże pewnego zabezpieczenia od nadmiaru wrażeń artystycznych w sąsiednich salonach i gabinetach, gdzie służba roznosiła napoje i przekąski. Piotr Rozłucki poczuł się do solidarności z odłamek tej generacji starszej i przeszedł do jednego z mniejszych pokojów. Znalazł tam kogoś z Francuzów świeżo poznanych i przysiadł z nim na małej kanapce dla rozmowy. Na ścianach tego zacisza były rozwieszane zbroje. Dawne czekany, obuszki, buzdygany, szable o rękojeściach dziko iskrzących się od jaszczuru, dziury i włócznie. Były to zbroje nie od tandeciarza kupione, lecz zapewne dziedzicznie przechodzące z ojca na syna, rodowe i pamiątkowe. W żyłach Piotra przewinęło się wzburzenie żołnierskie. Patrzył z uśmiechem najszczerzej życzliwości na ten stary oręż Polaków — niemą, próżniaczą, lokajską ozdobę — bezmyślny ornament salonu. Coś o tym mówił, aby tylko mówić do Francuza, który się z nim zabawiał rozmową, lecz nie został zrozumiany. Zamknął tedy o tym temacie, lecz o nim tym uparciej rozmyślał.

Do zacisznego saloniku wszedł hrabia Nastawa. Było rzeczą oczywistą, że Rozłuckiego właśnie szuka. Zręcznie rozłączył go z interlokutorem, ujął pod ramię i pociągnął dokądś z pokoju do pokoju po miękkich dywanach.

Już z wolna pustoszały salony. Tu i ówdzie widać było grupę zżyłą pomiędzy sobą, rozmawiającą z ożywieniem i wśród śmiechu. W salonie głównym ktoś jeszcze czymś się popisywał i jeszcze stamtąd słyhać było okłaski.

Hrabia nachylił się do Piotra i szepnął:

— Pragnę szanownemu panu przedstawić moich synów.

— Ach, proszę o to! Państwo mają kilku synów?

— Dwu. Starszy — Włodzimierz — ma lat piętnaście, młodszy — Józef — trzynaście.

Weszli do pokoju wysłanego dywanem, z kanapami miękkimi i szerokimi jak łóżka. W kominku palił się gazowy piecyk, wielobarwnymi płomykami szerząc radosne i miłe ciepło. Obrazy, czupiradła najbardziej nowoczesnych Van Dongenów i innych, dobrze świadczyły o burżuazyjnym snobizmie słowiańskim właścicieli tego zakątka.

W głębi siedziała hrabina i rozmawiała z Wolskim. Nastawa znikł za najbliższą portierą i wkrótce wrócił prowadząc dwu zapowiedzianych chłopców, Włodzimierza i Józefa. Ładni młodzieniaszkowie z należytą rezerwą skierowali swe spojrzenia i kroki w stronę Rozłuckiego. Ojciec przyprowadził ich bliżej mówiąc:

— Oto moi synowie.

Do nich zaś zwrócony, wygłosił uroczyście:

— Pan Rozłucki, który przed laty bronił z szablą w ręce honoru waszej mamy i poniósł za to rany na głowie i twarzy. Zapamiętajcie na zawsze z wdzięcznością szramę na twarzy pana Rozłuckiego.

Piotr doznał uczucia wstrętu i głębokiego niesmaku, usłyszawszy te słowa. Zapomniał już od dawien dawna o szramie na swej twarzy i nie znosił jej widoku w lustrze. Wpatrzony weń z nieufnością i dumą oczy chłopców sprawiły mu prawie fizyczną przykrość. Odsunął się. Lecz w tej chwili zbliżyła się hrabina. Usłyszawszy, co mówił mąż do synów, nagle po dawnemu szczerwieniła, oblała się nie rumieńcem, lecz zaiste krwią. Można by było przysiąc, że stała się pąsową od stóp do głów, a zdawało się, że się w tym nagłym ogniu spali, jak воск roztopi i osunie na ziemię.

Piotr podniósł na nią oczy i zadał sobie pytanie, czego się też tak zawstydziła? Tego, że mąż mówił o owej chwili przy synach — tego, że słuchał przemówienia Rozłuckiego — czy jeszcze czegoś innego, najbardziej niewiarogodnego — to jest w ogóle istnienia tych oto synów i "męża", hrabiego Nastawy, zdrady swego bohaterskiego ideału, który tu przed nią znowu stanął, ten sam, jeszcze piękniejszy, jeszcze wznioślejszy i jeszcze bardziej tajemny? Ale Piotr nie poczuł dla niej współczucia. Przeciwnie, powziął dawną, a już w drogach dalekich zgubioną mściwość. Nachylił się z grzecznym a zimnym gestem w stronę synów i pani, mówiąc:

— Zrobiłem wówczas, gdyż tak wypadało. Nagrodą moją było zawsze przeświadczenie, że mogłem mieć szczęście bronięcia pani hrabiny...

W tej samej chwili począł mówić o czym innym, o braciach Wrightach, twierdząc, że są to dwaj, co nastawili kierownik świata w inną stronę — o lotnictwie i konieczności zbudowania statku polskiego. Ten zwrot rozmowy był tak nagły, że aż niegrzeczny. Wyglądało to na dość poziome korzystanie z sytuacji. Piotr zrobił to świadomie. Świadomie wskazywał palcem konieczność zbudowania koszem polskim statku powietrznego, a mówił to przecie do ludzi bardzo bogatych... Mówił o tym wszystkim długo i szeroko wobec hrabiego Nastawy, jego żony i synów.

Cel tego wykładu był tak oczywisty, że na twarzy hrabiny odmalowała się gorzka uprzejmość, a w oczach pana domu zatliły iskry chytrłości. Pod pozorem dopełnienia obowiązków gospodyni hrabina zręcznie wysunęła się z tego pokoju — chłopcy zabawiwszy tam jeszcze przez chwilę, cofnęli się również. Został Wolski, Rozłucki i Nastawa.

Hrabia ujął Piotra pod ramię i razem z nim zbliżył się do kominka. Szli po dywanie i Piotr miał nie tylko wrażenie, lecz przeświadczenie, że obok niego ten nie idzie, lecz skrada się, i że to nie jest człowiek, lecz tygrys. Stał przed maszynką szercząc ciepło i patrząc w jej syczące, wielobarwne rurki myślał o tym, że ów Nastawa zwyciężył go nareszcie. Dlatego synom pokazał szramę na twarzy i opowiadał o "bohaterstwie" wystąpienia, że już teraz wygrał tę sprawę. Nieszkodliwy to nieprzyjaciel, którego się tak prezentuje synom... Dlatego tak bardzo zawstydziła się pani. Wyniosły nieprzyjaciel pokornie przyszedł i wyciągnął rękę po zapłatę, po "czerwone złote" nagrody. Taką jest potęgą kapitału. Człowiek dzierżący klucz od ogniotrwałej kasy włada wszystkim, nawet nieugiętą duszą "bohatera". Jakaż hańba!

Piotr zawrzał w sobie, jak gdyby płomienie, na które patrzył, sparzyły mu oczy: Wewnętrznym ruchem ducha, niby zamachem skrzydła wymarzonego aeroplanu, pchnął od siebie człowieka, który stał obok. Niech przepada natchnienie i praca dziesiątków lat! Niech zginie lot ku niebu! Skrzydłem wewnętrznym postanowił wziąć tego człowieka pod siebie, jak skrzydło zewnętrzne bierze pod siebie wiatr — uczynić zeń materiał do swego odlotu, siłę swą wzmóc jego złością i fizyczną mocą. Czekał, aż ów zacznie, i wiedział, o czym zacznie. W istocie Nastawa odezwał się:

— Jest to po prostu szczęśliwa okoliczność, że pan przed powrotem do kraju na Paryż się skierował. Mówił mi pan Wolski...

— Co on mówił?

— O pańskim wynalazku...

— Nie jest to mój wynalazek, lecz zastosowanie tysiąca odkryć, które dokonane zostały przez tysiąc pracowników w technice. Tak się to mówi... Ja — pan to zresztą wie — umysł mam realistyczny. Ażeby zbudować statek, który panu jest potrzebny, oczywiście trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

— Oczywiście.

— Otóż, o ile moja skromna kasa starczy, jest ona do pańskiej dyspozycji.

— Czy podobna?

— Nie jest to przecie rzecz pańska, lecz nasza. Więc ta moja gotowość do usług nie może panu sprawiać przykrości.

— Rzecz nasza, to znaczy — czyja?

— Rzecz kraju.

— Och, jest to frazes... — uśmiechnął się Piotr nie wyjaśniając, komu ubliża: sobie czy swemu rozmówcy.

— Jeżeliby pan zbudował ów statek powietrzny — tłumaczył hrabia — przecież kraj zyskałby na tym.

— I ja również.

— I ja również.

— A pan hrabia co mianowicie?

— To rzecz moja... — oświadczył Nastawa z niewyjaśnionym uśmiechem.

Piotr nachylił się do niego i powiedział z cicha:

— Byłbym przez pana jako męża pani hrabiny wynagrodzony za to...

Powiodł dłonią wzdłuż blizny twarzy. Oczy hrabiego zasłoniła zemsta. Pohamował się jednak i rzekł z uprzejmą wesołością:

— Nawet pobyt w trzeźwej Ameryce nie pozbawił szanownego pana tego bogactwa romantyzmu, w jaki zawsze jego wyobraźnia obfitowała.

— Innej korzyści dla pana z naszego układu nie widzę.

— Układ taki stanąć by powinien, gdyż ta rzecz mogłaby być pożyteczną dla ogółu. Ponieważ i ja — nawet ja — należę do tego ogółu, więc chciałbym mieć udział w możliwych pożytkach, jakie pański wynalazek przynieść może.

— Nie wiem właśnie, w jakiej mierze ten udział pański w korzyściach z mojego tak zwanego wynalazku mógłby się wyrazić?

— Będę szczerym. Chciałbym wiedzieć, co pan zamierza. Chciałbym wiedzieć, co się w tej sprawie zamyka.

— Mogę to panu wytłumaczyć niezwłocznie.

— Dziękuję, aleja nie uznaję teorii. Mam czas tylko na badanie faktów, na rozpatrywanie samych owoców wysiłku, rezultatu prac, i na ocenę samych jedynie czynów.

— Powiedziano tam bardzo mądrze: "Któż zbadał drogę okrętu pośród morza, drogę ptaka w powietrzu..."

— Ja muszę znać zamiary tego, kto lata w powietrzu.

— Poznanie tych zamiarów nie da panu realnego pożytku. Wprawdzie ten, kto lata po powietrzu, przez sam swój czyn odmienia postać świata...

— Aż tak nawet?

— Tak. Turkot aeroplanu w naszych oczach udaremnia szpiegostwo wojenne, kartografię, ogromnie osłabia wartość fortyfikacji, znaczenie artylerii, a mnie się zdaje, że i samym armiom jako takim bardzo zaszkodzi.

— Doprawdy?

— Tak sędzę. Armie będą zmuszone do rozsypki. Kto wie, czy sztaby generalne nie skłonią ucha do myśli, ażeby wrócić do ludowej ruchawki? Kto wie, czy armie nie będą zmuszone rozprościć się i jak powstańcy iść do lasu? Może jeszcze i mój ojciec, dowódca leśnych powstańców, będzie pomszczony...

— Czy to jednakże nie jest plan przyszłości rysowany zbyt szeroko i zbyt zamasyście? Maszyny latające można będzie niszczyć odpowiednimi środkami, a ich rozmnożenie się i rozwój wyjdzie zawsze na korzyść państw i ich rządów.

— Sądzę, że przeciwnie! Aeroplan jest to niszczyciel państw i oswobodiciel uciskniętego człowieka. Lot jego skrzydeł budzi z niewoli ujarzmione narody. W łoskocie jego śmigła rozlega się nad ziemią manifest komunistyczny.

— Cieszę się, że otrzymałem od szanownego pana te wyjaśnienia i że mogłem się w tym kierunku oświecić, gdyż w istocie byłem nieświadomiony co do tej kwestii.

— Mówiłem to w tym tylko celu, ażeby zaznaczyć, że nie będę mógł skorzystać z łaskawej propozycji otwarcia na potrzeby mego aeroplanu kasy pana hrabiego. Wysiłkiem mego życia było to, ażeby najwyższa myśl w rzeczach idei, urząd ducha polskiego oraz władza rozkazu odjęte zostały ludziom dzierżącym klucz od kasy i przeszły do ludzi wolnych w duchu.

— Niestety — to być nie może. Wszystko, tylko nie powrót do romantyzmu! Kto włada kasą, włada ideami. Tak jest na świecie wszędzie, a więc i u nas, w tej... Polsce. Żałuję, że moja skromna oferta doznała tak sromotnej porażki... — uśmiechnął się hrabia Nastawa.

Do pokoju weszła hrabina w towarzystwie Gustawa Bezmiana. "Ajnos" ucieszył się zobaczywszy towarzyszków, gdyż w salonie nie miał powodzenia. Wszystko, co mówił z odświeżającym zapachem, znane było i nudne od dawna. Wszystko, o czym perorował, sto tysięcy razy splugawione zostało na tym bruku krwawym Paryża przez setki blagierów, karierowiczów, oszustów parlamentarnych, ministerialnych i dziennikarskich — od dawna wydrwione w stu piśmiadłach płatnych z kasy bogacza — i tą drogą dostało się do umysłów.

Na widok tego Bezmiana czy hrabiego, przygasłe od rozmowy z Piotrem Rozłuckim, zaiskrzyły się znowu jak brylanty. Zręcznym ruchem i zręcznymi zwroty rozmowy Nastawa przekazał Piotra żonie, a sam przysiadł się do Bezmiana i wdał z nim w długą, arcydługą rozmowę, pełną obustronnego zainteresowania. Piotr słyszał, jak Bezmian "zapatruje się" w obliczu Nastawy na syndykalizm, herweizm, neomaltuzjanizm, jak to zwalcza, tamto podnosi, w to bije całą mocą sachalińskiego entuzjazmu, a tamto obala idąc do walki na całego. Słyszał także, jak na życzenie pana domu "Ustaw Bezymianny" rozwija plany swego w kraju działania i, nie mogąc w czynie, w słowie wyładowuje od tylu lat stłoczone w duszy marzenia...

Przesycony tą obfitością zwierzeń Piotr zwrócił się do hrabiny i na uprzejme jej zaproszenie począł opowiadać swe amerykańskie dzieje i przeżycia.

Rozdział IV

Na wybrzeżu Północnego Morza stowarzyszenie lotników belgijskich dzierżało owymi czasy obszerny płat ziemi, niezbędnej do wykonywania wzlotów i ćwiczeń. Grunt w tym miejscu powstał przeważnie z diun morskich. Były to głębokie, lite, bezdenne piaski. Usiłowano je załesić. Udało się to tylko w części. Nieco opodal od morskiego brzegu las uczeplił się gruntu i wyrósł, lecz brzeg pozostał jałową plażą, rozległą jak tylko oko zasięgnąć zdoła. Nie nadawało się to wybrzeże do użytkowania w żadnym kierunku. Srogie i straszliwe wichry morskie wyniszczały wszelką roślinność na samym wybrzeżu. Nic tam nie udało się zbudować i nie mogło powstać w tym miejscu siedlisko kąpielowe, gdyż grunty te nie tworzyły zatoki, lecz właśnie cypel piaszczysty, wysunięty jak najdalej w dziki odmęt. Przed przyjazdem Piotra do Paryża rząd wybudował na tym właśnie przyłądku latarnię morską najnowszej typu. Przeprowadzono również kolejkę podjazdową łączącą nadmorskie miejsciny z latarnią. Na dzierżawie awiatorskiej obok kolejowego przystanku powstało kilka domków, do których w porze letniej zjeżdżała pewna ilość niezamożnych rodzin z Niemiec i Belgii dla zażywania ryzykownej kąpieli na tym wiatrowisku.

W kołach sportowych Paryża Rozłucki, poszukujący samotnego miejsca dla swej konstrukcji, powziął wiadomość o tym placu, zaniedbanym przez sportowców tamtejszych, i natychmiast pojechał,

żeby teren obejrzeć. Skoro zaś tam przybył, to po przeprowadzeniu rokowań z dzierżawcami osiadł na czas dłuższy.

Zastał na pustkowiu zwyczajną szopę zbudowaną na skraju sosnowego lasu a tuż przy ogromnym nadmorskim błoni. Za pieniądze wydobyte w Paryżu przez Wolskiego, za sumy składkowe różnych stowarzyszeń i kółek, nabył poszczególne części swego latawca. W fabryce automobilów obstał silnik własnego pomysłu i według swoich skonstruowany planów. Ów silnik obracający śmigło powietrzne — niewielka maszynka o sile stu koni — był to rezultat borykań się wielu lat. Klęską tego pomysłu było rozgrzewanie się maszyny. Praca nad pokonaniem tego przekleństwa trwała wciąż jeszcze. Do chłodzenia silnika używał najrozmaitszych sposobów i nad tym właśnie wciąż się biedził. Śmigło obstał gdzie indziej, a gdzie indziej drewnianą konstrukcję statku. Dla taniości sam budował, montował, łączył i spajał poszczególne części swego dzieła w szopie, którą mu na pewien czas poddzierżawiono. Była to robota mocna — na śmierć — i dokładna.

Piotr wymyślił specjalny przyrząd sterowniczy, który wprawiał w ruch cały aparat za pomocą jednego obrotu koła. Długie lata pracował nad tą sztuką, która miała być nieomylna, sprawna i doskonale działająca jak przedramię, łokieć, ręka, dłoń i palce zdrowego człowieka. Od jednego poruszenia sterowniczego koła podnosiły się lub opuszczały skrzydła latawca, miała iść w górę lub się zniżać linia jego pędu.

W rogu szopy była przybudówka, izba sklecona z bierwion. Stała się ona mieszkaniem i warsztatem Piotrowym. Tu po całych dniach pracował przy swym śrubsztaku, udoskonalając i udoskonalając bez końca sprawność swej konstrukcji. Była to robota zarazem najbardziej twórcza i najbardziej mechaniczna. Tkwiło w niej coś takiego, jakby pisanie wierszy według natchnienia, i coś fizycznego, jak praca kowala, stolarza, tapicera i mechanika.

Zdarzało się, że nie mógł robić, gdyż opuszczało go natchnienie. Wychodził wówczas w zarośla tulące się za wydrami i leśnym zachyleniem od wichrów. Były tam wąskie, kręte, naturalnie powstałe uliczki. Brzozy i dziki bez, żarnowiec z żółtym kwiatem i młode półdrzewa topoli pokonawszy wichry północny, rosły bujnie. Wśród tego młodego gaju leżały szare głazy skał oplecione bluszczem. Ilekroć Piotr brodził wśród młodej dziczy, budziło się w nim zawsze, i to bez zmiany, bez względu na wszelkie okoliczności, coś nad wyraz radosnego. W głębiach liści i traw unosiły się białe motyle — kędyś w gęstwinie skrzeczały żarłocznie ptasie pisklęta. Osy brzęczały wśród wysokich badyłów. Spłoszone kosy kryły się pod najtajniejsze, mokre gałęzie. Ciernisty janowiec pachniał swym błękitnym kwiatem. W powietrzu stał zapach tęgi jak wino, zapach mięty i macierzanki, żarnowca i niewidzialnych w trawie kwiatów. Po bujnych idąc trawach, wśród latających motyli czerpiąc oczyma barwy żółte, pąsowe i niebieskie, trafiał nieoczekiwanie w sedno myśli najbardziej zawikłanych i wysnuwał z nich wniosek doskonały, a prosty jak suma w dodawaniu.

Z jednej strony lasu zwisały nad morzem dzikie skały, czarne u morza, szare w wyżynie, pokryte ostrą powłoką, szorstką siecią uschłych skorupiaków. Skała upodabiała się do fali, naśladowała ją, była przetkana smugami białymi jak morska fala piana. Czarna morska trawa ostrymi kępami sterczała tu i ówdzie. Piotr chodził patrzeć i słuchać, jak bałwany uderzały w niewidzialne lochy, jak głucho nad nimi dudnił skalny ład, gdy niepostrzeżony przyływ przewalał się ponad kamienne przełęcze i gdy się napełniały żywiołem głębokie misy i stągwie, niezgłębione jamy i płytkie wyboje. Chwiały się w sennym tańcu ponad morzem chodzącym czarne i rude porosty witając wonny czas. Wstawała piana na toni zielonej, na ziewającej otchłani. Płynęła coraz dalej w ład wałęsająca się przepaść, głębia obojętna, wiecznie spracowana i wiecznie znudzona, piękna, a nic nie wiedząca o swojej urodzie. Jakaż była potęga, gdy morze chlustało ponad czarne łby zrębów, gdy waliło się dzikie i nie do

zwalczenia poprzez najwyższą skalinę i spadało na wsze strony leniwymi kaskady jak gdyby stopniami grubiańskiego śmiechu!

Nade wszystko jednak Piotr czatował na burzliwy obraz morza, gdy w błękitnym aż do barwy granatu topielisku, potarganym przez bryły zielone, wzdęte bałwany ryły się poprzez głębiny ku górze. Piany na nich wystrzelały z zieleni, gładkie, ulane i zatoczone w tył jak łby delfinów. Wicher rwał je w locie i miotał w tył tworząc z nich bujne grzywy. Pienne bałwany dymem wówczas pędziły w półokrąg skały, leciały w zawody z wichrem wokoło sterczących wieżyc. Widziało się, że to setnie koni szatana cwałują niewidną głębinią. Po wtóre zrywał wiatr białe bryzgi z zielonego zamętu, przerzucał je w dal, rozpościarał i niośł na siebie ni to śniade smugi włosów.

Tam, gdzie ląd wydłużał się w cypel piaszczysty, wychodzący daleko w morze, fale uderzały z dwu stron. Było to miejsce dzikie, nie porośnięte ani jednym źdźbłem trawy. W czasie morskich nawałnic bałwany przelewały się przez grzbiet tego przylądka niszcząc na nim wszystko, co żyje. Z obu stron tego miejsca utworzyły się dwie plaże półkoliste, gładkie i doskonale foremne. Piaski te lśniły z dala na słońcu jak mosiądz polerowany. Gdy bujne fale wbiegały na te swoje wygładzone misy, nieopisanej piękności migotały połyskiem, strzelając światłem nie do zniesienia dla wzroku. Daleko w wody zstępowały piaski pochyłe, obnażające się z fal czasu odpływu jak kobiece ciało z bielizny. Przypływ uderzał w te niskie lądy z najpierwszą potęgą morskiego nieokiełznania, piętrzył nad tymi pierwszymi zwiastunami lądu najbujniejsze piany...

W tym miejscu zażywali kąpiele młodzi chłopcy przyjezdni i piękne dziewczęta. Piotr lubił patrzeć z okna swojej pracowni na młode plemię nurzające się w morzu. Z uciechą patrzył, jak młodzież czatuje na najwyższe bałwany, ażeby z wyciągniętymi rękoma, z pochyloną głową skoczyć w nie na obraz rzuconej lancy, ażeby przebić idący wodny wał i z drugiej strony wychynąć. Zachwycił się, gdy młode kobiety i dziewczęta w czarnych kostiumach płaśły w żywotwórczej głębini, co przychodziła z niedocieczonej otchłani hodować zdrowie człowieka. Kobiety te, bawiące się z radosnym krzykiem w ruchomym żywiole, gdy się w nim nurzały jak kwiaty i pieściły jego wiekuiłą potęgą żywot i potęgę ludzkich pokoleń w swych łonach — były dla niego jak mocna pieśń o szczęściu minionym, które już nigdy nie wróci.

Rozłucki sam pływał w morzu bardzo daleko. Znali z widzenia rybacy w łodziach i przyjezdni goście samotnego człowieka, który z dala od wszystkich wypływał w swój własny sposób. Polubiły go piany i chłodne, obce fale. Poddawały się jego woli i siłom.

Pływał w nich na wznak i boki, zginając tylko kolana albo odtrącając fale podeszwami stóp, wreszcie bez żadnego niemal pomocniczego ruchu unosząc się na powierzchni. Próbowali z nim walczyć na wytrwałość młodzi, nieznajomi współzawodnicy. Wypływali, gdy on się w morzu ukazywał, i mocowali się z odległości.

Jakże piękne na to wybrzeże schodziły wieczory! W zachodniej fali tonał splaszczony krąg purpurowy i wielobarwne odbłaski mknęły po wodach. Fioletowa stawała się fala daleka i mgłą niejasną zaciemniał się przestwór. Schodziła noc tylekroć przeżyta i tak znana a oto nowa jak po raz pierwszy widziany, prześwietny, boski cud...

Po forsownej i długotrwałej pracy nareszcie Piotr wykończył wszystko. Wyszedł ze swej budy o zmierzchu. Przez cały dzień panował był upał nie do zniesienia, a nawet po zgaśnięciu słońca jeszcze nie ustał. W lesie trudno było odetchnąć. Na polach stał duszny czad. Sucha mgła spływała na nizinę ziemi. Piotr wyszedł na długi przylądek, minął go i z rozkoszą zbliżył się do morza. Raz wraz dopełzało do ziemi sennymi załotami. Za przylądkiem otwierał się brzeg piaszczysty, jałowy, miejsce

bezpłodne litego piasku. Zdziar posepny ciągnął się tam na przestrzeni kilkunastu kilometrów. Nie widać było księżyca, lecz miał wzejść — późny, odchodzący księżyc, którego smutne zjawienie Shelley tak nieśmiertelnie przyrównał do samotnego cierpienia chorej kobiety, co w nocy wstała i bez nadziei, bez pociechy znowu za chwilę upadnie w łóżko boleści...

Latarnie morskie poczęły miotać na nieskończoność wód skrzydła ogniste, długie na kilkadziesiąt kilometrów. Jedna z nich rzucała w dal śmigie błękitnawe, a druga w przestrzeni zdawała się przywierać i odmykać oczy. Leniwe morze wydawało jednostajny głos. Odpływ pociągał je w dal. Odsłaniały się mokre piaski, twarde jak asfalt i gładkie jak polerowany marmur. Rozłucki szedł czując w kościach i mięśniach konieczność ruchu. Pchły morskie, zostające po odejściu fali w nieskończonej ilości na plaży, pierzchały spod jego kroku. W masowej ucieczce swojej wydawały przyciszony, niespokojny syk. Ten syk rozlegał się w ciemności i niepokoił ucho jak ciche wołanie z ziemi. Noc zeszła czarna, duszna. Brzask wstającego księżyca zamajaczał w topielach ruchomych. Piotr poczuł znowu wielkość swego pragnienia i niezgłębioną tęsknotę swej za duszą Tatiany.

Śniło mu się na jawie, że to ona głosem morskich żyłatek woła z ziemi, pieszczotliwie powtarzając jego imię. Stał. Nędzą i smutku pełną wydała mu się ziemia, siedlisko tyranii człowieka — pochłaniająca umarłych — ze swymi żywiołami — piaskiem i morzem, rośliną i żyjątkiem. Zapragnął wyrwania się stąd, odrzucenia nogą bryły świata i ucieczki w inne przestworze. Wyciągnął ramiona do światła niebieskich wyblaskających w czarnej wyżynie. Siła niestrzymana jakoby skrzydła rozległe wyrosła mu z ramion. Woła, rozkazująca powietrzu, strzeliła z nich na wschód i zachód.

Rozdział V

Gustaw Bezmian wrócił późno w nocy do mieszkania, które przez parę miesięcy wspólnie z Wolskim zajmował na jednej z odleglejszych ulic Warszawy. Po wyjeździe Wolskiego w Chełmskie (dla objęcia posady pracownika w sklepie spółkowym narzędzi rolniczych) Bezmian zatrzymał jeszcze na czas pewien dawniejsze wspólne mieszkanie. Dzwoniąc do bramy zauważył był obok siebie kilku spóźnionych lokatorów, którzy głośno rozmawiając razem z nim weszli do tejże kamienicy. Położywszy się do łóżka, rozmyślał o sprawach w ciągu tego dnia załatwionych lub rozpoczętych. Był to drugi dzień licznie reprezentowanego zjazdu stowarzyszeń kulturalnych chłopskich. Przewinęło się mnóstwo ludzi. Zarysowały się olbrzymie prace czekające wypełnienia. Stała przed oczami dziedzina trudu wprost niezmierzona. Bezmian zasnął nagle i bardzo twardo.

W jaką godzinę po północy rozległ się dzwonek w sionce, lecz nie zbudził "Daka" zupełnie, tylko mu sen zakłócił nowymi widzeniami. U wejścia do mieszkania dał się słyszeć trzask drzwi wysadzonych, hałas i licznych kroków odgłosy. Do drugiego pokoiku, w którym spoczywał sachalińczyk, weszło kilku ludzi z latarniami. Otoczyli łóżko i zaświecili śpiącemu w oczy. Ktoś go pociągnął za ramię i obudził na dobre.

— Kto pan jesteś? — pytano zaglądając mu w oczy.

Bezmian usiadł na łóżku. Otaczali go oficerowie policji, stójkowi i jakieś cywilne jestestwa ludzkie.

— Pańskie nazwisko? — pytano go znowu.

Przebudzony ziewnął serdecznie i rzekł:

— Czy nie moglibyście tych swoich heraldycznych dociekań załatwiać w dzień, a nie po nocy, gdy się ludziom spać chce w najlepsze?

— My byśmy może mogli, a dura lex kaze inaczej. Spać to i nam byłoby przyjemnie.

Jakież jest pańskie nazwisko?

— Wilfryd Spytek.

— To właśnie my do pana.

— Proszę siadać.

— Gościnnie! A skąd pan tu jesteś?

— Gości się zwykło pytać, skąd przychodzą — a ja tutaj gospodarz.

— No, to my panu gospodarzowi chcemy się odwzajemnić, chcemy być także gospodarzami u siebie i prosimy do nas w gości.

— Daleko to?

— Noc teraz, to trudno drogę zmierzyć. Ale świeczką poświecimy.

— Byle dobrze świecić, żebym się gdzie nie potknął!

— Naszymi drogami wszędzie przejdzie...

— Jestem obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej — przywykłem do dróg prostych i szerokich. Stany będą się upominać o każdą moją fatywę.

— Już my się tam przed tymi pańskimi Stanami jakoś wytłumaczymy. Przebaczą nam. I z panem się dobrze porozumiemy, bo pan, choć taki sierdzisty Amerykaniec, po polsku s l i c z n i e m ó w i t. Tylko prosimy pięknie wstać z pościółki.

Bezmian wdziawał kolejno niezbędne części ubrania poziewując i stękając. Szukał ociężale to skarpetek, to butów. Cywilni asystenci pomagali mu w tym z uprzedzającą gorliwością, szukając nie tylko w szafach, komodzie, za szafami i w piecu, za piecem, a wreszcie na piecu. Jeden z nich ze ścisłością szukał pod łóżkiem, nic tam wszakże bezwzględnie karygodnego nie wykrył. Bezmian narzekał, że mu sen zepsuto, ale koniec końców ubrał się zupełnie i przekomarzając się ze swymi gośćmi wyszedł w ich towarzystwie.

Na ulicy mżył deszcz jesienny. Wiatr szumiał u węglów kamienic. Za jednym z tych węglów pożegnali go oficerowie i został w otoczeniu stójkowych, chłopów odzianych w ciężkie szynele i futrzane czapki. Szli obok niego stękając, sapiąc i kołacząc obcasami o mokry chodnik. Różnymi się wlekli ulicami mijając zapóźnionych przechodniów. Weszli w podwórze wielopiętrowej kamienicy, po brudnych schodach wdrapali się na piętro i wstąpili w zaduch izby skąpo oświetlonej płomykiem gazu. Za stołem, na sofie obitej ceratą siedział oficer policyjny. W głębi za balasami klatki separacyjnej świeciły się jakieś oczy człowiecze. Niedaleko od drzwi był zlew, a obok niego szeroka drewniana ława, w owej chwili pusta. Bezmian zaanektował ją niezwłocznie i wyciągnął się na niej jak długi. Piszący oficer w sposób mrukliwie dydaktyczny zwrócił mu uwagę, że jeszcze nie otrzymał pozwolenia na to, żeby tam leżeć.

Bezmian oświadczył, że nie widzi nigdzie przepisu, żeby na leżało tylko stać albo siedzieć, widocznie tedy leżenie nie jest występkiem.

— Zresztą — dodał — noc jest po to, żeby właśnie leżeć i spać, a nie łązić po różnych dziurach.

Rozmowa zarówno w mieszkaniu, jak w tym urzędzie prowadzona była w zabawnym narzeczu rosyjsko-polskim, w gwarze warszawsko-cyrkułowej. Wyrazy rosyjskie miały polskie końcówki — i odwrotnie. Bezmian chętnie posługiwał się tym żargonem, co mu bez trudu przychodziło. W tym to języku zaproponował urzędnikowi, czyby mu nie pozwolił położyć się na ceratowej kanapie. Tamten z przekąsem odmruknął, że kanapa przeznaczona jest dla niego i dla takich jak on, nie dla aresztowanych. Dodał w sensie łaski, że aresztowany może się do czasu wyciągnąć na drewnianej ławie, co "aresztowany" przezornie od dawna był uczynił. Na dowód zaś, że sprawa tak właśnie, a nie inaczej przeprowadzona zostanie w praktyce, jak została sprecyzowana w teorii, oficer rzucił się na rozległości kanapy, zadzierając na jej poręcz lakierowane buty. Wkrótce też począł chrapać władczo, na cały cyrkuł. Gaz, przykręcony przez stójkowego, ledwo pełgał. W poprzek drzwi wejściowych, pod progiem rozciągnął siennik wyż. wzmiankowany stójkowy, zmówiwszy na klęczkach przed snem katolicki pacierz.

Mijały długie kwadranse... Gustaw Bezmian nie spał. Wybiły go ze snu te okoliczności. Leżąc na swej ławce wsłuchiwał się wbrew woli w chrapanie policjantów. Tuż obok jego głowy kapąły jednostajnie krople wody z rury wodociągowej do zlewu. Za drewnianą kratą w głębi tej sali ów ktoś zamknięty nie spał również i raz wraz wzdychał. Te jego westchnienia były tak beznadziejnie smutno-wstrętne jak monotonne kapanie wody.

Dawne wspomnienia oblegały duszę "Ustawa". Zapomniane już sprawy, wypadki, uczynki, ludzie, imiona, nazwy, pseudonimy — krążyły w jego wyobraźni. Znowu rozsnuwało się stare życie i stary zaglądał w oczy krajobraz. Bardzo późno w nocy ktoś zakolałał we drzwi. Stójkowy otworzył. Wszedł jegomość w czapce z gwiazdą urzędniczą i w tejże czapce zasiadł niezwłocznie przy stole. Oparty na rękach drzemał albo co pewien czas do kogoś telefonował. Bezmian nie poruszał głową i wyglądał jak człowiek twardo śpiący, toteż przybyły urzędnik nie zwracał na niego uwagi.

Na skutek telefonicznych porozumień w jaką godzinę później przyszedł do tego miejsca człowieczyna w "melonie", w wyświechtanym i wysiedzianym "palcie". Było to małe, zabiedzone, z żółtym zarostem, wykopciałym nad wargami od dymu papierosów — prawdziwy okaz warszawskiego szewczyny. Poczęło to skrycie konferować z owym w czapce. Rozmowa toczyła się w języku niby-rosyjskim, w owej prostytucyjnej paplaninie warszawskiej. Wkrótce potem nadszedł drugi cywilus, chłop gruby, ospowaty, o wyglądzie i spojrzeniu siepaczym — a wreszcie trzeci, chłopiec kilkunastu lat, w kaszkiecie jakiejś szkoły technicznej czy miejskiej, w długim szynelu z rogowymi guzikami, typ szkolnego wypędka. Twarz ostatniego przybysza była mizerna, oczy podsiniałe od choroby, biedy czy rozpusty. Ten lepiej niż dwaj jego koledzy władał językiem urzędowym, ale z akcentu znać było, że to polskie dziecko. Wszyscy trzej naradzali się ze swym rozkazodawcą składając jakieś sprawozdania, którym on nie wierzył — na coś przysięgali waląc się w piersi aż jęczało. Szczególnie ów najmłodszy wciąż powtarzał swoje — jej Bohu! Wreszcie kontradycje jakoś się złądziły.

Szef wydał im rozporządzenia szczegółowe, czego wysłuchali w milczeniu i z głęboką uwagą. Mruknął, że teraz będzie spał. Głowa jego wraz z kaszkietem pogrążyła się w dłoniach i w nastawionym kołnierzu. I on stał się małym, biednym, znużonym człowieczyną...

Trzej usunęli się popod ściany. Łazili na palcach, żeby zaś nie obudzić naczalstwa — zaglądali w kąty i dziury, w sienie i zakamarki. Gruby siepacz pośmiał się z czegoś zamkniętego w separacie, co

przez całą noc wzdychało. Towarzysze mu wtórowali. Obejrzelili szczegółowo Bezmiana, udającego, że twardo chrapie — jak grabarze biorący wymiar dołu na długość trupa... Wreszcie wyciągnęli skądś siennik i wszyscy trzej przycupnęli na nim, kopiąc papierosy i pogadując z cicha pomiędzy sobą. Bezmian patrzył na nich spod rzęs, a widział dokładnie twarze, bo brzask gazu na nie padał. Szczególniej na twarz najmłodszego.

Znowu zaległa cisza. W dali, w dali poczynął się budzić ranny turkot i daleki gwar, przerywający się, jakby jeszcze raz wraz w sen zapadał. Chwilami było tak cicho i tak głucho, jakby zapadało w sen wszystko — nawet sam szatan z jego podłością nigdy nie przestającą czyhać. Nie mogło się uciszyć tylko serce wzburzone i nasiąkające nową siłą. Bezmian leżał bez snu. Rozmyślał w sposób dziwny, jak gdyby figurami trzech ludzi skupionych na sienniku. Podnosiła na nowo jego dusza — która już chciała rzec się walki, a tak była spragniona jeno miłości i pracy — jakoby włócznie odpasana... Myślał sam przed sobą — ni to sługa w nim mówiący w oczy panu, uczeń mistrzowi — że przecie z tym złem, które go na nowo oblaźło, mężnie walczył dla przyszłości. Rozradowało się serce widokiem dawnych katuszy.

Lecz wyciekł z serca żal za przyszłością... Oto zbliżył się do chłopów polskich, do przecudnego, wyśnionego ludu. Zapoznał się z młodymi chłopakami, pozawiazywał przyjaźń na życie i śmierć, prace założył na okolicę, powiaty. Miał iść przez Mazowsze, przez Lubelszczyznę, przez Podlasie ku swojej Litwie. Tak się przecie radował.

Bo oto ziemię wokoło objechał, a do całego obwodu brakowało tylko małego łuku — od Warszawy do Witebska. Jechał morzami, tłukł się w wagonach, szedł w kajdanach. Cieszył się, że ten ostatni swój etap przewędruje między pachnącymi zbożami, wśród ukochanej polskiej mowy, której się nie mógł nasłuchać i nawychwalać — że przejdzie na kolanach, przeczołga się caując tę świętą, umęczoną krainę. Jakże nad wszelki wyraz spodobali mu się polscy chłopci! Co to Ajnosy, co Gilaki, co to Japończycy! Kudy im! do wspaniałych Lublinian, do ekstatycznych Podlasiaków, do pracowitych Mazurów i do ludu nad ludy — do Krakowian!

Tymczasem znowu się zbliżał zaduch więzień, nuda bezczynu i wieczne obcowanie nie z pracą i miłością, lecz z przemocą i zbrodnią.

Gwar się wzmacniał w ulicach. Otwarto drzwi i wnet poczęła się sala napelniać. Niewyspany "pan naczelnik" w lakierowanych butach począł wyładowywać swój zły humor na wszystkich, kto się tylko ukazywał we drzwiach. A zaczęło się istne najście. Przyprowadzono pijaną i pokrwawioną prostytutkę, która kwiczała na cały cyrkuł, wywrzaskując od czasu do czasu jakąś chryję o bransoletce — kogoś w smokingu i "melonie", ale bez kamizelki, który przełazi jakoby przez jakiś mur i coś otwarł — czterech ludzi prostych, którzy spoglądali na wsze strony wybałuszonymi oczyma wołów przyprowadzonych do rzeźni — panienkę, co przemyciła do cyrkułowego więzienia butelkę wódki i nieco wytrychów dla kochanka — dwoje dzieci, przyłapanych na występku zebrania, w niewiarogodnie brudnych i cuchnących łachmanach — jegomościa w pewnym wieku i spłaszczonym cylindrze, wypierającego się zarzucanych mu "kalumnii" w sposób przekonywający i nawet prawdopodobny — Żyda starego jak świat, z jakimiś rupieciami w tobołku — dwu włóczęgów o twarzach wesołych jak wiosenne słońce i brudnych jak święta ziemia w jesieni...

Instytut napelnił się po brzegi. Zrobiło się ciasno i niewiarogodnie smrodliwie. Poproszono Bezmiana, żeby wstał i usunął się z ławy, gdyż "publika" nie ma gdzie siedzieć. Publika w istocie domagała się swego polskiego prawa do zasiadania na ławie w cyrkule. "Ustaw" uznał słuszość tego żądania, posunął się na sam brzeżek i stamtąd patrzył na rozwój wypadków.

W tłumie, który się wciąż powiększał i odmieniał, ze zdziwieniem zobaczył stryjecną siostrę Piotra Rozluckiego, pannę "Kamę" Darzewską. Weszła w tłum i precyzyjnie się aż do środka. Raz tylko rzuciła okiem w stronę Bezmiana, ale udawała, że go nie widzi. Radość na widok "siostrzyczki", tego bożego promienia na ziemi — rozlała się po kosteczkach Bezmianowych jak kordiał błogosławiony. Nie mógł zrozumieć, po co przyszła o tak wczesnej godzinie do tego cyrkułu. Dowiedział się niebawem.

Pani Kama niby to czekała w tłumie na swoją kolej nudząc się tym czekaniem i narzekając przed sąsiadami na taką konieczność. W trakcie tego zbliżyła się do Bezmiana w taki sposób, że niepostrzeżenie dla nikogo sekretnym ruchem mogła mu wręczyć jakąś kopertę. Zaraz potem znowu poczęła narzekać, niecierpliwie się, głośno skarżyć, poruszać, przepychać, aż dotarła do "pana naczelnika" i wyjednała sobie jakieś czegoś poświadczenie. Po czym znikła.

Bezmian za interesował się, co też mu wręczyła. Znalazł w kopercie sto kilkadziesiąt rubli i małą karteczkę, pisaną najdrobniejszym makiem. To ostatnie było dla niego najważniejsze, bo zawierało instrukcję, co się stało tejże nocy i czego się trzymać w odpowiedziach.

Po upływie paru godzin harmidru, gdy klienci byli sprawiedliwie osądzeni — w przeważnej większości do miejscowego "ula", Bezmiana zapakowano do karetki i w towarzystwie wyżej powołanego katolika w uniformie stójkowego dokądś odwieziono. Wsiadłszy z pojazdu, mijał schody, sienie i przedpokoje, aż wreszcie znalazł się u celu, to jest w izbie obszerniejszej niż cyrkułowa, z oknem zakratowanym. Pod ścianami stały szerokie ławy. Na ławach siedzieli ludzie niewyspani, stroskanymi patrzący oczyma. Widok tej sali — o dziwna logika uczuć dziecka polskiego narodu! — Gustawa Bezmiana głęboko ucieszył i szczerze wzruszył. Przypomniała się studencka, bujna młodość, pierwsze aresztowania i pierwsza noc w więzieniu. Niepostrzeżenie począł podpatrywać ludzi siedzących i z wprawą bywalca odróżniać złych od "uciśnionych".

Ale to segregowanie nie mogło trwać długo, bo lokal zaludniał się z pośpiechem. Zwożono materiał z miasta. Wpuszczono tedy do izby około stu wyrostków żydowskich, dziewcząt i chłopców, zabranych w całej masie na wykładzie literatury polskiej. Cóż to za gwar nalewkowski "uciśnionego narodu" otoczył Bezmiana-Spytkę! Żydowskie panny klóciły się z kawalerami o coś, czego nikt nie mógł zrozumieć. "Ustaw" chwycił tylko niektóre brzmienia, i to takie, których niepodobna było nie pojąć, bo nazwy: Orzeszkowa, Konopnicka, Sienkiewicz, Prus, Przybyszewski, Tetmajer, Weysenhoff...

W ten żydowski zespół, wrócy od walki obozów literackich, wciskali się co chwila ludzie ze sfery robotniczej, rzemieślniczej, z inteligencji i burżuazji. Jedni wkraczali tam śmiało i hardo, a inni ukazywali strwożeni, niemal padający na kolana — jedni szli tutaj z poduszkami, tobołkami i jadłem, a inni nie mieli ze sobą nic oprócz swojej gorącej idei. Gdy nad wieczorem już nie mogło być mowy o jakimkolwiek siedzeniu, gdyż wszyscy stali ramię w ramię, stłoczeni jak w kościele podczas kazania, Bezmian nie mógł prowadzić obserwacji. Stało się tak duszno, że literalnie nie było czym odetchnąć.

W nocy stary Sachalińczyk został wybadany w urzędzie, kto i skąd jest — i przeniesiony do rzeczywistego kryminału. Odetchnął nadzieją, że można będzie nie tylko usiąść, lecz i wyciągnąć się na tapczanie. Gdy załatwione zostały wszelkie obrządki przy wejściu do więzienia, kierujący nim oficer zagadnął "Spytkę" po polsku:

— A cóż, pan chyba na "czternastkę", pod pana inżyniera?

— Nie znam "pana inżyniera".

— Pan nie zna. No to żal. W takim razie trzeba będzie gdzie indziej...

— Owszem, ja nie mam nic przeciwko czternastce.

— "Czternastka"! — zakomenderował oficer.

"Spytek" powędrował na górę i jeszcze raz na górę. Znalazł się u zamczystych drzwi celi. Otwarto i wpuszczono. Spało tam kilkunastu mężczyzn. Kopciła się naftowa lampka kuchenna. Małe okienko, osłonięte koszem z blachy, było otwarte i ostre zimno wdzierало się do dusznej nory. Gdy strażnik przekręcił klucz w olbrzymim zamku, nowy gość szukał oczami wolnego miejsca na narach. Ktoś podniósł się w półmroku, patrzył, wreszcie zszedł na podłogę w bieliźnie. Był to wysoki, tęgi mężczyzna. Drapał się po bokach, plecach i głowie i patrzył na przybysza zaspanymi oczami. Znał go już widać dobrze, bo szepnął mu do ucha:

— Bezmian?

Gość nieufnie milczał. Tamten zrozumiał, o co chodzi, i dodał:

— Jestem gospodarzem tej nory. Nazywam się Pomróż.

— Inżynier Pomróż?

— Ten sam.

— E — no, to wiem! Prawda, poznaję. No, to Bezmian.

— Chodźcie spać, bo to późno i zimno, do diabła. Macie tam wolny siennik przy ministrze.

— Aż przy ministrze?... A to już może gdzie indziej, bo to ja bardzo niskiej rangi człowiek.

— Tu nie ma miejsc lepszych i gorszych. Na każdym miejscu wszy takie same po łbie i plecach spacerują.

— Któż tu oprócz was siedzi?

— Cały zarząd stowarzyszenia oświatowego "Nauka". Wybrali nas całym gniazdem sześć tygodni temu. I tak se tu urządzamy. Oto ja — prezes, tam chrapie — sekretarz, tamten grubas — to skarbnik, a to pokotem członkowie zarządu: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. A tam, gdzie wy macie leżeć, śpi nasz główny człowiek w rzeczach oświaty, Powierski.

— Jak to, Powierski tutaj? — zmartwił się Bezmian.

— Od wczoraj go tu gościmy. Zjechał jak na rewizję naszej instytucji.

Bezmian znał już niewymownie doniosłą w rzeczach oświaty działalność tego człowieka. Uważał go za swój "urząd", za zwierchność, czcił głęboko i z uniesieniem to nazwisko. Stał bezradnie, kiwając w stronę Powierskiego głową.

— Tak, on sobie tu dobrze przepowie tabliczkę mnożenia.

— No, bracie Bezmianie, nie pora na gawędkę, jeszcze się rozmówimy, mamy czas... — mruknął Pomróż dążąc w swoją stronę.

"Spytek" z wprawą kajdaniarską znalazł się na pryczy — zzuł buty po cichu, ściągnął ubranie, zwinął je "w poduszeczkę" i uczynił zeń wezglowie. Nim skłonił głowę na tej niewymyślnej pościeli, wejrzał z wielką ciekawością i nie mniejszym uszanowaniem na śpiącego sąsiada, na "samego" Powierskiego. Zobaczył surową, zaciętą twarz w uśpieniu i długo z uśmiechem miłości uczył się jej na pamięć. Nie mógł przebrnąć przez tę myśl, że człowiek, który w każdym kraju ucywilizowanym, dla zasług położonych na polu oświaty, niszczenia analfabetyzmu i szerzenia kultury — kierowałby rzesze młodzieży ku dobru i światłu na stanowisku ministra, tutaj leży na werku przeznaczonym dla zbójów i złodziei... Przycupnął wreszcie, sądząc, że po wzruszeniach wczorajszej i dzisiejszej nocy zaśnie natychmiast. Ale sen jak na przekór odleciał. Dziwną pociechą napełniała duszę świadomość, w jakim się to jest towarzystwie. Jeszcze też nigdy z takimi na pryczy nie sypiał! Bywali wprawdzie za sąsiadów sławni na cały Sybir mordercy, bywali wodzowie watah zbójceckich — ale Powierski! Bezmian patrzył po śpiących, słuchał chrapania... Pewny, że wszyscy twardo śpią, nie powstrzymywał wewnętrznego wesela duszy i wybuchnął głośnym śmiechem. Tymczasem jego śmiech obudził tego i owego z sąsiadów. Ktoś spytał:

— Któż się to tak cieszy i z czego?

Wreszcie prezes-inżynier spytał ze swego miejsca:

— To wy, Bezmian, tak się tam radujecie na pryczy?

Katorżnik zawstydył się niezmiernie swego wysokości. Ot, błazen! Nie przewidział, że ludzie nie śpią, i skompromitował się. Pobudził godne osoby i zgorszył. "Inżynier" nastawał, zaniepokojony, czy aby nie rozstrój... Wtedy nie było już rady, musiał wytłumaczyć się:

— Przepraszam... Ech, stary niedźwiedź! W dostojne towarzystwo wszedł — i dawaj w śmiech!

— Ależ czego mianowicie?

— Ba — czego? Śmiech pusty wziął... Tam na dole szkoły całe do kryminału! Tu na górze oświatowe zarządy od dawna siedzą... Uciecha!

— No, takie znowu bardzo śmieszne to nie jest...

— Śmiech ono i radość budzi... Bujne oni źródło, wodę żywą, święty źródł w wieczny kamieniami swoimi chcą zawalić... Życia w kozie nie zamkniesz!

— Jest wśród naszych chłopów gadka o wodach źródłanych, że czasem stok przez wieki bije, woda w nim zimna i czysta — a gdy już zbyt nikczemni ludzie pić ją przychodzą, zagniewa się źródło, obraża — i na wieki pod ziemię ucieka. My tu mamy precz dookoła takie zagniewane, suche źródła.

— Och, nie! Patrzę ja i raduję się w grzesznym sercu. Gdzie im te źródła święte kamieniami zawalić! Śmiech! Samym kamieniem dźwigać ręce ustana!...

— Aby to prawda... — mruknął inżynier...

Rozdział VI

Statek Piotrowy, rozpędziwszy się z poziomu jak bocian albo albatros, poszybował w powietrze. Leciał nad plażami Północnego Morza kierując się na wschód. Robił nie więcej nad osiemdziesiąt kilometrów na godzinę i nie wznosił się wyżej nad kilkaset metrów ponad ziemię. Dosięgnąwszy wybrzeży Bałtyku, opadł w pobliżu rybackiej wioseczki w zupełnym pustkowiu.

Nazajutrz rano zabrawszy nowy zapas benzyny, nabytej przez umyślnego posłańca w najbliższym mieście, wyruszył w dalszą podróż. Pomyślny wiatr popędził go w obranym kierunku. Zimne powietrze na wskroś przejmowało lotnika. Jak poprzedniego dnia dała się znowu czuć z niczym nieporównana lekkość w kościach, sprawność i siła w mięśniach oraz bezgraniczna rzeźwość w całym ciele. Szczególniejsza doskonałość i logika zapanowały w myślach. Jakże był przyjemny świst wiatru wciąż brzmiący w uszach! Niezmierny furkot śmigła i tętnienie maszyny przechodzić się zdawały wewnątrz ciała i w nim także działać, na równi z pulsem i biciem serca. Pochylnie płatowca stały się jako skrzydła wrosnięte w ramiona. Pęd powietrza, natarczywy chwilami jak struga wody tryskającej prosto w usta, podniecał wolę. Skupiona w jedno zamknęła się w obrębie koła sterowego, w dźwigni, w pedale nawracającym według życzenia powierzchnie chylu lub steru.

Ilekoć obojętny i, pomimo wszystko, przelekły wzrok padł w dół czy w dalekość — ogarniał widok bezgraniczny. U morskiego brzegu nieme, białe-żółte wydłużenia zdziarów lądowych. Rude po piaskach szmaty i liszaje. Do nich lgną piany morskie ni to ryby olbrzymie. Wzdęte bałwany zdają się nieruchomo leżeć na brzegu suchym jakoby bezduszny, śnieżny wał. W przestworzu morza wędrownie, ostre skazy czerwonych żagli nad łodziami, co niby uskrzydłone owady worały się i zaczęły o równinę — a wnet odleca. W oddali wielobarwna ziemia. Olbrzymi las wyściela przestwór barwą jednolitą, utkaną tam i sam ciemnością. Wśród tego lasu weselą się — pola.

Biała strzała szosy leci wskroś lądu. Pióra topolowe, małe, jakby je ręka dziecięca w ziemię powtykała. Przez lasy-pola płynie z wolna ciemna smuga cienia chmury. Cień chmury płynie poprzez kępy drzew bez pniów, podobne do nasturcyj w kwietniku — poprzez zielone niwy. Śmiesznie małe domeczki, różowe dachówki. W dachówkach małe okienka i dymniki. Czarne otwory w dziwnie niskich kominach jakichś fabryk...

Przy domkach ogródki, a w nich ruchawki, mali ludkowie. Wszystko jak zabawki dziecięce, wszystko nieregularne, śmieszne i przedziwnie brzydkie. Ta ziemia pokrajana, postrzyżona w kawałki, w strzępki, poobstawiana murkami — siedlisko głupstwa... W dalekim morzu szara pomroka. Najbliżej i na prost — kształty fiołkowe, niebieskie, pozłociste, śniade albo o barwie złoto-białej zawierającej wszystkie kolory — rzeczy niejasne i lecące. Ukazują się niespodziewanie, niebiańsko inwazją z ziemi zdumione. Nagle na widok zuchwalstwa maleją, zmieniają formę i wnet w oczach giną. Inne co prędzej otaczają statek wieńcem, korowodem, snem. Płyną w pobliżu aniołowie, splecione dusze kochanków, igrające dzieci, kształty bardziej nadobne niż najpiękniejsze młodości marzenie... Przenikają ciało na wskroś, obejmują za szyję rękoma obojętnymi — obce i zimne — znikają. Obłoki-duchy...

Nisko nad szarym morzem, które się mieni, przelatuje zjawisko ciemne i na przestwór rzuca swój kształt, odbicie swojej postaci. To cień chmury. Dalej leci po tym morzu forma inna, szybko zmieniająca miejsce swoje, cudacznokształtna. To cień powietrznego statku.

Wiatr ostry zawiał z boku. Rozłucki wziął się z całej mocy do koła. Instynktowną forszą, siłą ptaka, samowiedzą rąk, nóg i stosu pacierzowego wparł się nieomylnie w przyrząd. Nie wiedząc, jak i kiedy to uczynił, nastawił chyl szczęśliwie i nabrał pod się wiatru. Poniósł się w górę jako kania. Dźwignął lotki prawego skrzydła i sprostował aeroplan. Popłynął w zimno, w ciemniejącą, wciąż ciemniejącą otchłań górną. Stała mu się wysokość również bliską, przyciągającą jak głębokość. Ręce kostniały i w palcach nóg uczuł mrowienie, w krzyżu dreszcz i niepojętą, nieopisaną rozkosz. Serce szybko łomotało. Ciosy jego były nad próżnią głośno jak śmigło nad utwierdzeniem ziemskim — jak gdyby to biło serce wszystkich rzeczy, które zostały nisko. Piotr ujrzał pod sobą falisto rozłożone białe chmury, nieruchome, wielorunne skupienia kształtów — nowe piętro bytu, jakoby wyższy, drugi ład. Wyższy

stopień radości, nadziemski jej stan przepłynął przez serce. Wtedy westchnienie wyrwało się z tego serca:

— O, Boże!

Lecąc w niebiosach, na długo zapamiętał się i zatopił w Bogu. Wspomnił ojca wyciągnięte kości rąk i zmarłej uśmiech Tatiany. Modlił się za nich.

Gdy się ocknął znowu, z całej siły czepił się dłońmi sterowniczego kółka i rządził nim za pomocą ruchów doskonałych, pewnych, celowo i matematycznie trafnych, które nie płynęły z rozumu, lecz raczej z instynktu całego ciała, z boskiej doskonałości ruchu kości, mięśni i żył. Zatoczył oczyma pytające koło i zbadał się, gdzie jest. Był w półmroku, w zimnie i niewiadomych, zmiennych prądach wietrznych. W dole płynęły chmury. Na chmurach leżały pobraża blasku słońca, lecz wyższe obłoki wirowały i niosły się w przestwór na skrzydłach wiatru. Prądy powietrzne zmieniały się wciąż i tak dalece, że lotnik nie mógł zmiarkować, który kierunek jest główny i dokąd niesie. Chwilami statek był jakby na rozdrożu, w wiatrowisku. Ulegał szarpaniu we wsze strony albo trafiał w tak niebezpieczną "dziurę" wichrową, w lej, gdzie borykały się ze sobą wiry tworząc jakby trąbę powietrzną. W takich studniach międzywichrowych śmigło zarabiało się w pracy bezpłodnej, skrzydła nie mogły pochwycić pod się głównego nurtu i leciało w dół organon lotnicze. Lecz lochy te miały swe dna, po których płynęły w dal łagodne rzeki powietrzne niosące cicho i bezpiecznie jak rodzinna woda łódź z dziećmi.

Piotr czuł mróz w rękach, w stan zgrabienia zakuwający palce. Rozumiał, że nie zawładnie kołem steru, jeśli uderzy nowy atak sprzecznych ciągów. Zarazem nagle poczuł, że śmigło tnie wolniej, a silnik warczy ociężalej. Przeleciała myśl, że benzyna jest na wyczerpaniu. Dreszcz nowego porządku — świadomy sylogizm — przeszył całe ciało aż do kończyn palców. Natychmiast pohamował lot i nastawiwszy chył, puścił się w dół lotem szybowym, w ukos jak orzeł, gdy zatacza kręgi ku ziemi. Płynął szybko własnym ciężarem, ciął sobą obłoki jak ostry miecz, przesywał jasne powietrze jak strzałą, którą chłopcy puszczają. Serce biło wolniej, ciszej, chwilami od wzruszenia stawało w biegu. Znowu przelotne zjawy nadmorskich obłoków... Ujrzał oświetlone odmęty. Wiatr go nagły uderzył w bok, porwał w nieznany prąd i niósł w sobie. Piotr wparł się lewym skrzydłem w ten wiatr — i ocalał. Lecz zatoczył statkiem półkole szerokie aż do nieskończoności. Usłyszał pod sobą huk.

Morze! Leciał nad nim, pod kątem niesłychanie ostrym, zbliżając się, zniżając, szybując nad wodami jak kormoran. Zadrzał na całym ciele nie widząc nigdzie lądu. Nigdzie, nigdzie! Świst w uszach zagłuszały potworne głosy bałwanów. Wbił oszalałe oczy w dal szukając ratunku. Zielone, pienne morze! Silnik charczał ociężale, coraz wolniej, słabiej, jak gardziel konająca. Śmigło, tworzące tajemnicze koło potęgi, świetlisty gzygzak władzy nad powietrzem, ukazywać poczęło swe oblicze. Wreszcie stanęło jako geometryczna średnica, przekreślająca na wieki koło życia. Wyjrzały wokół pienne pyski miliona lewiatanów, wzniosły się z odmętów miliony łbów i ciekawie wejrzały na powietrznego ptaka. Odsłoniła się nieskończona czeluść. Piotr ujrzał ją nie tylko oczyma, lecz głębokością rozumu. Jeszcze raz drgnęło, zatoczyło się śmigło, jeszcze dźwignął się lotny jego impuls — i ostatni raz zwiśło jak wytrącony miecz.

Dolne koła plusnęły o fale wyciągające ku górze swe paszcze. Rozcięte fale syknęły z chichotem. Osie worały się w następny bałwan, siedzisko uderzało w trzeci. Płatowiec jeszcze leciał rozbryzgując piany. Płasnął w grzbiet zielony silnikiem i zdretniały od nieznanej sobie przeszkody osiadł. Zarył się w bryzgi i zarobił w bulgoczących fontannach. Z wściekłością rzuciły się bydlęta bałwanów na podniebny latawca. Skoczyły nań ze wszech stron, żarły go zębami pian, waliły na jego lekkość, wysmukłość, suchość i sprężystość swój płynny ciężar, większy niż wszystko, cokolwiek myśl wyobrazić sobie zdoła. Łały nań strugami wieczność cieczy. Pociągnęły w siebie ciężar silnika i

zbiorowisko benzyny. Rozpostarły się i nie poddawały zgubie królujące skrzydła. Zielone fale wdierały się na nie z wysoka. Wał splatał się z wałem, dźwigał w dwójnasób i zwiniętym łbem kasał lotne płaszczyzny. Po stokroć bił w rozpostarcie błon, podwahał szkielet, aż wyłamane zwisło ramię. Wtedy fale wmiesiły w swoje głębiny lewe skrzydło.

Piotr zrozumiał wśród chaosu zdarzeń, że to już koniec. Był jeszcze na swym lotniczym krzeselku, lecz nogi miał już zanurzone w wodzie. Wstał ze swego miejsca i co tchu, co siły w ręku począł ściągać ze siebie odzież. Przez głowę zdjął trykotową kurtkę. Jednym zamachem zdzierał buty, spodnie, bieliznę. Gdy był już nagi zupełnie, jeszcze przez chwilę leżał na swym statku. Wraz z nim nurzał się i wydobywał ponad fale. Już skrzydła były pod wodą, a on jeszcze dotykał ich stopami. Skoczywszy w głębiny musnął je jeszcze na pożegnanie wieczne pieszczotliwymi dłońmi. Dojrzał w przezroczystej głębi zatopiony przedziwny kształt, jakby złudzenie myśli, odbicie snu całego życia. Został sam. Począł płynąć w tym niewiadomym, nieogarnionym morzu spokojnie komenderując samemu sobie: raz — dwa, raz — dwa, raz — dwa!...

Wyrzucał ręce na przemiany, pamiętając o ekonomii wysiłku, przechylał się z boku na bok, żeby jak najbardziej zaoszczędzić sił ramienia. Wielkie bałwany wynosiły go na swój szczyt — i zanurzały w głębokie swe rozpadliny. Słona piana siekła go w zuchwałę, zwycięskie oczy, zalewała nozdrza i gardło. Wznosił głowę do góry, zadzierał ją ponad odmet wciąż spadający. Widział ponad sobą zielony, wydrążony, zwinięty kłęb pienisty. Ożyło w jego oczach straszliwe morze i pokazało oblicze śmiertelnego wroga. Śmiały się zeń chichotem piennym bezlitosne fale pędząc wokół za widowiskiem. Taczały go w sobie, ciskając jedna drugiej. Wślizgując się nań z wysoka, szerzyły zimno w kościach, mrowienie zapuszczały w palce nóg i bolesny dreszcz we włosy. Lodowata woda milionem ust ssła skórę — a wciąż pracowitym poszukiwaniem szperała, gdzie też jest serce...

Pamiętał o jednym, żeby spokojnie, równo i bez pośpiechu wyrzucać ręce. Wyrzucał ręce równo i spokojnie — raz — dwa, raz — dwa... Nie wiedział, jak długo już płynie, jak daleko odpłynął. Uczuł, że zabójczy dreszcz jak gdyby drągiem żelaznym uderzył go w krzyż. Zdrętwiały ręce i nieznosny mróz osiadł w piersiach. Ból przeleciał wzdłuż ciała aż do kończyn wielkich palców. Znalazły serce...

Najwyższy bałwan — król morza — podrzucił gościa-rycerza na sobie, wykapał go w pianach głuchoszumiących i cisnął bezwładnego ciemności, która czekała. Dzwony podniebne, które już był raz słyszał w swym życiu, zahuczały w uszach Piotrowych... Popłynęły długie, fioletowe i zielone zwoje. Niosły długo dokądś, do ciszy i snu...

Rozdział VII

Ocknął się wśród promiennego światła i w ciepłe życi tworzącym. Słońce zalewało pokład. Potężny hymn grała wielka wojskowa orkiestra. Radośnie i wspaniale brzmiały akordy trąb, wysokie tony klarnetów i piszczałek.

Piotr spoczywał na wznak, złożony na noszach ruchomych, które ustawione były na podwyższeniu. Przykryty był białą, wełnianą deką. Dokoła jego pościeli stał szereg oficerów marynarki wielkiego pancernika niemieckiego, który go, gdy spadał na powietrznym statku, zobaczył i z toni morskiej nagiego wyłowił. Oficerowie patrzyli nań w milczeniu. Gdy otworzył oczy, z żywością między sobą poczęli szeptać. Westchnienie wymknęło się z jego piersi...

Słońce spadło na powieki i nie dało im zawrzeć się nad zgasłymi oczami. Nie mogąc powiek zawściągnąć patrzył spod nich przed siebie. Widział tych ludzi pięknych i spokojnych, uszykowanych w rząd. Czuł ich wzrok skierowany na siebie.

Któż to są ci ludzie? Co to za miejsce? Lecz zobojętniały wnet te pytania. Ciemność straszliwa, kłębiąca się od zielonych bałwanów, przytłoczyła myśli. Począł znowu walczyć w duchu z morzem ciemności, przebijając schyloną głową nieprzeliczone a wciąż następujące bałwany. Krzyk przeraźliwy wydierał się z jego piersi, lecz nie wypadał na zewnątrz, tylko szarpał się w sercu nieszczęśliwym.

Zmordowany walką wewnętrzną, oblany potem, śmiertelnie znużony uchylił znowu powiek. Patrzył. W promieniach słońca drżały niewinnie ruchome fale nieobeszłego morza. Na widnokręgu żółtawą smugą snuł się daleki ląd. Dookoła posłania stali jak przedtem oficerowie niemieccy. Piotr uniósł głowy z posłania i spoglądał w dalekie morze i w daleki ląd. Natychmiast podniesiono mu głowę i wsunięto pod nią skórzaną poduszkę. Jakiś człowiek przyłożył do jego warg brzeg szklanki i wlał w usta płyn doskonale krzepiący. Piotr otworzył oczy i powiodł wzrokiem po zgromadzeniu oficerów otaczających go półkolem. Pojmował już, że jest na jakimś statku. W języku, do którego był przywykł za pobytu w Ameryce, to jest w angielskim, zapytał:

— Gdzie jestem?

Odpowiedziano w tym samym języku:

— Na pokładzie pancernika floty niemieckiej "Königin Luiza".

— Dlaczego tu jestem?

— Dostrzeżliśmy pana lecącego w powietrzu. Widzieliśmy twój lot w dół i zatopienie aeroplanu w morzu. Pośpieszyliśmy ci na pomoc całą siłą pary. Wyratowaliśmy cię z toni morskiej nagiego i zdrętwiałego.

— Kto mianowicie mię wyratował?

— Marynarze nasi i nurkowie.

— Dziękuję... — rzekł Rozłucki.

Patrzył na potężne kominy pancernika — na olbrzymie jego blachy — na reje telegrafu bez drutu — na mnóstwo stalowych lin przecinających się we wszelkich kierunkach

— na piętrzące się pokłady — na wieże bojowe obstawione wokół szybkostrzelnymi armatami — wreszcie na kolosalne cielska największych armat, wystające w morze z przedniego pokładu. Senne wspomnienia armatniego towarzystwa i braterskich z bronią przeżyć owionęły mu duszę. Patrzył na wielkie, lśniące działa, symbole potęgi — na dawnych przyjaciół, którzy go — Hioba — w tym ciężkim śnie przybyli odwiedzić...

Jeden z oficerów, starszy wiekiem, zbliżył się do Piotrowego posłania i rzekł po angielsku, oddając mu ukłon wojskowy:

— Jestem komendantem tego okrętu. Szczęśliwym się czuję, że statek nasz mógł udzielić gościnności tak dziełnemu żeglarzowi i powietrznemu. Czy wolno mi wiedzieć, kogo mamy zaszczyt gościć na tym pokładzie?

— Imię moje lotnicze jest "Ulisses".

Oficer skłonił się przykładając palec do daszka czapki. Rzekł jeszcze:

— Widzę na twarzy pańskiej szramę od cięcia orężem. Nie tylko tedy w przestrzeni powietrznej, ale i na lądzie podejmowałeś pan walkę.

— Zawsze z tym samym skutkiem...

— Pragnąłbym wiedzieć, jaki naród ma w panu przedstawiciela?

— Należę do narodu, który należy do wszystkich.

— Cóż to za naród?

— Wydobyliście, panowie, człowieka nagiego z morza. Przedstawiciele mądrego, twórczego i potężnego narodu niemieckiego, udzielając gościny człowiekowi nagiemu, czyż muszą wiedzieć jeszcze coś więcej ponad to?

— Naród niemiecki nie zna sentymentu gościnności. Rządzi on się prawem obowiązku kultury, przepisami kodeksu międzynarodowej wymiany określonych usług.

— W takim razie każ mi, panie komendancie, wyrzucić za burty twojego statku, bo poza mną nie stoi żaden naród ani państwo — ani nikt.

— Więc kto pan jesteś?

— Jestem człowiek nagi.

Długo milczał.

Olbrzymi statek przeszywał morską toń. Widać było w pobliżu piaszczyste wybrzeże.

Pochyłe sosny na nim stały i jasne domki świeciły się wpośród zieleni. Piotr zapytał jeszcze otaczających go oficerów:

— Jak nazywa się ląd, który tam widać?

Odrzekli chórem:

— Pommern.

Wyteżył wzrok w tamtą stronę. Wpatrzył się w żółte, lśniące na słońcu wybrzeża. Podźwignął ręce i wyciągnął je do dalekich — dalekich białych domków kaszubskich, o których marzył przez całe życie. Wyszeptał:

— Pomorze!...

Drgnęło usłyszawszy ten dźwięk półkole oficerów. Złowrogo zaświeciły oczy...

Paryż, 1912.

Źródło: "http://pl.wikisource.org/wiki/Uroda_%C5%BCycia"

Kategorie: Strony wymagające podzielenia | Stefan Żeromski

Widok